PISMA - MOWY - ROZKAZY

Zakł. Graf. „Polska Zjednoczona“, Warszawa, Nowolipie 2.

JÓZEF PIŁSUDSKI

PISMA-MOWY-ROZKAZY

WYDANIE ZBIOROWE PRAC
DOTYCHCZAS DRUKIEM OGŁOSZONYCH

TOM II

INSTYTUT BADANIA
NAJNOWSZEJ HISTORJI POLSKI
WARSZAWA MCMXXX
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „POLSKA ZJEDNOCZONA"

Komitet Redakcyjny:
MICHAŁ SOKOLNICKI I JULJAN STACHIEWICZ

Sekretarz Redakcji:
WŁADYSŁAW MALINOWSKI

Wstęp i przypisy do II tomu opracował
LEON WASILEWSKI

WSTĘP.

Po ucieczce 13 maja 1901 roku ze szpitala Mikołaja Cudotwórcy w Petersburgu Józef Piłsudski udał się przez Rewel i Rygę do Kijowa. Tam odwiedził świeżo zorganizowaną drukarnię *Robotnika*, poczem wyjechał na Polesie — do majątku, w którym przebywała wypuszczona już za kaucją jego żona. Wkrótce potem oboje Piłsudscy wyjeżdżają za kordon i po niedługotrwałym wypoczynku w Galicji udają się do Londynu, gdzie mieścił się emigracyjny ośrodek P. P. S.—jej Komitet Zagraniczny. Tu, na dalekiem północno-zachodniem przedmieściu — Leytonstone, w małym pokoiku lokalu partyjnego przy ulicy Colworth Road Nr. 67, na tak zwanym „Lingwoodzie" (nazwa domu, w którym mieściły się — zecernia, skład wydawnictw, archiwum i sekretarjat zagraniczny P. P. S.), Piłsudski czas jakiś spędził na wypoczynku. Niebawem już jednak widzimy go znowu w Galicji, gdzie osiedla się na stałe. Mieszkając w zimie w Krakowie, w lecie w Zakopanem, odbywa częste wycieczki konspiracyjne za kordon, do zaboru rosyjskiego, gdyż po powrocie do czynnego życia politycznego z natury rzeczy wysuwa się na naczelne stanowisko w partji i silnie oddziaływa na jej rozwój ideologiczny i organizacyjny.

Galicja w tych czasach staje się bazą operacyjną dla wszystkich bez wyjątku grup politycznych, działających nielegalnie na gruncie zaboru rosyjskiego. Wpływ socjalistów polskich z Galicji i przedewszystkiem Ignacego Daszyńskiego w Wiedniu gwarantował emigrantom polskim w Galicji, nie mieszającym się czynnie do miejscowego życia politycznego, prawo azylu. To też w Galicji — w Krakowie i we Lwowie — zogniskowały się wszystkie, dawniej prowadzone zagranicą, roboty polityczne P. P. S. Do Krakowa został przeniesiony *Przedświt* londyński. w Krakowie funkcjonował konspiracyjnie Komitet (względnie Wydział) Zagraniczny P. P. S., w Krakowie i we Lwowie skupiały się coraz liczniejsze grupy emigrantów z zaboru rosyjskiego, którzy wytworzyli tu tajne sekcje Oddziału Zagranicznego P. P. S. Na gruncie galicyjskim odbywały się narady i konferencje partyjne, stąd wyjeżdżali do „kraju“ (jak nazywano zabór rosyjski) emisarjusze i funkcjonarjusze partyjni, tu chronili się przed aresztowaniem skompromitowani działacze.

Przebywanie w Galicji emigrantów z zaboru rosyjskiego stykało ich bezpośrednio z miejscowymi działaczami Polskiej Partji Socjalnodemokratycznej Galicji i Śląska. Stąd wzajemne oddziaływanie przedstawicieli polskiego ruchu socjalistycznego dwóch zaborów. Nie mając możności brania jawnego udziału w pracy organizacyjnej towarzyszy galicyjskich, uchodźcy z zaboru rosyjskiego zasilali swemi artykułami i informacjami prasę miejscową i, utrzymując stosunki osobiste z leaderami ruchu, informowali ich o kierunku i celach rewolucji w zaborze rosyjskim, uzyskując ich po-

moc moralną tak wobec opinji polskiej, jak i w Międzynarodówce. Pod tym względem bardzo doniosłe skutki pociągnęły za sobą stosunki Józefa Piłsudskiego z najwybitniejszym przywódcą ruchu galicyjskiego, posłem Ignacym Daszyńskim. Oddziaływanie bowiem na niego dawało maximum wpływów na całą partję socjalnodemokratyczną Galicji i Śląska oraz zapewniało poparcie P. P. S. w obozie międzynarodowym, ceniącym Daszyńskiego jako wybitnego parlamentarzystę socjalistycznego w Austrji.

Bliska styczność z socjalistami polskimi w Galicji pobudziła Józefa Piłsudskiego do umieszczania prac publicystycznych w ich wydawnictwach. Tak w *Promieniu* zjawił się jego artykuł *Jak stałem się socjalistą*, w *Kalendarzach Robotniczych* drukowało się kilka artykułów i wspomnień, wreszcie w organie codziennym Polskiej Partji Socjalnodemokratycznej Galicji i Śląska — krakowskim *Naprzodzie* — ukazała się serja feljetonów o warunkach walki rewolucyjnej pod caratem, wydana później w oddzielnym tomie *(Bibuła)*.

Okres wojny japońskiej, pierwszej rewolucji rosyjskiej 1905—1906, jak i okres reakcji porewolucyjnej Józef Piłsudski spędził również w Galicji, skąd wyjeżdżał raz po raz na czas krótszy czy dłuższy do zaboru rosyjskiego, bądź jako członek Centralnego Komitetu Robotniczego P. P. S., bądź jako kierownik Organizacji Bojowej i uczestnik odbywających się tam konferencyj i zjazdów.

W dobie upadku ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim po latach 1906—1907 odbywa się poszukiwanie nowych dróg dla wznowienia ruchu pod dawnem, odrodzonem hasłem niepodległości i na-

dania mu nowych form organizacyjnych. I w tym kierunku Józef Piłsudski rozwija czynną działalność na coraz szerszej podstawie: studjuje coraz wszechstronniej sztukę wojskową i szerzy konieczność zaznajamiania się z nią w kołach towarzyszy. Licząc się z możliwością wojny Austro-Węgier z Rosją, wchodzi w stosunki z przedstawicielami austrjackiego sztabu i informuje ich o sytuacji w Rosji, co, jak pisze Daszyński w swoich *Pamiętnikach*, „dla ogromnej większości wojskowych austrjackich stanowiło przedmiot sensacyjnych odkryć...“ W tym czasie *Robotnik* drukuje artykuły Józefa Piłsudskiego o zadaniach rewolucji w zaborze rosyjskim, głoszące konieczność przygotowań militarnych. W szkołach, zakładanych przez P. P. S. dla agitatorów, wysyłanych do zaboru rosyjskiego, oraz w tworzącym się Związku Walki Czynnej Józef Piłsudski wykłada przedmioty wojskowe. Z tych jego wykładów powstają broszury *Życia* — o zadaniach rewolucji i geografja militarna Królestwa Polskiego, wprawdzie posiadające stempel partyjny, niemniej jednak czytane już i przez niesocjalistów, garnących się do ruchu niepodległościowego. Wpływ Piłsudskiego w tym okresie wykracza bowiem poza ramy partyjne, a głoszone przezeń hasła znajdują oddźwięk już nietylko wśród robotników i inteligencji socjalistycznej, ale i wśród szerokich kół inteligenckich i chłopskich, nieobjętych wpływami socjalistycznemi.

I.

JAK STAŁEM SIĘ SOCJALISTĄ

(1903)

Nazwałem siebie socjalistą w roku 1884. Mówię — nazwałem, bo nie oznaczało to wcale nabycia niezłomnych i utrwalonych przekonań o słuszności idei socjalistycznej. Byłem wówczas w gimnazjum wileńskiem, należałem do kółka „Spójnia", zawiązanego kilka lat przedtem, i razem ze swymi kolegami uległem modzie socjalistycznej, którą nam przywieźli starsi koledzy, studenci uniwersytetu petersburskiego. Otwarcie wyznaję, że była to moda, bo inaczej trudno mi nazwać ówczesną epidemję socjalizmu, która ogarnęła umysły młodzieży, rewolucyjnie czy tylko opozycyjnie usposobionej. Ogarnęła zaś do tego stopnia, że nikt z inteligentniejszych i energiczniejszych mych kolegów nie uniknął w swym rozwoju przejścia przez etap socjalistyczny. Jedni zostali już socjalistami, drudzy przeszli do innych obozów, trzeci wreszcie wyrzekli się wszelkich aspiracyj społecznych, lecz każdy z nich przez czas dłuższy lub krótszy był socjalistą.

Przedewszystkiem więc, mówiąc o sobie, muszę wyjaśnić, czemu byłem w owym czasie rewolucyjnie usposobionym. Urodziłem się na wsi, w szlacheckiej rodzinie, której członkowie, zarówno z tytułu starożytności pochodzenia, jak i dzięki obszarowi posiadanej ziemi, należeli do rzędu tych, co niegdyś byli nazywani bene nati et possesionati. Jako possesionatus, nie zaznałem długo

żadnej troski o materjalne rzeczy i otoczony byłem w dzieciństwie pewnym komfortem. A że rodzeństwo moje było liczne i rodzice względem nas byli bardzo łagodni i serdeczni, mógłbym nazwać swe dzieciństwo — sielskiem, anielskiem. Mógłbym — gdyby nie zgrzyt jeden, zgrzyt, który sępił czoło ojca, wyciskał łzę z oczu matki i głęboko się wrażał w mózgi dziecięce. Tym zgrzytem było świeże wspomnienie o klęsce narodowej 1863 roku (urodziłem się w 1867 roku).

Matka, nieprzejednana patrjotka, nie starała się nawet ukrywać przed nami bólu i zawodów z powodu upadku powstania, owszem, wychowywała nas, robiąc właśnie nacisk na konieczność dalszej walki z wrogiem ojczyzny. Od najwcześniejszego dzieciństwa zaznajamiano nas z utworami naszych wieszczów, ze specjalnem uwzględnieniem utworów zakazanych, uczono historji polskiej, kupowano książki wyłącznie polskie. Ten patrjotyzm rewolucyjny nie miał określonego kierunku społecznego. Matka z naszych wieszczów najbardziej lubiła Krasińskiego, mnie zaś od dzieciństwa zachwycał zawsze Słowacki, który też był dla mnie pierwszym nauczycielem zasad demokratycznych. Były one, naturalnie, u dziecka bardzo niejasne i mgliste, lecz przy moim żywym i nieco przekornym charakterze utrwalały się przy każdym sporze, które niekiedy matka żartem prowadziła.

Poza książkami, tyczącemi się Polski, czytałem dosyć dużo najróżnorodniejszych książek, wszystko, co mi tylko nawinęło się pod rękę. Najwyższe wrażenie sprawiały na mnie książki, opisujące byt narodów klasycznych — Greków i Rzy-

mian. Prawdopodobnie dlatego, że były przepełnione szczegółami walk o ojczyznę i opisami bohaterskich czynów. Oprócz tego byłem rozkochany w Napoleonie i wszystko, co się tego mego bohatera tyczyło, przejmowało mnie wzruszeniem i rozpalało wyobraźnię. Wszystkie zaś marzenia moje koncentrowały się wówczas koło powstania i walki orężnej z Moskalami, których z całej duszy nienawidziłem, uważając każdego z nich za łajdaka i złodzieja. To ostatnie zresztą było zupełnie usprawiedliwionem. W owym czasie Rosja wylała na Litwę szumowiny swoje, najpodlejsze elementy, jakie posiadała, a opowiadania o łajdactwach i barbarzyństwie tej hordy Murawjewa były na ustach wszystkich.

Zaznaczyć jeszcze dla ścisłości muszę, że matka od najwcześniejszych lat starała się rozwinąć w nas samodzielność myśli i podniecała uczucie godności osobistej, które w moim umyśle formułowało się w sposób następujący: tylko ten człowiek wart nazwy człowieka, który ma pewne przekonanie i potrafi je bez względu na skutki wyznawać czynem.

Z takiem usposobieniem i poglądami, o ile dziecinne myśli poglądami można zwać, wszedłem w progi szkolne. Zostałem uczniem pierwszego gimnazjum wileńskiego, mieszczącego się w murach dawnego uniwersytetu wileńskiego, byłej alma mater Mickiewicza i Słowackiego. Wyglądało tu, naturalnie, inaczej, niż za ich czasów. Gospodarzyli tu — uczyli i wychowywali młodzież — pedagodzy carscy, którzy do szkoły wnosili wszystkie namiętności polityczne, a za system mieli możliwe zgnębienie samodzielności i godności osobistej

swych wychowanków. Dla mnie epoka gimnazjalna była swego rodzaju katorgą. Byłem, coprawda, chłopcem dosyć zdolnym, nigdym się nie zamęczał pracą i z łatwością przechodziłem z klasy do klasy, lecz gniotła mię atmosfera gimnazjalna, oburzała niesprawiedliwość i polityka pedagogów, nużył i nudził wykład nauk. Wołowej skóry by nie starczyło na opisanie bezustannych poniżających zaczepek ze strony nauczycieli, hańbienia wszystkiego, com się przyzwyczaił szanować i kochać. Jak silnem było wrażenie tego systemu pedagogicznego na mój umysł — można sądzić z tego, że dotąd jeszcze, gdym już przeszedł przez więzienia i Sybir i miał do czynienia z czynownikami różnego gatunku, w każdym przykrym śnie odegrywa taką lub inną rolę którykolwiek z moich miłych pedagogów wileńskich.

W takich warunkach nienawiść moja do carskich urządzeń, do ucisku moskiewskiego wzrastała z rokiem każdym. Bezsilna wściekłość dusiła mię nieraz, a wstyd, że w niczem zaszkodzić wrogom nie mogę, że muszę znosić w milczeniu deptanie mej godności i słuchać kłamliwych i pogardliwych słów o Polsce, Polakach i ich historji, palił mi policzki. Uczucie przygnębienia, uczucie niewolnika, którego w każdej chwili, jak robaka, zgnieść mogą, leżało mi na sercu kamieniem młyńskim. Lata mego pobytu w gimnazjum zaliczam zawsze do najprzykrzejszych w swem życiu.

Marząc ciągle o powstaniu, zacząłem się wówczas zastanawiać, czemu dotychczasowe się nie udały. Książek odpowiednich nie było, kłopoty majątkowe nieco oddaliły moich rodziców od dzieci, w rozmowach zaś starszych o ostatniem po-

wstaniu mówiono bardzo mało, a to, co mówiono, było dla mnie wstrętnem — uważano bowiem, że powstanie było nietylko błędem, lecz i zbrodnią. Że specjalną więc ciekawością czytałem to, co mogłem dostać, o rewolucji francuskiej. Podłoża społecznego tego ruchu, naturalnie, nie rozumiałem, natomiast byłem zachwycony zapałem i zajadłością rewolucyjną oraz udziałem wielkich mas ludowych. A gdym się zapytał, czemu my, Polacy, nie zdobyliśmy się na taką energję rewolucyjną, znalazłem jedyną odpowiedź — byliśmy i jesteśmy gorsi od Francuzów. Był to wielki cios, zadany mojej dumie narodowej, lecz czekał mię jeszcze silniejszy. W owe czasy głośną była na całym świecie walka *Narodnej Woli* rosyjskiej z caratem. Odgłosy tej walki dochodziły, naturalnie, do Wilna i bohaterstwo jej nie mogło nie imponować mojej romantycznej głowie. Zarazem w Polsce było cicho. „Proletarjat“, który wówczas działał w Warszawie, o tyle był słabym, że wpływy jego prawie nie dochodziły do Wilna, a poza nim w społeczeństwie polskiem, wyczerpanem walką 1863 roku, było tyle strachu, tyle czarnej reakcji, tyle oburzenia na każdą myśl żywszą, że porównanie Rosji z Polską wypadało wówczas dla mnie zawsze na korzyść Rosji. Byłem tem wprost upokorzony i stałem na rozdrożu.

W tym właśnie czasie przyszła socjalistyczna moda. Moda ta dla nas, wilnian, szła ze Wschodu, z Petersburga. Dla siebie osobiście uważam to za szczęście. Gdybym się spotkał w owe czasy z socjalizmem warszawskim, negującym otwarcie sprawy narodowościowe i występującym przeciwko tradycji powstańczej, byłbym tak opornym na jego

wpływy, że razem z temi niepotrzebnemi, według mnie, dodatkami odrzuciłbym i samą ideję socjalistyczną. Petersburski socjalizm nie wymagał tej ofiary ode mnie, a zarazem dawał mi pewną nić przewodnią, pewien światopogląd, który wobec rozbicia poprzedniego z łatwością zajął jego miejsce.

Petersburski, a raczej rosyjski ówczesny socjalizm nie był wcale tem, co obecnie ludzie nazywają tem imieniem. Była to dosyć dziwaczna mieszanina krytyki socjalistycznej burżuazyjnego ustroju z anarchistycznym ideałem samorządnych komun oraz z reakcyjną do pewnego stopnia wiarą w naród rosyjski, w którym jakoby, w przeciwieństwie do burżuazyjnego Zachodu, tkwiły pierwiastki komunistyczne w całej okazałości. Dla Europy socjalizm ten był nadkrytycznym, dla Rosji zaś pobłażliwym i w owym czasie przetwarzał się w najzwyczajniejszy radykalizm inteligencki, w którym ów mesjanizm rosyjski służył jako parawanik dla zakrycia braku pracy nad podniesieniem świadomości rosyjskiego ludu pracującego.

W umysłach młodzieży polskiej w Wilnie ten dziwny socjalizm przełamywał się w sposób rozmaity. Niektórzy pod jego wpływem rusyfikowali się zupełnie i zrywali ze wszystkiem, co polskie. Inni — a do tych należałem i ja — przyjmowali do pewnego stopnia, naturalnie bez sprawdzenia, twierdzenia rosyjskie o ich narodzie, natomiast główną zwracali uwagę na krytykę ustroju burżuazyjnego w Europie, którą to krytykę, naturalnie, przenosiliśmy i na swoje własne społeczeństwo. Studja swoje nad socjalizmem odbywaliśmy, czytając rozmaite rosyjskie utwory publicystycz-

ne, dzieła Lavelaye'a i Iwaniukowa. Co do mnie, rosyjskiej publicystyki — Dobrolubowych, Pisarewych, Czernyszewskich, Michajłowskich — nie znosiłem. Nużyła mię ta rozwlekła gadanina, niejasna i mglista, z mnóstwem aluzyj do wypadków z życia społecznego i literackiego Rosji, która dla mnie była zupełnie obcą. Parę rzeczy tych pisarzy, którzy stanowili niezbędną szkołę każdego z socjalistów rosyjskich, przeczytałem dopiero na wygnaniu, kilka lat potem, i przyznam się, zwykle działały one na mnie strasznie usypiająco.

Takim płytkim bardzo socjalistą wyruszyłem w 1885 roku do uniwersytetu charkowskiego. Polska młodzież, którą tu zastałem, nie zaimponowała mi. Była dosyć apatyczną, bez żadnych silniejszych aspiracyj społecznych, ci zaś, co je mieli, byli prawie zupełnie zrusyfikowani. Rosyjscy studenci byli bardziej żywi, energiczni i ruchliwi. Starano się wciągnąć mnie do organizacji studenckiej *Narodnej Woli*, lecz stanowczo się temu oparłem, chodziłem tylko na posiedzenia kilku kółek samokształcenia, gdzieśmy czytali również nudnego dla mnie Ławrowa. Książek polskich było tu mało, tęskniłem więc do kraju i do innego środowiska. Nieco zelektryzowała mię wiadomość o „Proletarjacie“ w Warszawie — akurat wówczas odbywał się sąd nad proletarjatczykami, lecz żadnych informacyj o nim wówczas zasięgnąć nie mogłem. Przyszedłem tylko do przekonania że trzeba zawiązać jakąś organizację, któraby wypracowała program roboty socjalistycznej i u nas w domu.

Z tą myślą zwierzyłem się z tego projektu paru kolegom wilnianom po powrocie z uniwersytetu

na wakacje. Koledzy zgodzili się na to i uformowało się kółko, składające się ze studentów petersburskich oraz mnie i kilku kolegów, którzy po ukończeniu gimnazjum pozostali w Wilnie. Postanowiliśmy wydawać dla siebie samych pisemko hektografowane i pracować nad wypracowaniem programu, odpowiadającego potrzebom kraju. Wobec tego, że dzięki drobnym uchybieniom formalnym władza uniwersytecka w Charkowie wzbraniała się przyjąć mię na następny rok do uniwersytetu, postanowiłem rok ten pozostać w Wilnie, by potem jechać zagranicę dla dalszego kształcenia się.

W tym to czasie trafiły mi do rąk po raz pierwszy broszurki socjalistyczne polskie — Młota *Kto z czego żyje* i Liebknechta *W obronie prawdy.* Podobały mi się one znacznie więcej i trafiły bardziej do przekonania, niż czytane dotychczas odpowiednie wydawnictwa *Narodnej Woli.* Zatem postanowiłem bliżej się zapoznać z samym socjalizmem i przeczytałem po rosyjsku pierwszy tom *Kapitału* Marksa. Nie powiem, by ta lektura sprawiła na mnie wielkie wrażenie. Chociaż wpływ rosyjski był niewielki, zdołał jednak zrobić pewne anarchistyczne spustoszenia w mej głowie. Abstrakcyjna logika Marksa oraz panowanie towaru nad człowiekiem nie pasowało do mego mózgu. W każdym razie lektura ta pogłębiła znacznie moje poglądy na społeczeństwo i bezwiednie zacząłem ulegać wpływowi logicznie zbudowanej koncepcji Marksa.

Zresztą nie bardzo miałem czas na zastanawianie się nad sprawami teoretycznemi. Prowadziłem parę kółek samokształcenia, zawiązałem trochę

stosunków z robotnikami wileńskimi, zbierałem książeczki ludowe, hektografowałem nasze pisemko. Roboty było huk. Kółko nasze programu żadnego nie wypracowało, wyklarowało się jedynie, że wszyscy kładziemy nacisk na sprawę obrony od brutalnego wynaradawiania ludu, praktykowanego przez rząd rosyjski na Litwie. Z polskim ruchem w Królestwie nie mieliśmy nic wspólnego, bo był to czas zupełnego rozbicia „Proletarjatu".

Na początku roku 1887 zostałem aresztowany w sprawie zamachu na życie Aleksandra III, do której to sprawy ja i brat starszy, wówczas student petersburskiego uniwersytetu, wypadkowo byliśmy zamieszani. Brat poszedł na katorgę, mnie skazano na pięć lat wygnania do Wschodniej Syberji. I tu dopiero, gdym spokojnie mógł rozmyślać nad wszystkiem, com przeszedł, stałem się tem, czem jestem.

Przedewszystkiem wyleczyłem się gruntownie z resztek ówczesnego rosyjskiego wpływu i przy bliższem poznaniu jak mnóstwa przedstawicieli ruchu rosyjskiego, tak również i literatury oraz publicystyki rosyjskiej, przestałem przeceniać znaczenie i siłę rewolucji rosyjskiej. W ten sposób oczyściłem sobie niejako drogę dla wpływów zachodnio-europejskich. Następnie w Syberji, gdzie, wobec braku kultury, czynniki społeczne występują bez obsłonek w całej swej nagości, przyjrzałem się bliżej maszynerji caratu oraz jego wpływowi na życie ludzkie w samej Rosji i znienawidziłem ten potwór azjatycki, pokryty pokostem europejskim, jeszcze bardziej. Wreszcie rozmyślania i książki (tu, zniechęcony Spencerem,

przeczytałem jeszcze raz Marksa) ugruntowały mię w socjalizmie. Zrozumiałem wówczas, że nie jest on tylko ideją szlachetnych ludzi, marzących o uszczęśliwieniu ludzkości, lecz staje się realną potrzebą ogromnej masy ludu pracującego z chwilą, gdy kulturalny i społeczny rozwój umożliwia mu zrozumienie zasad tej idei.

A gdym się zastanawiał nad narodem, z którym mię wiązało wszystko, co cieszy i wszystko, co boli, wszystko, co we mnie myśli i wszystko, co czuje, przychodziłem do przekonania, że moje dziecinne marzenia i rojenia zespalają się z moim młodzieńczym światopoglądem. Socjalista w Polsce dążyć musi do niepodległości kraju, a niepodległość jest znamiennym warunkiem zwycięstwa socjalizmu w Polsce.

Na Syberji również poznałem dokładniej pierwsze kroki socjalizmu w Polsce. Jako kolegów wygnania miałem towarzysza Landego i kilku proletarjatczyków, oprócz tego miałem możność przeczytania wielu socjalistycznych wydawnictw polskich, z któremi nie spotykałem się w Wilnie.

Ostatecznie postanowiłem po powrocie do kraju wstąpić do „Proletarjatu" i starać się o zreformowanie go w kierunku, który obecnie nazywa się P. P. S-owym. A że byłem odcięty od kraju i dalsze (po 1887 roku) ewolucje socjalizmu u nas były mi nieznane, z tem postanowieniem przyjechałem do domu w drugiej połowie 1892 roku i... ku wielkiej swej radości przekonałem się, że moja zamierzona praca reformatorska już jest zbyteczną.

II.

ARTYKUŁY
Z „KALENDARZY ROBOTNICZYCH“
(1903 — 1905)

RUSYFIKACJA.

Polityka rusyfikacyjna, którą tak boleśnie my, Polacy, odczuwamy, jest zjawiskiem społecznem, ocenianem u nas najrozmaiciej. Gdy jedni, w uniesieniu zrozumiałej zresztą nienawiści do prześladowców, gotowi są za Mickiewiczem powtórzyć, że

Moskal Moskalem, to jest rozbójnikiem,
Złodziejem, bestją rodzi się okrutną,

i tłumaczyć w ten sposób rusyfikację przez zbrodnicze cechy rasowe Rosjan, inni znowu naiwnie zwalają odpowiedzialność za tę politykę na rząd jedynie, uniewinniając całkowicie społeczeństwo rosyjskie. A jednak bez dokładnego zdania sobie sprawy z istoty, przyczyn i podkładu społecznego tego prądu niepodobna zrozumieć nowoczesnej historji całego wschodu Europy, niesposób oceniać bezstronnie zachodzących na tej arenie wypadków i niepodobna zatem, będąc na niej czynnym aktorem, odegrać dobrze swej roli.

Do połowy zeszłego stulecia polityka rusyfikacyjna w teraźniejszem tego słowa znaczeniu nie istniała prawie wcale. Rząd centralny, złożony prawie wyłącznie z Niemców, nie mających nic wspólnego z kulturą rosyjską, dbał przedewszyst-

kiem i wszędzie o zasadę wszechwładztwa monarchicznego i zajęty był albo duszeniem buntu w całej Europie, albo zamykaniem granicy rosyjskiej przed wszystkiem, co było cywilizacją i postępem. Dosyć liczna rzesza urzędnicza, źle opłacana, w większej była zależności od otoczenia, niż od rządu centralnego, zresztą bała się nawet myśleć, by nie ściągnąć na siebie niełaski. Podstawą całego społeczeństwa była pańszczyzna, niewola i złączony z niemi zastój. W tak zastygłem i biernem społeczeństwie mowy być nie mogło o jakiejkolwiek akcji nazewnątrz i rząd, gdyby nawet chciał uprawiać politykę rusyfikacyjną, nie znalazłby dostatecznej ilości wykonawców dla niej. Od czasu zaś rewolucji 1848 roku, car Mikołaj, zastraszony jej groźnym pomrukiem, dolatującym do Petersburga, bał się poruszyć cokolwiek w swem państwie, by nie nadwyrężyć gmachu samowładztwa.

Jak słabym był wówczas prąd rusyfikacyjny, sądzić można z tego, że w Polsce i Litwie wszystkie prawie niższe urzędy były w rękach Polaków, a język polski był w powszechnem użyciu nawet wśród popów i urzędników Rosjan na całej przestrzeni byłej Rzeczypospolitej Polskiej.

Czasy się zmieniły dopiero po przegranej wojnie krymskiej i po śmierci cara Mikołaja. Carat, zagrożony utratą mocarstwowego stanowiska, widząc wzrastające niezadowolenie i krytykę w łonie społeczeństwa rosyjskiego, postanowił ratować sytuację przez przystosowanie się do nowożytnych potrzeb, przez zmianę samej podstawy dotychczasowej — pańszczyzny — na inną: biurokratyczno-burżuazyjną.

Lecz narzędzia, któremi rząd centralny dotąd się posługiwał — szlachta i urzędnicy — nie odpowiadały podjętemu zadaniu. Pierwsza była zainteresowana w utrzymaniu dotychczasowego stanu rzeczy, drudzy byli zbyt głupi, zbyt przesiąkli rutyną i zresztą zbyt zależni od szlachty, by reformatorski carat mógł polegać na nich. Lud pracujący i ten surogat zachodnio-europejskiego stanu trzeciego, jakim była nieliczna klasa mieszczan i kupców, były zbyt ciemne i nieświadome, by zrozumieć położenie i jeśli nie ująć reform wyłącznie w swe ręce, to przynajmniej je poprzeć. Do wyboru pozostawała jedynie warstwa ludności, uważana dotąd za najbardziej nieprawomyślną i opozycyjną: postępowa inteligencja, rekrutująca się z różnych klas i stanów. Car Aleksander II zwrócił się do niej i przy jej pomocy przeprowadził, wbrew biernej opozycji dotychczasowych podpór tronu, zamierzoną przebudowę swego państwa. Po uwłaszczeniu chłopów zaczęto reformować Rosję od piwnic do strychu. Zmieniono kodeksy i administrację, zreformowano sądownictwo i szkoły, rozszerzono prawa prasy i nadano samorząd miastom i prowincjom. Wszystkie te prawa i ustawy w większości wypadków były kopją z odpowiednich praw i instytucyj w zachodniej Europie i nosiły dosyć wyraźne piętno reakcji pruskiej lub francuskiej z epoki drugiego cesarstwa. Lecz, wobec dotychczasowego barbarzyństwa, były one dla Rosji dziełem pomnikowem. Wkrótce jednak miodowe miesiące zgodnego pożycia postępu z caratem zakończyły się zupełnem zerwaniem.

Przy ustroju pańszczyźnianym w Rosji carat był, że się tak wyrazimy, naturalnem jego dopełnieniem. Był on instytucją narodową nietylko w pojęciach jedynej kulturalnej klasy: szlachty, której zapewniał wszelkie przywileje, lecz i dla ciemnego, wyzyskiwanego chłopa, który zdziczał w niewoli i wchłonął w siebie wschodnie wyobrażenia o boskiem pochodzeniu najwyższej władzy. Obok właściwej Rosji w skład państwa carskiego wchodziły liczne kresy, w różnych czasach przyłączone przemocą i zamieszkane przez narody i plemiona nierosyjskie. Tam, naturalnie, carat nie mógł być instytucją narodową, lecz wszędzie ustrój pańszczyźniany trzymał w ryzach lud pracujący, a warstwy uprzywilejowane, z wyjątkiem jednej Polski, nie posiadały żadnej tradycji walki o swe prawa i były zbyt słabe, by stawić czoło caratowi.

Po zniesieniu pańszczyzny w Rosji, jak i wszędzie, szlachta, jedyna dotąd świadoma podpora tronu, przestała odgrywać poważniejszą rolę i zwolna społeczeństwo zaczęło się przeobrażać w kapitalistyczne. Proces ten jednak był bardzo powolny. Przemysł, kierowany przez ciemnych przeważnie kupców, mając przed sobą zagranicznych konkurentów, produkujących tanio i dobrze, pomimo ceł ochronnych rozwijał się słabo. Oprócz tego rząd, otaczając nadzwyczajną opieką fabrykantów, giełdziarzy i wszystkie grube ryby handlu i przemysłu, stworzył dla tej najwpływowszej części rodzącej się burżuazji życie spokojne i pewne, chociaż i zależne od łaski rządowej. Klasa robotnicza, stosunkowo nieliczna, składała się przeważnie z chłopów, którzy byli niewolniczo

względem cara usposobieni, a pod świeżem wrażeniem zniesienia pańszczyzny przejęci wdzięcznością i ufnością. Natomiast warstwa zdeklasowanej inteligencji, której słaby przemysł nie mógł wchłonąć, poczęła wzrastać niepomiernie. Bankrutująca szlachta i drobnomieszczaństwo, popowicze i synkowie urzędników — wszystko to, co dawniej żyło z pracy chłopa, albo będąc ograniczone szrankami stanowemi i przywilejami szlachty, marniało na wysługiwaniu się uprzywilejowanym — wszystko to zostało rzucone w wir złożonych warunków walki o byt. Był to jedyny produkt wytwórczości rosyjskiej, który w nowym ustroju kapitalistycznym nie mógł być zbyty na wewnętrznym rynku Rosji i zarazem wobec nieświadomości jednych warstw i przywilejów innych była to jedyna warstwa, zdolna do czynnej roli na arenie politycznej państwa carskiego.

Zniesienie pańszczyzny na kresach państwa wywołało również poważne zmiany. Lud pracujący, trzymany dotąd w żelaznych kleszczach niewoli, stopniowo zaczął przychodzić do myśli o swej odrębności narodowej i kulturalnej w stosunku do Rosji i caratu. Dążenia odśrodkowe na kresach stale wzrastają i rozwijają się, a jeżeli sobie uprzytomnimy, że na sto dwadzieścia miljonów poddanych cara prawie połowa jest pochodzenia nierosyjskiego, łatwo sobie wyobrazimy, jak bardzo na tem traci jednolitość i wewnętrzna siła państwa.

W takich warunkach sprawa rusyfikacji kresów wisiała niejako w powietrzu. Jeśli bowiem dawniej dla prowadzenia tej polityki carat nie miał odpowiednich wykonawców, to obecnie miał

nawet kłopot z ulokowaniem nadmiaru wyprodukowanej w Rosji inteligencji. Rozstrzygał się w ten sposób kryzys wewnętrzny i posuwało się naprzód zjednoczenie i zespolenie składowych części olbrzymiego państwa.

Pierwszą pobudkę do sformowania szeregów armji rusyfikacyjnej dało nasze powstanie 1863 roku. Był to czas, gdy w Rosji szła gorączkowa praca reformatorska i wśród inteligencji panującemi były poglądy postępowe. Wodzowie odłamu radykalnego, Hercen i Bakunin, którzy wywierali wpływ potężny na umysły, wydali odezwy, nawołujące Rosjan do czynnego udziału w powstaniu i obalenia na spółkę z Polakami caratu na zawsze. Niestety, nieliczne tylko jednostki usłuchały szlachetnego apelu. Olbrzymia większość stronników Hercena obojętnie patrzyła na krwawą tragedję, a pewna część postępowej inteligencji, pod wodzą Katkowa, przeszła pod wpływem powstania polskiego do obozu reakcyjnego, słusznie upatrując w postępie niebezpieczeństwo dla całości państwa rosyjskiego. Powstanie upadło, zduszone w potokach krwi, i odtąd Polska wraz z Litwą stała się terenem dla najrozmaitszych prób rusyfikacyjnych i szkołą dla działaczy nowego typu. Stąd zaraza ta rozpełzła się po wszystkich innych kresach państwa, wietrząc wszędzie zdradę, bunty i rzekome krzywdy Rosjan.

Nim jednak większość inteligencji rosyjskiej wpadła w szał rusyfikacyjny i poszła śladem Katkowa, carat przeżyć musiał ciężkie chwile walki z odłamem rewolucyjnym tej warstwy. Część inteligencji, niezaspokojona dokonanemi reforma-

mi, stanęła na gruncie interesów ludu pracującego i rozpoczęła wśród niego propagandę zasad komunistycznych, gdy zaś rząd stanął im na drodze, nastąpiło starcie w postaci walki terorystycznej z obydwóch stron. W walce tej zginął w 1881 roku i sam car-reformator, a mnóstwo rewolucjonistów skończyło życie na szubienicy i zaludniło kazamaty więzienne i pustynie sybirskie. Rząd, wystraszony rewolucją i zachwiany w swem stanowisku, wstrzymał rozpoczętą przebudowę Rosji i rzucił się w objęcia najczarniejszej reakcji.

Rząd nowego cara Aleksandra III, pomimo przestrachu, znakomicie ocenił sytuację. Zrozumiał, że ma przed sobą zaledwie garstkę ludzi, która wydaje się silną jedynie dlatego, że tkwi w niedopasowanej do zmienionych warunków życiowych warstwie inteligencji. Ta zaś, jeśli jest o tyle słabą, że nie zdoła obalić istniejącego ustroju politycznego, to jest dostatecznie silną, by pośród biernego społeczeństwa wytworzyć nową realną podstawę istnienia caratu w miejsce starej, już zużytej — szlacheckiej. O ile więc dla niepoprawnych zostawił szubienice, więzienia i Sybir, o tyle dla innych otworzył szeroko drogę do władzy i chleba. Od dwudziestu lat wewnętrzna polityka caratu polega na rozszerzaniu organizacji rządowej przez przyswajanie jej coraz to nowych funkcyj. Jest to sui generis socjalizm państwowy, w którego zakres wchodzą koleje i filantropja, wódka i moralność, nauka i religja, a który w każdym wypadku spostrzebowuje mnóstwo rąk i głów, wciąga w skład rządu i daje chleb ogromnej ilości głodnych kandydatów do posad.

Rzecz prosta, że Rosja właściwie nie mogła

wchłonąć całego ogromu żądnej czynu i chleba rzeszy. I tu przyszły z pomocą kresy. Stały się one rynkiem dla eksportu tego żywego towaru, opatrzonego stemplem rządowym w postaci munduru urzędniczego, obdarzonego różnemi przywilejami i dla uniknięcia konkurencji miejscowej uzbrojonego w monopol prawosławia i rosyjskiego pochodzenia. Po buntowniczej Polsce i Litwie przyszła kolej na lojalnych Niemców, Łotyszów i Estów, po nich — na półdziki Kaukaz i zupełnie dziką Azję, teraz dostąpiła zaszczytu spożywania tego towaru i Finlandja, a tam już się przygotowuje nowy rynek zbytu w Mandżurji, Chinach, marzy się o Persji i Konstantynopolu. Kryzys wewnętrzny, spowodowany w wielkim stopniu nadprodukcją inteligencji, jest w ten sposób zażegnany, a obok tego wzmacnia się związek pomiędzy kresami państwa a jego centrem. Carat zyskuje na sile wewnątrz swej ojczyzny i na jednolitości państwowej — piecze dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Naturalnie, przy takim prądzie wzrastać musiał szowinizm narodowościowy, ubierający dążenie do chleba i wyzysk kresów w jaką taką szatę ideowości. Nie chcę tu rozpatrywać różnych gatunków tych szmat szowinistycznych, zaznaczę tylko, że nie brak pomiędzy niemi i barw najbardziej radykalnych. Rząd najstaranniej rozdmuchiwał ten „zdrowy egoizm narodowy" i czynił wszystko, by mu ułatwić drogę do umysłów. Wykłady w szkołach, zakazy drukowania w pismach rzeczy, sprzecznych z panującym kierunkiem, patrjotyczne piosnki i książeczki, przywileje dla wszystkiego, co rosyjskie, a prawa wyjątkowe dla innoplemieńców — wszystko to puszczono w ruch.

by jak najsilniej i najszerzej rozniecić pożar szowinizmu, a z wielkości Rosji i korzyści, zapewnionych przez rząd Rosjanom, zrobić pomost pomiędzy caratem a uczuciami poddanych. „Państwo rosyjskie dla Rosjan!“ — to było hasło, rzucone przez rząd i skwapliwie, w lot schwycone przez wielotysięczną rzeszę inteligentnych, małointeligentnych, lub posiadających tylko pretensję do wykształcenia ludzi. Wobec siły prądu szowinistycznego niewielka zaledwie cząstka ludzi, zdolnych do czynu i myśli, zdołała wyłamać się z pod jego panowania, reszta zaś w mniejszym lub większym stopniu w ten lub inny sposób została nim zarażona. Carat potrafił wchłonąć w siebie ogromną część swobodnej, przy słabym rozwoju kapitalizmu, inteligencji, rozszerzyć i wzmocnić podstawę swego istnienia i zawiązać poważny węzeł solidarności duchowej z kierownikami opinji swego narodu.

Widzimy więc, że polityka rusyfikacyjna, na wszystkich kresach państwa carskiego uprawiana, jest nieledwie koniecznym wynikiem istniejących w niem stosunków społecznych. Będąc poważnym atutem w ręku bankrutującego caratu, przyczyniła się ona znacznie do wzmocnienia reakcji w Rosji i stanowi w pewnej mierze klapę bezpieczeństwa dla usunięcia nadmiaru żądzy władzy i chleba u inteligencji. A wobec tego trudno przypuszczać, by rusyfikacja nie mówię znikła, lecz nawet zmniejszyć się mogła. I śmieszne lub obłudne są dziecinne próby naszych ugodowców, myślących o możliwości jakiejkolwiek zmiany pod tym względem. Carat tak znacznego atutu ze swej

gry nie wyrzuci, chyba mu karty z ręki wypadną: rusyfikacja zniknie tylko wówczas, gdy

...zникną, jak mara,
Knuty, turmy i kajdany
Z gospodarką cara.

STREJKI POD CARATEM.

Gdy się mówi o strejkach, socjalista europejski natychmiast przedstawi sobie wszystkie akcesorja strejkowe, a więc związek zawodowy, który strejk uchwalił i nim kieruje; wyobraża sobie mniej lub więcej obfity zapas pieniężny, zebrany w kasie związku i w razie potrzeby zwiększający się przypływem funduszów z kas innych związków lub ze składek publicznych od towarzyszy, mieszkających nieraz w innem państwie, a nawet innych częściach świata; przekonany jest przytem, że wiadomość o strejku może być natychmiast opublikowaną we wszystkich pismach, że zatem pomoc, gdy ją kto zechce okazać, na czas zdąży i wpływ swój na przebieg strejku wywrze. Pod caratem o tych pięknych rzeczach nikt nie wie i strejki muszą się odbywać w całkiem innych warunkach.

Przedewszystkiem więc o związkach zawodowych niema w całem państwie rosyjskiem ani mowy. Wszystkie próby, w tym kierunku czynione przez najrozmaitsze organizacje socjalistyczne, nie doprowadziły do dłuższego trwania szerszego nieco związku. Pochodzi to stąd, że niepodobna w Rosji utworzyć na dłuższy czas organizacji, obejmującej zbyt szerokie koła ludzi. Organizacja taka z konieczności korzystać musi z materjału ludzkiego, mało przygotowanego na próby, które każdego

członka organizacji robotniczej czekają przy zetknięciu się z więzieniem i żandarmerją. Następnie trudno sobie wyobrazić związek zawodowy bez rachunków, jakiego takiego spisu członków, publicznej kontroli rachunkowej i temu podobnych rzeczy, które stanowią ogromny materjał śledczy dla policji i szpiegów. Skoro się niema związku zawodowego, niema też i kasy, niema zapasu gotówki na wypadek strejku.

Równie utrudnioną i prawie uniemożebnioną jest pomoc zewnętrzna. Już sama wiadomość o strejku w jakiemkolwiek miejscu wobec zakazu drukowania o tem w pismach niełatwo się przedziera do innych miejscowości. Każdy Europejczyk z trudnością pojąć może takie stosunki, a jednak mieliśmy, naprzykład, takie wypadki, że gdy w Białymstoku, odległym od Warszawy mniej więcej tak, jak Rzeszów od Krakowa, wybuchł strejk powszechny, w którym brało udział dwadzieścia kilka tysięcy ludzi, w Warszawie w kilka dni po rozpoczęciu strejku prawie nikt o nim nie wiedział. Jeśli nawet dzięki wypadkowi wieść o strejku prędko dojdzie i ludzie potrafią w krótkim czasie zebrać cokolwiek na strejkujących, to nie zawsze łatwo pomoc tę przesłać do odpowiednich rąk. Wreszcie niełatwo jest przy większym strejku podzielić zebrane pieniądze pomiędzy strejkujących, gdyż przy podziale łatwo natrafić na ludzi niepewnych, nawet agentów policyjnych, pracujących w fabrykach, i naraża się na aresztowanie i więzienie.

Widzimy więc, że strejkujący w Rosji są pozostawieni najzupełniej własnym siłom i liczyć mogą jedynie na siebie, a w najlepszym razie na pomoc

najbliższego otoczenia. Cóż więc robią strejkujący? Odpowiedź łatwa. Przejadają oszczędności, zastawiają lub sprzedają wszystko, co mają w domu, głodzą się, otrzymując od czasu do czasu niewielką pomoc lub pożyczkę od którego ze znajomych robotników z innej fabryki lub warsztatu. Z tego położenia wynika, że w porównaniu z Europą strejki pod caratem trwać muszą znacznie krócej i w ten sposób robotnicy są pozbawieni najpoważniejszej rękojmi powodzenia strejku — możności walczenia przez czas jak najdłuższy.

Rzecz prosta, że w tych warunkach najtrudniej jest przeprowadzić i utrzymać strejk w dużej fabryce z setkami lub tysiącami uczestników, często nie znających się wzajemnie. W takich wypadkach strejkujący są najliteralniej na łasce własnych, bardzo szczupłych, zasobów i, naturalnie, przetrzymać długo nie mogą — strejki w większych fabrykach, trwające tydzień, należą do nadzwyczajnych wyjątków. Przeciwnie, strejki drobne, osobliwie w warsztatach rzemieślniczych, są najłatwiejsze do przeprowadzenia, tem bardziej, że w tym wypadku mogą być użyte wszelkie sposoby perswazji upornego „pracodawcy“. Szczególnie w większych ośrodkach przemysłowych, gdzie nietylko o pomoc finansową łatwiej, lecz istnieje możność znalezienia chwilowego chociażby zarobku, strejki w warsztatach rzemieślniczych trwać mogą bardzo długo i w istocie trwały nieraz miesiąc i więcej.

Lecz poza strejkującymi robotnikami i mniej lub więcej opornymi „pracodawcami“ istnieje jeszcze osoba trzecia — rząd z całym swym aparatem wojskowo-policyjnym. Ten, naturalnie, nie drzemie. Polityka rządowa w Rosji w ostatnich czasach, gdy

rozwój ruchu robotniczego w całem państwie zatrważa carat zupełnie serjo, jest skierowaną ku temu, by w każdym sporze pomiędzy pracą a kapitałem umaczać ręce i w razie potrzeby wziąć na barki rządowe jego rozwiązanie. W wielu więc wypadkach rząd całkowicie zasłania sobą fabrykanta lub zarząd zakładu przemysłowego i robotnicy mają wówczas do czynienia jedynie z rządem i jego agentami.

Prawo rosyjskie obowiązuje fabrykanta zawiadamiać natychmiast inspektora fabrycznego o wszelkich nieporozumieniach pomiędzy nim a robotnikami. Inspektor zaś, który jakoby wyczuwać może nastrój wśród robotników, musi zawiadomić policję, ta zaś żandarmerję, o każdem nieporozumieniu, grożącem strejkiem. Rola tych trzech władz jest rozmaitą. Inspekcja fabryczna występuje jako pośrednik pomiędzy walczącemi stronami i stara się doprowadzić do pokojowego załatwienia sprawy. Policja jest powołaną do pilnowania, by porządek publiczny nie został zakłóconym, żandarmerja zaś ma za obowiązek wywęszyć, czy w danym wypadku nie działała jaka tajna organizacja oraz w razie znalezienia jej śladów musi ją wytropić i wyłapać. W poważniejszych wypadkach wszystkie te władze działają łącznie i pod prezydencją gubernatora dają inicjatywę do zastosowania poważniejszych środków — wojska i kozaków.

Tak wygląda interwencja władzy rządowej na papierze, lecz w rzeczywistości jest ona nieco inną. Przedewszystkiem wyznać trzeba, że działa ona nadzwyczaj opieszale i bodaj każdy strejk zastaje ją nieprzygotowaną do

akcji. Składa się na to mnóstwo przyczyn, główną jednak jest niesłychane niedbalstwo, lenistwo i niezdolność do szybkich poruszeń, któremi to cechami odznacza się wogóle czynownictwo moskiewskie. Do jakiego stopnia opieszałość ta jest posuniętą, sądzić można z faktu, że registracja strejków w statystyce rządowej inspektorów fabrycznych grubo się różni od tejże registracji naszej partji, która przecież nie jest w stanie działać z dokładnością urzędową. Różnica ta jest tak wielką, że dla niektórych lat inspekcja fabryczna podaje dwa razy mniejszą liczbę strejków, niż to zostało skonstatowane przez partję na podstawie danych, zasiągniętych od robotników. W ogromnej więc ilości wypadków strejki nie doprowadzają nawet do interwencji inspektorów fabrycznych. Kiedy jednak wkracza pan inspektor, odbywa się to zwykle według następującego szablonu. Przedewszystkiem pan inspektor odwiedza zarząd fabryki lub mieszkanie fabrykanta, gdzie zbiera informacje oraz zasila się obfitem śniadaniem, obiadem lub kolacją, odpowiednio do pory dnia, i wreszcie wychodzi do zebranych robotników. Przeważnie radzi robotnikom zaprzestać walki dla tych lub innych powodów, straszy kozakami, Sybirem i policją, przyczem nieraz obłudnie udaje, że sam chciałby uniknąć interwencji policyjnej, następnie wysłuchuje żądań robotniczych, tłumaczy ich niestosowność, a niekiedy dla pozyskania zaufania robotników uznaje za słuszne niektóre z żądań i namawia fabrykanta, by ustąpił i zgodził się na nie. Tymczasem policja, która nieraz wie o wybuchu strejku wcześniej od inspektora, rozpoczyna swą działalność. Zajmuje ona posterun-

ki nazewnątrz i wewnątrz fabryki, notuje osoby wśród robotników, straszy ich, grożąc okropnemi karami, nieraz aresztuje za głośniejszy okrzyk, rozpędza grupki, które się zatrzymały dla rozmowy, słowem, uważając strejk za zakłócenie spokoju i porządku publicznego, przypuszcza szturm do buntowników ze wszystkich stron. Żandarmerja też nie próżnuje. Wyszukuje ona w swych spisach osób podejrzanych, czy niema kogo z nich wśród strejkujących, otacza ich baczniejszą uwagą i notuje sobie ludzi, z którymi owi podejrzani mają w tym czasie stosunki, robi rewizje, więzi nieraz całemi dziesiątkami i napastuje zarząd fabryki, by wskazał inicjatorów strejku.

Wreszcie w wypadkach, gdy władza uzna za stosowne to zrobić, występuje wojsko. Tutaj fabrykant lub zarząd fabryki znika zupełnie; cały interes przechodzi do rąk rządu i wszystko zależy od jego decyzji. Dzieją się wówczas rzeczy niesłychane. W Warszawie w czasie strejku sierpniowego w 99 roku, gdy połowa fabryk stała bezczynnie, kozacy i policjanci biciem zmuszali robotników do podjęcia roboty. W fabryce Szlenkiera okładano robotnice nahajami dopóty, dopóki nie wzięły w ręce narzędzi pracy, w innych miejscach łapano robotników na ulicy i wciągano ich przemocą do fabryki, gdzie gwałtem wpychano im w ręce instrumenty. Gubernator piotrkowski, Miller, nieraz już przy większych strejkach ogłaszał plakatami urzędowemi, że nie pozwoli na to, by zarząd fabryki lub kopalni zrobił jakie ustępstwa strejkującym. Aresztują wówczas setkami, wyrzucają z miejsca, gdzie się strejk odbywa, masy robotników, zaczepiają i biją najspokojniejszych prze-

chodniów, rewizje zaś nabierają charakteru epidemicznego.

Naturalnie, opisany powyżej aparat przeciwstrejkowy nie zawsze bywa puszczony w ruch. Przedewszystkiem sami fabrykanci nieraz wolą uniknąć najazdu czynowniczego na swą fabrykę, chociaż ten najazd staje po ich stronie. Pochodzi to stąd, że dzięki specyficznym właściwościom urzędnictwa moskiewskiego, wszelkie zetknięcie się z niem oznacza kłopot, często kosztowny, a zawsze prawie niemiły. W czasie strejku oraz dłuższy czas po nim zarząd fabryki jest narażony na większe i drobniejsze łapówki, któremi zaspakajać trzeba apetyty różnych przedstawicieli władzy, na ciągłe traktamenty, zaczynając od kieliszka wódki dla jakiegoś stójkowego, kończąc sutem śniadankiem z szampanem dla wyższych urzędników i oficerów. Jak wysokiemi są nieraz te koszty, sądzić można z tego, że w czasie dużego strejku w Hucie Bankowej, gdy żołdacy zastrzelili kilku robotników, na samo wino szampańskie dla oficerów i gubernatora zarząd fabryki wydał do 10 tysięcy rubli. Wreszcie przez dłuższy czas, po strejku nawet, zarząd fabryki ma wciąż do czynienia z policją i żandarmami, którzy ściągają niezliczoną moc protokółów i zeznań, odrywając robotników i majstrów od pracy na kilka często godzin. Samo aresztowanie kilkunastu lub więcej robotników, często najbardziej wykwalifikowanych i niezbędnych dla fabryki, przynosi ciężkie straty i kłopoty. Gdy zaś w poważniejszych wypadkach na fabrykę spada i utrzymanie wojska, operującego przy strejku, i łagodzenie różnych komisyj, kilkakrotnie najeżdżających fabrykę dla zbadania przyczyn i powo-

dów zaburzeń, to zaiste pożałowania godnym jest los biednych „pracodawców". Nic też dziwnego, że nieraz sami fabrykanci zawahają się poruszyć gniazdo os czynowniczych i śpieszą załatwić jak najprędzej sprawę z robotnikami, żeby uprzedzić najazd policyjno-żandarmeryjny. W takich wypadkach dosyć bywa energiczniejszego i zgodnego wystąpienia ze strony robotników, by odrazu tegoż dnia uzyskać takie lub inne ustępstwo.

Oprócz tych wypadków interwencja władzy nie następuje nieraz z innych powodów. Czy to dlatego, że w danej chwili policja i żandarmerja ma pilniejsze sprawy do załatwienia, czy też dlatego, że strejk wybuchnął gdzieś na prowincji, gdzie pogotowie policyjne nie może wystąpić w całej okazałości, czy wreszcie dlatego, że strejk jest zbyt drobnym lub trwa zbyt krótko, dosyć, że wielka część strejków unika opieki argusowych oczu policji carskiej. I pod tym względem najbardziej uprzywilejowanemi są niewielkie strejki w dużych miastach, które, jakeśmy to wykazali wyżej, i pod względem finansowym najłatwiejsze są do utrzymania.

Przejdźmy teraz do zachowania się robotników w czasie strejku i techniki, że się tak wyrażę, strejkowej. Strejk jest najpierwotniejszą, najpowszechniejszą bronią robotniczą w walce z wyzyskiem, spotykamy się więc z nim zaraz przy pierwszych krokach ruchu robotniczego. Nosi on wówczas piętno żywiołowego poruszenia ludowego, nieraz bez określonego planu i żądań, i jest wyrazem pierwszego fermentu, wywołanego w masie ludu pracującego przy zetknięciu się jego z ideją socjalizmu. W wielkich organizacjach przemysłowych nabiera

on cech epidemicznych i z łatwością przenosi się z jednej fabryki do drugiej, a gdy następuje interwencja ugodowa, siłą rozpędu żywiołowego nie zatrzymuje się przed tą zaporą i zamienia się w krwawe nieraz utarczki z policją i wojskiem. Zwykle w tem początkowem stadjum znaczenie strejku jest przecenianem, a nadzieje, pokładane przez robotników na tego rodzaju wystąpienia, są tak wygórowane, iż rzeczywistość nigdy im odpowiedzieć nie może. Zresztą realne ślady po takich występowaniach w postaci powiększenia płacy lub skrócenia dnia roboczego zostają zwykle jedynie w drobnym przemyśle, w wielkim natomiast następuje pewne rozgoryczenie i uczucie zawodu. O jakiejkolwiek technice strejkowej mowy na tem stadjum być nie może, organizacje zaś, istniejące wśród strejkujących, albo rozsypują się bez śladu, albo też, jeśli stanowią część organizacji ogólno krajowej, starają się wykorzystać te poruszenia dla pogłębienia świadomości robotniczej przez rozpowszechnienie rozchwytywanych zwykle w takiej chwili wydawnictw socjalistycznych.

Z czasem jednak wyrabia się pewna technika, pewien zbiór prawidełek, których się ludzie trzymają przy strejkach. Agitacja przedstrejkowa prowadzona jest przez organizację fachową po porozumieniu się z miejscowym komitetem partyjnym. Zwykle na krótko przed strejkiem zwołuje się liczniejsze zgromadzenie, na którem się omawia szczegółowo punkty żądań robotniczych, lub też gdy zgromadzenie jest dla czegokolwiek niemożliwe, zwołuje się kilka mniej licznych kółek w tym samym celu. Przy tej agitacji unika się ludzi nie-

pewnych lub mało znanych agitatorom w danym fachu lub fabryce i co do nich, liczy się zwykle, że w pierwszej chwili pójdą zawsze za innymi. W istocie bezwiedne uczucie koleżeństwa i solidarności z kolegami pracy jest zwykle tak silne, że łamistrejki zjawiają się dopiero po pewnym czasie. Przed samym strejkiem najlepiej, gdy to jest możliwe, rozpowszechnić krótką odezwę, streszczającą żądania robotnicze w takiej formie, by je można było przedstawić zarządowi zakładu przemysłowego lub władzy. Chociaż taka odezwa zwraca uwagę władzy na przygotowujący się strejk, ma jednak tę dobrą stronę, że wszyscy robotnicy, mający strejkować, wiedzą odrazu, o co chodzi, bez osobistej rozmowy z kimkolwiek z pomiędzy agitatorów. Na czas strejku wszyscy ludzie partji, pracujący w danym fachu czy fabryce, oczyszczają swe mieszkania z wszelkich śladów roboty partyjnej. W razie potrzeby na czas strejku formuje się komitet strejkowy, do którego się wciąga ludzi uczciwych, chociaż i nie należących do organizacji partyjnej; naturalnie, komitet taki jest tajnym i służy jedynie do tego, by, o ile to się da, kierować strejkiem, wyszukiwać pomoc pieniężną dla potrzebujących, namawiać chwiejnych lub karać łamistrejków. Wreszcie przy rozmowach z władzą robotnicy starają się nie wystawiać nikogo z pomiędzy siebie na sztych i wszędzie występują gromadnie, nie zgadzając się na wybór delegacji lub czegoś podobnego, zwykle bowiem tacy delegaci są uznani przez władzę za inicjatorów strejku i jako tacy są potem prześladowani. Gdy strejk obejmuje sobą jaki fach rzemieślniczy, kierownictwo jest bardziej potrzebnem, niż przy strejku w fabry-

ce. Tu bowiem powstaje zawsze kwestja, czy fach ma strejkować odrazu we wszystkich warsztatach, czy też kolejno; w tym zaś ostatnim wypadku trzeba określać tę kolej. Trzeba też przyznać, że najbardziej prawidłowemi, najbardziej, że się tak wyrażę, europejskiemi były dotąd zawsze strejki rzemieślnicze. Szewcy w czasie strejku 1899 roku urządzili nawet pikiety, stawiane przed warsztatami, objętemi strejkiem, które to pikiety badały każdego wchodzącego do warsztatu i ostrzegały kandydatów na łamistrejków.

Naturalnie, wszystko to, com powiedział, tyczy się strejków, które są przygotowywane przez organizację. Wiele jednak walk odbywa się tak nagle i niespodzianie, zwłaszcza, jeśli są skutkiem jakiej zmiany w regulaminie fabrycznym, że nie sposób zawczasu je przewidzieć.

Przechodząc do wniosków, przedewszystkiem zwrócić należy uwagę na nieznane gdzieindziej postępowanie rządu carskiego względem strejkujących. Przy większych strejkach carat nadaje im cechę walki politycznej, która odsuwa na dalszy plan zdobycze ekonomiczne, wogóle zaś wprowadza w grę czynnik zupełnie nieobliczalny, robiący ze strejków coś w rodzaju gry hazardownej. Nigdy bowiem zawczasu przewidzieć nie można, jaką ilość energji dla stłumienia strejku użyją przedstawiciele władzy, kierujący się nie czemś stałem, jak prawo, ale najrozmaitszemi względami, osobistej nieraz natury. W każdym razie przegrana w strejkach w ogromnej większości jest spowodowana przez presję rządową. Wobec hazardowności strejku oraz przeszkód, stawianych przez rząd, bezrobocia są często wynikiem pewnej lekkomyślności,

która jest stałem zjawiskiem w początkach ruchu lub też zjawia się w czasie niezwykłego ożywienia przemysłowego. W zwyczajnych zaś czasach strejki wymagają ogromnego wydatku energji, siły i ofiarności robotników. Strejki w większych fabrykach albo są wygrane prawie natychmiast, albo prowadzą przy dłuższem trwaniu do nieuniknionej prawie przegranej. Wszędzie w warunkach politycznych rosyjskich losy najłaskawsze są dla robotników, pracujących w drobnych warsztatach rzemieślniczych w wielkich ogniskach przemysłowych.

Na zakończenie słów parę o powodzeniu walki strejkowej pod caratem. Statystyki zupełnie ścisłej pod tym względem nie mamy, gdyż registracji naszej przeważnie podlegają strejki i wystąpienia, uwieńczone powodzeniem. Te cyfry, które posiadamy, dowodzą, że 2/3 strejków są wygrane w całości lub częściowo, wnosząc zaś poprawkę z powodu wyżej wskazanego, możemy bez wielkiego błędu powiedzieć, że połowa strejków nie jest bezowocną dla robotników. Najlepiej udaje się walka o dzień roboczy, znacznie gorzej o płacę, a najgorzej obrona wyrzucanych z roboty towarzyszy. Najsmutniej się przedstawiają strejki duże, te w ogromnej większości są przegrane całkowicie. Nie należy jednak sądzić, że pozostają one bez śladu dla strejkujących. Wywierają one tak silny wpływ na fabrykantów i zarządy zakładów przemysłowych, że podnosząc w ich oczach znaczenie robotników, zmuszają do ustępstw już po strejku, przy żądaniach tak pojedyńczych robotników, jak zarówno i poszczególnych grup fachowych w fabryce.

ZE WSPOMNIEŃ.

Byłem w świetnym humorze, kiedy w słoneczne południe kwietniowe wprowadzono mnie do biura X pawilonu cytadeli warszawskiej. Łódzkie więzienie, w którem spędziłem dwa miesiące i z którego mię przywieziono do cytadeli, dokuczyło mi śmiertelnie. Przypominało mi ono najgorsze więzienia sybirskie. Wstrętny wikt, na którym prawdopodobnie robił majątek pan zawiadowca, malutka cela bez kawałka mebla w niej, zakaz palenia tytoniu — wszystko to obrzydziło mi tę wstrętną dziurę. Byłem więc ogromnie zadowolony, że raz nareszcie przenoszą mnie do Warszawy. Lecz bodaj najpoważniejszym powodem doskonałego humoru było podniecenie, jakie odczuwałem, wstępując w mury instytucji, która tak ściśle się splotła z męczeńskiemi dziejami naszej ojczyzny.

Paliła mię wprost ciekawość. Chciałem wiedzieć, jakie też wrażenie wywrze na mnie cytadela. Byłem więc wesół i podniecony, gdym wchodził w asystencji dwóch żandarmów do biura pawilonu, a na moje przywitanie podnosił się z krzesła gospodarz zakładu, sztab-rotmistrz żandarmerji, pan Farmunda. Przywitaliśmy się zdaleka ukłonem i gospodarz gestem zaprosił mię zająć krzesło naprzeciwko niego.

Pan Farmunda był dobrym typem żandarma. Grzeczny i słodki w obejściu, o ciemnych oczach

wyrazu łaszącego się kota. Ruchy miał — w *pendant* do figury i rysów twarzy — okrągłe, uśmieszek na ustach pod wymuskanym wąsikiem przymilający się. Otworzył księgę i notował w niej moje odpowiedzi na zwykłe w tych wypadkach pytania o wieku, miejscu urodzenia i tak dalej.

Po ukończeniu tej formalności zwrócił się do mnie z uśmiechem:

— Przepraszam, jeszcze jedna mała formalność, niech się pan rozbierze, musimy na panu zrobić rewizję.

Zrzuciłem marynarkę i kamizelkę, które natychmiast schwycił stojący zboku wachmistrz.

Przyszło mi jednak na myśl, że mogę się uwolnić od przyjemności paradowania wobec żandarmów w stroju Adama.

— Ależ, panie rotmistrzu, — zawołałem, — czy nie będzie to zbytek gorliwości z pańskiej strony? Przecie od czasu aresztowania będzie to już czwarta rewizja. Raz przy aresztowaniu, drugi raz w więzieniu łódzkiem, trzeci w Warszawie w zarządzie gubernjalnym, czwarty raz tutaj.

— Ach! pana już rewidowali w zarządzie! — zgodził się ze mną pan rotmistrz — w takim razie to rzeczywiście zbyteczne. Niech tylko pan będzie łaskaw zdjąć krawat, bo ten zostanie u nas.

— Krawat? — pytałem zdumiony, gdyż pierwszy raz spotkałem się z ostracyzmem, stosowanym do tak niewinnej części ubrania, — a to czemu?...

— Doprawdy, nie umiem panu wytłumaczyć — odparł Farmunda, — ale u nas takie prawo: więźniowie siedzą bez krawatów.

Wprawiło to mnie w jeszcze weselszy humor. Takie to *echt russisch* w swej mądrości! Byłem w wię-

zieniu, gdzie więźniom odbierają wszystko absolutnie i przebierają w odzież więzienną, lecz zostawić człowiekowi bieliznę, garnitur, kapelusz, palto, ba, wnosić do celi, jak to robią w cytadeli, walizki i koszyki z całym bagażem więźnia, a odebrać mu, jako rzecz najniebezpieczniejszą, — krawat, tegom się nie spodziewał, to było wspaniałe i zaimponowało mi oryginalnością.

— No, trudno — rzekłem wreszcie, śmiejąc się, — choć to powiadają, że przyzwoiciej jest chodzić bez koszuli, niż bez krawata, ale skoro prawo tego wymaga — proszę.

Farmunda uśmiechał się. Spytałem go o tytoń.

— O! to już nie zależy ode mnie, proszę pana, — mówił po polsku z nieco rosyjskim akcentem, — to rozstrzygnie oficer od badań, chociaż jestem przekonany, że pan nie spotka się z odmową w tym wypadku. Co do mnie zaś, to ja pozwalam wypisywać z miasta prawie wszystko, nawet wino i piwo, — dodał z odcieniem dumy. — Naturalnie, jestem pewny, że pan nie będzie nadużywał...

— O! bądź pan spokojny — przerwałem. — Samotność nie usposabia do picia.

— To już wszystko — rzekł Farmunda, wstając z krzesła, — jeżeli pan do mnie będzie miał jaki interes, skargę lub pretensję, niech pan będzie łaskaw powiedzieć o tem dyżurnemu żandarmowi, natychmiast przyjdę do pana. Bagaże pańskie wniosą panu do celi.

— Numer trzydziesty dziewiąty!—rzucił rozkaz już po rosyjsku, zwracając się do wachmistrza.

Skłoniłem się na pożegnanie i wyszedłem z pokoju, mając przed sobą żandarma, a za sobą żołnierza z warty, uzbrojonego w karabin z bagnetem.

Uśmiechnąłem się z zadowoleniem: tak paradnej asysty nie spotkałem w żadnem więzieniu.

Sprowadzono mię na dół po tych samych schodach, przez które wszedłem do zakładu, potem weszliśmy na lewo w korytarz — było to już więzienie właściwe. Dość szeroki o nieprawidłowych konturach korytarz prowadził środkiem, na prawo zaś i na lewo szły kolejno drzwi do cel więziennych. W tym korytarzu znajdowało się pięć cel. I na te pięć cel stał przy ścianie żołnierz na warcie i, jako gospodarz korytarza, przechadzał się po nim żandarm. Skręciliśmy raz jeszcze na prawo i weszliśmy do nowego korytarza.

Ten był ciemniejszym i dłuższym, tutaj było dwanaście cel z taką samą, co w poprzednim, obsługą. Przy ostatnich drzwiach na lewo żandarm, prowadzący mnie, zatrzymał się i skinął na swego kolegę, dozorującego korytarz. Ten odsunął kolanem zasuwę i otworzył drzwi — były to drzwi do celi numer trzydziesty dziewiąty, przeznaczonej dla mnie. Wszedłem do niej, a za chwilę wniesiono również moje walizki z rozrzuconemi w nich rzeczami. Byłem więc już w cytadeli.

Rzuciłem okiem na celę. Cela była duża, ściany szare, źle pobielone, podłoga ciemno - szara, cementowa. U względnie nisko położonego okna stał stół niesłychanie brudny, tak, że pod warstwą tłuszczu i kurzu trudno było odnaleźć ślady drzewa; przed stołem — skromny wiejski drewniany stołek; przy ścianie—łóżko żelazne, którego części były wykrzywione i pogięte do tego stopnia, że niepodobna było dojrzeć nigdzie linji prostej; w kącie stały moje walizki. W pokoju czuć było stęchlizną w połączeniu z zapachem, właściwym pokojom, dawno nie-

przewietrzanym i niezamieszkanym stale. Drzwi drewniane, również brudne, na których świeciły plamy białe, powstałe po odłupaniu z nich drzazgi. Z korytarza dochodził do mnie szmer głosów i urywany śmiech — to żandarmi z dwóch sąsiednich korytarzów skracali sobie nudy dozorowania pogawędką. Od czasu do czasu rozlegały się po korytarzu kroki przechodzących żandarmów i żołnierzy.

Gdym to wszystko obejrzał i wsłuchał się w szmery i dźwięki, dolatujące z korytarza i innych cel, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, żem gdzieś już widział coś podobnego.

Nie! nie było to inne więzienie, stanowczo nie! Było to coś. związanego z Litwą, bo mi się nagle przypomniały moje włóczęgi po tym kraju.

Nie chcąc sobie psuć wrażenia, położyłem się na łóżku i zamknąłem oczy. Po chwili zrozumiałem to dziwaczne skojarzenie wrażeń. Tak, pamiętam dobrze! Kilka lat przedtem wypadło mi być w jednym z zapadłych kątów Litwy. Spotkała mię ulewa i zmokły, zziębnięty kazałem furmanowi zatrzymać się w przydrożnej karczmie, która stała nieco odosobniona od niewielkiej wioseczki wśród lasu. Karczma była murowana i zdaleka wyglądała dosyć przyzwoicie. Lecz podjechawszy bliżej, spostrzegłem. że to tylko resztki dawnej świetności składały się na pozory przyzwoitości, w istocie zaś była to rudera. Tynk kawałami odpadł ze ścian. tworząc rumowisko na ziemi i smutne, brudne plamy w murze; w dachu świeciły się dziury, szyby w oknach, względnie dużych, składały się albo z kawałków szkła, misternie i dziwacznie sklejonych, albo też nie istniały wcale.

We drzwiach spotkałem starego Żyda, który mię wprowadził do pokoju, przeznaczonego dla „pury-ców“. Ten właśnie pokój, w którym widocznie długo nikt nie gościł przede mną, był jakgdyby kopją mojej celi w X pawilonie. Brudny stół i podłoga, wykoszlawione łóżko, poszarpane i połupane drzwi, nawet drewniana, brudna, napełniona piaskiem spluwaczka w kącie pokoju — wszystko to, a szczególnie miły zapach zgnilizny, nasunęły mi tak żywo przed oczy karczmę litewską, widzianą kilka lat temu, żem sobie przypomniał i rozmowę z gospodarzem karczmy, starym Ickiem o melancholijnem spojrzeniu zarzynanej tępym nożem kozy.

Tak! Icek miał powody być melancholijnym. Tak dobrze mu się powodziło dawniej. Karczma stała dawniej na drodze do Wilna. Przeciągały nią i sute pańskie kolasy, i ładne bryki szlacheckie, i ładowne wozy chłopskie. Wszystko to zatrzymywało się przy karczmie Icka, popasało tam, piło, jadło, nocowało. Sam hrabia X. — Icek wymienił mi znane nazwisko litewskiego magnata — nocował u niego, ot tutaj, w tej samej stancji. Icek miał wówczas czem przyjąć takich panów. Sprowadzał nawet z samego Wilna doskonałe wino — a gite Madera od pan Zabłocki i Kalita. Dobre były czasy!

A teraz! teraz Icek bankrutuje i nie ma czem nawet poprawiać karczmy. Przeprowadzili kolej i o parę mil postawili stację, do której droga do dalszych okolic wypada nie tędy. I Icek musi bankrutować. Icek nie wie nawet, czy będzie mógł przyjąć godnie takiego panicza, co to do niego wypadkiem zajechał. Samowar jeszcze ma, już jego córka Sura

go nastawia, zaraz go przyniesie, ale chleb jest tylko chłopski — razowy, może jeszcze Sura znajdzie parę jaj, ale ani mleka, ani mięsa już niema.

I Sura — młoda, tęga Żydówka, nie myta, nie czesana od Bóg wie kiedy, z zaspanemi oczami, w brudnej, zaszarganej spódnicy i nieszczelnie zapiętym kaftaniku — Sura wniosła przedmiot dumy bankrutującej karczmy — samowar. Stylowy samowar. Pękaty, gotujący się z niesłychanym hałasem, jękiem i świstem, nieczyszczony co najmniej od kilku lat, pokryty zielonemi plamami, zakapany stearyną, z zakatarzonym, kapiącym kranem i nierównemi nóżkami.

Zgrzyt otwieranych drzwi przerwał moje myśli. Do celi wpadł z obiadem żołnierz - posługacz. I ten był stylowym. Pociągał co chwila z przyjemnym szelestem swym długim nosem, twarz i ręce miał jakiegoś nieokreślonego, ziemistego koloru. Ubranie — mundur i spodnie — wisiały nań strzępami, a buty były wykrzywione i połatane. Postawił na stole obiad i z miną człowieka, spełniającego poważny obowiązek, wyjął z kieszeni od spodni cynową łyżkę, którą położył na stole.

Wspaniale! Miał przytem tak dobroduszną minę, żem się nie zdobył na oburzenie i w myśli nazwałem go Surą. Swoją jednak drogą siadłem do obiadu ze złością. Ta łyżka, wyciągnięta z brudnej kieszeni zanoszonych spodni, irytowała mnie.

— Masz ci bankrutującą karczmę! — mruknąłem z gniewem. Ileż to już pokoleń, siedząc w tej dziurze, marzyło o zbliżającem się jej bankructwie!

III.

WALKA REWOLUCYJNA W ZABORZE ROSYJSKIM

FAKTY I WRAŻENIA Z OSTATNICH LAT DZIESIĘCIU

CZĘŚĆ I

B I B U Ł A

(1903)

WSTĘP.

Ktoś powiedział niegdyś, że Polacy są narodem konspiracji i rewolucji. Zdanie to tyczy się epoki przedpowstaniowej, zakończonej epopeją 63 roku. Wątpię jednak, by kiedykolwiek w przeszłości — wyłączając, naturalnie, krótkie okresy walki orężnej i bezpośrednich przygotowań do niej — było ono słuszniejszem, niż dzisiaj, przynajmniej dla zaboru rosyjskiego. W obecnym czasie ruch rewolucyjny, organizacje i kółka konspiracyjne tak szeroko się rozgałęziły w zaborze rosyjskim, zyskały tak powszechne prawo obywatelstwa, że prawdopodobnie większa część społeczeństwa polskiego tak lub inaczej jest z niemi ustosunkowana.

Jednych życie rewolucyjne pochłania całkowicie, czyniąc z nich zawodowych konspiratorów; drugich wciąga ono w swój wir częściowo, modyfikując i zastosowując do swych wymagań ich życie prywatne, pozarewolucyjne; trzecich zaczepia ono pośrednio, przez pierwszych i drugich, robiąc z nich chwilowych uczestników tej czy owej funkcji rewolucyjnej, lub związując ich tak czy inaczej z życiem rewolucyjnem przez węzły pokrewieństwa, miłości, przyjaźni i nawet zwykłej znajomości z konspiratorami. Wreszcie do najszerszych kół dochodzą odgłosy bojów, toczonych w zaborze rosyjskim przez wzrastającą w siły rewolucję z przemocą rządową. Odgłosy te, w postaci dru-

ków nielegalnych, strejków, manifestacyj, aresztowań i rewizyj, stały się niejako chlebem powszednim, czemś ogólnie znanem, omawianem i roztrząsanem przez ogół Polaków pod berłem carskiem.

Pomimo jednak szerokości ruchu rewolucyjnego, pomimo, że wtargnął on nawet w dziedzinę życia prywatnego mnóstwa ludzi, dotąd jest on bardzo mało znany szerszemu ogółowi. Pochodzi to po pierwsze stąd, że najczęstszem stykaniem się z ruchem rewolucyjnym jest stykanie się z jego efektami publicznemi, z natury rzeczy nie mogącemi dać wyobrażenia o głęboko i rozmyślnie ukrytych ich sprężynach. Następnie musowe osłanianie tajemnicą szczegółów życia rewolucyjnego nie pozwala na badanie go przez niedyskretne oczy. Wreszcie ogromna większość ludzi, biorących obecnie udział w ruchu rewolucyjnym, to ludzie pługa i kielni, nie pióra, zatem trudno jest oczekiwać, by przez nich życie rewolucyjne znalazło swe odbicie w literaturze.

Wobec tego przy ocenach ruchu rewolucyjnego u nas stałem zjawiskiem jest przesada w tę lub inną stronę. Gdy jedni tworzą przesadne, pełne fantazji legendy o rozmiarach, siłach i kierunku organizacyj rewolucyjnych w zaborze rosyjskim, inni nie doceniają ich znaczenia i pracy, widząc w nich wybryki niedojrzałej młodzieży, albo też zapoznając olbrzymie wysiłki umysłu i energji ludzi, organizujących i wprawiających w ruch maszynę rewolucyjną.

Należąc do stronnictwa rewolucyjnego, znając wielu z jego przedstawicieli, biorąc niekiedy udział w jego pracach, zebrałem mnóstwo spostrzeżeń i danych, które sam dla siebie starałem się nieraz

zszeregować i zgrupować w jedną całość, by sobie dokładniej przedstawić stan rzeczy w Polsce.

Oddawna też nosiłem się z zamiarem spisania tych wrażeń. Życzenie moje zbiegło się z chęcią redakcji *Naprzodu* zaznajomienia swych czytelników z życiem i walkami braci z za kordonu.

Zgodnie z życzeniem redakcji wybrałem dla swej pracy formę feljetonową. Wybrałem ją nietylko dlatego, że była ona najłatwiejszą w wykonaniu, lecz i dlatego, że ułatwiła mi ona uporanie się z największą przeszkodą — względem na bezpieczeństwo towarzyszów, pracujących na niwie rewolucyjnej, mających za plecami żandarma, a przed oczami cytadelę. W feljetonie łatwiej, niż w poważniejszem dziele, uniknąć stawiania kropki nad „i", łatwiej pominąć to lub owo, usunąć niepotrzebne szczegóły lub łączyć je w jedno dla uplastycznienia zjawisk typowych. Nie zaprzeczę jednak, że to ustawiczne trzymanie pióra na uwięzi musiało wpłynąć ujemnie, zmniejszając żywość i barwność opisu.

Pracę swą podzieliłem na trzy części. Pierwsza z nich, stanowiąca obecne wydawnictwo, zawiera opis tej części życia rewolucyjnego, która ma styczność z rozwojem i rozpowszechnianiem druków nielegalnych — bibułą. Drugą część poświęcę — ludziom — organizacyjnej i agitacyjnej stronie życia rewolucyjnego. Wreszcie trzecią — efektom pracy rewolucyjnej i zmianom, jakie ona wywołuje w stosunkach społecznych u nas.

Dodać jeszcze muszę, że należąc do stronnictwa socjalistycznego i mając lepsze dane tylko o niem, pominąłem w zupełności wszystko to, co się tyczy innych, a raczej innego stronnictwa, pracującego

tajnie w zaborze rosyjskim. Mówię o stronnictwie narodowo-demokratycznem.

Wreszcie niech mi będzie wolno złożyć tu serdeczne podziękowanie tym znajomym i przyjaciołom, którzy, nadsyłając mi swoje wrażenia, uwagi i spostrzeżenia, niechybnie się przyczynili do zwiększenia wartości mej pracy.

Kraków, 3 listopada 1903 roku.

TROCHĘ HISTORJI.

Bibułą w żargonie rewolucyjnym zowią każdy druk nielegalny, nieopatrzony sakramentalną formułą: *dozwoleno cenzuroju.* Ilość tej bibuły z rokiem każdym wzrasta, wsiąkając coraz głębiej w warstwy ludowe, zataczając coraz szersze koła. Uznał to sam rząd. Książę Imeretyński w znanym swym memorjale stwierdza, że książka nielegalna wdarła się nawet pod strzechy włościańskie i przyczyniła się do wywołania nastroju przeciwrządowego wśród chłopów. Nie trzeba jednak przypuszczać, że bibuła w zaborze rosyjskim ma zawsze treść rewolucyjną. Rząd rosyjski krępuje życie społeczne w tak różnorodnych kierunkach, że bodaj niema stronnictwa, które nie jest zmuszone obecnie wydawać swe publikacje nielegalnie, bez cenzury. Nawet ugodowcy, zasadniczy przeciwnicy roboty nielegalnej, wydali kilka książek zagranicą, by potem, niegorzej od rewolucjonistów, przemycić je przez kordon i rozpowszechnić w społeczeństwie. Jest więc bibuła klerykalna, patrjotyczna, socjalistyczna, nawet ugodowa. Znajdziemy wśród niej utwory artystyczne wysokiej wartości, jak dzieła Wyspiańskiego lub Zycha, i lichoty patrjotyczno-klerykalne; znajdziemy grube tomy badań historycznych i drobne broszurki rozmaitych stronnictw; znajdziemy wreszcie zwyczajne książki do nabożeństwa, pisma perjodyczne,

odezwy, obrazki, fotografje, korespondentki i tym podobne rzeczy. Wszystko to przeciska się przez granicę różnemi drogami, rozchodzi się wszędzie, gdzie ludzie umieją czytać po polsku i staje się coraz bardziej potrzebą szerokiej, stale wzrastającej warstwy ludzi.

Nim jednak bibuła stała się tak poczytną, przejść musiała przez mnóstwo etapów i jej pierwsze kroki były bardzo skromne i niepewne. Gdy sobie przypomnę swe lata dziecinne, staje mi żywo w pamięci obraz mego pierwszego zetknięcia się z „bibułą". Było to w dworku szlacheckim na Litwie jakie dziesięć lat po powstaniu. Wrażenie wieszatielskich rządów Murawjewa było jeszcze tak świeże, że ludzie drżeli na widok munduru czynowniczego, a twarze ich wyciągały się, gdy w powietrzu zabrzmiał dzwonek, zwiastujący przybycie któregoś z przedstawicieli władzy moskiewskiej. W tym to czasie matka moja wyciągała niekiedy z jakiejś kryjówki, jej tylko wiadomej, kilka książeczek, które odczytywała, ucząc nas, dzieci, pewnych ustępów napamięć. Były to utwory naszych wieszczów. Tajemnica, którą te chwile były otaczane, wzruszenie matki, udzielające się małym słuchaczom, zmiana dekoracji, jaka następowała z chwilą, gdy niepożądany jaki świadek trafiał wypadkowo na nasze rodzinne konspiracje — wszystko to zostawiło niezatarte wrażenie w mym umyśle. Te właśnie książki wraz z kilku innemi — pieśniami historycznemi Niemcewicza, paru broszurkami z czasów przedpowstaniowych — były bodaj jedynemi przedstawicielkami nieocenzurowanej literatury w tym czasie. Ocalały one podczas burzy powstaniowej w niewielkiej ilości.

a chowane przez pietyzm, jak relikwje, niszczone zaś przez tchórzostwo przy każdem istotnem lub przypuszczalnem niebezpieczeństwie, nie mogły wywierać szerokiego wpływu, ograniczając się najczęściej rodzinnem kołem posiadaczy takiej książki.

„Bibuła“ w tym czasie znajdowała przytułek u tych, którzy uparcie stali przy przygaszonym krwią bohaterów 63 roku i ledwie tlejącym zniczu narodowo-rewolucyjnym. Były to jakby mogilne płomyki, nieśmiało i chwiejnie oświetlające smutne twarze rozbitków, ocalałych z ogólnej klęski. Ale na mogiłach wyrasta trawa — z popiołów powstaje nowe życie, żądne słońca i swobody. I w Polsce, która wówczas była jedną wielką mogiłą, zazieleniało; zjawiło się nowe życie, nowy ruch, który, zrobiwszy wyłom w modlitewno-rzewnym stosunku do przeszłości, otworzył nowy okres dla nielegalnej książki. Mówię tu o ruchu socjalistycznym.

Od 1875—76 roku od czasu do czasu zaczynają się ukazywać druki socjalistyczne. Grono ich czytelników musiało, naturalnie, narazie być bardzo szczupłe, lecz zapał zwolenników idei socjalistycznej oraz jej zaraźliwość wśród ludu pracującego rozszerzały je szybko w tej właśnie warstwie narodu, do której dawniej cenzuralna nawet książka mały miała dostęp. Bibuła socjalistyczna przez dłuższy czas była jedyną, jaka istniała w sterroryzowanem po powstaniu 63 roku społeczeństwie polskiem. Z czasem jednak odrętwienie i przestrach minęły, tem bardziej, że walka socjalistów naocznie przekonywała ludzi, iż wyłamywanie się z pod barbarzyńskich praw caratu nie jest niemożliwe. Oprócz więc socjalistycznych książek i broszur,

już w latach 80-tych spotkać można większą ilość niecenzuralnych książek — czy to zagranicznych wydań naszych poetów, czy to książek historycznych, czy wreszcie ulotnych broszur, w ten lub inny sposób oświetlających stan rzeczy w zaborze rosyjskim.

Lecz chociaż zastęp czytelników i ilość bibuły, kursującej w kraju, stale wzrastały, niełatwo było przezwyciężyć przeszkody, które tego rodzaju robocie stały na drodze. Przeszkody te były dwojakiego rodzaju. Pierwsza z nich polegała na braku w kraju jakiejkolwiek organizacji o tyle silnej i rozporządzającej takiemi środkami, by zapewnić bibule stały kurs i zadowolić wymagania przynajmniej tej części odbiorców, która stanowiła stały kontyngent czytelników i rozpowszechnicieli bibuły. Zakazane druki ukazywały się zbyt sporadycznie, nieregularnie, dostarczaniem ich rządziła taka wypadkowość, że nikt nigdzie nie mógł być pewnym, że ten lub ów druk otrzyma. Organizacje rewolucyjne nie były trwałe, a ich środki techniczne zależne były od wypadków, tak, iż niekiedy bibuły było dużo, natomiast mijały miesiące całe bez świeżego dopływu. Nic dziwnego, że bibuła w oczach ludzi była czemś nadzwyczajnem, wpadającem do kraju drogą jakiegoś cudu, nagle i niespodzianie, czemś takiem, co można otrzymać, lecz czego żądać nie wypada.

Oprócz tej zewnętrznej niejako przeszkody istniały i wewnętrzne. Ludzie wprost bali się roboty nielegalnej, której przejawem była bibuła. Posiadanie książki nielegalnej w oczach otoczenia dawało jakby patent na działacza rewolucyjnego, a strach przed represją rządową oraz dziecinna

wiara w wszechpotęgę i wszechwiedzę policji carskiej były wówczas jeszcze tak powszechne, że w większości wypadków unikano książki nielegalnej. Trzeba było ją ludziom wpychać w ręce, namawiać, by ją przeczytano, przekonywać, że nie jest ona tak niebezpieczną rzeczą. Jedni więc patrzyli na posiadanie książki nieocenzurowanej, jak na bohaterstwo, drudzy — jak na szaleństwo, trzeci — jak na zbrodnię, inni wreszcie — jak na środek agitacji i sposób rozpowszechniania swych przekonań, rzadko jednak książka nielegalna była dla kogo wprost potrzebą, koniecznością w takich warunkach, jakie Polska pod caratem znosić musi.

W tem położeniu epoką dla bibuły stała się działalność Polskiej Partji Socjalistycznej, w skróceniu zwanej P. P. S. Była to pierwsza z organizacyj rewolucyjnych w Polsce popowstaniowej, która potrafiła przetrwać dziesiątek lat bez przerwy i która zdobyła się na taką organizację i taką technikę, iż jej robota wydawnicza i kolporterska ani razu nie doznała poważniejszej przerwy. Narazie stałe ukazywanie się w większej ilości zagranicznych wydawnictw partji przyjęto z pewną nieufnością. Lecz gdy ilość ich coraz bardziej wzrastała, gdy w dodatku partja rozpoczęła stale wydawać *Robotnika* w kraju samym, gdy przez dłuższy czas usilne polowania żandarmerji za drukarnią partyjną nie miały powodzenia, gdy wreszcie w samej kolporterce zapanowała pewna regularność i wydawnictwa zaczęły dochodzić do wszystkich odbiorców bez względu na to, czy mieszkają w Warszawie, czy na prowincji — publiczność, jak robotnicza, tak inteligentna, uwierzyła w stałość i trwałość tego zjawiska.

Wrażenie, jakie wywarło powodzenie P. P. S. na całej przestrzeni państwa rosyjskiego, było ogromne. Wkrótce zewsząd zaczęły napływać propozycje sprowadzania z zagranicy takich lub innych wydawnictw. Do 1900 roku nie było bodaj żadnej organizacyjki rewolucyjnej w całem państwie, która takiej propozycji P. P. S. nie czyniła. Ludzie przyjeżdżali z Petersburga, Moskwy, Samary, jako delegowani najrozmaitszych kółek, żądając sprowadzenia to druków nielegalnych, to drukarni. Przypominam sobie pod tym względem zabawną rozmowę, jaką miałem w Londynie z jednym takim delegatem w roku 1897.

Skądś, z głębi Rosji, z odpowiedniemi rekomendacjami przybył poważny, już trochę szpakowaty, mężczyzna i zwrócił się do mnie z prośbą o pośrednictwo przy zawiązaniu stosunków z P. P. S.

— Jakiż ma pan interes do P. P. S.? — zapytałem.

— Hm! Interes jest bardzo skomplikowany. Widzi pan, my tam w Rosji zawiązaliśmy stowarzyszenie w celu obalenia cenzury!

— Cenzury? — zawołałem zdumiony. — Ależ, panie, czy nie praktyczniej byłoby zacząć od obalenia cara, który tę cenzurę ustanawia?

— Pan mnie nie rozumie, car swoją drogą, cenzura swoją, tamto niech robią inni, my zaś weźmiemy się do cenzury.

Przytem zaczął mi szeroko dowodzić, jako cenzura jest jedną z najszkodliwszych instytucyj. Zgodziłem się na to chętnie, lecz poprosiłem, by mi wyjaśnił, w jaki sposób owo obalenie ma się odbywać i jaką rolę ma w tem odgrywać P. P. S.

Mój interlokutor znowu bardzo szeroko i wymownie mi dowiódł, że wszystkie partje rewolucyjne są zainteresowane w zniesieniu cenzury. Zgodziłem się i na to.

Wreszcie zaczął rozwijać plan owego stowarzyszenia. Chodziło o to, by ściągnąć do Rosji i rozpowszechnić tak ogromną ilość druków zakazanych wszelkiego gatunku i rodzaju, że cenzura stałaby się nonsensem z powodu swej bezużyteczności.

Byłem coraz bardziej zbudowany ogromem pracy, którą przedsiębierze stowarzyszenie, więc raz jeszcze spytałem, jaką rolę wyznacza stowarzyszenie dla P. P. S. w tej akcji.

— Ależ, rzecz prosta! — zawołał poważny delegat. — My zobowiążemy się dostarczyć P. P. S. potrzebną ilość wydawnictw do jakiegokolwiek punktu Europy. P. P. S. zaś odda je nam w tym punkcie państwa rosyjskiego, który sama sobie wybierze.

Więc, jak się okazało, olbrzymi plan zniesienia cenzury oparty był na zdolności transportowej P. P. S. Byłem nieco przejęty wzruszeniem wobec tak wielkiego zaufania naiwnego delegata, lecz zacząłem go przekonywać, że P. P. S. ma nieco inne zadanie, niż walkę z cenzurą i że wobec tego trudnemby jej było zacieśnić swą pracę tylko do tego celu. Delegat odjechał rozgoryczony „nietolerancją P. P. S.“

W Polsce, gdzie ludzie tak „szerokich natur“ nie mają, nie istniały, coprawda, organizacje dla zniesienia cenzury, lecz raz po raz poszczególne osoby albo kółka tworzyły plany wydawnicze, oparte na pomocy P. P. S. w przewiezieniu tych wydawnictw

do kraju. Wydawnicza i kolporterska działalność P. P. S. wniosła niejako do ponurego domu niewoli trochę Europy z jej swobodą druku i tem ogromnie ośmieliła ludzi. Bibuła przestała być czemś niezwykłem, ludzie przyzwyczajali się mieć ją w ręku, tak, iż po pewnym czasie w kołach, otrzymujących wydawnictwa P. P. S.-owe, można było wprowadzić reformę, polegającą na tem, że część przynajmniej była sprzedawaną. Zjawili się nawet prenumeratorowie perjodycznych wydawnictw partyjnych.

Za przykładem P. P. S. wkrótce poszły inne organizacje nielegalne w Polsce — żydowska socjalistyczna organizacja „Bund" i Narodowa Demokracja, które to organizacje trafiały do innych części narodu, gdzie nie sięgał wpływ P. P. S. i oswajały coraz szersze koła ludzi z nielegalną robotą i niecenzuralną literaturą.

Obok partyjnych wydawnictw w coraz większej ilości sprowadzano dzieła naukowe, przeważnie historyczne i utwory artystyczne, które, o ile zajmują się tak żywotną dla Polaków sprawą, jak stosunek do najazdu, są w Rosji zakazane. Ta ostatnia część bibuły dotarła do najbardziej tchórzliwych, najbardziej ugodowo usposobionych ludzi. Zresztą sami ugodowcy, chcąc wypowiedzieć się otwarcie, musieli się uciec do wydawania rzeczy nielegalnych. Pierwszem takiem wydawnictwem ugodowem, które szerzej było rozpowszechnione, były *Stosunki polsko-rosyjskie* Leliwy. Do otrzaskania się z bibułą najbardziej reakcyjnie usposobionych ludzi niemało się przyczynił i znany memorjał księcia Imeretyńskiego, wykradziony i wydany przez P. P. S. Książka ta rozeszła się w ty-

siącach egzemplarzy i była czytana bodaj przez wszystkich inteligentnych Polaków.

Ilość bibuły, krążącej po kraju, nie daje się ściśle określić. Pod tym względem znam tylko cyfry, opublikowane przez P. P. S. w sprawozdaniu Centralnego Komitetu partji za czas do 1900 roku. Za rok 1899 sprawozdanie podaje cyfrę 99872, jako ilość egzemplarzy najrozmaitszych druków, puszczonych tego roku w obieg. Inne partje danych takich nie ogłaszały, lecz ogólne wrażenie wszystkich znających stosunki jest takie, że ilość bibuły nie P. P. S.-owej, kursującej w kraju, jest w każdym razie nie mniejszą. Podwoiwszy tę cyfrę i dodawszy do niej przypuszczalną ilość bibuły nie partyjnej, oraz wziąwszy pod uwagę, że od roku 1899 rozwój pracy różnych partyj szedł *crescendo*, otrzymamy cyfrę 250—300 tysięcy egzemplarzy druków nielegalnych, jako roczną konsumpcję czytającej publiczności polskiej w zaborze rosyjskim. Nie znam odpowiedniej statystyki wydawnictw legalnych, podlegających cenzurze, lecz w każdym razie śmiało twierdzić można, że druki nielegalne stanowią obecnie poważną część lektury polskiej pod caratem.

Jak każdy łatwo zrozumie, taka olbrzymia ilość bibuły wywierać musi ogromny wpływ na stosunek ludzi do wszystkiego, co nielegalne, a przedewszystkiem na stosunek do samej książki niecenzurowanej. Druk nielegalny wobec swej powszedniości przestaje być świętością, nie straszy ludzi i nie nasuwa myśli o prześladowaniach rządowych, lecz podrywa w umysłach ludzkich autorytet rządu i wiarę w jego potęgę. Już sama nazwa „bibuła“, żartobliwie-poufała, świadczy o szerokiem rozpow-

szechnieniu książki nielegalnej, o tem, że znikł ów tajemniczy urok, którym dawniej była otoczona. Zmiana, jaka pod tym względem zaszła, jest tak rażąca, że się rzuca w oczy każdemu, kto może porównywać stan obecny z dawniejszym. Niedawno spotkałem towarzysza, który był aresztowany przed 1893 rokiem (rok rozpoczęcia działalności P. P. S.) i wrócił do roboty dopiero po 10 latach. Gdym go spytał, co go najbardziej uderzyło po powrocie, odpowiedział bez wahania, że przedewszystkiem był zdumiony, widząc, jak się rozpowszechnia obecnie druk nielegalny. „Myśmy, rzekł mi ów towarzysz, musieli prosić ludzi, by wzięli książkę do ręki, musieliśmy podrzucać ją, wpychać do kieszeni, a tu patrzę: ludzie sami bibuły żądają, rozbijają się o nią, kupują. Ba, dodał, możliwemi już są malwersacje z bibułą i handel książką nielegalną“. W istocie, niektóre z wydawnictw nielegalnych są tak popularne, że można na nich robić interesa. Tak, naprzykład, *Zbiorki poezyj* wydania londyńskiego były tak rozchwytywane przez robotników w Warszawie, że pierwsze transporty, zawierające 500 egzemplarzy tej książeczki, rozeszły się tamże w przeciągu miesiąca i wreszcie ofiarowywano za nie po 25 kopiejek za egzemplarz. Wytworzyła się nawet specjalna nazwa „bibuła dochodowa“, to jest taka, która daje pewny dochód sprzedającym.

Nawet wśród włościan rozwija się przyzwyczajenie do czytania nielegalnych książek. Mógłbym na dowód tego przytoczyć mnóstwo faktów, lecz ograniczę się dwoma bardziej charakterystycznemi. W pewnej wsi nad Wisłą włościanie otrzymywali stale bibułę narodowo-demokratyczną;

oprócz tej ostatniej niekiedy dochodziły ich rąk i wydawnictwa socjalistyczne. Nie wiem, jaką była przyczyna, lecz bibuła przestała do nich dochodzić, chłopi postanowili wówczas sami szukać źródeł bibuły. Zebrali trochę pieniędzy i wysłali delegata, by wynalazł kogokolwiek dla zawiązania stosunków, przytem uradzono szukać nietylko narodowych demokratów, lecz i socjalistów. Nie znam szczegółów tej odyssei delegata chłopskiego, wiem tylko, że odbywał ją i pieszo, i furmankami i wreszcie o kilkanaście mil od rodzinnej wioski wypadkiem natrafił na jakiegoś P. P. S.-owca, przez którego zawiązał stosunki z partją i uspokojony wrócił do domu.

Inny fakt tej samej kategorji miał miejsce w głębi Rosji, w koszarach wojskowych. Znaną jest rzeczą, że rekruci Polacy nie odbywają służby wojskowej w Polsce. Rząd wysyła ich w głąb Rosji lub na wschodnie granice państwa, gdzie w wielu pułkach połowa żołnierzy składa się z Polaków. Otóż paru towarzyszów z młodzieży uniwersyteckiej zawiązało stosunki z żołnierzami Polakami. Wkrótce stosunki ogromnie się rozszerzyły i agitacja szybko się rozwijała. Puszczono do koszar moc bibuły. Gdy się o tem dowiedziano w Warszawie, wysłano do tego miasta doświadczeńszego towarzysza z poleceniem uregulowania tej sprawy. Ów towarzysz zwrócił uwagę zapalonych agitatorów na niebezpieczeństwo, jakie grozi całej robocie przy masowem rozpowszechnianiu bibuły wśród żołnierzy i polecił wycofać puszczoną już bibułę z koszar.

Gdy to postanowienie zakomunikowano żołnierzom — a była to przeważnie młodzież wiejska,

świeżo od pługa i kosy oderwana — ci zebrali się na naradę i odpowiedzieli agitatorom w sposób następujący:

„Takich książek my sami dostać nie możemy. Nie dacie nam ich panowie, to mieć ich nie będziemy. Ale wybaczcie, co już jest u nas, tego wam nie oddamy. To już niech będzie nasze".

Ogromna ilość literatury nielegalnej, krążącej po kraju, stanowi bezwątpienia nowe i nieznane dotąd zjawisko w Polsce pod caratem, a przyzwyczajenie i nawet pewne przywiązanie do bibuły wśród ludu pracującego w miastach i po wsi ziszcza owo marzenie Mickiewicza, który, będąc sam autorem ówczesnych druków zakazanych, wzdychał do czasu, gdy książka jego zabłądzi pod strzechy włościańskie. Zjawisko to nie mogło ujść uwagi rządu. Wspominałem już wyżej, że książę Imeretyński nietylko nie negował faktu czytania książek zakazanych przez włościan, lecz nawet tem właśnie motywował konieczność pewnych ulepszeń w szkolnictwie oraz potrzebę kontragitacji rządowej *(Oświata)*. Wpływ tego kulturtregerstwa carskiego okazał się minimalnym, powiedzmy raczej — równa się zeru, natomiast niema wątpliwości, że sam rząd uległ wpływowi „bibuły" i musiał przed nią się cofnąć.

Rząd ustąpił nie w ten sposób, jak mi obiecywał delegowany rosyjskiego stowarzyszenia, o którym wspominałem wyżej — cenzura nie została zniesiona, lecz zmiana postępowania rządu z czytelnikami „bibuły" nie da się zaprzeczyć. Gdy bibuły było w kraju mało, gdy jej wpływ „demoralizujący" był niewielki, rząd uważał każdego posiadacza książki nielegalnej za rewolucjonistę, a fakt zna-

lezienia u kogo bibuły partyjnej służył jako poważny dowód należenia do stowarzyszenia rewolucyjnego. Obecnie zaś, gdy bibuła rozpowszechnia się w ogromnych ilościach, gdy najniewinniejsi pod względem politycznym ludzie czytają i mają u siebie druki zakazane, niepodobieństwem jest pociągać do odpowiedzialności za to, co do niedawna było nieraz surowo karane.

Przedewszystkiem więc pewną część bibuły uznano za pół-legalną niejako. Zagraniczne wydania naszych poetów, grube książki naukowe, wreszcie nowsze utwory poetyczne lub powieściowe, wydane za kordonem, no i, naturalnie, wydawnictwa ugodowe należą do rzędu bibuły tego rodzaju. Nieraz żandarmi przy rewizji nie wnoszą nawet do protokółu faktu znalezienia takiej książki i odkładają ją na stół lub etażerkę, mrucząc: *„nu, eto pustiaki*“ („to bagatela“), niekiedy zabiorą ją z sobą, lecz nigdy o taką „bagatelę“ nie wytoczą sprawy. U jednego z moich znajomych przy rewizji żandarm zabrał dwa tomy Limanowskiego: *Ruch społeczny w XVIII i XIX wieku.* Po skończeniu sprawy poszkodowany udał się do żandarma z żądaniem, by mu te książki zwrócił. Żandarm uśmiechnął się i oddał książki, dając przytem radę, by korzystał z nich nie w swojem, lecz jakiem innem mieszkaniu. „Widzi pan, u pana, jako podejrzanego, te książki są jakimś dowodem, no, a u innych to rzecz zwykła, wszyscy przecie takie rzeczy czytają, ja sam z ciekawością przeczytałem część tej książki“. Prawie to samo powiedział mi podpułkownik Gnoiński, gdym po aresztowaniu w drukarni prosił go o danie mi do celi dzieł Słowackiego, znalezionych u mnie: „To bagatela, rozumiem do-

brze, że u każdego inteligentnego Polaka taką rzecz znaleźć można, my za to nawet nie pociągamy do odpowiedzialności, ale do celi tego panu dać nie mogę, w każdym razie to wydawnictwo bez cenzury".

Lecz ustępstwo rządowe nie ograniczyło się jedynie tą, jak ją nazwałem, pół-legalną bibułą. Wobec faktu rozpowszechniania wielkiej ilości bibuły partyjnej i rewolucyjnej bagatelizowanie przestępstw musiało pójść dalej w tym kierunku. W istocie tak się też stało. Żandarmi się przekonali, iż ilość czytelników bibuły partyjnej jest tak wielką (przynajmniej w Warszawie), a otrzymanie jej skądkolwiek tak względnie łatwem, że się nie opłaca z powodu każdej broszury lub egzemplarza pisma partyjnego robić sprawę. Rotmistrz Konisski, który mię badał w Warszawie, mówił mi, że nie przypuszcza, by w Warszawie był robotnik, który kiedykolwiek nie miał w ręku *„waszewo Kurjera"*, jak żartobliwie nazwał *Robotnika*. Zwykle, coprawda, każdego, u kogo znajdą takie wydawnictwo, aresztują lub conajmniej wołają na badania, lecz w wielu wypadkach to nie pociąga za sobą żadnej kary lub też (a znam kilka takich wypadków) wyrok jest minimalny—dwa tygodnie aresztu. Tylko świeże wydawnictwa lub większa ich ilość same przez się, bez żadnych innych dowodów winy, zwracają uwagę żandarmów, a to dlatego, że fakt taki nasuwa myśl o bliższym stosunku oskarżonego z organizacjami rewolucyjnemi.

Jak widzimy, rząd carski zmuszony jest cofać się przed wzrastającą falą bibuły, która wymogła na nim pewne rozszerzenie praw człowieka pod caratem. Jest to jeden z dosyć licznych dowodów

elastyczności konstytucji rosyjskiej. Mając za zasadę nie prawo, lecz samowolę urzędniczą, rząd carski musi też godzić się z naturalną tego konsekwencją — względną chwiejnością organów władzy oraz z częstemi odstąpieniami w poszczególnych wypadkach od praw i przyjętych zasad rządzenia. Każdy z urzędników, będąc obdarzony odrobiną carskiego samowładztwa, prowadzi niejako politykę na swoją rękę, a że zależność jego od otoczenia jest znacznie większą, niż zależność centralnego rządu, więc jest on skłonniejszym do zawierania ugody i patrzenia przez palce na najrozmaitsze przestępstwa.

Tak się też stało i z żandarmerją w Polsce w stosunku do bibuły.

Nie zmieniła ona w niczem praw i przepisów władzy centralnej, lecz zawarła milczącą ugodę z pewną kategorją przestępstw i nie chcąc sobie przysparzać uciążliwej i żmudnej pracy, zamknęła oczy na nie. Druk nielegalny jest nielegalnym w zasadzie, zaś w praktyce został do pewnego stopnia ulegalizowany.

Zaznaczyć jednak trzeba, że taka legalizacja, jako nie mająca sankcji prawnej, nie jest czemś stałem lub powszechnem. W każdej danej chwili, w każdym wypadku zapleśniałe od nieużywania prawo może być wyciągnięte z kąta zapomnienia i może być użytem dla ukarania winnego. Na prowincji, naprzykład, szczególniej na wsi wśród włościan, gdzie administracja i żandarmerja mniej ma roboty, każdy druk nielegalny może ściągnąć gromy na głowę jego czytelnika. Jestem jednak przekonany, że dalszy, a nieuchronny wzrost czytelnictwa druków zakazanych w Polsce, zmusi wła-

dzę do zgodnego usposobienia względem bibuły nawet w najgłuchszych zakątkach kraju.

Bibuła więc nietylko jest potrzebą wielkiej części czytającej publiczności polskiej, lecz zarazem i pewną siłą, przed którą potężny rząd carski musi się cofać. Wobec tego nie bez znaczenia jest pytanie, kto tą siłą rozporządza i kto tę potrzebę zaspakaja. Podane wyżej cyfry dają pewną odpowiedź na to zapytanie. Ogromna większość bibuły — to bibuła partyjna, sprowadzona i rozpowszechniona przez istniejące w kraju organizacje — P. P. S. i Narodową Demokrację. Bibuła innych organizacyj nie stanowi poważnej cyfry, bodaj tylko żydowska bibuła Bundu istnieje w większej ilości. Bibuła niepartyjna, stanowiąca mniejszą część druków nielegalnych, kursujących w kraju, trafia do rąk czytającej publiczności albo staraniem tychże partyj, albo też przechodzi przez granicę pojedyńczemi egzemplarzami, przewożona w kieszeniach przejezdnych.

Przewaga ilościowa bibuły partyjnej nad niepartyjną nie jest czemś przypadkowem. Dla czytelników wszelkiej bibuły jest ona czemś pożądanem, czytanie jej sprawiać może przyjemność, w wielu wypadkach jest ona potrzebą, dla zaspokojenia której ludzie narażają się nawet na niebezpieczeństwo, lecz nie jest ona koniecznością. Inaczej jest z organizacją polityczną. Składa się ona z ludzi i dąży do ciągłego rozszerzania się, a że prześladowania rządowe raz po raz wyrywają pojedyńcze jej ogniwa, musi sztab dbać o zapełnienie luk w swych szeregach. Naturalnie, że najłatwiej sprostać temu zadaniu wtedy, gdy organizacja wywiera szeroki wpływ na ludzi, a poglądy

jej są możliwie spopularyzowane. W przeciwnym wypadku po pewnym przeciągu czasu, wobec stałego ubywania członków organizacji, może wprost zabraknąć materjału ludzkiego do odbudowania jej.

Jedynym zaś środkiem, będącym w rozporządzeniu organizacyj politycznych pod caratem dla stałego urabiania opinji w pożądanym kierunku, jest słowo drukowane. Wszystkie inne, jak stowarzyszenia i związki, zgromadzenia i ustna propaganda, w warunkach politycznych Rosji są tak ograniczone, że wpływ ich sięga bardzo niedaleko i działa na bardzo szczupłe grono ludzi. Książka więc lub odezwa zastąpić tu musi w większości wypadków agitatora i mówcę, poprzedzić organizatora, utorować mu drogę, przygotować dla niego teren i usposobić dlań przychylnie słuchacza. A książka jako agitator ma w dodatku pod caratem niesłychane zalety.

Wędrówka jej nie zostawia po sobie takich śladów, jak wędrówka człowieka, działa ona cicho, bez hałasu, może być w każdej chwili zniszczona, może być tylko niemym świadkiem przy badaniach, wreszcie nie wzbudza tyle podejrzeń i nie ściąga takiej kary lub prześladowań, jak człowiek. Jest więc wygodnym agitatorem zarówno dla agitujących, jak agitowanych. W wielu zaś wypadkach bibuła jest wprost jedynem narzędziem w ręku agitatora partyjnego. Kiedy, naprzykład, organizacja jest świeżą i nieliczną, nie ma wśród siebie ludzi, zdolnych do agitacji ustnej, w okresach większej baczności policyjnej lub wreszcie przy potrzebie wywarcia jednorazowego i możliwie szerokiego wpływu — bibuła, w postaci broszury,

numeru pisma lub odezwy okolicznościowej, jest wprost nie do zastąpienia.

Dodajmy do tego, że gdy czytanie bibuły już jest potrzebą wielkiej ilości ludzi, to ten, kto potrzebę tę zaspakaja, zyskuje na wpływie; dodajmy do tego, że bibuła partyjna dla wielu ludzi, nie stojących bliżej organizacji, jest jedynym dowodem istnienia partji, a zrozumiemy, jakie ma znaczenie bibuła dla organizacyj rewolucyjnych pod caratem. Jeśli porównać je można do organizmu, to bibuła będzie w nich krwią, która organizm przy życiu utrzymuje.

Porównanie to, w innych nieco słowach, słyszałem z ust jednego ze zdolnych agitatorów P. P. S. na prowincji. Będąc u niego przejazdem, miałem od niego otrzymać korespondencje do *Robotnika* oraz pewną sumę pieniędzy. Byłem nieco oburzony, gdy mi wyliczył zaledwie połowę tego, na com rachował. Spytałem go, czemu to mam przypisać?

— Eh! proszę was, towarzyszu, dawnośmy nie mieli bibuły! Powiedźcie tam w Warszawie, żeby raz nareszcie nam ją przysłali.

— Aha! — zawołałem — więc to tak dużo tu sprzedajecie bibuły?!

Sądziłem bowiem, że brak pieniędzy był wywołany przez brak towaru, dającego się spieniężyć.

Mój towarzysz zaśmiał się i wyjął z kieszeni kajecik z rachunkami partyjnemi.

— Spójrzcie! Za bibułę otrzymujemy bardzo mało. Większość jej idzie na agitację wśród ludzi świeżych, którzy niezbyt są chętni do płacenia. Ale bez bibuły i wśród naszych towarzyszów trudno zebrać cokolwiek na partję. My, proszę was,

żyjemy tylko wówczas, gdy mamy bibułę! My, towarzyszu, śpiący tu jesteśmy, bibuła nas budzi!

Brak bibuły dla organizacji politycznej pod caratem, to brak krwi, anemja, skazująca organizację na suchotniczy żywot, na niemożliwość wywierania szerszego wpływu na ludzi, na powolne wymieranie.

Naturalnie, że wobec tak wielkiego znaczenia słowa drukowanego, jednem z najpoważniejszych zadań każdej organizacji nielegalnej jest dostarczenie bibuły swym członkom, uzbrojenie ich w ten nieodzowny w obecnych czasach oręż. Jak każdy to rozumie, w domu niewoli — w państwie rosyjskiem — niełatwo to przychodzi i pochłaniać musi sporo energji i sił każdej organizacji.

Przedewszystkiem bibuła musi być wyprodukowaną. Pod tym względem bibuła dzieli się na krajową i zagraniczną. Ostatnia stanowi olbrzymią większość wprost dlatego, że produkcja zagranicą jest znacznie łatwiejsza, niż pod okiem carskiej policji. Lecz zagraniczna, nim dojdzie do rąk odbiorców, ma do przebycia poważną przeszkodę, jaką jest granica państwa rosyjskiego, strzeżona pilnie przez rząd, który chciałby z niej zrobić mur nieprzebyty dla tego rodzaju importu. Stąd wypływa konieczność dla każdej organizacji rewolucyjnej wyszukania dla swych wydawnictw drogi przez granicę i transportowania ich tajnie wewnątrz kraju aż do rąk odbiorców.

Na tej drodze bibułę czeka tysiące niebezpieczeństw i przeszkód, które przełamać musi, a pierwszą z nich jest przejście pasu pogranicznego.

GRANICA I ZIELONI.

Granice we wszystkich państwach są bardziej strzeżone, niż jakiekolwiek punkty wewnątrz państw, lecz nigdzie baczność nie dochodzi do tak potwornych rozmiarów, jak w Rosji, nigdzie kłopoty graniczne każdego mającego z tem styczność nie są tak uciążliwe i przykre, jak w państwie cara. Azjatycka tradycja oddzielania się murem chińskim od wszelkiej cudzoziemszczyzny, a co za tem idzie utrudnianie wejścia wszystkiemu, co przeklętą Europą i cywilizacją trąci, niełatwo daje się wyplenić, tem bardziej, że postęp w społeczeństwie, trzymanem w żelaznych kleszczach caratu, idzie wolno żółwim krokiem.

Pilnowanie granicy poruczone jest w Rosji „zielonej" dykasterji agentów i sług carskich. Zielonymi zowiemy ich dlatego, że ci mandaryni oraz ich słudzy mają wypustki zielone na czapkach oraz ramionach i rękawach swych mundurów. Poza zielonymi wielką rolę na granicach odgrywają i błękitni aniołowie - stróże caratu — żandarmi oraz różni akcyznicy i policjanci, ale strzeżenie granic carskiego imperjum jest specjalnością zielonych.

Dzielą się oni na wojskowych i cywilnych — tak zwaną straż pograniczną i komorowych czyli celników. I jedni, i drudzy są pod rozkazami ministra finansów carskich, który nosi godność szefa

straży pogranicznej, a główną ich siedzibą i terenem działalności jest pas pograniczny państwa.

Ten pas pograniczny jest podzielony na trzy linje. Pierwsza — tuż nad granicą, druga, tak zwana linja kordonów, — w oddaleniu 1—2 kilometrów od granicy i wreszcie trzecia — rzecz zupełnie niesłychana w żadnem państwie — nie ma już nic wspólnego z pojęciem linji, bo obejmuje sobą stukilkudziesięcio-kilometrowy pas ziemi wewnątrz kraju. Jak szeroką jest ta trzecia linja, można sądzić z tego, że w Królestwie jedynie gubernja siedlecka jest wolną od baczności zielonych, a połowa Litwy wchodzi w zakres ich działania.

Wobec szerokości tej trzeciej linji muszę ją uwzględnić i zająć się nią osobno. Natomiast obecnie zatrzymam się jedynie na pierwszych dwóch, stanowiących właściwy pas pograniczny i będący pierwszą przeszkodą dla wszystkiego, co wbrew prawu carskiemu wkracza na terytorjum knutowładnego pana, a więc i dla bibuły.

Pierwsza linja zielonych spełnia swe obowiązki w sposób następujący: tuż przy granicy, zastosowując się do wszystkich jej załomów i zakrętów, są rozstawieni żołnierze z karabinami mniej więcej w odległości 200 do 600 kroków jeden od drugiego. Naturalnie, w miejscowości równej, gdzie oko daleko sięga, posterunki są rzadsze, tam zaś, gdzie granicę upiększają pagórki, lasy i gaje, a jeszcze bardziej, gdzie do granicy zbliżają się zabudowania, żołnierze są rozrzuceni gęsto. Przechadzają się oni nad granicą, siedzą, oglądają widoki, stanowiąc niezbędną, charakterystyczną plamkę na pejzażu granicznym. Zadaniem ich jest pilnować, by żadna żywa istota, naturalnie, oprócz ptaków,

nie przeszła przez granicę ani w jedną, ani w drugą stronę. Cały ruch tych istot jest przez to skierowywany do określenia punktów, gdzie dozór graniczny jest niejako zgęszczony i gdzie wszystko: ludzie i ich pakunki, towary i ich opakowanie podlega odpowiedniej rewizji oraz może otrzymać pozwolenie na przekroczenie granicy. Są to komory i przykomórki.

Te punkty ze zgęszczonym dozorem granicznym pracują tylko we dnie, nocą zaś, z wyjątkiem miejsc, gdzie granicę przecina kolej, działalność zielonych ustaje i granica na całej przestrzeni jest zamknięta całkowicie. Na noc ściągają również żołnierzy z posterunków nadgranicznych. Naturalnie, robi się to nie z ufności, że tacy lub inni przestępcy praw carskich noc spędzają spokojnie w łóżku, lecz dlatego jedynie, że do ciemności nocnej pierwsza linja stosuje inny system obrony granicy. Rozsypuje się ona po tak zwanych w języku „zielonych" — sekretach. Sekret polega na tem, że taki drab z karabinem, zamiast jako bohater stać na widoku, zaczaja się, jak kot, gdziekolwiek na przypuszczalnej drodze przekraczających nielegalnie granicę.

Druga linja, czyli tak zwana linja kordonów, również nie próżnuje. Przecina ona, jak powiedziałem wyżej, wszystkie drogi, idące od granicy, w oddaleniu jednego, dwóch, bardzo rzadko więcej kilometrów.

Wysyła ona przedewszystkiem konne patrole w różne strony, a oprócz tego ma za zadanie rewidowanie wszystkiego, co się przewija przez drogę, o ile to nie jest zaopatrzone legitymacją z pierwszej linji. Tutaj też na przecięciu jakiejkolwiek

drogi stoją koszary dla oddziałków zielonych, zwane kordonami.

Cywilni „zieloni“ operują w komorach i przykomórkach. Zadaniem ich jest, jak wspomniałem wyżej, rewidowanie rzeczy podróżnych, nakładanie i odbieranie cła od towarów importowanych oraz wizowanie paszportów przejezdnych. W większych jednak punktach, gdzie się przewija poważniejsza ilość osób, kontrola nad ludźmi, przekraczającymi granicę, jest oddana w ręce żandarmów. Tych komorowych urzędników, wobec formalistyki biurokracji rosyjskiej i jej niedołęstwa, jest całe mnóstwo. W każdem miasteczku nadgranicznem można spotkać kilku, w większych zaś miasteczkach kilkunastu i kilkudziesięciu zielonych cywilusów, ugwiażdżonych i umundurowanych, stanowiących w okolicach nadgranicznych razem z oficerami straży pogranicznej pijaczą i hulaszczą kompanję.

Z tego opisu wnosić można, ile sił, środków i energji zużywa państwo rosyjskie na ochronę swej granicy! Granica, upstrzona komorami, najeżona bagnetami i urozmaicona patrolami konnemi wygląda nadzwyczaj okazale i musi przejmować strachem każdego śmiałka, który odważy się wbrew zakazom carskim przekraczać ją sam lub z zabronionym towarem. W istocie wywiera ona silne wrażenie!

Pamiętam żywo swoje pierwsze zetknięcie się z granicą, gdym po powrocie z wygnania jechał odwiedzić ojca i rodzeństwo, mieszkających w owe czasy w majątku na pograniczu pruskiem. Część drogi, którą miałem do zrobienia, leżała tak blisko granicy, że do słupów granicznych od drogi było

zaledwie kilka kroków. Droga idzie w tem miejscu lasem i musiałem ją przebywać późnym wieczorem. Gdyśmy się wlekli wolnym krokiem po piaszczystej drodze, z daleka z lasu dobiegło do nas echo wystrzału karabinowego. Po chwili na drodze zadudniało i kilka uzbrojonych konnych postaci minęło nas w galopie. Następnie spotkałem znowu kilku konnych, którzy czegoś szukali na drodze, oświetlając ją latarką. Jeden z nich podjechał do nas i nieco grubjańskim tonem zapytał:

— *Otkuda?* (skąd).

— Z Jurborgu jadę do Taurogów — odpowiedziałem.

—*W Tawrogi!* — I, spojrzawszy na konie i zaprząg, dodał: — *Pomieszczyk?* — co w języku rosyjskim oznacza pozycję socjalną, nazywaną w Galicji „obszarnik“.

— Tak — rzekłem — czego chcecie?

— *Niczawo! Kontrabandu łowim, pojeżżajtie!*

Woźnica mój, tęgi, barczysty Żmudzin, splunął pogardliwie i zaciął konie. Po chwili rozległy się znowu strzały.

Trafiłem widocznie na niespokojną chwilę, lecz przyznam się: te strzały nocne w lesie, te pędzące patrole i uwijanie się po drodze uzbrojonych ludzi sprawiły na mnie silne wrażenie. Wyglądało to na małą wojnę. Tymczasem spotkaliśmy raz jeszcze konnych z latarkami, szukających czegoś na drodze, i mój Żmudzin raz jeszcze splunął energicznie i odwróciwszy się do mnie, flegmatycznie mówił:

— Psy, śladów szukają! Psy, czyste psy!

— Śladów? — pytałem zdumiony. — Ależ na drodze tych śladów jest mnóstwo!

Żmudzin nie mógł mi tego wytłumaczyć, zbyt źle mówił po polsku, a ja znowu nie umiałem po litewsku.

Wkrótce jednak wytłumaczył mi to jeden z żołnierzy tej samej straży pogranicznej. Spotkałem się z nim w karczmie, przy której zatrzymaliśmy się, by dać koniom odetchnąć. Poczęstowany papierosem i kieliszkiem wódki, zaczął mi opowiadać o swojem życiu.

— Ciężka służba, psia, ani dniem, ani nocą spoczynku niema! We dnie na linji, a w nocy w sekretach. I dobrze, kiedy ładna pogoda, a w deszcz i wiatr w lesie straszno i hałas taki od szumu drzew, że nic poza tem nie słychać, no, i przespać też się chce. A tu pilnuj i pilnuj, jak ślad jaki na ciebie, a nie złapałeś, to cię nie pogładzą, albo jak pogładzą, to zębom nie bardzo zdrowo od tego głaskania, — dodał, śmiejąc się z własnego dowcipu.

— Jakie ślady w lesie? — pytałem.

— Nie w lesie, a na drodze, a droga na noc zabronowana, więc kto wpoprzek drogi od granicy przejdzie, ślad zostawi. A tam starsi z latarką po drodze biegają, gdzie ślad jest, zaraz do najbliższego sekretu: ślad na ciebie był, gdzie kontrabanda? Czorty! — skarżył się mój żołnierz.

W istocie, gdy się przypatrzyłem potem, dostrzegłem, że „czorty“ drogę zabronowali tak, że każdy przechodzeń zostawiał na piasku wyraźny odcisk swej stopy.

— Cóż ty robisz — indagowałem dalej żołnierza, — gdy na ciebie wyjdzie kontrabandzista?

— Wiadomo co. Strzelam. Muszę niby przedtem krzyknąć „stój“, ale gdzie tam krzyczeć, on ucieknie, on ten las zna, jak kieszeń własną. Teraz to

lepiej, — dawniej, jak ciebie taki djabeł już minął, to lepiej nie strzelać. Jak trafisz w plecy, to cię karali, bo karabin był niby do tego, żeby się bronić albo dać sygnał. A teraz nie żartuj, w plecy czy w łeb — to jedno. Prawo takie jest! — mówił z dumą i zadowoleniem.

— O! i dzisiaj, słyszał pan ?— mówił dalej — pewnie którego djabła na tamten świat wyprawili. Wachmistrz nasz chodził na tamtą stronę dniem, przebrany był. Kazał dziś czekać kontrabandy, słyszę — dużo mieli przenosić nocą. Pewno złapali, zarobią dobrze, szczęście mają.

Trzeba bowiem wiedzieć, że rząd zachęca swych agentów do łapania kontrabandy w ten sposób, że każdy, kto wskaże lub złapie przeszwarcowany towar, otrzymuje trzecią część sumy, otrzymanej ze sprzedaży tego towaru.

Drugą trzecią część składa się do banku państwa i w końcu roku sumę całą, otrzymaną z całego okręgu celnego, dzieli się pomiędzy urzędników komorowych i oficerów straży pogranicznej. Wreszcie reszta idzie do skarbu. Naturalnie, za rzeczy, które nie mogą być sprzedane, w rodzaju, naprzykład, bibuły, rząd wydaje osobną nagrodę.

Z tego małego opisu wnosić można, że pogranicze rosyjskie jest stale na stopie wojennej. Więcej, tam stale wojna się toczy, rzeczywista wojna — ze szczękiem broni, z wystrzałami, zasadzkami, fortelami wojennemi i, co najsmutniejsza, z ofiarami w ludziach. Z jednej strony walczy rząd, z drugiej wszystko, co w Rosji jest kontrabandą. Nie trzeba myśleć, że tą kontrabandą są tylko towary, że je tak nazwę, polityczne. Przeciwnie, przedewszystkiem są to najzwyklejsze wartości

użytkowe — spirytus, cygara, koronki, zegarki, chemikalja i tak dalej, słowem rzeczy, produkowane zagranicą i obłożone przez rząd wysokiem cłem. Kontrabanda polityczna stanowi w tej powodzi zwyczajnego szwarcownictwa znikomo małą część i dopiero w ostatnich czasach rząd zwrócił na nią baczniejszą uwagę, nie stosując zresztą względem niej żadnych nowych środków obrony, a walcząc z bibułą tak samo, jak walczy z cygarem lub płócienkiem.

Kto jednak jest zwycięzcą w tej wojnie? Cyfry, przytoczone w poprzednim rozdziale, dowodzą, że w tym wypadku zwycięża nie silniejszy. Lecz w jaki sposób to się odbywa? Przypuszczam, że każdy z nieznających dobrze stosunków pogranicznych przedstawia to sobie tak, jak ja to sobie wyobrażałem narazie po owej nocy, spędzonej w nadgranicznej drodze. Gdym myślał o transportach bibuły, śniły mi się przekradania się przez lasy, tajemnicze szmery borów, niespodziane spotkania ze strażą pograniczną i tym podobne rzeczy, przypominające nieco opowiadania Coopera lub Mayne-Reida.

Lecz dosyć jest przemieszkać na pograniczu czas pewien, by się pozbyć tej romantyki. Co do mnie, zacząłem się jej pozbywać bardzo prędko. W kilka dni po opisanej drodze w młocarni u ojca coś się zepsuło. Okazało się, że jest to drobnostka, jakieś śrubki, które się połamały przy robocie. Wiejski kowal nie mógł tego naprawić, do miasta było daleko, natomiast granica i pruskie miasteczko były blisko. Byłem przy tem, jak ojciec otrzymał od kowala odpowiedź, że naprawa przechodzi jego uzdolnienie fachowe, i jak ojciec rzekł:

— Trzeba posłać do Prus.

Sądziłem, że ojciec pośle konie zagranicę i zaproponowałem, że mu to załatwię, byle mi wystarał się o półpasek.

— Eh, nie warto, mnie to potrzebne jak najprędzej, poślę Bartłukajtisa szwarcować, ten mi jutro przyniesie.

— Więc on te śrubki będzie szwarcował?

— Naturalnie! — odpowiedział ojciec, — i tybyś je szwarcował, bo przecie z temi głupiemi śrubkami nie pójdziesz do urzędu celnego. Oho! zaczep ich tylko, zapiszą stosy papieru z powodu tych paru śrubek — i ja, i oni stracimy na to mnóstwo czasu. Poco to komu potrzebne! A Bartłukajtis i tak chodzi nieledwie codzień do Prus po spirytus. Przy okazji załatwi i mój interes ze śrubkami.

Tak się też stało. Bartłukajtis nazajutrz już dostarczył nowe śrubki, zrobione przez porządnego pruskiego rzemieślnika.

Wkrótce przekonałem się, że „głupie śrubki" nie są wyjątkiem. Czy we dworach, czy w chatach włościańskich wszystkie przedmioty, będące produktami fabryk i warsztatów, pochodzą z Prus i doszły rąk swych właścicieli bez pośrednictwa urzędów celnych. Oprócz tego raz po raz spotykałem takich Bartłukajtisów, chodzących codzień do Prus i załatwiających te lub owe interesy swych współobywateli. Prusy — to obce państwo, oddzielone od imperjum cara podwójną linją straży pogranicznej — wciskało się najwyraźniej w posiadłości rosyjskie, mącąc czystość idei ściśle odgraniczonego państwa. Była to Rosja, lecz pod wielu względami i Prusy.

Ba, gdyby tylko Prusy! Rozpytując okolicznych chłopów, dowiedziałem się, że znają oni Amerykę daleko lepiej, niż swój kraj rodzinny. Wielu chłopów żmudzkich nie wiedziało nic o Wilnie i Kownie, nawet o swem powiatowem miasteczku Rosieniach. Natomiast od niejednego usłyszałem opis Nowego Jorku lub Chicago, podróży po morzu i warunków pracy w fabrykach i kopalniach amerykańskich. Za każdym razem pytałem chłopa, czy brał paszport na wyjazd z kraju i najregularniej, zamiast odpowiedzi, widziałem pogardliwe wzruszenie ramion, mające oznaczać: „Ktoby się tem głupstwem zajmował!“ I w tym więc wypadku granica z jej paszportami, cłami i kłopotami nie istniała dla tych ludzi.

Później w swoich wędrówkach zwiedziłem pogranicze w różnych miejscach. Bywałem na granicy pruskiej i austrjackiej, i tam, gdzie granica jest mokrą, to jest, gdzie granicę stanowi rzeka lub strumień, i tam, gdzie na granicy są miasta lub miasteczka, czy też, przeciwnie, stanowią ją mało zaludnione bory — wszędzie spostrzegałem ten zanik granicy dla mieszkańców pogranicznych, tę poufałość i maltretujący stosunek względem surowych, nieledwie wojennych przepisów granicznych.

Powszechne chodzenie ścieżkami nieprawnemi, przestępstwa, chociaż drobne, lecz epidemiczne i stale się powtarzające, wyrobiły pewnego rodzaju solidarność w mieszkańcach pogranicza. Istnieje tam nieustanny spisek, chociaż niezorganizowany i milczący, lecz pomimo to obowiązujący do solidarności wszystkich przeciw prawu i przeciw tym,

co pilnują granicy. Naturalnie, taka solidarność ogromnie ułatwia wojnę z „zielonymi“.

Jeden z towarzyszów, który dłuższy czas prowadził na pograniczu interes partyjny, opowiadał mi o faktach, dowodzących poczucia tej solidarności.

Razu pewnego — mówił mi — nająłem konie, by odwieźć kilka paczek bibuły do miasteczka, nieco od granicy oddalonego, skąd inni towarzysze mieli je zabrać. Nie lubię włóczyć się po drogach nadgranicznych późnym wieczorem lub w nocy — nieraz strażnicy, nie widząc, z kim mają do czynienia, przypadkowo mogą zatrzymać tych, kogoby we dnie nie ruszyli. A tu spóźniłem się nieco z opakowaniem bibuły, więc śpieszyłem. Jak na nieszczęście, trafił mi się woźnica pijany. Na wszelkie moje perswazje, by jechał prędzej, mruczał coś niezrozumiałego, a wreszcie, gdy bryczka zawadziła o jakiś kamień na drodze, wypadł z wozu. Był dobrze strąbiony, więc, podnosząc się z ziemi, co chwilę przewracał się znowu. Zirytowałem się wreszcie.

— No, słuchajcie! — rzekłem. — Leżcie sobie tutaj i śpijcie, ja pojadę do N., a wracając, zabiorę was.

Chłop się oburzył na taką propozycję.

— Nie zostawi mnie pan tu, kiej psa. I ja katolik i pan katolik, i ja kontrabanda i pan kontrabanda.

Mrowie mię przeszło po skórze na takie dictum. Chłop wiedział, że się zajmuję przemycaniem czegoś i byłem niejako w jego ręku. Chciałem się jeszcze wykręcić i groźnie zawołałem:

— Co ty pleciesz?! Jaka kontrabanda?

Chłop śmiał się na całe gardło. Wstał wreszcie i gramoląc się na wóz, szturchnął moje pakunki.

— A tu co? Kontrabanda! — mówił triumfująco. — Kontrabanda taka dobra, jak i ta!

Odgarnął trochę siana i pokazał swoją kontrabandę. Było tam kilka paczek cygar i jeszcze jakieś zawiniątko.

Chłop wreszcie zaciął konie, pijanym głosem zaczął nucić jakąś zawadjacką piosnkę i od czasu do czasu odwracał się do mnie ze śmiechem.

— I ja kontrabanda, i pan kontrabanda! — powtarzał z pijackim uporem.

Kiedym wracał do domu z tym samym chłopem, już wytrzeźwionym, ciągnąłem go za język, by mi wyjaśnił, skąd doszedł do przypuszczenia, że wożę kontrabandę. Chłop poważnie odpowiedział:

— Niech pon się nie boją! Wszyscy tu kontrabandę wożą, a pan często jeździ z pakunkami, każdy wie, co to znaczy! Ale mnie co do tego — dodał, uśmiechając się, — wiezie pan kontrabandę, czy nie. Ja mam zarobek, a przy panu i swoje rzeczy bezpieczniej przewiozę.

Innym razem, opowiadał mi dalej towarzysz z granicy, miałem do przewiezienia bibułę i poszedłem nająć konie. Po drodze spotykam włościanina, z którym nieraz już jeździłem. Pytam go o konie. Chłop podrapał czuprynę i wreszcie pyta:

— Pon tak, jak stoi, czy z rzeczami?

— A co? — pytam.

— A bo cosik te juchy bardzo niespokojne dzisiaj, — mówił, pokazując na drogę, po której w tej chwili jechało kilku zielonych wojaków. — Chyba boczną drogą pojedziem.

Naturalnie, w obydwóch wypadkach chłopi nie podejrzywali nawet, że tą kontrabandą była bibuła.

Powszechna konspiracja przeciw zielonym rycerzom, jak powiedziałem, utrudnia ogromnie ich pozycję w walce z kontrabandą. Lecz bodaj nic tak bardzo nie zaciera granicy państwowej, nic bardziej się nie przyczynia do wytworzenia międzypaństwowych pojęć na pograniczu, jak ugoda zielonych z kontrabandą oraz stałe przechodzenie poszczególnych zielonych do obozu spiskowców.

Przedewszystkiem każdy z zielonych, równie dobrze, jak i każdy mieszkaniec pogranicza, wie o tem, że za słupami granicznemi jedne towary są tańsze, inne lepsze. Często łatwiej jest za kordonem o dobrego rzemieślnika lub lekarza, a gdy, co również nierzadko się zdarza, po tamtej stronie granicy jest blisko miasto lub większe miasteczko, łatwo tam o zabawę i różne wygody, których brak po tej stronie. Naturalnie, głupimby był ten, ktoby z takich udogodnień nie korzystał. I każdy zielony korzysta z nich w większym nawet stopniu, niż przeciętny mieszkaniec pogranicza, w większym dlatego, że będąc sam stróżem prawa, ma zapewnioną bezkarność przestępstwa.

Następnie, wśród zielonych kwitnie, jak wogóle wśród urzędników rosyjskich, gatunek ugody z otoczeniem, nazwany przez znakomitego satyryka rosyjskiego, Szczedryna, koniecznem dopełnieniem i poprawką samowładczej konstytucji, — łapówka i przekupstwo. Po rosyjsku komory celne nazywają się *tamożnią.* Otóż jeden Żydek, zapytany, co właściwie oznacza to słowo, mrugnął oczkami filuternie i wyjaśnił odrazu fi-

lologiczne pochodzenie *tamożni* od polskich słów — tam można.

W istocie — tam można! Wysokie cła, uciążliwe, długie i kosztowne formalności przy załatwianiu czynności celnych, niewielkie względnie pensje urzędników oraz powszechność łapówek w Rosji wytwarzają takie położenie rzeczy, że strony interesowane wywierają silne parcie na urzędników celnych w kierunku przekupstwa i zieloni oprzeć się temu nie mogą. Liczba pilnujących praw granicznych w ten sposób się zmniejsza, liczba zaś spiskowych wzrasta.

Prosty stupajka zielony, żołnierz, wchodzi w umowę z przemytnikami i pomaga sam przy przenoszeniu kontrabandy, dając nawet w zastaw własny karabin. Urzędnik celny konspiruje z ekspedytorami, ułatwiając im formalności celne lub zamykając oczy na oszustwa ekspedytora. Oficer straży pogranicznej prowadzi handel kontrabandą, a raz po raz znajdzie się zielony, uprawiający sam kontrabandę, jak rzemiosło, na własną rękę. Wszystko to wytwarzać musi pewną zależność od otoczenia, które, jak widzieliśmy wyżej, całe, bez wyjątków, uprawia kontrabandę bezustannie.

Zależność ta wzrasta jeszcze bardziej przy stosunkach towarzyskich mieszkańców pogranicza z zielonymi.

Wobec interesu, który przy takich stosunkach łatwiej się ubija, cywilni mieszkańcy chętnie znajomią się z zielonymi, zobowiązując ich to poczęstunkiem, to grzecznością, to prezencikiem, od którego wymówić się niepodobna. Słowem, wyzyskując wszystkie możliwe słabe strony

stróżów prawa i porządku, otoczenie, złożone z kontrabandzistów zawodowych i przygodnych, powoli asymiluje ich z sobą i zmusza, jeśli nie do współdziałania, to przynajmniej do przymykania oczu na przestępstwa graniczne.

Jeśli organizacja zielonych jest tą skałą, na której jest zbudowana obrona granicy, to przyznać trzeba, że jest ona bardzo kruchą i chwiejną oporą. Nie jest to granit, lecz miękki wapień, na który dezorganizujące czynniki życia pogranicznego działają, jak wiatr lub fale wody na tego rodzaju geologiczną formację. Kruszy się ona, wietrzeje i rozsypuje się, otwierając drogę dla nacierających żywiołów.

Tym żywiołem jest ludność pograniczna, z którą zieloni, nie mogąc poradzić, wchodzą w ugodę. Widzieliśmy, że ta ludność przy zadawalaniu swych potrzeb nie krępuje się wcale granicą państwową. Z chwilą więc, gdy nielegalne wydawnictwa stają się potrzebą tej ludności, i do nich stosuje się ogólne prawo życia pogranicznego — zanik granicy. Przechodzą ją one równie łatwo, jak pruskie cygaro lub tandeta wiedeńska, kupiona na rynku krakowskim.

Takie powolne, po kropelce niejako, przesiąkanie bibuły z księgarń zagranicznych do rąk jej konsumentów w Polsce pod caratem tłumaczy nam możliwość istnienia pewnej, mniejszej, części spotrzebowywanej rok rocznie bibuły. Bo przecie, rzecz prosta, ten żywiołowy i powolny proces przesiąkania nie może wystarczać organizacjom, potrzebującym dziesiątków tysięcy egzemplarzy bibuły, wymagającym stale świeżego jej dopływu. Wreszcie te kropelki, będąc na-

wet licznemi, nie mogą być ujęte w system, nie mogą być kierowane i regulowane, jak to można zrobić ze stałym strumieniem. Niewątpliwie jednak opisane wyżej podmycie granicy stanowi poważne ułatwienia dla przebicia jej przez taki właśnie strumień bibuły.

Dosadne rosyjskie przysłowie mówi: *„Byłoby bołoto, czerti najdutsia“* (niech będzie błoto, a czarci się na niem znajdą). Stosunki graniczne są właśnie tem błotem, na którem z pewną łatwością czarci przeciwpaństwowi swe harce wyprawiać mogą.

Względnie najłatwiejszem jest przewiezienie jednorazowe większej ilości bibuły. Do tego najczęściej wystarcza towarzysz, niepozbawiony sprytu i mający stosunki gdziekolwiek na pograniczu. Mówię wyraźnie „gdziekolwiek“, bo wszędzie te stosunki są mniej więcej do siebie podobne. Oto, jak mi opowiadał jeden z towarzyszów o swojej próbie pod tym względem:

Granice partyjne — mówił mi — były w tym czasie zawalone robotą, a partji chodziło o przemycenie na termin rosyjskiej bibuły, do czego się była zobowiązała. Poruczono ten interes mnie, jako pochodzącemu z pogranicza i mogącemu zatem prędzej, niż kto inny, wynaleźć dziurę dla transportu. Coprawda, nie byłem w swej ściślejszej ojczyźnie już dosyć dawno, lecz podjąłem się tego, bo liczyłem na mego kuzyna, który mieszkał na pograniczu, gdzie ojciec jego dzierżawił większy jakiś majątek.

W istocie rachuba moja nie okazała się mylną. Zaraz prawie po przyjeździe do swego krewniaka zaszła rozmowa o nielegalnych książkach, a to z powodu, żem na stole mego kuzyna znalazł

parę wydawnictw galicyjskich, tyczących się powstania 63 roku.

— Skąd je masz? — zapytałem.

— Zabawne skąd — odparł, — z zagranicy.

— Szczęśliwy, że możesz tak łatwo mieć książki zakazane, tam, w Warszawie, znam wielu ludzi, którzy drogoby dali, by mieć takie książki

Kuzyn mój był chłopak dosyć lekkomyślny, więc nietrudno mi było przekonać go, że musi mi pomóc w przetransportowaniu pewnej ilości książek. Nie przyznałem mu się, że będą to książki rosyjskie, bo prawdopodobnie spotkałbym się z odmową. Obawiał się tylko, by ojciec jego, człowiek, odstraszony gruntownie od wszelkiej nielegalności jeszcze w 63 roku, nie dowiedział się o tym jego figlu.

Zacząłem go rozpytywać o stosunki graniczne, o jego znajomości wśród zielonych oraz wśród mieszkańców pogranicza z tamtej strony. Z rozmowy dowiedziałem się, że mój krewniak senjor, chociaż bał się rzeczy nielegalnych politycznie, pod względem zwyczajnej kontrabandy chadzał ścieżkami niezupełnie legalnemi. Mianowicie, opłacając komorowych urzędników, sprowadzał z zagranicy bez cła wszystkie narzędzia gospodarskie i świeżo nawet obijał powozy suknem szwarcowanem. Naturalnie, tej drogi nie można było użyć dla bibuły. Natomiast okazało się, że krewniak junior jest w dobrych stosunkach z oficerem straży pogranicznej, porucznikiem S., z którym zbliżyło go wspólne zamiłowanie do myślistwa. Zielony porucznik bywał z nim parę razy za kordonem i przynosił mu stamtąd przybory myśliwskie.

— Czy rewidowano wam rzeczy — pytałem — przy powrocie z za kordonu?

— Rzeczy nie mieliśmy — odpowiedział mi kuzyn, — ale nie zaglądano wcale do powozu.

Na tem oparłem swój plan. Ułożymy pod jakimś pozorem wspólną z panem porucznikiem wycieczkę za kordon, bez jego wiedzy naładujemy bibułę do pudła pod siedzenie bryczki i pod jego opieką przewieziemy ją do domu kuzyna. Omówiliśmy wszystkie szczegóły. Chodziło o ukrycie bibuły przed oczami nietylko pana porucznika, który miał nam służyć jako piorunochron, ale i domowego otoczenia mego kuzyna.

Postanowiliśmy więc w czasie wycieczki za kordon nie brać z sobą furmana i manewrować tak, by przyjechać do domu późnym wieczorem, gdy łatwiej jest wynieść niepostrzeżenie paczki z bibułą z bryczki do pokoju.

Mój kuzyn w parę dni potem wyruszył za kordon i wyprawił listy do towarzyszów zagranicznych, którym poleciłem wysłać odpowiednią ilość bibuły na imię sklepikarza w miasteczku zakordonowem, z którym dom mego kuzyna utrzymywał stałe stosunki. Bibuła miała swem opakowaniem imitować sukno. Specjalny zaś liścik do mego kuzyna miał być oznaką, iż owe sukno już jest do zabrania.

Wkrótce poznajomiłem się tu z naszym piorunochronem. Poznanie nastąpiło w miasteczku pogranicznem, odległem od siedziby mego kuzyna o parę kilometrów, w knajpie, uczęszczanej przez pograniczną arystokrację, do której zaczęliśmy zaglądać, chcąc nadać pozory wypadkowości naszemu spotkaniu z panem porucznikiem.

— Oto on! — szepnął mi razu pewnego mój kuzyn, wskazując oczami na młodego, barczystego oficera, który zamaszyście z brzękiem ostróg wchodził do knajpy.

Porucznik okazał się wesołym towarzyszem przy kieliszku. Opowiadał nam z wielkim ferworem o swych sukcesach myśliwskich i nadzwyczajnej celności swego oka. Rozmowa kręciła się koło polowania i mój kuzyn zaczął się skarżyć, że wobec zbliżającego się jesiennego sezonu myśliwskiego zabraknie mu gilz ładunkowych do dwururki, niedawno przez tegoż porucznika z za kordonu sprowadzonej. Usłużny porucznik zaproponował swe usługi w tym wypadku, bo i sam miał jakieś luki myśliwskie do zapełnienia.

Postanowiłem skorzystać z tej okazji i zaproponowałem, byśmy się wybrali kiedy za kordon razem. Porucznik chętnie się na to zgodził i nawet obiecał przewieźć mię na tamtą stronę i zpowrotem bez paszportu lub półpaska. Długośmy się spierali o to, czy pójdziemy pieszo, czy pojedziemy, bo pan porucznik, wielki amator spacerów, chciał nas koniecznie prowadzić drogą leśną i pokazać nadzwyczajne talenty swego jamnika. Wreszcie dał się jednak przekonać i ułożyliśmy się, że zajedziemy po niego na kordon za kilka dni, gdy nasz porucznik miał wolny dzień od służby.

Na szczęście w tym czasie przyszło też umówione zawiadomienie o tem, że sukno już otrzymane. Trzeba było działać możliwie prędko, bo i sklepikarz mógł przez ciekawość obejrzeć owo „sukno“ i wreszcie mój kuzyn coraz bardziej się rozklejał i wobec zbliżania się stanowczej chwili

okazywał coraz bardziej chęć porzucenia całej imprezy. Żartowałem, śmiałem się z jego tchórzliwości, lecz odczuwałem, że muszę polegać jedynie na sobie i swoją stanowczością zmuszać kuzynka do czynu.

Nadszedł nareszcie dzień, wyznaczony nam przez pana porucznika. Kuzynek mój był zdenerwowany i podniecony do niemożliwości; prosił mię, bym jechał sam, bo się czuje chorym. Oparłem się jednak temu, bo przecież ktoś musi bawić pana porucznika, gdy się będzie pakowało bibułę do bryczki. Wreszcie kuzynek dał się uprosić i siadł do przygotowanego powozu, jak skazaniec, jadący na ścięcie. Bałem się, że jego zdenerwowanie zwróci uwagę pana porucznika, więc umówiliśmy się, że ja porucznika nie odstąpię, a on będzie się opiekował bibułą i zapakuje ją do wozu.

Ruszyliśmy. Na kordonie spotkaliśmy oczekującego nas porucznika, którego nie poznałem. Był ubrany cywilnie, władze bowiem rosyjskie niechętnie patrzą na wycieczki wojskowych za granicę wobec możliwości „obrazy munduru rosyjskiego". Porucznik był wesoły, jak szczygieł. Dowiedziałem się wkrótce o przyczynie tej wesołości. Na tamtej stronie, w miasteczku, była jakaś romansowa Niemeczka, która obdarzała swemi względami pana porucznika. Po drodze porucznik zdążył mi opowiedzieć parę pieprznych szczegółów romansu i opisać swą Niemeczkę zanadto szczegółowo. Minęliśmy kordon szczęśliwie. Pan porucznik, według obietnicy, wstawił się za mną u zielonego cerbera, strzegącego granic imperjum carskiego, i wkrótce stanęliśmy u celu po-

dróży, w pruskiem miasteczku M. Konie zostawiliśmy u sklepikarza i we trójkę poszliśmy zwiedzać osobliwości miasteczka — knajpy z porządnem niemieckiem piwem. Po drodze załatwiliśmy myśliwskie interesy, a gdy liczba wypitych kufli była już dosyć dużą i wpłynęła nieco na podniesienie fantazji mego kuzynka, zaproponowałem panu porucznikowi spacer i wizytę u Niemeczki, na kuzyna zaś mrugnąłem, by w tym czasie załatwił się z suknem-bibułą.

Nieszczęście chciało, żeśmy Niemeczki nie zastali. Porucznik stracił na humorze i pomimo, żem go wyciągał na myśliwskie opowiadania, nie zdradzał wielkiej chęci do dłuższego spaceru sam na sam ze mną. Jeszcze kilka kufelków piwa i wreszcie nie było już sposobu zatrzymać porucznika, który, zgryziony niepowodzeniem miłosnem, chciał koniecznie wracać czemprędzej do domu. Spojrzałem na zegarek — trochę więcej, niż pół godziny, minęło od czasu, gdyśmy się rozstali z kuzynkiem, musiał więc chyba załatwić się z włożeniem kilku pakunków do bryki. Na wszelki jednak wypadek, podchodząc do sklepiku, prowadziłem rozmowę tak głośno, by kuzynek mógł wiedzieć o naszym powrocie.

Nagle, ku wielkiemu memu zdumieniu, kuzynek z okropnie wystraszoną twarzą wyskoczył ze sklepiku, chwycił porucznika pod ramię i zaczął mu coś szeptać do ucha, dając mi za plecami jakieś rozpaczliwe znaki, wskazujące na sklepik. Wpadłem, jak bomba, na podwórze sklepikarza, gdzie stały nasze konie. Koło wozu stała sklepikarka i wyjmowała z pudła książki, składając je do swego fartucha. Zdębiałem.

— *Was machen Sie?*

— *Der junge Herr hat gesagt, er wird nicht die Bücher nehmen* — odparła mi flegmatycznie Niemka.

Nie rozpytywałem już, dlaczego się książki z opakowania wysypały, lecz nie tracąc czasu, postanowiłem ratować. co się da. Słyszałem głosy porucznika i kuzynka, oddalające się od sklepiku, więc wyrwałem książki z rąk Niemki i wpakowałem je napowrót do wozu. Jeden tylko pakunek był rozsypany. Dwa inne leżały obok na ziemi. Gdym jednak chciał bez rozprucia opakowania wsunąć zawiniątko pod siedzenie, okazało się, że jest ono za krótkie dla pakunku. Widocznie kuzynek, chcąc go wcisnąć, musiał ugnieść go zbyt silnie, tak, że opakowanie pękło i książki się wysypały. Nie było rady, rozprułem płótno i wysypałem książki z drugiego pakunku.

Nigdy w życiu tak się nie śpieszyłem i nie zmęczyłem, jak wówczas. Cały czas nasłuchiwałem, czy porucznik nie wraca, ręce drżały mi ze wzruszenia, pot wystąpił mi na czoło. Nie myślałem wcale o tem, że cała rodzina sklepikarza otaczała mię i oglądała ze zdziwieniem moją robotę; nie myślałem, że taki brak konspiracji może się skrupić i na mnie, i na mych krewniakach, chciałem tylko skończyć prędzej robotę, chciałem uniknąć zetknięcia się porucznika z bibułą.

Zaledwiem zdążył jako tako ułożyć książki z drugiego pakunku, gdym usłyszał głosy wracających. Czemprędzej przykryłem bibułę poduszkami od siedzenia, trzeci zaś pakunek wsunąłem wprost do bryczki, położywszy go wzdłuż z brzegu tejże i przysypałem go sianem. W duchu po-

stanowiłem siąść do bryki z tej właśnie strony, by nikt inny nie wyczuł pod nogą pakunku. Po chwili porucznik i kuzynek byli już przy bryczce. Kuzynek był zupełnie wyczerpany, blady, z przygasłemi oczami, patrzał na mnie, jak skazaniec, błagający o litość. Pan porucznik, nieco podchmielony, był niecierpliwy, raz po raz powtarzał:

— *Nu, gaspada, jediem. A panu szkodzit mnogo pić* — dodał łamaną polszczyzną, zwracając się do mego kuzynka.

Usadowiliśmy się na wozie — ja, naturalnie, z brzegu, gdzie była bibuła. Na odjezdnem kuzynek, który powoził, szeptem zapytał mię: „A gdzie książki“? Odpowiedziałem mu również szeptem, udając gniew: „Zostały“. Humor kuzynka nagle się poprawił i z fantazją zaciął konie. Bryczka zadudniła po pysznej szosie pruskiej, zbliżając się do granicy.

Co do mnie, nie byłem zupełnie spokojny. Gdyśmy kilka godzin temu przejeżdżali granicę, widziałem, jak zieloni rewidowali jakiś powóz i parę furmanek chłopskich, które z Prus wkraczały do imperjum rosyjskiego. Rewizja nie była ścisła, coprawda, lecz polegała na tem, że któryś z zielonych wsuwał rękę do wozu i przetrząsał siano. Liczyłem na to, że nas z porucznikiem nie zechcą fatygować i nie będą podejmować poduszek powozu, lecz dręczył mię pakunek, który wyczuwałem pod nogami. Co będzie, gdy zielony podejmie siano, przykrywające pakunek? Albo co będzie, gdy porucznik zechce zejść na chwilę na przykomórek przywitać się i pogawędzić z przyjacielem - urzędnikiem celnym? Może będę

zmuszony zejść i ja, i zostawię w ten sposób wóz bez opieki.

Te pytania męczyły mię mocno i przyznam się, gdy wreszcie zgrzytnęły łańcuchy na rogatce granicznej, byłem mocno zdenerwowany i ze złością patrzałem na swego kuzynka, który spokojnie zatrzymał konie już na terytorjum rosyjskiem. Lecz nikt z zielonych nie zbliżył się nawet do bryczki, a pan porucznik, pochmurny i niezadowolony z wycieczki, ani się poruszył i tylko mruknął coś niezrozumiałego na powitanie żołnierzy i urzędnika celnego. Odetchnąłem jednak lżej dopiero, kiedy mój kuzyn po załatwieniu formalności paszportowej siadł znowu na brykę i konie lekkim truchtem ruszyły po pylnej drodze.

Kuzynek mój dowiedział się o tem, że został oszukany, dopiero wtedy, gdyśmy pochmurnego porucznika pozbyli się przy kordonie i gdy, siadłszy na jego miejscu, zaczął szeptem usprawiedliwiać się przede mną, że kazał sklepikarce zniszczyć książki.

— Jakaś głupia moskiewszczyzna — dodał, — i poco tobie takie książki?

Zamiast odpowiedzi. odsunąłem siano z pod nogi i poprosiłem go, by zajrzał pod poduszki bryczki.

Zgłupiał, zdumiony moją bezczelnością. Zgodził się jednak z losem, prosił mię tylko, bym wziął całą winę na siebie w razie, gdyby do ojca jego doszła przez sklepikarza wiadomość o tym wypadku. Reszta poszła, jak po maśle. Zdołaliśmy niepostrzeżenie wyjąć bibułę z bryczki i zapakować do przygotowanych walizek, a w kilka dni potem dostarczyłem książki do Warszawy.

*

* *

Powyższe opowiadanie towarzysza, pochodzącego z pogranicza, dowodzi, coprawda, względnej łatwości urządzenia jednego jakiego transportu bibuły, lecz nic nie mówi o takich transportach, jako o czemś stałem i regularnem. Rzecz jasna, że kombinacja, oparta na wyzyskaniu wspólnej z romansowym porucznikiem wycieczki za kordon, może się nie powtórzyć, tem bardziej, gdy za pośredników używać trzeba, chociaż i lekkomyślnych, lecz tchórzliwych kuzynków. Potrzeby partji nie mogą być zadowalane przez takie wypadkowe, niezorganizowane kombinacje przejezdnych towarzyszów. Musi ona mieć porządne, że je tak nazwę, biura transportowo-ekspedycyjne, działające stale, nie sporadycznie.

Każdy łatwo zrozumie, że pierwszym warunkiem istnienia takiego biura jest zamieszkanie na stałe przez jakiegokolwiek towarzysza pogranicza państwa. Już ta jedna okoliczność stwarza niemałe trudności do pokonania.

Całe pogranicze, z wyjątkiem paru punktów, jak Zagłębie Dąbrowskie lub Kalisz, jest to kraj rolniczy, odcięty najczęściej w dodatku przez politykę kolejową Rosji od reszty kraju. Wyszukanie więc odpowiedniego towarzysza wśród mieszkańców pogranicza, gdy się zważy, że wszystkie żywsze miejscowości obciążone są wzmocnionym odpowiednio dozorem celnym i policyjnym, nie jest łatwe. Osadzenie zaś umyślne którego z odpowiednich towarzyszy przedstawia te trudności, że w takich, przeważnie głuchych, zakątkach trud-

no o zajęcie, dające legalny i zrozumiały dla wszystkich pozór zamieszkania.

Dopiero po przezwyciężeniu tej pierwszej przeszkody, nad którą ludzie nieraz łamią sobie głowy miesiącami, o ile szczęśliwy wypadek nie nasunie odpowiedniej kombinacji, można przystąpić do interesu. Naturalnie, trzeba dać czas takiemu towarzyszowi rozpatrzeć się w otoczeniu, zbadać grunt i teren, na którym będzie pracował. Jeśli człowiek jest tem, co w Warszawie nazywają „cwaniak“, to jest sprytny i obrotny, to w krótkim przeciągu czasu dostrzeże mnóstwo okazyj, przy których można to lub owo zrobić dla interesu: przenieść bezpiecznie bibułę przez granicę, wywieźć ją z pasa pogranicznego bez osobliwego narażania się na wsypę, zużytkować kogokolwiek z otoczenia do takiej lub innej pomocy przy prowadzeniu interesu i tak dalej. Po pewnym czasie i przy sprzyjających okolicznościach wytworzy się z pewnością jakiś system i kolejność w zużytkowywaniu różnych kombinacyj, powtarzających się od czasu do czasu, lecz zbyt rzadkich, by tylko na jednej z nich opierać cały interes.

Jednym z takich idealnych transporciarzy był towarzysz X. Specjalnie w celu urządzenia drogi dla wydawnictw nielegalnych przyjął on drobną posadę w jakiejś fabryczce pogranicznej. Miał on szczególny dar zjednywania sobie ludzi i przywiązywania ich do siebie, a dzięki sprytowi wkrótce był na pograniczu, jak u siebie w domu. Znał wszystkie tajniki graniczne, wszystkie stosunki, łączące ludzi pomiędzy sobą, i raz po raz w głuchym i mało zaludnionym zakątku potrafiał sobie zdobyć pomocnika lub pomocnicę w niebez-

piecznym procederze. Gdy sobie wybrał kogo do pomocy, oplątywał go powoli siecią drobnych usług i grzeczności, zobowiązywał dobrocią serca, gdyż się do takich pomocników zupełnie szczerze przywiązywał. Wciągał do interesu powoli i stopniowo, nie odkrywając narazie wszystkich swych kart, tak, że gdy „ofiara", jak takich ludzi żartobliwie nazywał, spostrzegła się, że jest jednem z kółek w jakimś nieznanym jej mechanizmie transportowym, było już późno — była zbyt oplątana misterną siecią i najczęściej poddawała się losowi.

Zresztą, wykorzystał on całe otoczenie. Jeden nieświadomie zupełnie służył mu dla wyrobienia dobrej opinji wśród zielonych i u władzy, drugi bezwiednie dał się naciągnąć w chwili odpowiedniej dla osłonięcia transportu przy przejściu granicy lub kordonu, trzeci pod pozorem prezentu zawiózł do najbliższego miasta trochę bibuły, czwarty, nakręcony przez niego, dowiedział się o tej lub innej tajemnicy urzędowej — i tak bez końca. Myśl miał wiecznie wytężoną w celu zwiększenia wydajności swej pracy i osłony swej roboty mrówczej przed niepożądanym wzrokiem argusowym nietylko zielonych, żandarmów lub policji, lecz i plotkarzy małomiasteczkowych.

Najkomiczniejszą jego „ofiarą" był tłusty oberżysta zakordonowy, który mu służył jako pośrednik przy otrzymywaniu bibuły z zagranicznych składów. Narazie, skaptowany jakimś drobnym prezencikiem, proszony był o wypisanie paru posyłek na swoje imię — nie książek, broń Boże, lecz jakiejś zwyczajnej kontrabandy. Przyzwyczajony do tego rodzaju transakcyj przez wielu

mieszkańców pogranicza, zgodził się na to chętnie. Naturalnie, zamiast jakiegoś sukienka czy serwisu, przyszła bibuła, odpowiednio opakowana, z miasta, odpowiadającego tego rodzaju towarom.

Po kilku tygodniach nastąpiła nowa posyłka, na którą oberżysta zgodził się tem chętniej, że nasz towarzysz ułatwił mu przez swe stosunki kilka drobnych interesów na komorze rosyjskiej. Posyłki wkrótce zaczęły przychodzić coraz częściej, lecz oberżysta, widząc naszego towarzysza zawsze uśmiechniętego i pewnego siebie, oraz wiedząc dobrze, że mnóstwo rozmaitych towarów w ten sposób przechodzi granicę, zacierał tylko ręce, gdyż towarzysz nasz chętnie pomagał mu w tych interesach, jakie „ofiara" miała na pograniczu rosyjskiem.

Wkrótce jednak twarz oberżysty ogromnie się wydłużyła. Wypadkowo zoczył on, że tym towarem, dla którego użyczał swego pośrednictwa, była bibuła. Słyszał on o ruchu rewolucyjnym w Rosji, dochodziły doń przesadne wieści o okrutnych prześladowaniach, torturach i męczarniach, jakim podlegają wrogowie „porządku politycznego i społecznego" w Rosji, a zarazem miał on wysokie pojęcie o potędze cara, który, zdaniem jego, mógł marnego oberżystę nadgranicznego zupełnie łatwo chwycić z obcego państwa, by wywrzeć na nim zemstę za knowania przeciwpaństwowe. W ogromnym więc strachu zrobił gorzką wymówkę naszemu towarzyszowi za takie narażanie „przyjaciela" i stanowczo odmówił pomocy swej nadal.

Towarzysz nasz nie dał się jednak zbić z tropu. Stosunek jego z oberżystą, gospodarzem miejsca

nawpół publicznego, wydawał mu się bardzo wygodnym, bardziej zabezpieczającym transporty, niż jaki inny, tem bardziej, że handlowe interesy „ofiary“ dawały doskonały pozór dla wielkiej ilości posyłek, nadchodzących do oberży. Postanowił więc wykorzystać strach swej „ofiary“, by ją przykuć do taczki na dłużej.

Przedstawił więc mu, że jego częste stosunki z „przyjacielem“ nie są tajemnicą dla nikogo, że w razie odmowy jego będzie zmuszony urządzać interes inaczej, mniej pewnie, mniej bezpiecznie i prawdopodobnie się wsypie, a wówczas, naturalnie, stosunki dwóch „przyjaciół“ nabiorą w oczach żandarmów rosyjskich innego znaczenia, wówczas dopiero grozić mu będzie prawdziwe niebezpieczeństwo.

Po długich targach biedna „ofiara“ dała się przekonać, tem bardziej, że na poparcie tych argumentów otrzymała w prezencie piękny zegarek. Prosił tylko, by posyłki były mniej częste. Odtąd co miesiąc lub częściej biedny oberżysta ponawiał usiłowania wyrwania się z sieci i za każdym razem cofał się. Żył w wiecznym strachu, osobliwie, gdy leżało u niego więcej bibuły lub na granicy było nieco niespokojnie, drżał, gdy do jego oberży wsuwał się który z zielonych lub innych urzędników rosyjskich. Dla uspokojenia „przyjaciela“ towarzysz nasz musiał znosić najrozmaitsze jego kaprysy — musiał się zgadzać na różne głupie kombinacje, któremi biedny oberżysta starał się zabezpieczyć siebie i „przyjaciela“. Miał więc określone godziny, kiedy się mógł zgłaszać do oberży, musiał często zmieniać sposób opakowania bibuły, sprawić jakąś nadzwyczajną

szafę z podwójnemi ściankami, jako schowanka bibuły i tak dalej.

Pomiędzy innemi oberżysta ogromnie się wystrzegał, by ktokolwiek nie zobaczył naszego towarzysza w prywatnem jego mieszkaniu. Razu pewnego wynikła z tego powodu zabawna scena. Po miljonach ostrożności, przysłanianiu okien, wciskaniu towarzysza X. do kąta w każdej chwili, gdy kto przechodził przed oknami mieszkania, oberżysta pozwolił wreszcie zajrzeć do tajemniczej szafy, gdzie był wpakowany świeży transport bibuły. Nieszczęście chciało, że gdy towarzysz nasz był zajęty segregowaniem bibuły i pakowaniem jej w odpowiedni dla przeniesienia przez granicę sposób, a oberżysta biegał po pokoju, na palcach podchodząc od jednego okna do drugiego, przy drzwiach rozległy się kroki i skrzypnęła klamka. Nim się nasz towarzysz obejrzał, barczysty oberżysta schwycił go za kołnierz, położył go na podłodze, przykrył go jakiemś ubraniem i zatrzasnął szafę.

Jak się okazało, do pokoju weszła bratowa oberżysty, która miała jakiś interes do niego. Wystraszony mimowolny rewolucjonista nie mógł odrazu zrozumieć, o co bratowej chodzi, i czynił rozpaczliwe wysiłki, by zasłonić swem ciałem miejsce, gdzie leżał nasz towarzysz, którego nieprzykryta noga sterczała z pod płachty. Wreszcie, widząc, że wszelkie usiłowania są daremnemi i że bratowa uparcie patrzy na ową nieszczęśliwą nogę, podskoczył do zdziwionej kobiety i wyrzucił ją za drzwi. Po tym wypadku oberżysta był w rozpaczy, tem bardziej, że nasz towarzysz zgromił go ostro za takie zachowanie się, które więcej

niż co innego, zwrócić może uwagę otoczenia na ich stosunek. Lecz oberżysta uspokoił się nieco dopiero wtedy, gdy jakąś dziwaczną kotarą odgrodził kąt w pokoju i umieścił w nim szafę z bibułą. Nasz towarzysz natychmiast po wejściu do pokoju był wpychany za kotarę, gdzie w mroku i ciasnocie mógł już gospodarzyć swobodniej.

Po dwóch latach takiej niewoli oberżysta nie wytrzymał tej katorgi i porzucił swą oberżę. Wyniósł się do spokojniejszych stron, w głąb kraju, lecz przez cały ten czas oddał nieobliczone usługi wrogom caratu.

Inna „ofiara“ naszego towarzysza, już więcej świadoma i zdająca sobie sprawę z tego, co czyni, była żoną jednego z urzędników komorowych w tej okolicy.

Pani Z* pochodziła z niemieckiej, spolszczonej już rodziny i jako guwernantka w bogatym urzędniczym domu, wyszła zamąż za krewnego swego pryncypała, Rosjanina i urzędnika celnego. Pan Z*, gdy go los zetknął na polskiej ziemi z naszym towarzyszem, był już zupełną ruiną człowieka. Wyniszczyły go zupełnie choroby — skutki hulaszczego życia w młodości. Może był niegdyś niegłupim, lecz w owym czasie był to zidjociały szkielet człowieka, który z ludzkich funkcyj zachował bodaj tylko zdolność trawienia i leniwego poruszania się z miejsca na miejsce. Trzymano go na urzędzie jedynie dlatego, że ze względu na krewnego, wysokiego urzędnika w Petersburgu, chciano mu pozwolić na wysłużenie emerytury. Małżeństwo miało córkę kilkunastoletnią, która się kształciła w jakimś zakładzie naukowym w Warszawie.

Pani Z*, związana z człowiekiem pół - trupem, zdala od córki, do której była przywiązana całem sercem, nie znajdowała w swem otoczeniu, składającem się z nieokrzesanych, często pijanych urzędników, nic takiego, coby mogło zapełnić jako tako jej życie. W tym czasie przybył w owe okolice towarzysz X. Znajomość zawiązała się wypadkowo. Towarzysz X. wyjeżdżał w interesie fabryki do Warszawy i był proszony o dostarczenie córce państwa Z* prezenciku od rodziców. Wrócił z listem córki i znajomość została zawarta. Po pewnym czasie nasz towarzysz zdecydował się na zużytkowanie dla sprawy tej nowej znajomości.

Narazie powiedział pani Z*, że jakiś znajomy z Warszawy prosił go o dostarczenie mu kilku książek niecenzuralnych, a że w jego kawalerskiem mieszkaniu mogły wpaść one w oko komuś ze służby, prosił o przechowanie książek do czasu oddania ich w należyte ręce. Gdy pani Z* się zgodziła, przyniósł jej kilka, specjalnie w tym celu wypisanych, tomików poezyj polskich i parę książek historycznych. Było to zrobione, naturalnie, w celu oswojenia „ofiary" z nielegalną książką i wysondowania, czy nie wywoła to strachu. Pani Z* okazała się odważną i nietylko przechowała książki, lecz i przeczytała je. Wkrótce, jak i u owego oberżysty, liczba książek, przechowywanych u pani Z*, zaczęła wzrastać, treść ich zaczęła nabierać określeńszej barwy, a gdy to nie zrażało pani Z*, towarzysz nasz nareszcie zwierzył się jej, że należy do organizacji, walczącej z rządem carskim, i zaproponował jej od czasu do czasu pomagać mu w robocie.

Dla pani Z* znajomość z naszym towarzyszem oraz interesy z bibułą były zapełnieniem przerażającej pustki życiowej, a zresztą czuła ona pewnego rodzaju litość dla sympatycznego chłopca, który dla idei narażał się na widoczne niebezpieczeństwo. Zgodziła się więc na propozycję i oddała swe mieszkanie oraz swoje siły na usługi naszemu towarzyszowi. Dla niego pomoc ta była bardzo cenną. Mieszkanie państwa Z* znajdowało się w dużym murowanym domu, gdzie się mieściło kilka rodzin urzędniczych, więc samo miejsce było swego rodzaju *tabu* dla zielonych, a w dodatku towarzysz X. mógł używać nieraz pomocy pani Z*, a przez nią i jej męża, dla osłony poważniejszych transportów w głąb kraju.

Jeden z towarzyszów, który brał udział w przewiezieniu takiego poważniejszego transportu, opisywał swoje przejścia w tym wypadku w następujący sposób.

*

* *

— Miałem przywieźć do Warszawy świeży numer *Przedświtu*, mniej więcej dwa pudy bibuły. W tym celu musiałem jechać do miasteczka, oddalonego od granicy o kilka mil, gdzie towarzysz X. miał mi oddać już przetransportowany *Przedświt*. Randka miała nastąpić u jakiegoś znajomego X. Przyjechałem szczęśliwie, zastałem X., lecz bibuły nie było.

— Nie przywiozłem nic — oświadczył mi X., — bo mam na myśli coś większego. Dzisiaj pod wie-

czór oczekuję czcionek dla naszej drukarni, więc dobrze byłoby, gdybyś zabrał wszystko odrazu — czcionki i *Przedświt.*

— Ależ do djabła! — zaprotestowałem, — cóż ty mnie chcesz obładować, jak osła! Dwa pudy bibuły, a tego metalu tyleż, czy więcej. Jak, u licha, ja to powiozę?

— Już ty się nie bój, — śmiał się X., — już ja ci to urządzę, obmyśliłem już wszystko. Tylko śpieszmy. Mamy kilka godzin czasu do przyjścia transportu, a wtedy muszę być w domu. Jazda, brachu!

Jak jazda, to jazda! Ruszyliśmy, konie były już przygotowane. W drodze X. zasypywał mnie pytaniami o znajomych towarzyszach, o robocie partyjnej.

— Ach, mój drogi! — powtarzał raz po raz, — dla mnie przyjazd każdego z was to bal prawdziwy. Siedzę tutaj, jak na wyspie bezludnej, ani do kogo porządnie przemówić, ani wiem, co się tam u was dzieje. Licho bierz takie życie!

I z wielkiego rozczulenia ściskał mi ręką kolano.

— Wam tam wesoło — prawił, — macie życie, ruch, a tu br!... wiecznie albo kłamiesz, albo kogoś na coś naciągasz. Nie masz wyobrażenia, — ciągnął dalej, zapalając się w skardze, — ile ja tu o każdego z was się niepokoję. Wciąż myślę — a może tego lub owego już niema? Wy tam z ludźmi macie do czynienia, to tego nie rozumiecie. Oj! wyłby każdy z was na mojem miejscu, wył. Bibuła, nuda i wieczna komedja! Ale, pal licho! — otrząsał się z melancholji, — cóż tam słychać

z *Robotnikiem?* Przywiozłeś mi może świeży numer?

I znowu, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, z imienia na imię, wyciągał ze mnie wszystkie nowiny partyjne. Przytem od czasu do czasu, wyjmując z kieszeni zegarek, mruczał: „Hm, hm, czy zdążę?"

Wreszcie zdala zabielały mury kościoła w miasteczku pogranicznem, a w pobliżu przy skręcie drogi ukazały się czarne ściany kordonu z zielonym wojakiem na warcie. Trochę w bok od miasteczka ukazał się malutki komin fabryczny, oddzielony od zabudowań miejskich wąskim strumieniem. Była to siedziba towarzysza X.

— Słuchaj! — zawołał nagle X. — przyszło mi na myśl, że lepiej będzie, gdy nas razem nie będą widzieć w miasteczku. Kto wie, co będzie, może transport z czcionkami nie przejdzie szczęśliwie, może przemytnika złapią, może wyśpiewa odrazu, że niósł do mnie, poco i ty masz być w to zamieszany. Nie, nie chcę tego! Urządzimy tak Ja zajadę do miasteczka... Nie, lepiej ty jedź do miasteczka, zapłać woźnicy zaraz w początku zabudowań, tam będzie uliczka na lewo, raczej droga... o, widzisz, stąd ją widać, — prowadzi do fabryki. A może jeszcze lepiej — jedź odrazu do pani Z*, to dla ciebie najbezpieczniej. Co? Ale dla niej niewygodnie, będzie potem musiała kłamać przed ludźmi i ja jej nie uprzedzałem, że ktoś u niej być może...

I kręcił się niespokojnie na wozie, mrucząc: „może lepiej nie zaczepiać? co?" — pytał sam siebie. Widocznie tłoczyły mu się w głowie kom-

binacje w takiej ilości, że nie mógł się zatrzymać na żadnej z nich.

— Jak myślisz? — pytał. — Najlepiej chyba będzie jechać razem, jeszcze nie dasz sobie rady, zabłądzisz...

— Ależ daj spokój! — przerwałem, — widzę przecie tę drogę, o której mówisz, opowiedz więc, co mam dalej robić. Do pani Z* w istocie zajeżdżać niezręcznie.

— Tak mówisz! — uspakajał się X., który poczuwał się widocznie do obowiązku opiekowania się przyjezdnymi towarzyszami. — Tak mówisz! no, to dobrze. Jedziesz do miasteczka, płacisz woźnicy, a nie dawaj mu tylko dużego napiwku, tak 10 kopiejek, to dosyć. Jeszcze gotów pomyśleć, że jakaś sprawa nieczysta! Idź tą drogą na lewo, trafisz wprost do fabryki. Tam wal przez bramę na podwórze, nikt cię zatrzymywać nie będzie, a i robota dziś w sobotę już się skończyła. Na lewo będą dwa domki, jeden piętrowy, drugi z facjatką, więc do tego z facjatką, na schody i na strychu na lewo, tam mieszka N. N., idź do niego.

— Nie do ciebie? Czemu?

— Już ty mnie słuchaj! — mówił prosząco, — tak lepiej, bo widzisz, a nuż co się zdarzy. Tam dadzą ci herbaty i zjeść cokolwiek, już go uprzedziłem.

— Cóżto za małpa ten N. N.? Jak z nim mam mówić?

— Małpa głupia, jak stołowe nogi, ale poczciwa. Gadaj najlepiej o płci pięknej. Pytać cię o nic nie będzie. No, więc trafisz? Co? Pamiętaj zaraz

w miasteczku droga na lewo do fabryki, tam drugi dom z facjatą.

— Dobrze, dobrze, rozumiem — uspakajałem go. — A ty tam przyjdziesz? Kiedy?

— Już cię nie opuszczę, nie zje cię małpa. Aha, N. N. wie o mnie, ale to nic, on złoty chłopiec. No, na mnie pora, stąd dojdę pieszo. Stój! — zawołał na woźnicę.

Konie stanęły, X. wysiadł, ścisnąwszy mi czule rękę i patrząc mi w oczy tak, jak gdyby za chwilę jeden z nas miał być powieszony. Gdy odjechałem parę kroków, usłyszałem wołanie: „Zaczekaj, stój!“. X. znowu dopadł do wozu i szeptał mi do ucha:

— Ale, słuchaj, w razie, gdyby cię jaki strażnik lub żandarm zapytał, kto ty i poco — to się zdarza — powiedz odrazu, że do mnie. Dobrze? Bo, widzisz, najlepiej byłoby, najbezpieczniej dla ciebie powiedzieć, że do pani Z*, to dobra marka. Ale kto wie, jak dalej będzie? Poco mamy bez potrzeby wciągać panią Z*? Co?

Zgodziłem się i na to, jeszcze raz uściskaliśmy się i ruszyliśmy w różne strony. Przy wjeździe do miasteczka zatrzymałem woźnicę, opłaciłem go i poszedłem według wskazówek X. do fabryki. Nikt mnie nie zatrzymywał, spotkałem na drodze tylko konnego zielonego, który nie zwrócił nawet na mnie uwagi. Po chwili byłem już koło domu z facjatką. W dosyć ciemnej sieni znalazłem schody, prowadzące na strych. Schody były strome, karkołomne, bez poręczy. Wdrapałem się na strych i, poomacku już idąc, na lewo znalazłem jakieś drzwi. Zapukałem. Otworzyła mi drzwi jakaś senna, pulchna figura, która na zapytanie, czy

z panem N. N. mam do czynienia, zaprosiła mnie do pokoiku.

— Proszę, proszę, panie dobrodzieju,— flegmatycznie cedziła figura. — Pan X. mię uprzedzał, a jakże. Proszę, czekam z herbatką, niech pan siada.

Usiadłem. W pokoju było duszno, w nosie nieprzyjemnie łechtało od zapachu jakiejś strasznie taniej i strasznie obskurnej perfumy. Na ścianach były poprzybijane korespondentki i obrazki, przedstawiające przeważnie napół lub zupełnie rozebrane niewiasty w różnych pozach. Na komodzie rozłożony był cały arsenał grzebyków, szczoteczek, mydełek i flakoników. Sam zaś gospodarz, był to wyblakły, pucołowaty blondynek, o sennych oczach i flegmatycznych ruchach, z głupkowatym, nieco zażenowanym uśmieszkiem.

— Co, u djabła, za konspiracje może mieć X. z taką małpą? — myślałem.

N. N. nalał mi herbaty, podał mi chleb, masło i jakąś przestarzałą wędlinę i czekał cierpliwie na rozpoczęcie rozmowy, nie pytając mię o nic.

Próbowałem nawiązać rozmowę z różnych beczek; rozpytałem dokładnie mego gospodarza o warunkach pracy na fabryce, o cenach na produkty spożywcze, o przestrzeni, dzielącej fabrykę od granicy i od różnych miejsc zamieszkanych w okolicy. Na wszystkie pytania otrzymywałem jednosylabowe, monotonnym głosem wyrzeczone odpowiedzi. Wreszcie zabrakło mi tematu. Zamilkłem. Milczał i gospodarz. Na szczęście przypomniałem sobie radę X. — gadaj o płci pięknej.

— Pan był w Warszawie? Nieprawdaż? Zauważył pan zapewne, że w Warszawie dużo ładnych niewiast?

Gospodarz ożywił się nieco. Westchnął. jak wieloryb, a na twarzy zakwitł uśmiech błogi.

— Co pan mówi — ładne... co to jest ładne? Piękne, powiadam panu, piękne! Przecie to nasza sława!

Rozmowa odtąd nie urywała się. N. N. mówił dużo i z zapałem. Słuchałem pół-uchem, wciąż pytając siebie, jak ten wioskowy Don Juan mógł się stać pomocnikiem naszej sprawy. Wreszcie nie wytrzymałem i spytałem, przerywając jego dowodzenie o wyższości warszawianek nad krakowiankami.

— Pan dawno zna pana X.?

— Ja? — odpowiedział pytaniem. — Czy dawno? Nie, pół roku temu. O! to bardzo porządny, bardzo dobry człowiek! — mówił z przekonaniem. — Takich ludzi niewiele na świecie. Pan może sądzi, że ja nie czuję? Nie, ja czuję!

Co właściwie czuł pan N. N., tego mi nie wyjaśnił, widocznem jednak było, że czuł w istocie, bo twarz mu się zmieniła i jak gdyby nabrała pewnego wyrazu.

Nagle do pokoju wpadł sam X. Rzucił kapelusz na łóżko, zajrzał, nie wiem już poco, do kątów i wreszcie siadł koło mnie.

— Pijesz herbatę, — mówił wesoło, kładąc mi rękę na ramieniu. — Cóż, zmęczony jesteś? Możebyś zdrzemnął? Czeka nas jeszcze dziś wieczorem praca.

Wstał znowu, przewrócił parę gratów na stole i klepiąc dobrotliwie po ramieniu gospodarza, mówił:

— Pewnie o kobietach rozprawialiście, co? Oj! panie N. N., zgubią pana kiedyś te kobiety! A co słychać tu u nas?

— Stare dzieje, panie dobrodzieju, stare! — mówił znowu flegmatycznie gospodarz. — Pan wie, przyjechał znowu brat pana dyrektora.

— Nie wie pan, poco? — zapytał żywo X.

— Ma jakoby jechać na kilka dni do Krakowa, a potem wraca do Warszawy.

X. zamyślił się, parę razy przeszedł wzdłuż pokoju i wreszcie rzekł:

— Może mu co wsunąć, gdy będzie wracał? Powiem mu, że to prezent dla córeczki pani Z* — szeptał mi do ucha. — Ty zajdziesz do niego, mieszka na Marszałkowskiej, przedstawisz się, jako krewny pani Z,* i odbierzesz. Co? On człowiek dyskretny, nie otworzy pakunku... Nie, nie, to na nic! Ty możesz nie być w tym czasie w Warszawie, posyłka będzie u niego leżała długo. Jeszcze gotów sam zanieść na pensję. Ładny byłby obrazek, zamiast prezentu — bibuła! To na nic!

Zamyślił się znowu.

— Ale prawda, zapomniałem, żeś mi przywiózł *Robotnika* i listy zagraniczne. Poco będę tem obciążał swego pośrednika? Ten pan jedzie do Krakowa, niech zawiezie tam. Dam mu adres. Jak sądzisz, — zwrócił się do mnie, — czy można mu dać adres? — wymienił mi nazwisko jednego z towarzyszów krakowskich. — Znajdzie może *Naprzód* u niego na stole i gotów posądzić kogo z nas o socjalizm. Lepiej zapytam, gdzie się zatrzyma w Krakowie i napiszę do faceta, by zaszedł i odebrał. Tak będzie nawet grzeczniej, nie

będę go fatygował. Tak zrobię! Ot, jeszcze jeden interes będzie załatwiony!

Gospodarz, widząc, że X. coś mi szepce do ucha, dyskretnie się usunął na bok.

— Ja mam malutki interes do załatwienia — mówił, biorąc czapkę. — Zostawię tu panów. Dowidzenia!

— Nie, nie, panie. Niech pan zaczeka — zaprotestował X. — Jeszcze pół godzinki i ja pana uwolnię. Już wieczór się zbliża.

Odciągnął mnie w kąt i zniżonym głosem mówił:

— Widziałem swego przemytnika, przeniósł już w nocy czcionki, lecz zdawało mu się, że jest za nim pogoń, zakopał więc pudełka w krzakach. Dzisiaj o zmroku ma to mi przynieść. Muszę czekać na niego, ale na wszelki wypadek ty posiedź tu chwilę jeszcze, a w razie, gdybym za godzinę nie wrócił, idź z N. N. do miasteczka i już bez ceremonji wal do pani Z*. Każdy w miasteczku wskaże, gdzie ona. Z nią się już umawiaj o dalsze sprawy, tylko tu nie wracaj, bo, w razie mojej wsypy, mogą zaczepić i N. N. No, bywaj!

Ścisnął mi mocno rękę, patrząc na mnie znowu tak, jak gdybyśmy się rozstawali na zawsze albo na bardzo długo.

Wyszedł, a N. N., odprowadziwszy go do drzwi, wrócił, mrucząc:

— Biedny człowiek, nigdy spokoju, ani chwili spokoju!

Nie chciało mi się rozpoczynać raz jeszcze „kwestji kobiecej“, milczałem więc, patrząc w okno, przez które widać było gasnącą zwolna wieczorną zorzę.

Było mi trochę smutno. Nie dręczyły mię, coprawda, żadne złe przeczucia. Wiedziałem dobrze, że dzielnemu X. tyle już przedsięwzięć się udało, iż nie było żadnej racji oczekiwać, by za tym razem powinęła mu się noga. Ale... kto wie, może za chwilę, gdy ja tu będę jeszcze spokojnie siedział, tam, wśród tej miłej i cichej przyrody, przy tej pogodnie gasnącej zorzy, rozegra się jeden z dramatów granicznych, które przecież kończą się nieraz śmiercią.

Czas wlókł się leniwie, niecierpliwość moja wzrastała. Spojrzałem na zegarek — minęło zaledwie 20 minut od rozstania się z X. Więc jeszcze 40 minut czekania.

N. N. siedział na łóżku i zdawał się wsłuchiwać w wieczorną ciszę. Po pewnym czasie prawie wesoło zawołał:

— Idzie! panie dobrodzieju, idzie!

W istocie usłyszałem pod oknem ciężkie kroki i lekkie gwizdnięcie. Później słychać było krótką, urywaną rozmowę szeptem, odmykanie i zamykanie okna, wreszcie kroki zaczęły się oddalać.

— No, gotowe! — zawołał po chwili X., wpadając do pokoju i zacierając ręce. — Teraz chodź do mnie — mówił, ciągnąc mnie za rękaw. — Teraz i pan wolny — dodał, zwracając się do pana N. N.

Zeszliśmy znowu po karkołomnych schodach na dół i X. wprowadził mię do swego pokoju na parterze, pod pokoikiem N.N. na facjatce.

Pokój był nieduży, bardzo skromnie umeblowany. Stół przy oknie, na nim trochę rozrzuconych papierów i rachunków fabrycznych, łóżko

po jednej stronie stołu, po drugiej kanapka, kilka krzeseł — oto całe umeblowanie.

Gdyśmy weszli, w pokoju było ciemno. X. natychmiast zamknął za sobą drzwi na klucz, spuścił gęstą roletę i zapalił lampę. Na łóżku leżały dwa drewniane pudełka.

— Spróbuj podnieść. Oj, ciężkie cukierki! — żartował wesoło.

Były to czcionki, któreśmy wypisali dla dopełnienia inwentarza swej drukarni.

— Trzeba pudełka rozbić, przeniesiemy do pani Z* czcionki w kieszeni. Do pracy! A ciekaw jestem, czy przysłali ozdóbki. Prosiłem o to Londyn specjalnym listem.

Ozdóbki w pudełku się znalazły, z czego X. cieszył się, jak dziecko.

— Będzie chłopcom w drukarni niespodzianka! Ale — żachnął się nagle — przeglądałem wasze zamówienia bibuły. Nie rozumiem, czemu wypisujecie tak mało; naprzykład, tak poczytnej broszury, jak *Ojciec Szymon*, tylko 300. Przecie to wam wystarczy tylko na miesiąc, dobrze — jeśli na dwa. Nie, mój drogi, wybacz, ale ja wasz obstalunek przerobię.

— Ależ — protestowałem — nie przebieraj miarki, poco wypisywać za dużo, żeby bibuła nam była kulą u nogi.

— Et, gadanie! — oburzył się X., — nie możecie jej trzymać u siebie, to niech leży u mnie. U pani Z* mam wspaniały skład, mógłbym tam cały londyński skład wpakować. Zobaczysz! Jak sobie chcesz, a do waszego obstalunku coś niecoś dopiszę. Ale my tu gadu, gadu, a już iść trzeba,

już pół do dziesiątej. O tej porze pan Z* spać się kładzie. Śpieszmy!

Czcionki leżały na łóżku w kolumnach, zawiniętych w gruby papier. Było tego na wagę do trzech pudów. Wsuwaliśmy kolumny do kieszeni spodni, kurtki i paltotu. Ciężar czcionek odrazu ściągnął ubranie ku ziemi, poczułem pewną niezręczność i brak swobody swych członków przy takiem opakowaniu siebie.

— Czy daleko iść mamy? — zapytałem.

— A co? może ci za ciężko, daj mi jedną kolumnę. Ja do tego rodzaju spacerów jestem już przyzwyczajony. Będziemy szli jakie pół wiorsty.

Nie zgodziłem się jednak na dodatkowe obciążanie przyjaciela, który tymczasem, świecąc sobie lampą, oglądał uważnie łóżko i podłogę koło stołu.

— Zgubiłeś co? — pytałem. — Trudno ci będzie nachylać się, znajdziesz potem, po powrocie.

— Nic nie zgubiłem, — odparł, — ale na wszelki wypadek oglądam, czy co się z pudełek nie wysypało. O! widzisz, trzeba zabrać deseczki od pudełek. U mnie one zwrócą uwagę stróża, zaniosę je pani Z*, spali je w kuchni.

Rzucił raz jeszcze badawcze spojrzenie na pokój i zgasił lampę.

— Idźmy! — rzekł. — Trzymaj się mnie; na dworze ciemno, a będziemy szli wąską ścieżką i kładką nad strumykiem.

W istocie było ciemno, lecz mój przewodnik znał widocznie doskonale drogę. Szedł krokiem pewnym, od czasu do czasu ostrzegając mnie, bym nie zawadził o co. Gdyśmy wyszli z pomiędzy

zabudowań fabrycznych i zdala zamigotały światełka miasteczka, mój przyjaciel zwrócił się do mnie:

— Słuchaj, tu zapal papierosa i rozmawiajmy głośno, jak ludzie, co nie mają powodu ukrywać się. Ten kawałek drogi do miasteczka niezupełnie bezpieczny. Zieloni tu się włóczą często. Mnie raz zatrzymali przy kładce, widocznie oczekiwali kontrabandy owej nocy. No, ale mnie znają tu, więc żołnierz, poznawszy mnie, puścił, a miałem przy sobie prawie pud bibuły.

Według wskazówek towarzysza szliśmy, gawędząc głośno, nawet hałaśliwie. Rozmawialiśmy, naturalnie, o rzeczach postronnych. Droga była uciążliwa, czcionki obciągały odzienie, szelki wpijały się w ciało, pakunki w kieszeniach od palta biły po biodrach, na nierównej ścieżce, pomimo ostrzeżeń przewodnika, raz po raz wpadałem na pień lub kamień. Odetchnąłem więc lżej, gdy, zlany potem, wszedłem za moim przewodnikiem w wąską uliczkę miasteczka, — byliśmy prawie u celu.

— U pani Z* świeci się — mówił X., wskazując na okno na pierwszem piętrze, z którego płynął łagodny blask na uliczkę. Chwała Bogu, pan Z* już się położył. Bylibyśmy zmuszeni w przeciwnym razie chodzić tu i czekać. Raz, tak obładowany, czekałem pół godziny, myślałem, że mię djabli wezmą.

— Czemu nie wchodzisz przy nim, przecie go znasz?

— A bibuła, która ci zewsząd sterczy, a służąca, która, nim się pan nie położy, nie usunie się z mieszkania! No, teraz cicho, możliwie cicho! —

szepnął mi, wchodząc na schody. — Nie stukaj butami!

To drapanie się na schody, stąpanie na palcach nóg z ciężarem w kieszeniach i ze strachem w duszy, że się skądś wyłoni ktoś z mieszkańców domu, — było chyba najprzykrzejszem przejściem, jakie miałem w życiu. Drewniane schody w dodatku skrzypiały od czasu do czasu. Człowiekby chciał, by w tym czasie grzmiało na dworze, wyła zawierucha i zagłuszała te nieznośne skrzypnięcia.

— Za kogoby nas wzięto, — myślałem, — gdyby tak nas kto zoczył wkradających się, jak złodzieje, do cudzego domu? I ten człowiek przebywa tę drogę kilka razy na tydzień!...

Nareszcie jesteśmy na galeryjce, wiodącej do mieszkań urzędniczych. Czyżby trzeba było po tej galeryjce pod drzwiami się przekradać?

Nie, na szczęście mój towarzysz zatrzymał się przy pierwszych drzwiach i lekko zapukał. Drzwi natychmiast się otworzyły — widocznie nas czekano. U progu stała niemłoda, szczupła blondynka ze smutnym, lecz łagodnym wyrazem twarzy. Palec położyła na ustach i wskazała pokój na lewo. Jak cienie, wsunęliśmy się do pokoju, gdzie mój towarzysz wziął mię za ramię i doprowadził do jakiegoś łóżka. Siedliśmy na nie.

— Jeszcze nie zasnął, — szepnął mi do ucha, — może i służąca jest.

W istocie—usłyszeliśmy kobiece głosy w przedpokoju. Jak tylko drzwi za galeryjką skrzypnęły, mój towarzysz podskoczył, jak piłka, i na palcach nóg szybko podbiegł do drzwi pokoju, — nasłuchiwał, po chwili wrócił do mnie.

— Jeszcze nie — szeptał, — słyszałem, jak pani Z* mówiła, żeby służąca podrzuciła węgli do samowaru — chce gości poczęstować herbatą.

Nareszcie po kwadransie siedzenia w ciemnym pokoju ujrzeliśmy panią Z*, która z lampą w ręku weszła do nas.

— Oswobodzę już panów z niewoli — mówiła z uśmiechem, podając rękę memu przyjacielowi.

— Towarzysz z Warszawy — przedstawił mię X.

— Proszę na herbatę, pewnieście zmęczeni.

Chcieliśmy się wymówić, lecz wreszcie ustąpiliśmy gospodyni. W następnym pokoju na stole szumiał samowar, stały szklanki, talerze i przekąska.

Jedliśmy i piliśmy w milczeniu; drzwi do dalszego pokoju były otwarte. Stamtąd od czasu do czasu dawało się słyszeć jakieś chrapanie, zgrzytanie zębami, niewyraźne mruczenie. Ani pani Z*, ani mój przyjaciel nie zwracali na to najmniejszej uwagi.

Po kolacji wróciliśmy do pokoju, do któregośmy weszli z przedpokoju. Był to, jak mi wytłumaczył mój towarzysz, pokój córki państwa Z*.

— To mój skład główny — mówił mi X. z dumą. — Spójrz!

Wyjął z kieszeni wiązkę kluczyków i otwierał szuflady komody. Były napełnione bibułą.

— No, teraz pakować! Jutro pojedziesz z panią Z*. Ona jedzie do Warszawy. Ja odprowadzę was do stacji kolejowej. Dla powagi i ochrony weźmiemy z sobą tego kiepskiego warjata, pana Z*. Jego nikt nie ruszy! Tym razem pojedziesz, jak wielki pan, nie jak biedny rewolucjonista, chowający się przed wzrokiem każdego ugwiażdżo-

nego durnia moskiewskiego. Ale zato zabierzesz niemało. Wpakuję ci oprócz *Przedświtu* i czcionek jeszcze pudzik bibuły agitacyjnej. Zgoda? Przecie tej brak wam zawsze.

Wysunął na środek kosz i parę waliz. Składaliśmy w nie książki, czcionki położyliśmy na sam spód kosza. Szuflady w komodzie powoli wypróżniały się. Mój towarzysz zacierał ręce i mruczał, robiąc od czasu do czasu notatki.

— Sto *Ojca Szymona*. No, no! nic już u mnie nie zostało. A widzisz, że trzeba wypisać pięćset, nie trzysta, jak wy chcecie! Dwadzieścia *W kwestji żydowskiej*. Choć Marks pisał, ale rzecz nudna, — wystarczy dwadzieścia. Co?

Kiwnąłem głową na znak zgody.

— Sto *Katolika*, — mruczał, biorąc do ręki związaną paczkę broszury *Czy socjalista może być katolikiem*. — Słyszałem, że w Radomskiem tej broszury wiele idzie. Może dodać ci jeszcze pięćdziesiąt? Taka cieniuchna!

— Dosyć i sto, mamy tego jeszcze na składzie. Czy masz jeszcze *Pańszczyzny?* Tej nam zabrakło.

— A co! mówię wam zawsze. że za mało wypisujecie. Mam jeszcze u siebie kilkadziesiąt — mówił nieco smutnym tonem, — ale czy to wystarczy?

— Wypisaliśmy już ją na granicę Y-ka. Narazie wystarczy i kilkadziesiąt. Dawaj!

— Et, kiedy to przez Y-ka przejdzie! Wiem, zjedzą tam bibułę myszy, nim stamtąd wyciągniecie. Słuchaj, dodam do obstalunku jeszcze setkę lub dwie *Pańszczyzny*. Jak sądzisz?

Nareszcie skończyliśmy. Obejrzałem się po pokoju. Wszędzie było pełno książek, małych i du-

żych, w różnokolorowych okładkach. Na środku stał kosz, do połowy naładowany temiż książkami, walizki otwarte, lecz pełne bibuły, a nad tem wszystkiem schylony człowiek z błogim uśmiechem na ustach. Drzwi do sąsiedniego pokoju były wpół-otwarte i stamtąd dolatywały ciche, lekkie kroki pani Z*, która chodziła po pokoju, i chrapliwe mruczenie śpiącego gospodarza domu. Do tego ja sam, bezimienny towarzysz z Warszawy, gospodarzący w pokoju kilkunastoletniej panny, nieznanej mu wcale.

Dziwaczny ten obrazek z życia ludzi, których związał los i idea, zostanie w mej pamięci na zawsze.

Pożegnaliśmy panią Z* po uprzątnięciu z pokoju rozrzuconych książek. Nazajutrz rano mieliśmy przyjść do niej na śniadanie i zaraz po śniadaniu ruszać w drogę.

Znowu te przeklęte schody, po których schodziliśmy tak samo ostrożnie, jak przed paru godzinami wchodziliśmy na nie. Wyszliśmy na uliczkę i skierowaliśmy się ku fabryce.

— Słuchaj! — rzekłem, — ciebie tu prawdopodobnie podejrzywają o romans z panią Z*? Bo jak ludzie sobie wytłumaczyć mogą te częste stosunki twoje z nią, a nie bez tego, żeby cię kto nie widział wkradającego się do niej wieczorami.

— Nie wiem, — odpowiedział zażenowany, — może. Ale cóż ja na to poradzę? U siebie przechowywać bibuły nie mogę. W razie złego wypadku ze mną, zostanie przynajmniej bibuła, już przeciągnięta na tę stronę. Nic na to nie poradzę, — powtórzył. — Pocieszam siebie tem, że za rok najdalej to się skończy, mąż jej otrzyma już eme-

ryturę, no i, naturalnie, wyjadą stąd. Jak ja wówczas urządzę się ze składem, doprawdy nie wiem. Z pewnością nie będzie tak wygodnie.

— Wygodnie! Ależ niech cię pioruny biją, człowieku! Co ty nazywasz wygodnem? Czy nie te skrzypiące schody do pani Z*?

— Schody, jak schody, — odpowiedział z rezygnacją mój towarzysz, — ale bezpieczeństwo bibuły zupełne i względna łatwość wywiezienia jej stąd. Ja nie mogę sobie pozwalać na częste wyjazdy — zwraca to uwagę i mam zresztą służbę. Pani Z* łatwiej to uskutecznia. A oprócz tego pani Z* nie tchórzy i to moja największa wygrana. Wolę iść nocą na trzecie piętro po takich schodach do człowieka, który się nie boi, niż mieć do czynienia z bałwanem, opanowanym drżączką. Miałem tu takiego idjotę!

— Wyobraź sobie, — mówił z wzrastającem oburzeniem, — co ten bałwan mi urządził!? Trzymam się tej zasady, żeby u siebie bibuły nie mieć. Praca w fabryce i służba w P. P. S. zmusza mnie do częstego wychodzenia z mieszkania, nieraz muszę kogokolwiek z interesantów zostawić u siebie w pokoju. Nawet porządniejszych książek legalnych u siebie nie trzymam, a cóż dopiero bibułę! Nim więc nie urządziłem składu u pani Z*, musiałem rozsyłać pakunki do różnych znajomych. A ten idjota — był to mój krewniaczek, sprowadziłem go nawet umyślnie na praktykanta do fabryki, no i do P. P. S. — wiedział o mojej robocie, okazywał współczucie. Dałem mu dwa czy trzy pakunki do przechowania. Akurat nie było mnie w domu — wyjeżdżałem wówczas do Warszawy — przyjechał tu do miastecz-

ka prokurator z żandarmem. Jak się potem okazało, przyjechali zrobić rewizję u chłopa okolicznego, który gdzieś po pijanemu wyłajał cara. A u mego krewniaczka odrazu wszystkie pchły pozdychały ze strachu. Miał u siebie bibułę, więc był przekonany, że to właśnie dla niego przyjechał żandarm. Opanowała go taka idjotyczna drżączka, że pod wieczór wyniósł pakunki do lasu i zakopał, a ze strachu zapomniał potem, w którem miejscu. Teraz wciąż się boję, że ktokolwiek wypadkiem na bibułę zakopaną natrafi, dojdzie to do władzy i zwrócą uwagę na nasz kąt.

— I wiesz, — dodał ze złością, — ta logika tchórzów! Pytam go, czemu lepiej nie spalił bibuły? Powiada, że był przekonany, iż przyjechali do niego, więc się bał palić, by dym z komina go nie zdradził. Idjota — bał się dymu, a nie bał się wieczorem włóczyć z pakunkami tam, gdzie go jako kontrabandzistę złapaćby mogli.

— Idjota! — powtórzył raz jeszcze X., widocznie nie mogący strawić zawodu, doznanego z powodu krewniaka.

— Myślałem, gdyś zaczynał, — mówiłem mu, — że będziesz mówił o N. N....

— Głupi jest, ale nie tchórz — żywo przerwał mi mój towarzysz. — Nie, nie tchórz.

— Ale powiedz mi, jak się dostałeś do serca tego śmierdzącego perfumą ananasa? Nie przez kobietę przecie?

— Przez kobietę? Nie! — śmiał się X., — ale to jest zacny chłop. Wy tam w stolicy przyzwyczajeni jesteście do ludzi mądrych. Jak wam który nie będzie za panią matką, Marksem, powtarzał pacierza o walce klas i materjalistycznem

pojmowaniu dziejów, to już dla was jest do niczego. Ja tu przebierać nie mogę. N. N. o materjalizmie historycznym nie słyszał nigdy, a gdyby i usłyszał, to go nie zrozumie. Ale wie, że na świecie jest źle, że ludziom krzywda się dzieje. Sam się czuje również pokrzywdzony: raz — jako Polak, dwa — jako najemnik w fabryce. Ojciec jego zginął w powstaniu. A i te kobiety! Sądzisz, że którąkolwiek skrzywdził, uwiódł? Broń Boże! Zabawny człowiek! Tego jestem zupełnie pewny. Względem mnie ma pewne obowiązki. Mnie pan dyrektor trochę ceni i szanuje, a tego biedaka maltretuje; bronię więc go, jak mogę.

Podchodziliśmy już do fabryki. Mój towarzysz był zmęczony i wyczerpany, lecz widocznie był stęskniony do pogawędki z człowiekiem, bliskim mu ideją, związanym z nim wspólnością pracy, — nie chciał się ze mną rozstać.

— Może jesteś zmęczony? — pytał trochę niespokojnie, — jeśli chcesz się wyspać, idź na górę do N. N. Może nawet będzie to bezpieczniej. Co? Ja przeczytam jeszcze *Robotnika,* jeszcze nie zasnę!

— Nie, — odparłem, — wolę nocować u ciebie. Pogadamy jeszcze.

— Jak chcesz, jak chcesz! — mówił uradowany, — przyznam ci się, że i ja wolę być z tobą. Ale pamiętaj! — przestrzegał, — jutro obudzę cię rano, przed przyjściem stróża, który sprząta u mnie. Wyprawię cię na górę do N. N. na herbatę. Lepiej będzie, gdy ciebie razem ze mną nie będą widzieć.

Prawie do świtu trwała cicha nasza rozmowa o sprawach partyjnych. Mój towarzysz intere-

sował się każdym szczegółem pracy, wymuszał na mnie opowiadania, rozpytywał o każdą osobę, biorącą udział w ruchu, i raz po raz powtarzał:

— Pamiętaj, gdy kto się tam u was skompromituje i będzie musiał uciekać zagranicę, przysyłajcie go do mnie. Już ja go przeprawię szczęśliwie na tamtą stronę! Nazajutrz po przyjeździe do mnie będzie już w Krakowie. A może kto z was tam zanadto jest zmęczony, mogę urządzić tu wakacje. Mam tu znajomego szlagona. Dawno myślę, by u niego urządzić przytułek letni dla naszych. Odpoczną sobie chłopcy na trawce. Mówisz, że M. — wymienił mi nazwisko jednego z towarzyszów — jest zdenerwowany i przemęczony. Przysyłajcie go, odpocznie tutaj.

Wreszcie, zmęczeni, zasnęliśmy. Lecz już koło siódmej obudziło mię wołanie X.

— Wstawaj prędzej, za chwilę przyjdzie stróż! Już cię pewno N. N. czeka z herbatą. Umyjesz się u niego. No, ruszaj się, śpiochu!

Po chwili byłem już u N. N. i wdychałem mdły zapach tanich perfum. N. N. był już na nogach i flegmatycznie przyrządzał herbatę.

— Mało pan spał! nie wyspany pan jest, panie dobrodzieju? — cedził zwolna. — Ja to wiem, ja to rozumiem. Wielkie rzeczy państwo robicie, wielkie, panie dobrodzieju! Tyle książek, a każdą ktokolwiek przeczyta, z każdej coś będzie, panie dobrodzieju! Ja to rozumiem.

Wydał mi się nawet sympatycznym ten pulchny blondynek, nie zdający sobie sprawy z materjalistycznego pojmowania dziejów, a narażający siebie i swą swobodę dla niejasnego, niewyraźnego: „Ja to rozumiem“. Uścisnąłem mu serdecznie rękę

na powitanie po umyciu się i zacząłem odczuwać pewnego rodzaju przywiązanie, jakie miał X. dla swych „ofiar“ - pomocników.

— Więc wszystko dobrze, — prawił N. N., — słyszałem, jakeście państwo wracali z miasteczka wczoraj wieczorem. Pan X. stanowczo zanadto się naraża, panie dobrodzieju! Niech pan zwróci jego uwagę. Pan jego przyjaciel i potrafi to zrobić. O nim już tu w okolicy gadają.

— Co gadają? — pytałem zaniepokojony.

— Za dużo się kręci, panie dobrodzieju, za dużo! To sam wyjeżdża, to ktoś do niego — ot, jak pan — przyjedzie. O! i pan dyrektor wczoraj wieczorem mnie pytał: „Kto to ten pan, co do X. przyjechał?“.

— Cóż pan na to? przecie przyjechałem niby do pana.

— Toż to właśnie! I ja to dyrektorowi mówiłem. Kuzyn, panie dobrodzieju, mówię, kuzyn z Częstochowy. Ale czy uwierzył i czemu odrazu pana X. posądzał? Ciekawi tu u nas ludzie, panie dobrodzieju, ciekawi. Radziby sąsiadowi do garnka zajrzeć, co je. A cóż dopiero nowy, nieznajomy człowiek!? Zaraz: skąd? poco? do kogo? — A pan X. gorączka, byle więcej, byle prędzej. Niech pan z nim pomówi, niech pan wpłynie. Zgubi siebie ten człowiek!

N. N. ani razu nie wspomniał o sobie i o niebezpieczeństwie, które mu grozić mogło z powodu stosunków z X. i jego przyjezdnymi towarzyszami. Widocznie nie bał się w istocie. Obiecałem mu solennie, że się z X. rozmówię.

— Jak skończymy herbatę, pójdziemy. Pan X. mi mówił rano, żebym pana odprowadził do miasteczka, żebyśmy razem koło okien pana dyrektora

przeszli. Już mu opowiadałem, że pan dyrektor pytał o pana. U dyrektora dzisiaj rano wstają, brat wyjeżdża do Krakowa. Pan X. pewno tam jest.

Po herbacie wyszliśmy i według rozkazu X. przechodziliśmy koło okien dyrektora. Zatrzymaliśmy się nawet przy nich, żeby pan dyrektor zdążył obejrzeć nas, idących razem i rozmawiających, jak dobrzy i dawni znajomi.

O dziewiątej stanąłem przed domem, gdzie mieszkała pani Z*. Przeklęte schody już mnie nie straszyły, szedłem po nich śmiało, nie zważając na to, czy deski skrzypią pod memi stopami. W przedpokoju spotkała mnie pani Z*.

— Witamy pana, czekamy na pana ze śniadaniem, pan X. już jest. Proszę!

Wszedłem do następnego pokoju, gdzieśmy poprzedniego dnia pili herbatę. Przy stole siedzieli: mój towarzysz X. i pan Z*, szczupły, wymizerowany mężczyzna z osowiałym, prawie nieprzytomnym wzrokiem.

— Mój mąż, pan S...ski... — naprędce skomponowała mi nazwisko pani Z*.

Podaliśmy sobie ręce. Pan Z* nie zapytał mnie o nic, nawet nie spojrzał. Oczy jego pożądliwie spoglądały na stół, zastawiony różnego rodzaju jadłem.

— Niech pan siada! — zapraszała pani Z*. — Zaraz po śniadaniu jedziemy, by zdążyć na pociąg. Obiadu pewnie jeść nie będziemy, niech więc pan się posila.

W ogólnej rozmowie, którą prowadziliśmy przy stole, pan Z* nie brał udziału wcale. Od czasu do czasu, gdy usłyszał jaką nazwę miasta lub miasteczka, przerywał jedzenie, głupkowato oglądał

obecnych, namyślał się widocznie nad czemś i nagle wypalał:

— *Libawa — kurlandskoj gubiernii. Wiem, morze jest'...*

— *Łódź — pietrokowskoj gubiernii. Wiem... fabryki jest'...*

Była to, zdaje się, jedyna dziedzina, w której umysł pana Z* był czynnym. Spostrzegłem, że mu sprawiał przyjemność taki udział w gawędzie, starałem się więc w rozmowie używać możliwie wiele nazw miejscowości. Pani Z* spostrzegła to i obdarzyła mnie wdzięcznem spojrzeniem.

Nareszcie śniadanie zostało skończone, usłyszałem turkot powozu przed domem. Do pokoju wszedł woźnica, który zniósł, stękając, ciężki kosz i walizki na dół. Po chwili i my byliśmy gotowi. Pan Z*, jak manekin, dał się pokornie ubrać we wszystkie urzędowe godła i sprowadzić do powozu; nie pytał o nic, zdawał się nie zwracać uwagi na otoczenie. Siedliśmy do powozu, konie rączo unosiły nas w głąb kraju, oddalając od granicy.

Jechaliśmy w istocie, jak przepowiadał X., jak panowie. Zieloni i strażnicy przy spotkaniu powozu, widząc w nim pana Z*, o którym powszechnie wiedziano, że jest krewnym nieledwie ministra w Petersburgu, oddawali nam honory, nie domyślając się wcale, iż w powozie ukrytych jest mnóstwo rewolucyjnych wydawnictw. A mimowolny sprawca tych honorów, gwarantujący bezpieczeństwo naszej wyprawie, kiwał się bezmyślnie w powozie, wyrzucając niekiedy z siebie:

— *Busk? Kieleckoj gubiernii... Tam wody jest'...*

— *Czenstochow? Pietrokowskoj gubiernii... Tam monastyr' jest'.*

*

* *

Tak mniej więcej wyglądają partyjne biura transportowe. Widocznem jest dla każdego, że kierowanie takiem biurem polega przedewszystkiem na ciągłem wyzyskiwaniu każdej nadarzającej się okoliczności, na łączeniu różnych okazyj w pewien system, na misternej robocie kombinowania drobiazgów i szczegółów z życia całego otoczenia.

Tylko przy takich warunkach i przy uzdolnieniu do takiej właśnie roboty można produkcyjność granicy doprowadzić do wyższych rozmiarów i zabezpieczyć przetransportowaną już bibułę od wpadnięcia w ręce żandarmów i zielonych. Zapomniana na stole broszura, źle wybrana pora wyjazdu, niedostrzeżenie jakiejkolwiek zmiany w systemie strzeżenia granicy przez zielonych, nieprzyjęcie pod uwagę osobistych zalet lub wad ludzi, wchodzących w grę przy transportach — wszystkie te drobnostki stanowić mogą o powodzeniu roboty, wszystkie doprowadzić są w stanie do zwrócenia uwagi na człowieka lub rzeczy, z nim związane, a każda z nich sprowadzić może wsypę granicy i aresztowanie jej kierownika.

Jeżeli do tego dodamy, że warunki życia osobistego są zazwyczaj wcale nieszczególne, albowiem większa część granicy państwa — to wiejska lub małomiasteczkowa pustynia kulturalna, połączona z najgłupszemi plotkami, z niskim poziomem oświaty i życia towarzyskiego — zrozumiemy, jak trudnem jest stanowisko towarzyszów, którzy tej

pracy się poświęcają. Wieczna czujność i zwracanie uwagi na najmniejsze drobiazgi jest ich obowiązkiem, ciągłe granie komedji i udawanie jest ich cnotą, a nudy, brak towarzystwa i rozrywki jest najczęściej ich udziałem.

Nic dziwnego, że praca taka nuży ludzi śmiertelnie, wyczerpuje szybko ich siły nerwowe. Zdaniem mojem, na idealnego transporciarza trzeba się urodzić. Nie dosyć bowiem poznać dokładnie stosunki pograniczne wogóle i warunki lokalne w szczegółach, nie dosyć mieć wytrzymałe nerwy i zdolność do zachowania spokoju wobec nieraz pozornego, lecz zupełnie widocznego niebezpieczeństwa, trzeba jeszcze posiadać specjalne dane, specjalne odpowiedniki w duszy, by umieć zlewać się niejako z otoczeniem, lecz zlewać się świadomie, trzymając wiecznie rękę na pulsie, słabo, coprawda, tętniącego, ale na swój sposób złożonego życia na pograniczu. Rzecz prosta, o takich ludzi niełatwo, niełatwo tem bardziej, że tacy szwarcownicy z urodzenia wychodzą najczęściej ze środowiska odpowiedniego, z pogranicza, a jak już nieraz wskazywałem, pogranicze z wyjątkiem kilku punktów należy do miejscowości najbardziej głuchych i zatem najmniej przystępnych dla propagandy i organizacji rewolucyjnej.

Ze wszystkich zadań, które ma na swej głowie transporciarz, najtrudniejszem do systematycznego zorganizowania jest wywiezienie bibuły, już przetransportowanej przez granicę, dalej — w głąb kraju. Gdyby chodziło jedynie o przeniesienie bibuły przez granicę i ukrycie jej na czas pewien w bezpiecznem względnie miejscu, to prawdopo-

dobnie przypływ bibuły z krajów swobodnych do Polski byłby kilka razy większym, niż obecnie. Lecz bibułę nie poto się sprowadza, by leżała w składzie nadgranicznym. Trzeba ją stamtąd wywieźć, by doszła ona do rąk jej konsumentów.

Nie będę tu wchodził w szczegóły co do przeszkód, jakie bibuła i ludzie, ją przewożący, mają do zwalczenia na tej drodze — będzie to treścią następnego rozdziału. Zatrzymać się jednak muszę na stosunku biur transportowych ze światem partyjnym, bo te właśnie stosunki ogromnie utrudniają ich robotę. Sam transporciarz lub jego pomocnicy są przywiązani do miejsca. Będąc zmuszeni zachowywać wszelkie pozory, nie mogą oni poruszać się swobodnie i ich rzadkie wyjazdy nie są w stanie zapewnić większej produkcyjności granicy partyjnej. Koniecznemi więc są przyjazdy postronnych ludzi dla zabrania nagromadzonej bibuły. Rzecz prosta, że zwraca to uwagę otoczenia i nasuwać może myśl o kontrabandzie, fachowo przez przejezdnych uprawianej. Naturalnie, przy szczęśliwym zbiegu okoliczności, gdy łatwo upozorować częstsze zjawianie i znikanie obcych ludzi, granica może przetrwać długo. Najczęściej jednak tak nie bywa i granice zużywają się: zużywają się i przez wyczerpanie sił towarzyszów-transporciarzy, i przez obawę nadużycia jej.

Stąd pochodzi wieczna pogoń za granicą, wieczne wyszukiwania nowych dziur w chińskim murze, opasującym imperjum cara; stąd konieczność użytkowania z granic, źle urządzonych lub działających tylko sporadycznie; stąd wreszcie często odczuwamy głód bibulasty — brak jej w tem lub

owem miejscu, w tym lub owym czasie. Granica, dobrze urządzona, dokładnie funkcjonująca, jest tym ideałem, do którego się wiecznie dąży i który ustawicznie z rąk się wymyka, a staranie się o nią i jej urządzanie stanowi jedną z najpoważniejszych trosk partyjnych.

TRZECIA LINJA GRANICZNA.

Trzecia linja graniczna jest jedną z oryginalnych, najzupełniej swoistych instytucyj rosyjskich — instytucyj, wprawiających każdego Europejczyka w poniżające dla Rosji zdumienie; zdumienie, jak dla pomysłowości i bezwzględności rządu rosyjskiego, tak zarówno dla uległości ludzi, pozwalających czynić nad sobą najdziwaczniejsze w świecie eksperymenty. Opisywałem w poprzednim rozdziale urządzenie i działalność straży pogranicznej na pierwszych dwóch linjach. Druga linja, linja kordonów, odgranicza neutralny, że tak nazwę, pas ziemi, stanowiący właściwe pogranicze. Już nawet ta druga linja, przesiewająca raz jeszcze to, co przesiała linja pierwsza, stanowi pewną anomalję i świadczy o nieufności rządu względem ludności pogranicznej, tak zarówno i o sprawności tej pierwszej linji. Lecz w każdym razie ta druga linja ma jakieś logiczne i zrozumiałe usprawiedliwienie.

W istocie mieszkańcy pogranicza są pod niektóremi względami uprzywilejowani w porównaniu do reszty ludności państwa. Stosunki z zagranicą mają ułatwione w ogromnym stopniu. Mieszkańcy pogranicza mają prawo na tak zwane półpaski lub przepustki.

Wydawane są one na osiem dni, a nawet na szereg tygodni bezpłatnie. Służą one jako legitymacja,

nie na wielką, coprawda, przestrzeń, bo zaledwie na trzy mile w głąb obcego państwa. Lecz że najczęściej ani Austrjacy, ani Prusacy nie obciążają siebie zbyteczną dla nich kontrolą pod tym względem, można uważać półpaski jako istotne paszporty zagraniczne. Oprócz tego półpaski mają tę zaletę, że szczęśliwy posiadacz takiego dokumentu może przechodzić granicę tam i zpowrotem niezliczoną ilość razy w ciągu trwania przepustki bez zmiany jej za każdem przejściem granicy.

Przeciwnie, paszporty zagraniczne dalszych okolic żadnych z wyliczonych zalet nie mają. Są drogie i służyć mogą tylko na jednorazowy przejazd granicy tam i zpowrotem. Mając takie przywileje, mieszkańcy pogranicza są związani z zagranicą znacznie ściślej, znacznie więcej mają z nią stosunków, niż ludzie, odsunięci geograficznie od niej. Więc wobec tego zrozumieć jeszcze można, że rząd, strzegąc tak pilnie swej granicy, mógł oddać pod specjalny niejako dozór tę właśnie uprzywilejowaną część swych poddanych, mógł skrępować takiem lub innem ograniczeniem ich wolności, w zamian za przywileje, im nadane. Dla trzeciej linji żadnego usprawiedliwienia znaleźć nie można.

Na czem jednak polega ona i w jaki sposób spełnia swą rolę stróżów państwa od inwazyj niepożądanych dla tych czy innych powodów produktów zagranicy?

Na trzeciej linji służbę carską pełnią, tak samo, jak na drugiej, wojskowi i cywilni zieloni. Specjalną ich funkcją jest śledzenie ruchu publiczności i towarów po drogach, kolejach i szosach w pasie ziemi, oddanym im pod dozór. Ten pas ziemi sięga głęboko wewnątrz państwa i u nas obejmuje całe

prawie Królestwo Polskie i ogromną część Litwy. Wszystkie bez wyjątku stacje i przystanki kolejowe, wszystkie stacje poczty konnej na szosach w tym pasie są udekorowane zielonymi wojakami i cywilami.

Obowiązki ich są dosyć liczne i skomplikowane. Przyjeżdżający na stację są przez nich bacznie obserwowani; muszą oni intuicyjnie odgadnąć, czy w bagażu takiego pasażera niema czasem czegoś zakazanego, jakiejś kontrabandy. Naturalnie, na stacjach, bliższych do granicy państwowej, baczność ta jest zdwojona. Więcej nawet, bo posterunki te stanowią w tych punktach zazwyczaj nowy kordon, przetrząsający bez ceremonji bagaże tychże pasażerów bez względu na to, czy jadą od samej granicy, czy też z najbliższych do tej stacji lub przystanku okolic. Im dalej jest stacja od granicy, tem dozór ten jest słabszy, tem więcej się robi wyjątków wśród przejezdnych. Chociaż nawet o sto i więcej kilometrów od granicy, nigdy nie można być pewnym, czy „zielonemu“ twarz lub pakunek pasażera nie wyda się podejrzanym i czy nie poprosi on lub brutalnie nie każe otworzyć pakunku dla rewizji.

I nie trzeba sądzić, że tylko linje kolejowe, biegnące wprost od granicy, są poddane takiemu dozorowi. Oto, naprzykład, linja nadwiślańska, łącząca Wołyń i Ukrainę z Warszawą, nigdzie w swym biegu nie dotyka granicy, a jednak cała oddana jest pod opiekę zielonych. Oto linja, łącząca Warszawę z Wilnem, która najbliżej podchodzi do granicy pod Białymstokiem, gdzie granica jest oddalona 90 kilka kilometrów, cała jest udekorowana

w zielony, celny kolor. Linje, idące wprost od granicy, są tylko pilniej strzeżone, lepiej obsadzone. Drugim obowiązkiem zielonych jest włóczenie się po wagonach pociągów w biegu i wybieranie ofiary dla przejrzenia u niej rzeczy. Zresztą, należy być sprawiedliwym: ten proceder praktykowanym jest jedynie w najbliższych granicy okolicach i w pociągach, idących wyraźnie od granicy. Taki zielony żołdak wchodzi do wagonu trzeciej klasy, rzuca okiem na każdego pasażera, na rzeczy, ustawione na półkach, zagląda pod ławki, szpera po kątach i od czasu do czasu pyta:

— Czyje to rzeczy?

— Moje — odzywa się ktoś z pasażerów.

— Proszę otworzyć! — brzmi dalszy rozkaz — brutalna łapa żołdaka przerzuca po chwili zapakowane w walizce lub koszyku rzeczy.

W wagonach drugiej i pierwszej klasy robi to nieraz oficer straży pogranicznej albo wezwany przez zielonego żołnierza żandarm kolejowy.

Lecz najbardziej rażącym, najbardziej brutalnym jest ten dozór na stacjach kolejowych w większych miastach — Częstochowie, Piotrkowie, Warszawie, Białymstoku, Grodnie, Wilnie i Kownie. Tutaj, oprócz zwyczajnych stupajek, zielonych żołnierzy, stoją i dozorują specjalni dozorcy celni. Tutaj przy ogromnym ruchu pasażerskim niepodobna rewidować wszystkich, niepodobna robić wyjątków, zrozumiałych dla otoczenia całego. I te nagłe napaści na wybraną z mnóstwa przechodzących ofiarę, to szybkie przerzucanie wobec całej publiczności rzeczy podróżnego, to czyhanie z kątów i skośne spojrzenia, rzucane na pakunki podróżnych, sprawiają dziwnie dzikie wrażenie,

rumieńcem wstydu oblewają twarze rewidowanych, wywołują zdziwienie u wszystkich, nieprzygotowanych do tej napaści.

I wszystko to się robi na chybił trafił, bez żadnego pytania, czy kto jedzie od granicy, czy też z okolic, o setki mil nieraz od granic państwowych położonych. Wszystko to się dzieje o kilkanaście mil od granicy, gdzie olbrzymia większość ludzi, stosunków i interesów nic wspólnego z granicą nie ma. Więcej nawet, wszystko to się dzieje nie na podstawie jakiegoś ogólnie znanego prawa, lecz na mocy zwyczajnego rozkazu gabinetowego ministra. I jeszcze bardziej, bo wbrew prawu, które o takich rewizjach mówi, że muszą one być usprawiedliwione jakiemś rzeczowem podejrzeniem co do wyraźnej osoby.

Tymczasem tutaj to podejrzenie powstaje w danej chwili w głowie głupiego żołdaka, podejrzenie względem osoby, o której on nic nie wie, nigdy przedtem jej nie widział i o niej nie słyszał.

W tych warunkach można sobie wyobrazić podróż jakiegoś „pechowca" z Zagłębia Dąbrowskiego do Warszawy w sposób następujący.

Wyjeżdża on z Dąbrowy, miasteczka o osiem kilometrów od granicy. Przychodzi na stację i, już wiedząc zawczasu, że tu jest kordon celny, tak, jakgdyby przekraczał on granicę państwa, otwiera walizę, w której mu dobrotliwie, lecz pośpiesznie, rozrzuca rzeczy ręka zielonego żołdaka. No, nareszcie pociąg jest, formalność celna odbyta, jazda!

Pociąg ruszył, nasz „pechowiec" zadrzemał błogo, lecz ma pecha, twarz jego nie spodobała się kontrolującemu pociąg zielonemu.

— *Czji wieszczy?* — rozlega się brutalny okrzyk nad jego uchem.

— Gdzie? co? — zrywa się biedny pasażer. — Aha, moje, przecie nie ukradłem, a co?

— *Otworitie!* — rozkazuje lakonicznie zielony.

Niema rady. Postawa i mina zielonego nie wróży nic dobrego, lecz pasażer nic w rzeczach nie ma, więc myśli — et, co tam szkodzi otworzyć, trochę fatygi, a lepiej z tymi draniami nie zadzierać, jeszcze do kozy wpakują.

Znowu rzeczy, ledwie ułożone po dąbrowskiej rewizji, są rozrzucone w walizce.

Lecz nasz pasażer ma po drodze zatrzymać się dla interesów w Częstochowie i Piotrkowie.

— Częstochowa! dziesięć minut, bufet! — krzyczy konduktor pod oknem.

Nasz pasażer wysiada. Czasu ma mało, bo wieczór się zbliża, biegnie z walizką w ręku.

— *Ej, gaspadin, stojtie, wieszczy!* — słyszy krzyk za sobą.

Lecz rzeczy ma w ręku, więc nie sądzi, by się to jego tyczyło. Idzie szybko dalej. Podejrzenie zielonego, naturalnie, wzrasta. Już przy wyjściu z dworca łapie on brutalnie pasażera za ramię.

— *Stoj! czort!* — łaje — *otworitie! Nieboś, kontrabanda jest'* — mówi zielony, robiąc złośliwą minę.

Pasażer próbuje się bronić, ale groźna i stanowcza mina zielonego odbiera mu odwagę. Walizka otwarta, rzeczy przerzucone raz jeszcze.

Wyjeżdża z Częstochowy. Inny zielony stoi mu na drodze.

— *Halt!* znowu *wieszczy.*

To samo akurat spotyka go w Piotrkowie przy wjeździe i wyjeździe.

Nareszcie — Warszawa. Lecz i tu z kąta wysuwa się figura i bardzo grzecznie, jak na stolicę przystało, prosi zrozpaczonego „pechowca" o łaskawe pozwolenie na zajrzenie z obowiązku służby do rzeczy.

Piękna podróż! nieprawdaż? Piękna i zupełnie możliwa do sprawdzenia i wypróbowania na własnej skórze.

To przeglądanie i rozrzucanie rzeczy wyjeżdżających i przyjeżdżających podróżnych nie daje się porównywać z mytem, pobieranem w wielu miastach — pomiędzy innemi i w Galicji. Tutaj celnicy miejscy pobierają opłatę od produktów spożywczych, które zresztą każdy ma prawo przywieźć z sobą. Określonym jest i produkt, obłożony mytem, i rozmiar opłaty. Każdy o tem wie, bo prawo jest wyraźne, więc, pomimo uciążliwości takich celnych granic wewnątrz państwa, niema w nich nic przypadkowego, nic samowolnego i nic hańbiącego. Zieloni rosyjscy o setkę i więcej kilometrów od granicy podejrzywają człowieka o zbrodnię kontrabandy i na podstawie podejrzenia o postępek, karany więzieniem, napastują mnóstwo ludzi, nie mogących mieć nic wspólnego z kontrabandą, chociażby dlatego, że są oddzieleni od granicy państwowej ogromną przestrzenią. Jest to to samo, gdyby, naprzykład, w Galicji, w Nowym Sączu, Jaśle, Lwowie, Stryju i Stanisławowie, nie mówiąc już o pogranicznym Krakowie, zaczęto przetrząsać na chybił trafił przez dziesiątego rzeczy podróżnym w celu wynalezienia pruskiego cygara lub herbaty rosyjskiej, z groźbą osadzenia w więzieniu

tego, u kogo ten zagraniczny produkt się znajdzie. I czy sądzicie może, szanowni czytelnicy, że tak delikatny interes jest poruczony specjalistom wykwalifikowanym? Nie! w ogromnej większości takim psychologiem, mającym z pomiędzy setek ludzi, wysiadających z wagonu, wyczuć tych dwóch lub jednego, który przybywa z nadgranicznej miejscowości, jest najzwyczajniejszy chłop rosyjski, żołnierz, przywieziony z głębi Rosji, który w życiu swojem nigdy nie widział pruskiego cygara, lub sukna, czy płótna, który najczęściej czytać w swoim ojczystym języku nie umie, a którego tem bardziej posądzać nie można o trafność obserwacji tłumu, złożonego z zupełnie nieznajomych i obcych mu ludzi.

Rozmawiałem razu pewnego z takim żołnierzem. Jechałem z Wilna do Warszawy i wypadkowo naprzeciw mnie usiadł młody żołnierz. Jego szeroka, z wydatnemi kościami policzkowemi twarz, jego małe, nieco skośne oczy, jego niekulturalne, z gruba wyciosane rysy twarzy zdradzały wyraźnie jego pochodzenie. Był to chłop, wyrwany nie więcej, jak rok temu, z dalekiej, głębokiej Rosji, z okolic, gdzie sąsiedztwo Baszkirów, Kałmuków lub innych mało kulturalnych ludów wycisnęło swe piętno nietylko na twarzy mego towarzysza podróży, lecz i na zdolnościach do zrozumienia złożonego, pstrego pod względem narodowościowym środowiska, w którem się znalazł. Żołnierz nucił pod nosem jakąś wielkorosyjską piosnkę.

Zagadnąłem go pytaniem, skąd pochodzi, z jakiej gubernji.

— *Ufimskoj, barin* — odpowiedział ze szczerym, szerokim uśmiechem.

Zacząłem go szczegółowo rozpytywać o rodzinę jego, stan materjalny, urodzaje i tym podobne rzeczy. Żołnierz coraz bardziej się rozczulał wspomnieniami o dalekiej zauralskiej wiosce. Wreszcie zapytałem go o służbę. Okazało się, że mój zielony wojak skończył swe godziny służbowe na stacji wileńskiej i jedzie na odpoczynek zasłużony do koszar, zbudowanych przy następnej stacji.

— Cóż ty robisz na stacji wileńskiej? — pytałem. — Pilnujesz czego, czy pracujesz tam?

— Jaka tam praca! — odparł pogardliwie żołnierz. — Stoję, jak głupi, nuda śmiertelna, oczy wybałuszysz na tłum, że spać się chce.

— A pocóż ciebie tam stawią? przecie nie poto, byś na ludzi patrzał.

Żołnierz śmiał się i robił do mnie filuterne oczy.

— Nie, nie patrzeć! Kontrabandę *łowim*, ot co. Kontrabandę, panie. My — straż pograniczna.

— Jaką kontrabandę? Skąd się ona tu weźmie, kiedy granica daleko?

— Widocznie jest — odparł z filozoficznym spokojem żołnierz — jest, kiedy nas *naczalstwo* stawi, żeby ją łapać.

— Jakżeż ty, chłopcze, poznasz, kto tę kontrabandę wiezie, czy wam może dają znać o tem, że kontrabanda idzie?

— Nie, my nic nie wiemy! Ot, stoisz, stoisz i z nudów do kogokolwiek przystąpisz — pokaż pan rzeczy. Do pana jakiego, naturalnie, wstyd i podejść, ale do Żyda, czy tam naszego brata, chłopa, to czemu nie. Ale *naczalstwu* tego mało. Oj! źle bywa, gdy nasz komendant na stację przyjdzie. Stanie sobie w kącie, a oczami tak świdruje, ciągle mruga do nas, by do kogo się zbliżyć, a zawsze czort wy-

bierze jakiego pana, do którego nam, chłopom, straszno i zagadać. Poco to, nie wiem. Pewnie potrzeba, kiedy *naczalstwo* tak każe — uspakajał się po chwilowym gniewie na narażającego go widocznie na przykrość komendanta.

— A czy ty wiesz, co to jest kontrabanda? — pytałem.

— Co z zagranicy bez prawa wiozą, wiem! — odpowiedział z dumą żołnierz.

— A jak ty odróżniasz rzeczy zagraniczne od krajowych? — pytałem dalej.

— No! Jak bez plomby co jest, albo napis nierosyjski, albo dużo książek — plątał zakłopotany żołnierz, najwidoczniej w świecie nie zdający sobie sprawy z tak mądrych rzeczy.

— A czytać przynajmniej umiesz? — pytałem, rozśmieszony naiwnością syna pól i stepów zauralskich.

— Nie bardzo! Uczą nas, ale to trudna sprawa. U nas we wsi w naszej gubernji szkół mało. Od naszej wsi szkoła o dziesięć wiorst (wiorsta trochę więcej niż kilometr).

— Więc jakże? — pytałem. — Otworzą ci walizkę, spojrzysz i co?

— Jak co nowego i bez plomby, albo butelka bez napisu, książki, tak ja do *naczalstwa*. Książki — tak żandarm, nato on uczony! Inne rzeczy — tak nasze *naczalstwo*. To już ich sprawa. Mnie co! Kazano, ja patrzę — mówił, spostrzegając mój uśmiech.

— I złapałeś co kiedykolwiek? — pytałem niezrażony.

— Nie! rok już minął, jak służę, nic mi się nie trafiło. Ot tak, to się zarobić zdarza.

— Jakto, tak?

— A ot i dzisiaj. Stoję i patrzę — po pociągu zagranicznym, Żyd wlecze jakiś worek. Ciężki, bo aż się pochylił na bok. No, ja do niego: co tam masz, rozwiąż! Rozwiązuje. Szukam, jakaś butelka. Co to jest? — pytam. On ni to. ni sio. Ocet — mówi. Ja na niego. Ocet! ot *naczalstwo* zobaczy, jaki to ocet! Dał dwadzieścia kopiejek, puściłem go, blisko nikogo z *naczalstwa* nie było.

— Może i ocet był — dodał po chwili namysłu, — kto go wie. Napisu nie było.

Oto, z jakich ludzi składa się przeważnie instytucja rządowa, z iście moskiewską bezwzględnością gospodarująca na naszych kolejach i drogach.

Dozorcy celni, o których mówiłem, stojący na dworcach kolejowych w znaczniejszych miastach Polski i Litwy, są, naturalnie, nieco bardziej wykształceni i nie tak naiwni, jak mój zielony towarzysz podróży. Przeważnie są oni dobrani z szeregów tejże straży pogranicznej, z liczby podoficerów wysłużonych i bardziej sprytnych. Ci bezwątpienia są bardziej niebezpieczni i zarazem bardziej wykwalifikowani, jako detektywi kontrabandy. Chociaż i oni z istoty swej dzikiej służby kierować się muszą nie jakiemś rzeczowem podejrzeniem, lecz zewnętrznemi, zawsze zwodniczemi cechami twarzy, ruchów i pakunków u przejezdnych. To też rzec można z zupełną pewnością, że na sto, a może i więcej zaczepek z ich strony zaledwie jedna okaże się skuteczną — taka lub inna kontrabanda będzie złapana. Ja przynajmniej z obserwacji własnej i innych tak wnoszę. Widziałem mnó-

stwo wypadków i przechodziłem sam parę razy przez łapy szanownych dozorców, lecz nigdy nie spostrzegłem, by ta brutalna i niczem, oprócz dzikiej samowoli, nieusprawiedliwiona napaść doprowadziła do przyłapania czegoś zakazanego. Słyszałem jednak o wypadkach, gdy w ten sposób właśnie łapano i kontrabandę zwyczajną, i bibułę.

Z powodu tej trzeciej linji miałem niegdyś rozmowę z niemieckim kupcem, rozmowę, która mi utkwiła w pamięci.

Jechałem ze Żmudzi przez Kowno do Wilna. W Kownie wsiadłem do nocnego pociągu pośpiesznego, nie mającego trzeciej klasy, a więc pociągu możnych i bogatych. Pasażerów było niewielu, los, jako sąsiada, dał mi niemieckiego kupca z Królewca, który po raz pierwszy przekroczył granicę posiadłości wschodniego despotycara. Ćmiąc ustawicznie cygaro, opowiadał mi o grzeczności komorowych urzędników rosyjskich, którzy przed paru godzinami przeglądali mu rzeczy na pogranicznej stacji — Wierzbołowo. Rozpytywał mię o Wilno, do któregośmy się zbliżali i do którego po drodze do Rygi miał wstąpić.

Nareszcie stanęliśmy w Wilnie coś koło 5 godziny rano, gdy zaledwie poczynało szarzeć na niebie. Oprócz nas — mnie i kupca z Królewca— wyszło z pociągu jeszcze dwóch pasażerów, za którymi, jak i za nami, tragarze nieśli nasze ręczne bagaże. Mego Niemca nie opuszczały wesołość i zachwyt nad porządkami w państwie cara. Przypuszczam, że wyjeżdżał do Rosji ze zwykłem u Europejczyków przekonaniem o barba-

rzyństwach moskiewskich. Był nieco w strachu, gdy się zetknął z tą carską Rosją, i nie mógł dotąd przetrawić przyjemnej niespodzianki, jaką mu przez swą grzeczność sprawili urzędnicy w Wierzbołowie. Nastąpiła jednak inna niespodzianka, mniej przyjemna, coprawda, lecz bardziej zgodna z istotą rządów carskich.

Zaledwieśmy, gawędząc, otworzyli drzwi stacyjne i weszli do korytarza, prowadzącego do restauracji kolejowej, gdy zagrodziła nam drogę banda zielonych. Było ich sześciu tęgich drabów — dozorców celnych. Rozdrażnieni widocznie nocnem czuwaniem i chłodem porannym, rzucili się, jak głodne wilki, na nasze rzeczy.

— *Otworit'! Otworit'!* — brzmiały pośpiesznie rzucane rozkazy, a jeden z dozorców brutalnie schwycił niewielki neseserek podróżny, który był w ręku mego Niemca.

Napaść była tak gwałtowna, ruchy dozorców tak drapieżne, a oczy tak wymowne, że mój Niemiec wypuścił z ust cygaro i bezradny, ogłupiały kręcił się na miejscu.

— *Was ist das? Was wünschen Sie?* — pytał raz po raz, zwracając się to do mnie, to do zielonych.

Tłumaczyłem nieszczęsnemu kupczykowi, że ci panowie poszukują u niego szwarcowanych rzeczy, a jeden z dozorców, widocznie nieco umiejący po niemiecku, potakiwał mi.

— *Ja, ja! kontrabandu iszczem* — powtarzał napół po niemiecku, napół po rosyjsku.

Przetrząśnięto rzeczy wszystkich przyjezdnych, nic nie znaleziono i nareszcie wyszliśmy z rąk oprawców.

Mój Niemiec po tej operacji był zgnębiony i przybity. Pił zamyślony piwo w restauracji i widocznie nie mógł spokojnie myśleć o tem, że jego, poważnego kupca z Królewca, można było posądzać o tak zdrożne rzeczy, jak szwarcowanie towarów.

Zniżonym głosem — bo stracił swą pewność siebie — zaczął się tłumaczyć przede mną, pytając o wyjaśnienia. Przecie przyjechał z zagranicy, rzeczy oglądano mu na komorze, dano mu nawet jakiś znaczek, czemu więc go tu napastują? Może była jaka kradzież znaczna w pociągu — ale i w tym wypadku bez poważnych podejrzeń nie można przecie narażać człowieka spokojnego na przykrość i rewidować go, jak złodzieja.

Wyjaśniłem mu raz jeszcze cel rewizji i powiedziałem, że tak się u nas zawsze dzieje, że nie jest to ani specjalnie dla nas zrobiona niespodzianka, ani nawet specjalne względem nas podejrzenie.

Niemiec nie przestawał się dziwić, milczał, widocznie żuł myśl jakąś. Wreszcie z pewnym triumfem uderzył mnie po kolanie.

— Tak! U nasby tego ludzie nie ścierpieli! Nie, u nas to byłoby niepodobieństwem!

Czułem, że się rumienię ze wstydu. Niemiec miał rację — jedynie niewola, jedynie codzienne przyzwyczajanie do znoszenia wszelkich kaprysów władzy może utrzymywać przy życiu takie wybryki i pomysły carskich urzędników, jak trzecia linja pograniczna.

Przypatrywałem się potem nieraz działalności trzeciej linji pogranicznej w różnych miejscach i na różnych pograniczach państwa cara. Nie

istnieje ona wcale koło Petersburga, istnieje, ale działa bardzo słabo, jakby od niechcenia, na morskiej granicy, gdzie mieszkają Niemcy i Łotysze, również nieznaczną jest jej działalność na pograniczu podolskiem i wołyńskiem, gdzie rząd i Rosjanie czują się prawie zupełnie u siebie, w domu. Lecz w Polsce i na Litwie trzecia linja szaleje. Tu, w tym domu niewoli *par excellence*, nigdy rząd i jego poszczególny agent nie liczy się ani z wygodą, ani z potrzebą mieszkańców. Źle to zarazem świadczy o odporności naszego społeczeństwa.

Jestem przekonany, że gdyby każde wkroczenie zielonego, wkroczenie, które, jak mówiłem, jest bezprawne nawet wobec praw rosyjskich, spotykało się z protestem, nawet zupełnie legalnym, z żądaniem protokółu oględzin rzeczy, ze skargą sądową w razie nieznalezienia w rzeczach poszukiwanej kontrabandy — gdyby, jednem słowem, nasza publiczność była nieco odważniejszą, nieco więcej dbałą o swą godność, trzecia linja pograniczna istniećby długo nie mogła. Lecz tak nie jest. Każdy zaczepiony śpieszy otworzyć swe bagaże, boi się narazić na gniew najmarniejszego stupajki. Nie należy więc się dziwić, że wobec tego to barbarzyństwo istnieje.

Rzecz prosta, że trzecia linja pograniczna działa w kierunku najmniejszego oporu. Oszczędza dobrze ubraną publiczność, zaczepia średniaków, napastuje chłopów i biednych, a rzuca się, jak głodne zwierzę, na Żydów. Ci są główną jej ofiarą, głównym objektem prześladowań.

Towarzysze nasi, chcąc się zorjentować w sytuacji, badali nieraz kwestję: jakie właściwie

cechy człowieka lub pakunku ściągają na się uwagę dozorców. Naturalnie więc przedewszystkiem wynikające z powyższego. Lecz poza tem trudno coś określonego powiedzieć. Zdaje się jednak, że ciężkie pakunki i rzeczy, zawinięte w papier, szczególnie irytują zielonych. Lecz poza tem zwracają oni uwagę na wyraz twarzy, na poruszenia człowieka, gdyż te ostatnie mogą zdradzić przenoszących taką lub inną kontrabandę na sobie pod odzieniem. Wogóle zaś napaściami zielonych rządzi taka przypadkowość, że niepodobna je przewidzieć i jedynem bodaj ogólnem prawem, mało zresztą mówiącem, jest: chcąc uniknąć zaczepki zielonych, trzeba się starać o możliwe niewyróżnianie się z otoczenia.

Zatrzymałem się tak długo na opisie trzeciej linji, bo stanowi ona przeszkodę dla bibuły, nietylko dla przychodzącej z nad granicy, lecz i dla wędrującej z miejsca na miejsce, dla cyrkulacji jej w kraju. Bo wobec tego, że dozór zielonych obejmuje kraj cały, cały prawie teren działalności polskich rewolucjonistów, bibuła wszędzie, bez względu na to, czy idzie z granicy, czy też nawet odwrotnie, spotkać się może z napaścią i zaczepką zielonych. Dosyć sobie przedstawić, że na każdej stacji kolejowej w Polsce i Litwie każdy pakunek może być obejrzanym przez dozorcę celnego, a zrozumiałem się stanie, jakie stałe niebezpieczeństwo wisi nad głową towarzyszów, rozwożących bibułę, jak w każdem miejscu można się wsypać, to jest być aresztowanym. A zważywszy wszystko, com powiedział wyżej o działalności trzeciej linji, łatwo pojąć, że często prosty wypadek, zupełnie niemożliwa do

przewidzenia okoliczność ściągnąć może uwagę i napaść zielonego.

Widzimy więc, że bibuła po przejściu przez pierwsze dwie sieci pograniczne nie jest jeszcze bezpieczną. Musi się prześlizgnąć przez trzecią. Zwykle nie używa się żadnych nadzwyczajnych środków dla uniknięcia niebezpieczeństwa. Bibułę pakuje się do walizki lub kosza, naturalnie, tak, by pakunek nie był zbyt ciężkim, a przy spotkaniach z zielonymi przechodzi się koło nich spokojnym krokiem, z podniesioną głową. Najczęściej to wystarcza. Zdarzały się jednak wypadki przeciwne.

Jeden ze znajomych towarzyszów opowiadał mi, jak go zatrzymano w N. N. na dworcu kolejowym, gdy przywiózł tam dwie ciężkie walizy bibuły.

— Wsiadałem już do dorożki — mówił mi, — gdy nagle podszedł do mnie dozorca celny i grzecznie poprosił mię o otworzenie walizek, musi bowiem obejrzeć moje rzeczy. Zapytałem go, z jakiej racji to robi. Mówiłem dość grzecznie, lecz nieco wyniosłym tonem i po rosyjsku. Zielony, który był w cywilnem ubraniu, oświadczył mi, że jest dozorcą celnym i ma podejrzenie, że w mych walizkach ukryta jest kontrabanda.

Oburzyłem się na to ogromnie i krzyknąłem nań zgóry, że to jest obraza, że nie ma on prawa mnie napastować, że oskarżę go przed jego władzą.

Zielony nie odczepiał się i coraz natarczywiej domagał się otworzenia walizek. Spostrzegłem, że żandarm kolejowy, który usłyszał widocznie hałas, zbliżał się do nas.

— Jestem urzędnikiem — zawołałem na zielonego, — i ty, durniu, nie masz prawa mnie rewidować. Siadaj zaraz ze mną i jedź do urzędu celnego.

Dozorca posłusznie siadł obok mnie i ruszyliśmy w kierunku komory.

W drodze zacząłem straszyć dozorcę, że tej sprawy nie puszczę płazem. Przy rewizji nic się u mnie nie okaże i będę go skarżył. Wypadkowo przypomniałem sobie jedno nazwisko wyższego urzędnika celnego w Warszawie i wskazałem dozorcy na niego, jako swego znajomego. Dozorca, usłyszawszy z ust moich nazwisko swego naczelnika, struchlał i zaczął mnie przepraszać.

Udawałem jednak zagniewanego i dalej wymagałem, by jechał ze mną do komory. Dozorca coraz bardziej tracił rezon, coraz bardziej zdradzał chęć wycofania się z interesu. Przepraszał mię coraz goręcej i skarżył się na ciężki obowiązek zaczepiania publiczności.

Wreszcie zapytałem go, czy jest żonaty. Okazało się, że ma żonę i dzieci. Ma się rozumieć, że skorzystałem z tej szczęśliwej okoliczności, by okazać wystraszonemu dozorcy swą wspaniałomyślność.

— No! — rzekłem, — niech tak będzie, nie chcę gubić twej rodziny. Ruszaj sobie!

Dozorca nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Zatrzymał dorożkę, wyskoczył z niej i pożegnał mię wojskowym ukłonem.

Odetchnąłem lżej. Widocznie dorożkarz moje westchnienie usłyszał. Odwrócił się do mnie z uśmiechem.

— Ależ udało się panu — rzekł do mnie, — przeląkł się, głupi!

Innym razem, jak mi opowiadano, wpadł w ręce zielonego opryszka Żyd, robotnik, którego nieopatrznie, wobec specjalnych względów zielonych dla Żydów, wysłano z bibułą do sąsiedniego miasta. Nasz towarzysz bibułę zapakował do starej walizki bez zamka i obwiązał ją sznurami w bardzo gruntownie zaplątany sposób. To właśnie zbawiło go.

Przy wyjściu z wagonu na dworcu miejskim zatrzymał go zielony i kazał otworzyć walizkę. Towarzysz powoli zaczął rozplątywać węzły i węzełki na sznurach. Zielony — widocznie był to zwyczajny stupajka, typu, opisanego przeze mnie wyżej — znudzony tem długiem rozwiązywaniem, obejrzał naszego towarzysza i widocznie z ubrania osądził, że nawet dwudziestu kopiejek zeń nie wydusi.

— *Nu, czort s toboj* — zawołał, — *idi, żydok! Stupaj!*

Niekiedy jednak oczka sieci pogranicznych z powodów rozmaitych zaciskają się gwałtownie. Zieloni stają się nerwowi, baczność się zwiększa. Wówczas uciekać się trzeba do najuciążliwszego i najbardziej kosztownego sposobu — do przewożenia bibuły na ludziach. Są najrozmaitsze sposoby opakowywania człowieka i technika transportowa wynalazła wiele środków do zwiększania zdolności transportowej żywej tary dla bibuły. Najidealniejszą pod tym względem jest silna, dobrze zbudowana kobieta. Wyzyskawszy wszystkie skrytki damskiej garderoby, obłożywszy siebie najstaranniej bibułą, kobieta,

gdy ma do tego odpowiednią siłę fizyczną, może unieść na sobie, bez zwracania na się uwagi, trudną do uwierzenia ilość bibuły. Opowiadano mi pod tym względem o fakcie następującym.

Partja musiała likwidować jedną ze swych granic, była bowiem obawa, że nastąpić może wsypa z powodu naprężonych w tem miejscu stosunków granicznych oraz wypadkowego podejrzenia, jakiemu uległ w oczach zielonych towarzysz. prowadzący granicę.

Niebezpieczeństwo wydało się tak groźnem, że z likwidacją śpieszono. A na składzie nad granicą leżało moc bibuły, której główną częścią było kilka setek książki Bebla *Kobieta.* Książka to gruba, ważąca prawie funt i jako taka należy do najtrudniejszych dla techniki transportowej. Wobec wzmocnionego dozoru nie można było wywieźć bibuły walizkami, zwyczajną drogą. A że granicę likwidowano i już nie bardzo się liczono z wymaganiem konspiracji granicznej, by zbyt często nie zjawiać się na pograniczu, postanowiono raz po razie wysyłać towarzyszki dla zabrania bibuły na sobie.

W tych wyprawach brało udział pięć towarzyszek, pomiędzy któremi wobec pośpiechu, jakiego wymagała sprawa, rozwinęło się współzawodnictwo. Kto więcej przyniesie? — oto było pytanie. Swego rodzaju rekord w tym oryginalnym sporcie rewolucyjnym został ustanowiony przez pewną towarzyszkę, która na sobie przywiozła siedmdziesiąt pięć egzemplarzy *Kobiety.*

Siedmdziesiąt pięć! wynosi to na wagę prawie 2 pudy papieru, ułożonego w dodatku pod ubra-

niem, więc w sposób ogromnie krępujący i męczący. Nigdy nie miałem na sobie tyle bibuły; zdarzyło mi się jednak parę razy nieść jakieś marne 15—20 funtów i muszę wyznać, że mię to wcale nie zachwyciło. Bibuła zewsząd mnie dusiła, gniotła, łaskotała; czułem, że muszę przybierać niezupełnie naturalne pozy, które mię męczyły ogromnie. A przecie od moich 20 funtów daleko do dwóch pudów — stanowi to cztery razy większą wagę i objętość.

Mąż owej dzielnej towarzyszki, który razem z nią odbył tę wyprawę, opowiadał mi, że będąc tak opakowaną, żona jego przejść musiała pieszo trochę więcej, niż kilometr, przetrząść się w wagonie kilka godzin i wreszcie jechać dorożką nie mniej, niż pół godziny.

— Gdyśmy wsiedli już do wagonu—mówił on,— zająłem czemprędzej dwie króciutkie ławki, aby nikt nie siedział obok nas. Bałem się, by wypadkowe dotknięcie nie zdradziło bibuły, będącej pod ubraniem. Pociąg był nocny i gdy ruszył, moja żona, zmęczona podróżą, wrażeniami i spacerem kilometrowym z takim ciężarem na sobie, zadrzemała. Nagle usłyszałem cichy jej jęk.

— Co ci jest? — spytałem, nachylając się nad nią. — Boli cię co?

Odpowiedzi nie otrzymałem. Żona spała, oparta głową o ścianę wagonu, i od czasu do czasu jęczała zcicha. Byłem przekonany, że to skutek zmęczenia lub niewygodnego siedzenia przy takiem niesłychanem wypchaniu siebie książkami. Zadrzemałem wreszcie i sam.

Przed samym celem podróży, gdy pociąg już zwalniał biegu, obudziła mię żona — była bladą

i łzy się jej kręciły w oczach. Widocznie coś jej mocno dolegało.

— Złamał mi się gorset — mówiła, zaciskając zęby od bólu, — brykle wjadają mi się w ciało. Wiesz, może nie potrafię przejść przez dworzec.

Lecz obawy były płonne. Opierając się o moje ramię i sycząc nieledwie z bólu, żona moja doszła do dorożki. Gdyśmy nareszcie znaleźli się w domu i żona się rozebrała, okazało się, że ma pokrwawione i poszarpane bryklami boki. Ze dwa tygodnie po tej wyprawie żona moja gorsetu nie mogła włożyć.

Jakim jest rekord męski pod tym względem, nie wiem dokładnie. Słyszałem jednak o charakterystycznej przeróbce znanej pieśni filareckiej, którą ułożono w kółku towarzyszów, uprawiających *con amore* walkę z caratem na polach nadgranicznych. Przytaczam ją tu:

Gdy pakowność cnota znana,
Pakowniejszy kto nad Jana?
Więc, panowie, jego zdrowie:
Wiwat tęgi Jan!

Naturalnie, jak to już powiedziałem, przemienianie towarzyszów i towarzyszek w walizki czy kosze nie może być stałem zjawiskiem. Pociągałoby to za sobą zbyt dużo kosztów, pochłaniałoby zbyt dużo sił, zużywałoby ludzi zbyt prędko. Od czasu do czasu jest ono jednak konieczne. A wobec tego z prawdziwem uznaniem podnieść należy zasługi dzielnych towarzyszek, które dla walki z caratem ofiarowują swe wątłe nieraz siły fizyczne dla pełnienia uciążliwej funkcji, zwa-

nej żartobliwie w żargonie rewolucyjnym dromaderowaniem.

Wspomniałem poprzednio, że rząd doniedawna nie przedsiębierał żadnych specjalnych środków dla walki z wzrastającym z rokiem każdym dopływem bibuły. Walka z kontrabandą polityczną była tylko częścią walki z kontrabandą ogólną, ze szwarcowaniem koronek, zegarków, spirytusu, herbaty i tak dalej. Jak mnie zapewniano z kompetentnych źródeł, rząd w wielkim stopniu dopiął swego: szwarcowanie towarów zwykłych, nie politycznych, jakoby znacznie się zmniejszyło.

Jeśli tak jest w istocie, to zostało to osiągniętem przez stałe pogarszanie warunków życia ogromnej ilości ludzi, nic wspólnego z kontrabandą nie mających. Z każdym rokiem sypią się nowe ograniczenia, coraz bardziej krępujące ludność, z każdym rokiem stosunki pod tym względem się pogarszają i wyznać należy, coraz jest trudniej urządzić porządnie działające biuro transportowe na granicy.

Dozór na samej granicy jest zwiększany z rokiem każdym. Stałem jest również zjawiskiem ograniczanie liczby osób, mających prawo do półpasków, przepustek. Nareszcie trzecia linja graniczna jest instytucją względnie nową, stale w dodatku wzmacnianą, jest siecią, której oczka coraz bardziej maleją. Znający stosunki zapewniali mię, że w ciągu ostatnich lat dziesięciu warunki transportowe tak się pogorszyły, że niepodobna porównywać obecne z dawnemi: co było łatwem wczoraj, staje się trudnem dzisiaj.

Jedynem, lecz zato poważnem ułatwieniem jest wzmożenie się ruchu rewolucyjnego, przeniknię-

cie ducha rewolucji, ducha opozycji, do szerokich mas ludowych. Tego wpływu, rozkładowego dla potęgi rządowej, nie uniknęła i ludność pograniczna. Jeśli więc trudności techniczne przy transportach wzmagają się, to natomiast ułatwionem jest wynajdywanie ludzi, chętnych do tego rodzaju pracy.

Niedawno pisma doniosły, że w Petersburgu obradowała komisja w celu znalezienia środków dla zmniejszenia dopływu bibuły do Rosji. Co tam uradzono przy udziale — jak pisano — żandarmów z Królestwa, nie wiem. Jedyne, co doszło do mnie, to wyasygnowanie środków dla żandarmerji w celu utrzymywania agentów-szpiegów wśród ludności nadgranicznej. Bezwątpienia, szpicle nad granicami mogą utrudnić znacznie robotę, osobliwie, gdy będą sprytnie dobrani z pomiędzy ludności rzeczywiście miejscowej. Lecz niebezpieczeństwo to nie wydaje mi się tak groźnem.

Główną podstawą dla działania rewolucjonistów na granicy państwa, jak to przedstawiałem, jest podmycie tej granicy przez ludność pograniczną, zanik jej dla niej. Do wytworzenia mętnej wody na pograniczu w ogromnym stopniu przyczyniają się właśnie ci, co mają granicy pilnować, ci, co najbardziej są względem całego otoczenia uprzywilejowani. Do takich uprzywilejowanych będą, naturalnie, należeć i nowi dygnitarze państwowi na granicy — owi agenci żandarmerji. Lecz gdy dotychczasowi dygnitarze najczęściej są zupełnie obcy, są przybyszami, którzy po pewnym tylko czasie stają się zależ-

nymi w mniejszym lub większym stopniu od otoczenia, to projektowani agenci żandarmów, pochodząc z ludności miejscowej, tę krępującą zależność odczuwać będą znacznie silniej. Więc własne ich grzechy graniczne — szwarcowanie na własny użytek towarów zagranicznych — przyczynią się do zwiększenia mętów i w wielu wypadkach zwiążą im ręce. Tem bardziej, gdy się zważy, że szpieg, pomimo wielkiego jego znaczenia dla rządu, tak jest pogardzanym przez ludzi, że szeregi ich mogą być rekrutowane jedynie z pomiędzy najbardziej nisko pod względem moralnym stojących ludzi.

Drugą podstawą dla kontrabandy rewolucyjnej w Polsce jest silne, chociaż często nie bardzo świadome poczucie niechęci wszystkich ludzi w stosunku do rządu. Niechęć ta, tak ułatwiająca agitację rewolucyjną w Polsce, na pograniczu wzmaga się jeszcze bardziej przez solidarność fachową — solidarność szwarcowników, którymi, jak to wykazałem, są w pewnym stopniu wszyscy absolutnie mieszkańcy pogranicza. Czy więc rząd przez ustanowienie agentów żandarmskich potrafi już nie rozbić, lecz choćby poważnie zachwiać tą podwójną solidarnością? Co do mnie, znając kraj i stosunki pograniczne, innej odpowiedzi na to pytanie, jak negatywnej, dałbym nie mógł.

TAJNE DRUKARNIE.

Mniejszą, lecz bodaj z każdym rokiem wzrastającą częścią bibuły, kursującej w Polsce, stanowi bibuła, w samym kraju wytworzona, wyprodukowana pod okiem wiecznie niespokojnej i trapiącej buntowników policji carskiej. Bibuła taka, w postaci ulotnego pisemka czy odezwy, albo też mniej więcej perjodycznie się ukazującego pisma partyjnego, ma ogromne znaczenie dla każdej organizacji rewolucyjnej, chcącej szerszy wpływ na ludzi wywierać. Bibuła zagraniczna, wyprodukowana za żelaznym pierścieniem bagnetów, opasującym państwo cara, ma w wielu wypadkach tę niedogodność, że się opóźnia, że wobec kapryśnych warunków nadgranicznych nie daje się całkowicie opanować przez organizacje. Ten brak precyzji, brak, że tak powiem, elastyczności bibuły zagranicznej, rozpatrywanej, jako narzędzie rewolucyjne w rękach organizacji, zmuszał nieledwie każdą grupę rewolucyjną w państwie cara do prób tworzenia bibuły krajowej, produkowania jej na miejscu.

Najbardziej pierwotnym, studenckim, że go tak określę, sposobem jest hektograf. Urządzić go łatwo, zajmuje on bardzo mało miejsca, zniszczyć lub usunąć go z widoku nie trudno, do pracy z nim nie trzeba prawie żadnych kwalifika-

cyj — jednem słowem, byłby on wspaniałym i niekłopotliwym sposobem, gdyby nie małe „ale“ — wytwórczość hektografu jest bardzo niewielką, mogącą zadowolić najwyżej 30—40 osób, a produkty jego są nieczytelne. A jednak dzikie kagańce, nałożone przez rząd carski na wszystko, co ze świetnym wynalazkiem Gutenberga jest związane, tak są krępujące, że umożliwiają dotąd konkurencję marnego hektografu z drukiem.

Spotykałem wydawnictwa w Rosji, wydawnictwa, hektografowane w języku rosyjskim, ogromnej objętości, że wymienię tu, naprzykład, *Tkaczów* Hauptmana albo *Spowiedź* Tołstoja. Ile szalonej, żmudnej pracy w taki tom zostało włożone przez wydawców, ile oczu popsutych i załzawionych u czytelników tych wydawnictw! Byłem, doprawdy, zdumiony tą cyklopową pracą.

Lecz takie większe rzeczy, odbite na hektografie, są rzadkością, białemi krukami bibljograficznemi, które kiedyś w muzeach świadczyć będą o dzikiem okrucieństwie caratu. Częstemi jednak są dotąd krótkie hektografowane odezwy rewolucyjne i pisma ulotne. Nawet w Polsce, nieco kapryśnej pod tym względem w porównaniu z rdzenną Rosją i przyzwyczajonej do bardziej europejskiego i cywilizowanego druku, zdarzają się często wypadki używania hektografu dla celów rewolucyjnych. Osobliwie często ucieka się do tego środka młodzież szkolna; dlatego też nazwałem ten sposób — studenckim. Najtrudniej zaś daje się hektograf zastosować do ludu pracującego. Tutaj, gdzie nieraz samo czytanie stano-

wi poważną pracę, błękitne rozlane literki hektografu często są zupełnie bezużytecznemi.

W ostatnich czasach zaczęto ulepszać ten studencki sposób tworzenia bibuły krajowej. Przystosowano do hektografu maszyny piszące, wprowadzono mimeografy, cyklostyle i tak dalej. Lecz pomimo tych ulepszeń, zwiększających produkcyjność pracy oraz zmieniających na lepsze czytelność bibuły, niepodobna porównywać tych sposobów z drukiem. Zbyt dużo zajmują one czasu, zbyt dużo zużywają papieru, by można było zadowolić szersze wymagania przez takie środeczki. Dobremi być one mogą dla produkcji, jak ją nazywamy żartobliwie, rzemieślniczej w rewolucji. Dla wielkiego przemysłu rewolucyjnego nic druku zastąpić nie zdoła.

Wobec tego nie jest wcale dziwnem, że dla każdej poważniejszej organizacji rewolucyjnej ideałem jest posiadanie tajnej drukarni. Dwie najsilniejsze organizacje w przeszłości — rosyjska *Narodna Wola* i polski „Proletarjat" — były uzbrojone w tę broń nowoczesną. Pierwsza za czas swego istnienia w kilku drukarniach, raz po raz wykrywanych przez policję, wydała kilka odezw oraz 10 numerów swego pisma. Druga oprócz odezw i paru broszur wydała pięć numerów *Proletarjatu.*

Po rozbiciu tych organizacyj w 1884 i 1885 latach nastała w państwie cara cisza rewolucyjna. Robota rewolucyjna szła dalej nieprzerwanie, lecz przeważnie była to robota „rzemieślnicza", dłubanie, najczęściej nieskoordynowane, po różnych kątach. W ogromnej większości umysłów rewolucyjnych wytworzył się nawet pewnego

rodzaju nastrój, który tu nazwę przeciwromantycznym, nastrój, dający się streścić w słowach: „nasze czasy, to nie czasy szerokich planów i zadań“.

Drukarnia tajna, pismo partyjne — należały do tych szerokich „romantycznych“ planów i zadań rewolucyjnych, względem których szanujących się „pozytywnych“ rewolucjonistów obowiązywał pewnego rodzaju sceptycyzm i uśmiech niedowierzania. Lecz jeśli w stosunku do planów „szerokich“ przeważał w owych czasach nastrój „pozytywny“, to w stosunku do środków dla wykonania tych planów powszechnym był nastrój „romantyczny“, powiedzmy raczej — dziecinny. Nastrój ten da się scharakteryzować przez zabawną anegdotę, którą słyszałem o kijowskich rewolucjonistach z końca ósmego dziesiątka lat zeszłego stulecia.

Do Kijowa przyszedł transport bibuły — kilka pudów — który narazie został umieszczony gdzieś na przedmieściu. Chodziło o przeniesienie bibuły do miasta samego. Interes ten poruczono trzem towarzyszom z organizacji ówczesnej. Oto, jakiem było ich rozumowanie:

Nieść bibułę we dnie — niedobrze, zbyt jest to widoczne, — lepiej w nocy. Brać dorożkę niebezpiecznie — dorożkarz będzie widział, — lepiej iść pieszo. Po drodze nie jest dobrze — lepiej tyłami zabudowań.

I oto nasi „romantycy“ ruszyli w nocy po ową bibułę, wpakowali ją w worki i z tajemniczemi, odpowiednio do chwili, minami ruszyli nie droga, lecz przez płoty i ogrodzenia. Naturalnie, skutek był żałosny — psy, zbudzone z drzemki,

zaczęły gwałtownie ujadać, ludzie z domów przedmieścia wypadli i zabrali biednych towarzyszów, jak złodziei, do cyrkułu. Tam sprawę wyjaśniono, lecz, rzecz prosta, osadzono niefortunnych romantyków w więzieniu.

Ta tradycja „romantycznych“ środeczków rewolucyjnych, zostawiona w spuściźnie głównie przez *Narodną Wolę,* ciężyła w owe czasy nad ludźmi równie silnie, jak „pozytywny“ nastrój umysłów. Pozytywiści. gdy krytykowali „romantyczne“ plany, krytykowali je nie „pozytywnie“, lecz „romantycznie“, biorąc z ubogiej skarbnicy doświadczenia rewolucyjnego różne dziwactwa i śmiesznostki, jako dowody contra temu lub owemu „szerokiemu“ planowi, a więc pomiędzy innemi i contra planom drukarnianym.

Dla rozbicia tej tradycji, dla przezwyciężenia tego nastroju potrzebni byli nowi ludzie — romantycy co do planów, pozytywiści co do środków. Takimi okazali się założyciele Polskiej Partji Socjalistycznej, których działalność dla krajowej produkcji bibuły stanowi epokę równie dobrze, jak i dla rozpowszechnienia bibuły zagranicznej.

W lipcu (dnia 12) 1894 roku z tajnej drukarni P. P. S. ukazał się pierwszy numer *Robotnika*, którego dotąd wyszło 52 numery, to jest pięć razy więcej w porównaniu z *Narodną Wolą,* organem najsilniejszej z doby popowstaniowej organizacji rewolucyjnej w państwie cara do niedawnych czasów. Dotąd jedynie organizacja żydowska „Bund“ poszła w ślady P. P. S. i potrafiła urządzić tajną produkcję bibuły w kraju. Inne organizacje, tak polskie, jak rosyjskie, od czasu do czasu robią próby w tym kierunku, próby rzadkie, z efektem

krótkotrwałym. Do takich prób należy *Pochodnia* narodowo-demokratyczna, kilka rosyjskich pisemek rewolucyjnych, wsypujących się zwykle przy trzecim czy czwartym numerze. Druki pochodzenia krajowego dotąd są prawie monopolem P. P. S.

Stąd właśnie pochodzi fakt, że przy wypadkach, obchodzących ogół opinji publicznej, jak przyjazd cara, odsłonięcie tego lub owego pomnika, większe strejki lub poruszenia ludowe — najczęściej daje się słyszeć jedynie głos P. P. S. Inne organizacje — oprócz, jak powiedziałem, „Bundu" wśród Żydów — nie są w stanie sprostać temu zadaniu, nie są w stanie wypowiedzieć się publicznie z powodu tego lub owego zdarzenia w tym właśnie czasie, gdy zajmuje ono umysły ludzkie.

Fakt istnienia drukarni w kraju, stałe ukazywanie się różnych wydawnictw — *Robotnika* i odezw — wywarł w swym czasie głębokie i silne wrażenie na wszystkich, co czuli jakąkolwiek chęć do walki z uciskiem rządowym.

Wśród sceptyków i „pozytywistów" panowało pewnego rodzaju zdumienie i oczekiwano z dnia na dzień wpadnięcia drukarni w ręce żandarmów. Wśród samych założycieli drukarni i *Robotnika* panował taki nastrój, że, jak opowiadał mi jeden z nich. nie oczekiwano, by można było bez wsypy dojść do dwunastego numeru pisma. Lecz bodaj nie omylę się, gdy powiem, że najpowszechniejszem uczuciem był pewnego rodzaju entuzjazm i uznanie dla śmiałego przedsięwzięcia.

Opowiadano mi, że organizacja zecerów w Warszawie zaproponowała w razie braku sił technicznych wybrać z pomiędzy nich ludzi. Dodano przy-

tem, że każdy z nich zgadza się, by mu zawiązano oczy, wsadzono do powozu i odwiązano dopiero w drukarni, skąd każdy z nich obowiązywał się nie wychodzić ani na chwilę i nie patrzeć przez okno dla zachowania konspiracji zupełnej. W Dąbrowie, w Hucie Bankowej, robotnicy proponowali złożyć w drukarni zaoszczędzone przez siebie dla przyszłego strejku fundusze. Sam na własne uszy słyszałem propozycje towarzyszek, by je wzięto do drukarni, chociażby dla najzwyklejszych posług. Nawet menerzy Narodowej Demokracji, tak wrogo obecnie względem socjalizmu usposobieni, byli nieco podnieceni nadzwyczajnem powodzeniem *Robotnika.* Jeden z nich przy rozmowie ze mną w 1896 roku mówił, że „drukarnia wasza i *Robotnik* to nadzwyczajny fakt, wspaniałe zjawisko, którego waszej partji powinszować można". Naturalnie, zapatrywał się on na znaczenie tego faktu w specjalny sposób: „jak to żandarmów wściekać musi!".

W istocie żandarmi wściekali się ze złości i urządzali formalne polowania na nieuchwytnego *Robotnika.* Sądząc z ciekawych pamiętników znanego szpiega Wiśniewskiego, wydanych przez P. P. S., żandarmi warszawscy próbowali okłamywać siebie i wyższą władzę twierdzeniem, że *Robotnik* jest wydawany zagranicą, a druki, rzekomo krajowego pochodzenia, są przeszwarcowane z za kordonu. Mądry pułkownik Utgoff znalazł nawet, że papier, na którym wydrukowany jest *Robotnik,* zdumiewająco jest podobny do londyńskiego papieru, używanego do zagranicznych wydawnictw P. P. S. Lecz wreszcie musiano się pożegnać z tą iluzją, raz po raz bowiem w nu-

merach *Robotnika* znajdowały się nowiny z dnia wczorajszego, które fizycznie nie mogły tak prędko przebiec granicę i wrócić stamtąd w postaci zadrukowanego papieru.

Wówczas drukarnia *Robotnika* stała się głównym celem nagonek żandarmskich. W przyszłości zapewne będzie znanem, jak mądre plany budowano w zarządach żandarmerji dla wykrycia drukarni. Obecnie jednak, sądząc tylko z przejawów tych polowań, trzeba przyznać, że polowania te mocno przypominały rozjuszonego byka, rzucającego się na czerwoną płachtę i spotykającego pod rogami pustą przestrzeń. Tą płachtą dla żandarmów były odezwy. Pojawiły się w Radomiu — jazda do Radomia w poszukiwaniu drukarni; były w Białymstoku — marsz na Białystok, tam bowiem ukrywa się drukarnia; są w Dąbrowie i oto w głupich głowach żandarmów kręci się myśl, że drukarnia musi być ukryta gdzieś w zarzuconym szybie. Przed samem zaaresztowaniem drukarni w Łodzi żandarmerja warszawska była już na „pewnym" tropie. Drukarnia miała być ukryta u jakichś bardzo bogatych i możnych ludzi i żandarmi poszukiwali ich śladów przez... modne i drogo sprzedające siebie kokoty.

Jeśli żandarmi suszyli sobie nieraz mózgi nad tem zagadnieniem z obowiązku, to mnóstwo ludzi łamało sobie głowy nad niem z prostej i zrozumiałej ciekawości. Koło tej niepochwytnej drukarni tworzyły się legendy i hipotezy. Jedni umieszczali ją w piwnicach, inni — na strychach, wielu słyszało w zamieszkanych przez siebie kamienicach szmery, mające świadczyć o istnieniu drukarni i tak dalej — wszyscy zaś osłaniali tę

tajemniczą drukarnię różnemi romantycznemi szczegółami.

Wreszcie w lutym 1900 roku pieczęć absolutnej tajemnicy, która gęstą mgłą otaczała drukarnię, została zdjętą. Żandarmerja łódzka, dzięki prostemu przypadkowi, wykryła ową drukarnię w Łodzi, przy Wschodniej ulicy, na pierwszem piętrze domu pod numerem 19.

Triumf żandarmerji był ogromny. Zdawało się im, że raz nareszcie opanowano ruch, który im tyle kłopotów sprawiał, a przynajmniej, że zmuszono ten ruch do milczenia. Jeden z żandarmów, który piszącego te słowa właśnie w sprawie drukarni badał, szeroko tłumaczył, jak wielki cios został zadany partji przez aresztowanie drukarni.

— Niełatwo — mówił mi pan rotmistrz — zdobyć się raz jeszcze na taki wysiłek, niełatwo zorganizować podobną rzecz na nowo.

— Ależ, panie rotmistrzu! — zawołałem na to z uśmiechem — jestem przekonany, że w tej może chwili już się drukuje następny numer *Robotnika*. Niech mi pan wierzy, że dla P. P. S. nie stanowi to nic tak bardzo trudnego.

Nie wiedziałem wówczas, zamknięty w murach cytadeli warszawskiej, że moje słowa odpowiadały rzeczywistości. W kilka dni po tej rozmowie ukazał się trzydziesty szósty numer *Robotnika* z nowej drukarni, założonej przez partję.

Odkryta w Łodzi drukarnia nie mieściła się ani w piwnicy, ani na strychu, ani była otoczona jakąś nadzwyczajną tajemniczością. Redakcja i drukarnia znajdowała się w zwykłem mieszkaniu, takiem, jakich tysiące jest w każdem większem mieście. Jak wspomniałem, była ona na pierwszem

piętrze. Była to, jak mi mówiono, inowacja. Dotąd bowiem wystrzegano się umieszczania drukarni na piętrze. Obawiano się, by pewien szum, sprawiany przez maszynę drukarską, nie był słyszany przez mieszkańców parteru.

Co do mnie, gdy mnie poruczono redakcję *Robotnika* i urządzenie drukarni w Łodzi, nie znalazłem na parterze mieszkania.

Zaryzykowałem wziąć mieszkanie na piętrze, tem bardziej, że w tym domu parter był zajęty przez skład bawełny i pończoch. Mieszkanie nasze składało się z czterech pokoi i kuchni. Z frontowych schodów wchodziło się do korytarza, z którego na prawo drzwi prowadziły do pokoiku niewielkiego — w tym jadaliśmy obiad. Na lewo z korytarza było dwoje drzwi — jedne, najbliższe od wejścia, do pokoju sypialnego, drugie — do saloniku. Wprost z korytarza były drzwi do kuchni i z kuchni wreszcie na tylne schody. Za salonikiem był pokój duży, w którym postanowiliśmy umieścić drukarnię, a który był zarazem dla ludzi postronnych gabinetem moim dla pracy.

Jaką była ta praca, nie mówiłem nikomu, pozostawiając otoczeniu tworzenie takiej lub innej hipotezy co do rodzaju mego zajęcia. Liczyłem na to, że w Łodzi, mieście przemysłowem i handlowem, musi być mnóstwo osób, żyjących przy tym przemyśle i handlu, a nie mających ścisłych godzin pracy pozadomowej, ani zupełnie wyraźnego zajęcia dla otoczenia. Chciałem jednak imitować zajęcie techniczne, które, jak mi się zdawało, więcej odpowiadało charakterowi miasta. Tymczasem, jak się potem okazało, stróż i służba uważali mnie za prawnika, prowadzącego jakieś inte-

resy. Zdaje się pogląd ten wyrobił się z tego, że często widziano mnie piszącego.

Podpułkownik Gnoiński, który nas aresztował, również był tego zdania, że jestem adwokatem, bo przy rewizji jednem z pierwszych pytań jego było: „Pan jest prawnikiem?“ Zresztą co do stróża. to jego pojęcie o adwokaturze było dosyć zabawne. Żona moja rozpytywała stróżową o lokatorów domu, w którym mieszkaliśmy. Otóż stróżowa twierdziła, że nad nami mieszka adwokat.

— Adwokat? — pytała żona.

— A tak, proszę pani, on całemi dniami w domu siedzi, a na noc wychodzi — odpowiedziała stróżowa.

Różnica więc pomiędzy mną a moim sąsiadem z góry była tylko ta, że ja na noc nie wychodziłem. Różnica ta nie przeszkodziła stróżowej uważać i mnie za adwokata.

Lecz wracam do urządzenia drukarni. Umeblowanie gabinetu - drukarni składało się z biurka redakcyjnego, w którego szufladach złożone były rękopisy i różne wydawnictwa, potrzebne do redakcji; z otomany, w którą chowaliśmy papier; kosza, do którego szły różne odpadki produkcji, stopniowo potem spalane w piecach mieszkania; szafki składanej, w której się mieściła w górnej części maszynka drukarska, a w dolnych jej szufladkach kaszty z czcionkami i wreszcie z kilku krzeseł. Oprócz tego stały dwie lampy, jedna z nich wysoka, japońska, druga na biurku. Oświetlały one nam pokój przy wieczornej robocie.

Praca zaczynała się o dziewiątej rano, gdy przychodził do nas towarzysz Rożnowski, były student uniwersytetu moskiewskiego, a wówczas nasz tech-

nik drukarski i mój wobec służącej i stróża pomocnik. W saloniku stał pod oknem mały stolik japoński, a na nim bożek burjacki, któregom wywiózł z Syberji. Podstawa bożka była wydrążona i tam z wieczora, po skończonej robocie, kładliśmy klucz od drukarni. Rożnowski brał rano klucz i przyprowadzał do porządku zewnętrznego pokój, tak, by służąca sprzątać go mogła.

W tym czasie, gdyśmy z Rożnowskim pili herbatę, żona pod pozorem, że ja nikomu oprócz niej nie pozwalam dotykać się papierów na biurku, pomagała służącej sprzątać w gabinecie. Służąca nie widziała w gabinecie nic prócz mebli, a przy żonie, naturalnie, nie ośmielała się badać ich zawartości. Zresztą rozrzucone na biurku papiery i książki świadczyły o jakiejś inteligentnej pracy, niezrozumiałej dla niej.

Służąca w mieszkaniu, przeznaczonem na drukarnię, była to również inowacja, dotąd w tajnych drukarniach nieznana. Tradycja rosyjska w tych wypadkach nakazywała brać, jako służącę, towarzyszkę, wtajemniczoną we wszystkie szczegóły interesu. Tradycja polska wskazywała na służące przychodnie, jako na wyjście należyte. Co do mnie, postanowiłem wziąć służącą na stałe. Było to bezwątpienia bardzo uciążliwe i wymagało wielkiej baczności, lecz miało i dobre strony.

Przedewszystkiem dziwnem byłoby, gdyby w porządnem, burżuazyjnem mieszkaniu nie było stałej sługi, osobliwie, gdy praca ich tak marnie jest opłacana, jak w Łodzi. Następnie towarzyszka, jako służąca, nie uśmiechała mi się wcale. Sługi w domach miejskich stanowią swego rodzaju klub czy stowarzyszenie, znają się wzajemnie i utrzy-

mują stały stosunek ze stróżami. Bałem się jakiejkolwiek niezręczności ze strony towarzyszki, której zadaniem byłoby udawać sługę, niezręczności, która mogłaby zwrócić na nasze mieszkanie uwagę, zrobić je przedmiotem gawęd i podpatrywań. Natomiast byłem zupełnie przekonany, że pierwsza lepsza służąca, wzięta z biura, zawsze może być utrzymana przez gospodarzy w przyzwoitem oddaleniu od tego lub owego punktu mieszkania.

Tak się też stało u nas w Łodzi. Odrazu zapowiadało się służącej, że miejsce jej jest w kuchni, że „pan“ nie lubi, gdy służąca bez potrzeby wchodzi do pokojów „pańskich“. Przytem dawało się im dużą swobodę — chętnie udzielaliśmy naszym sługom urlopów na wieczory.

Przez pół roku mieliśmy dwie sługi. Jedna z nich — sprytna, nieco zepsuta przez miasto, Józia. Tej musieliśmy się strzec ciągle — miała jednak tę dobrą stronę, że lubiła korzystać i nawet nadużywać urlopów. Pomimo swego sprytu nie domyśliła się niczego, nawet stosunku serdecznego, jaki nas łączył z towarzyszem Rożnowskim, do którego przy słudze zawsze mówiłem nieco protekcjonalnie. Wobec tego Józia uważała go za równego sobie.

Pewnego razu, gdyśmy z żoną wyjechali do Warszawy, zostawiliśmy Rożnowskiego w mieszkaniu na gospodarce, Józi zaś daliśmy pieniądze na obiady dla niej i Rożnowskiego — czyli pana Karola, jak się tam nazywał — na czas naszej nieobecności.

Sądziliśmy, że Józia skorzysta z tego czasu, by wylatać się po mieście, że więc Rożnowski bę-

dzie miał możność pracować. Okazało się jednak, że sprytna Józia zagięła parol na pana Karola i rozpoczęła z nim flirt.

Gdy dała mu obiad, przyszła do pokoju, usiadła przy nim, odgrywając rolę gospodyni. Żartowała z pana Karola, który jej się wydał nieśmiałym.

— Pan zapewne przy nich — mówiła do niego — z wielkiej nieśmiałości nie dojada przy obiadach. Niechże pan teraz je dobrze. Nie trzeba ich żałować, mają dosyć — uświadamiała pana Karola, który się wściekał z takiego obrotu sprawy.

Znacznie mniej uświadomioną była druga nasza służąca, Władzia, która zastąpiła Józię. Ta była cicha, spokojna dziewczyna, zahukana i nieśmiała. Gdy spotkała tu raz ludzkie i łagodne obejście, przywiązała się ogromnie do mojej żony. Natomiast miała złe strony — umiała czytać i nie chciała, pomimo propozycyj, jej czynionych, korzystać z urlopów. Przy Władzi chowaliśmy skrzętnie wszystkie nielegalne druki. Przy niej aresztowano nas. Biedna dziewczyna zanosiła się od płaczu. W głowie jej nie mogło się pomieścić, że mogą zabrać i panią domu.

— Pana, jak pana — powtarzała z płaczem, — ale poco panią zabierać?

Swoją drogą muszę przyznać, że służąca, nie wtajemniczona w interes, jest ogromnym ciężarem w drukarni. Okoliczność ta wymagała ustawicznej czujności, ciągłego pilnowania każdego poruszenia sługi. Cały ten ciężar spadał na barki gospodyni domu — mojej żony, która od chwili, gdy służąca wchodziła do „pokoju", nie odstępowała jej ani na krok. W rzadkich chwilach,

gdy żona wychodziła z domu, zastępowałem ją w tym obowiązku i przenosiłem swą pisaninę lub siadałem z książką w ręku w pokoju stołowym.

Zaraz po rannej herbacie ja z Karolem wynosiliśmy się do gabinetu, do roboty. Robota nasza polegała na pisaniu, składaniu i odbijaniu na maszynce. Pierwsze należało do mnie, drugie do Rożnowskiego, trzecie było naszą wspólną funkcją. Urządzaliśmy się w ten sposób, że od chwili, gdy robota nad numerem *Robotnika* została rozpoczęta, nie przerywaliśmy już jej, dopóki nie została skończoną. Dwunasto-stronicowy numer kosztował nas zwykle 15—16 dni pracy, pracy dosyć uciążliwej, trwającej przeciętnie 9—11 godzin dziennie.

Środki nasze techniczne składały się z pewnej ilości czcionek. Petitu mieliśmy na dwie i coś stronice i garmondu na sześć. Oprócz tego pewną ilość liter tytułowych oraz tłustego petitu i garmondu. Mieściło się to w kasztach i w związanych stronicach, pozostałych z dawniejszej roboty, — kaszty i stronice leżały w szafce i otomanie.

Poza tem w szafce stała maszynka drukarska angielskiego systemu *Model-Press.* Maszynka niewielka, ważąca coś około 7 pudów, z ramą małą, mieszczącą zaledwie jedną stronicę *Robotnika.* I taka właśnie maszynka, używana zagranicą, w krajach z cywilizowanemi prawami dla słowa drukowanego, jedynie do odbijania niewielkich ogłoszeń i biletów wizytowych, — taka maszynka stanowiła nadzwyczajny postęp w porównaniu z przed P. P. S-ową techniką drukarską w organizacjach rewolucyjnych pod caratem.

Na maszynce, jak powiedziałem, można było odbijać odrazu tylko jedną stronicę naszego pisma i dopiero po odbiciu jednej można było przystąpić do następnej. W ciągu jednej godziny odbijaliśmy od 300 do 400 egzemplarzy. Szybkość zależała głównie od tego, czy można było w danej chwili sprawiać więcej hałasu, czy nie. W celu zmniejszenia hałasu maszynka była wszędzie, gdzie się różne jej części stykały przy pracy, oklejona gumą, rzemykami i suknem. I raz po raz trzeba było przerywać robotę, by to lub owo w niej naprawić — przykręcić śrubkę, dolać oliwy na osie, przykleić pasek jakiegokolwiek materjału zamiast tego, który odleciał przy robocie. Co pięćdziesiąt egzemplarzy trzeba było rozsmarować farbę na talerzu i baczyć przytem, by farby nie było za dużo, bo w tym wypadku arkusiki papieru, złożone po odbiciu jeden na drugim, ogromnie się brudziły i druk stawał się nieczytelnym. Gdy, przeciwnie, brało się farby za mało, to przy małej presji, jaką rozwinąć można było przy tym systemie drukarskim, druk wychodził blado, co na petitowych osobliwie stronicach czyniło druk równie niedogodnym do czytania i niewyraźnym, szczególnie dla ludzi, nieprzyzwyczajonych do czytania, a ci przecie stanowili większość czytelników naszego pisma.

Licząc więc wszystkie przerwy w produkcji, na każdą godzinę pracy wypadało przeciętnie 250—280 egzemplarzy. A że biliśmy wówczas 1900 egzemplarzy pisma, więc samo odbijanie jednej stronicy zajmowało nam 8 godzin pracy. Gdy się zaś doliczy czas, zużyty na przygotowanie do pracy, zabijanie stronicy w ramę, zrobie-

nie korekty i wreszcie usunięcie śladów roboty, będziemy mieli 9 conajmniej godzin tańca koło maszynki dla odbicia jednej stronicy *Robotnika*. Była to nasza dzienna produkcja.

Co się tyczy hałasu, sprawianego przez robotę, to przy ostrożnem odbijaniu, gdy się niejako trzymało w garści całą maszynkę i zwracało uwagę na najmniejsze jej kaprysy, największy hałas sprawiała czynność brania z kupy papieru jednego arkusika w celu położenia go na maszynkę. Szelest papieru — oto najgłośniejsza procedura! Nic dziwnego, że w czasie samej roboty służąca z nieodstępną od niej moją żoną mogły sprzątać w sąsiednim pokoju, nie słysząc z gabinetu-drukarni żadnego podejrzanego szmeru.

Muszę jednak przyznać, że odbijanie należało do najprzykrzejszych, najnudniejszych robót, jakie znam.

Chwytasz arkusik papieru, przymierzasz go tak, by upadł akurat w odpowiedniem miejscu naprzeciw czcionek; przyciskasz rączkę maszynki — kłap! Paszcza się zamknęła, papier dotknął się do czcionek, wałki pobiegły na talerz; podejmujesz rączkę do góry — paszcza się otworzyła, odkładasz zadrukowaną stronę na lewo i znowu dalej w kółko. I gdyby nie było żadnych przeszkód, gdyby można było nie zwracać uwagi ani na hałas, sprawiany przez maszynę, ani na to, co się w sąsiednich pokojach dzieje, gdyby można było zlać się niejako z tą maszynką, zastosować się zupełnie do jej poruszeń i klapać sobie spokojnie, myśląc o czem innem. Ba! zapomniałeś się, a już słyszysz okrzyk towarzysza pracy, który dłubie przy kaszcie.

— Cholera! Maszyna zanadto huczy! Może podlać oliwy?

Albo słyszysz ostrzegawcze nucenie żony, co oznaczało, że służąca jest w pokojach, że należy bić ciszej, ostrożniej obchodzić się z kapryśną maszyną.

Karolek, gdy pracował przy maszynie, lubił pogawędzić, pożartować; co do mnie — zawsze byłem zły i milczący, gdy dotykałem żelaznej, chłodnej rączki maszyny. Niecierpliwem okiem rzucałem spojrzenia na powoli zmniejszającą się kupę papieru po prawej stronie — papieru, który jeszcze przez maszynę tego dnia przejść musiał, złościłem się na każdą przeszkodę, co mnie zmuszała do uważniejszego traktowania klekoczącej maszynki.

Maszynka wysoka była dwie trzecie metra, szerokość jej była znacznie mniejszą — nie więcej nad trzecią część metra. Z łatwością więc wchodziła do niskiej szafki, której ścianki mogły być wyjmowane przy robocie i wkładane po skończeniu pracy. Jeden człowiek nie mógł podnieść maszynki i w razie konieczności przenoszenia jej z miejsca na miejsce trzeba było do niej dwóch ludzi. Gdy zaś był przy niej tylko jeden człowiek, musiał ją przesuwać, podnosząc zkolei to jeden, to drugi koniec maszynki. Przy przenosinach i przewożeniu z mieszkania do mieszkania, lub zmianie miasta, maszynkę rozbierano na części różnej wielkości — największą była podstawa, ważąca połowę wagi całej maszynki, — pakowano do koszów, zapełniano puste miejsca sianem lub pościelą i jazda w świat.

Maszynka, która ze swej paszczy wyrzuciła przed aresztowaniem setki tysięcy różnych wydawnictw, która przez dłuższy czas stanowiła cel poszukiwań ogromnej zgrai szpiegów i żandarmów, której dłuższe istnienie było naigrywaniem się z potęgi rządu carskiego, — maszynka stała zupełnie odkryta na swej zwykłej podstawie, z pierwszą stronicą trzydziestego szóstego numeru w swej ramie, gdy w noc lutową wpadli do nas żandarmi. Oglądano ją z pewnym podziwem i szacunkiem. Szpicle z ciekawością dotykali się żelaza, dziwiąc się, że taka drobnostka tak duże znaczenie mieć może. Odbito na papierze stronicę, zabitą w ramy. Podpułkownik Gnoiński przeczytał półgłosem, dyktując protokół rewizji:

— Trzydziesty szósty numer *Robotnika,* data dwudziesty piąty luty. Artykuł wstępny *Triumf swobody słowa.*

„Orłow, szef żandarmów „żandarma Europy“, Mikołaja I, odprowadzając razu pewnego swego znajomego, odjeżdżającego zagranicę, prosił go o załatwienie tam małego interesu. Gdy będziesz pan w Norymberdze — mówił mu — zajdź pan pod pomnik Gutenberga, wynalazcy druku, i pluń mu pan ode mnie w oczy. Od niego całe zło na świecie pochodzi!“.

— *Wot wam i Gutienberg!* — zwrócił się do mnie podpułkownik z sarkastycznym uśmiechem, wskazując na otaczających mnie i żonę policjantów. — *Da, kak widitie, ot niewo wsio zło!*

Artykuł wstępny traktował o zniesieniu w Austrji stempla dziennikarskiego i o zamiarze naszych towarzyszów w Galicji wydawania codziennego pisma *Naprzód.* Tam był triumf, tu

porażka swobody słowa, pohańbienie wielkiego wynalazku Gutenberga.

Przyznam się, że pomimo wielu niewesołych chwil, spędzonych przy maszynce, pomimo, iż nieraz wściekałem się na nią przy robocie, wymyślając jej od „starego klekota“, „głupiego bydlęcia“ i „cholery“, ścisnęło mi się serce, gdym tę „cholerę“ zobaczył w plugawych łapach szpicli w chwili przenoszenia jej z szafy do kosza. Gdy na kosz Gnoiński kładł pieczęcie, stałem zgryziony, jakgdyby zapadało wieko trumny nad kimś bliskim, serdecznie kochanym. Tyle nadziei, tyle miłości, tyle poświęcenia było związane z tym kawałkiem żelaza, skazanym oto na milczenie i bezczynność!

Wybaczą mi czytelnicy liryczne odstąpienie od rzeczy. Jestem przekonany, że wyraziłem w niem nie swoje jedynie uczucie, uczucie człowieka, który z tą maszynką splótł swe losy. Takiemi uczuciami był przejęty i niejeden ze stałych czytelników *Robotnika*, gdy go doszła wieść o wzięciu przez żandarmów drukarni. Opowiadano mi, że niektórzy robotnicy rzewnemi łzami opłakiwali stratę partyjną, że powszechnie wiadomość o łódzkiej katastrofie sprawiała wstrząsające wrażenie.

Oprócz składania i odbijania druków na maszynce mieliśmy jeszcze jedną techniczną robotę — obcinanie papieru. Arkusik papieru zwykłego jest za długim dla formatu *Robotnika*. Trzeba go skrócić. Przy biciu odezw trzeba również dopasować papier do wielkości odezwy. Robota to przykra, gdy się ją wykonywa zwyczajnym nożem. Karolek po niej zawsze miał

spuchniętą rękę i pokaleczone palce. W dodatku, jako odpadek od tej roboty, pozostawały obrzynki papieru w ogromnej ilości. Chowaliśmy je narazie do kosza. Następnie zaś korzystaliśmy z każdej okazji, by je zniszczyć — spalić w piecu. Specjalnie w tym celu kazaliśmy palić w piecach wieczorami, gdy łatwiej było uniknąć oka służącej.

Wówczas z kosza wyciągało się kupę obrzynków i pakowało się je do pieca. Naturalnie, korekty, rękopisy zużytkowane i wszelkie niepotrzebne papierki niszczyliśmy natychmiast. Codzień wieczorem przed zejściem z roboty i rano przed jej rozpoczęciem oglądaliśmy wszystkie kąty drukarni, czy niema gdzie zapomnianego papieru lub czcionki, czy nie została gdzie plama od farby lub oliwy.

Przechodząc teraz do roboty redaktorskiej, zauważę przedewszystkiem, że wątpię, by był jakikolwiek redaktor na świecie, który w takiej jest zależności od zecera i techniki, jak redaktor *Robotnika*. Robota nad numerem zaczyna się od środka, zwykle od działu: korespondencje. Nie można inaczej postąpić, bo przecie robota ma trwać parę tygodni, mogą zajść różne wypadki, wymagające wypowiedzenia się pisma albo w artykułach, albo w kronice, kończącej numer. Odbija się stronę jedną w ciągu dnia i, rzecz prosta, z tego, co już jest wydrukowane, niepodobna nic wyrzucić, choćby nadeszły świeże, większego znaczenia, dane. Następnie wobec braku czcionek i sił technicznych wciąż trzeba się liczyć z czasem zecera, pisać to, co on w obecnej chwili składać może.

Wreszcie przeklęta robota dopasowywania swej myśli do tej lub owej szpalty, do tej lub owej przestrzeni na papierze, pozostawionej do druku. Oto napisałem wstępny artykuł, do którego od środka zbliżyła się robota. Napisałem go, wkładając weń wszystko, co leżało na dnie duszy, myśląc wobec braku miejsca nad każdem słowem, dopasowując je do duszy i myśli przyszłego czytelnika. Następne artykuły już są wydrukowane, zecer składa i oblicza. Już złożył trzy czwarte wstępnego, gdy po obliczeniu wypada, że artykuł jest o osiem lub dziesięć wierszy za długi. Kładź go na łoże Prokrusta, doszukuj się słów zbytecznych, możliwych do wyrzucenia bez zmiany sensu, bez nadwyrężenia treści.

Albo, naprzykład, co się nieraz przy petitowych stronicach zdarzało. Jedna strona petitowa odbija się, drugą Karolek składa. Pod wieczór oświadcza mi, że mu zabrakło litery „r".

— Wiecie — odzywa się do mnie, — możebyście mi z parę tych „r" wyrzucili z rękopisu, będzie z tem mniej kłopotu, niż przy jutrzejszej korekcie.

Materjału do teki redaktora napływa dosyć dużo, lecz przeważnie jest to materjał do działu: korespondencje. Tych jest mnóstwo. Możnaby niemi cztery takie numery zapełnić i jeszcze zostałoby trochę do piątego. Pisane ręką najczęściej niewprawną, nieraz bez ładu i składu, przeważnie rozwlekle, zawierają one skargi i bóle tysięcy ludzi, którzy szukają dla nich ujścia w swem skromnem piśmie. Szare to, monotonne, jak nędza ludzka; gdzie niegdzie przebija szczery humor, wzrok się zatrzyma na dosadnem, ludowem określeniu,

które skwapliwie redaktor podkreśla czerwonym ołówkiem, by je zachować, jak perłę, w piśmie. Znowu notatka, śpieszną, wprawną ręką skreślona na marginesie:

— Proszę o zamieszczenie, potrzebna w robocie! To któryś z menerów, prowadzących robotę, notuje tak korespondencję. Widocznie świeży stosunek lub ma tam nastąpić strejk, czy inne wystąpienie. Odkładasz tę korespondencję na stronę. Gdzieindziej znowu naiwne zakończenie korespondencji: „Przepraszam redakcję za styl, ale proszę wydrukować, dużo u nas ciemnych, może ich oświeci". To agitator fabryczny lub warsztatowy, biedzący się gdzieś wśród otoczenia biernych, mało mu współczujących ludzi, prosi o pomoc słowa drukowanego.

Przeczytujesz te dokumenty, wsłuchujesz się w to pasmo jęków i skarg. Umieścić wszystkiego nie można. Wiesz dobrze, że korespondencja, o ile jest czytaną chciwie przez robotników fabryki, która tam jest opisaną, o tyle nie wzbudza żadnej prawie ciekawości w reszcie czytelników. Wybierając z pomiędzy mnóstwa korespondencyj część— resztę usuwasz na bok. Teraz trzeba te korespondencje przerobić, skrócić, lecz skrócić tak, by zachować w jakikolwiek sposób piętno duchowe, wyciśnięte na niej przez autora. Doszukujesz się więc w korespondencji jakichkolwiek określeń, frazesów, słów charakterystycznych, by je zachować w druku.

Wreszcie dział „korespondencje" skończony. Nowy kłopot z kroniką i artykułami. Pismo ma charakter pisma codziennego, a zarazem wychodzi

rzadko, raz na miesiąc albo i rzadziej. Proszę w dziesięciu stronicach zmieścić miesięczne albo dwu-miesięczne wypadki, proszę wśród tej mnogości zatrzymać się na jednych, odrzucić inne, proszę wynaleźć tematy dla artykułów, tematy, o tyle żywotne, o tyle będące na czasie, by z pisma, a raczej numeru, zrobiły organ żywy, odpowiadający nastrojowi i potrzebom chwili. Nie wiem, jak inni redaktorowie, lecz ja nieraz suszyłem sobie głowę nad tem wszystkiem, nieraz z jednego kłopotu, polegającego na tem, że niema o czem pisać, niema tematów, przechodziłem do drugiego — *embarras de richesse* tematów i zagadnień. W dodatku cała robota redaktorska prowadzona jest urywkami, obok codziennej, cztero lub pięcio-godzinnej pracy przy maszynce, która to robota z powodów konspiracyjnych i technicznych jest główną, dominującą przy rozkładzie pracy.

Lecz wreszcie robota nad numerem ma się ku końcowi. Znamionuje ten upragniony koniec przybycie tak zwanych „ostatnich wiadomości“, dla których pozostawia się dwie stronice pisma, lub nawet, jeśli w czasie pracy nad numerem był jaki przypływ danych ze świata partyjnego, jedna ostatnia stronica. Dla dostarczenia ostatnich wiadomości posyła się któregoś z towarzyszów do drukarni, albo też jeden z pracujących w niej wyruszyć musi po nie. Następuje uroczysta chwila, gdy ostatnia strona idzie pod prasę.

Wytężona kilkotygodniowa praca skończona. Za kilka godzin świeży pocisk rewolucyjny wyruszy w świat, by poruszyć żywiej serca tysięcy wiernych towarzyszów pracy, budzić śpiących, pokrze-

piać strudzonych, złożyć raz jeszcze świadectwo niespożytej energji ruchu, urągającego w żywe oczy piekielnej potędze cara i sług jego.

Nastrój wśród pracowników jest dobroduszny, nieco podniecony i gorączkowy. Zmęczenie i kłopoty są zapomniane. W pokoju brzmi śmiech, padają z ust żarty i dowcipy. Ile to razy chciało mi się sfotografować pracowników drukarnianych właśnie w tej radosnej chwili, gdy robota jest na ukończeniu.

Na biurku, z którego usunięto wszystko, leżą dwie duże kupy zadrukowanego papieru. Są to arkusiki, zawierające po cztery stronice *Robotnika.* Trzecia kupa leży na stoliku obok maszynki, świeci ona jedną białą stronicą — ostatnią, mającą pójść w tym numerze pod prasę. Jeden z nas staje do bicia. Oto rozlega się suchy szelest papieru, lekkie skrzypnięcie maszynki, arkusik wyskoczył z paszczy. Drugi z nas ze złożonemi już dwoma innemi arkusikami czeka. Oto ostatni arkusik już dopasowany i pierwszy egzemplarz nowego numeru gotów. Takim pójdzie w świat.

Robota na chwilę się przerywa. Oglądamy numer tak, jakgdybyśmy nie widzieli już dziesięć razy każdej literki, z których on się składa. W całości jednak to inaczej wygląda. Zapalamy papierosa, przerzucamy stronice, dyskutujemy nad wrażeniem, jakie ta lub owa część numeru wywołać może, omawiamy techniczne braki.

— Cholera! — wołam, spostrzegając błąd korektorski, — że też wy, Karolku, tak często te „e" do góry nogami przewracacie. Źleście studjowali zecerkę, moi drodzy! Jeżeli tak było w waszemi studjami nad przyrodą, to djabła warta wasza nauka.

— No, no! — śmieje się basem Karolek, — to już rzecz korektora, pewnieście to „e“ przegapili. To się wam zdarza! Wogóle fuszer z was! — odcina się, — o! patrzcie, na siódmej stronicy, jak rozlany jest petit, pewnieście według swego zwyczaju machnęli za dużo farby!

Oglądamy ową nieszczęsną siódmą stronicę. W istocie, za dużo było farby. Pocieszamy siebie tem, że te braki techniczne są niezbitym dowodem produkcji krajowej, która przecie zawsze jest niższą od zagranicznej pod względem wykonania.

— Oddamy te pięćdziesiąt egzemplarzy z powalaną stronicą do Warszawy — proponuje Karol, — tam ludzie są wprawniejsi do czytania, niż na prowincji.

— Albo — dodaję — wyślemy te egzemplarze zagranicę. Niech zagraniczni studenci psują sobie oczy.

— Ale my tu gadu, gadu — woła Karol, — a pociąg na nas czekać nie będzie. Data już wydrukowana, cofać się niepodobna.

Po chwili słychać znowu miarowy szelest papieru i lekki zgrzyt żelaza, kupka papieru po lewej stronie maszynki, papieru w całości już pokrytego czarnemi, świecącemi jeszcze od farby punkcikami, zwiększa się coraz bardziej.

— Można już falcować! — mówi Karolek, — nadążę z biciem.

Z biurka biorę notatki, porównywam z innemi. W notatkach jest oznaczona ilość egzemplarzy, wymaganych przez poszczególne organizacje lokalne. Lwią część, bo więcej niż trzecią, zabiera Warszawa, serce i przodownik kraju. Dalej idzie Łódź, Zagłębie, Wilno i inne punkty, objęte ruchem,

gdzie dziesiątki i setki ludzi z niecierpliwością wygląda świeżego zwiastuna uporczywej walki o swobodę i szczęście. Kładę skorygowaną ostatecznie notatkę przed sobą, zabieram kupkę odbitego ostatniego arkusika i zaczynam falcować.

Raz, dwa, trzy — trzy arkusiki trzymam w ręku, wstrząsam niemi, równam i wreszcie załamuję przez pół, przyciskam palcem; rozczłonkowany dotąd numer, zbity w jedną całość, pada na podłogę. Za nim drugi, trzeci. Kupa na podłodze rośnie z każdą chwilą. Pracujemy jednak nie w milczeniu. Radość z powodu zakończenia pracy nie pozwala milczeć. Raz po raz zagląda do pokoju żona i paru urywanemi słowami bierze udział w naszej uroczystości. I dla niej praca, wyczerpująca jej nerwy, praca pilnowania służącej, kończy się dzisiaj, Wszyscy promieniejemy z radości.

Mąci nieco radość konieczność pośpiechu. Trzeba zdążyć na pociąg, na określoną godzinę, bo już wszystko w Warszawie jest umówione. W oznaczonym zgóry terminie *Robotnik* musi być dostarczony na umówione miejsce, skąd w tej samej chwili częściami będzie wyniesiony do ludzi, już przygotowanych do tej chwili, ludzi, którzy tegoż dnia rozdadzą go pierwszym odbiorcom pisma. Opóźniać się więc nie można bez naruszenia sprawności całej maszynerji kolporterskiej.

Raz po raz któryś z nas spogląda na zegarek, mrucząc: „Czy zdążymy?“

— Dla Warszawy egzemplarze już gotowe — odzywam się, oglądając ogromną kupę papieru, leżącą obok krzesła. — Czy nie za ciężka będzie walizka z tą masą bibuły? Trzeba spróbować.

Walizka, wyciągnięta na środek pokoju, otwarta. Układam po 50 egzemplarzy, oddzielając jedną kupkę od drugiej wąskim paskiem papieru. Tam przy podziale bibuły ludzie muszą się śpieszyć, trzeba im ułatwić robotę. Podnosimy wreszcie walizkę, oceniając jej wagę. Prowadzimy spór o to, czy można jeszcze cokolwiek dołożyć do niej.

Przy obiedzie umawiamy się o przyzwoite obstawienie wyjazdu. Służąca musi być usunięta z mieszkania na tę chwilę lub też żona musi pójść do kuchni i zająć ją przez czas wynoszenia pakunków. Mówiliśmy o sprawach, które wyjeżdżający załatwić musi. Wyjeżdżającego ogarnia stopniowo *Reisefieber*, odczuwa on, obok pewnego niepokoju o powodzenie zbliżającej się podróży, przyjemność wyjścia na świeże powietrze, pozbycia się na czas pewien kłopotu i obowiązków, związanych z drukarnią.

Wreszcie wszystko zapakowane, ułożone. Ubieramy się szybko, bierzemy w ręce pakunki i świeży numer *Robotnika* opuszcza drukarnię, puszczając się na niepewną podróż do rąk stałych odbiorców pisma. Chwila pożegnania, zaturkotały koła dorożki. Jeden z nas powraca do domu z lekkim niepokojem w sercu, drugi, trochę wzruszony, duma w dorożce nad przejściem przez dworzec wiedeński w Warszawie, dworzec, mocno obsadzony szpiclami i „zielonymi“ dozorcami.

* * *

Oto jak wyglądała nasza drukarnia w Łodzi. Tak samo mniej więcej muszą i musiały wyglądać drukarnie z czasów przed-łódzkich i po niej. Główna różnica polega nie na zewnętrznym wyglądzie,

lecz na osobach. W łódzkiej pracował Józef i Karol (który zresztą na chrzcie świętym otrzymał imię Kazimierza), w innej jacyś iksy i igreki, z innemi nieco zaletami i wadami, którzy, zależnie od swej psychiki oraz warunków mieszkania i miasta, potworzą sobie inne, odmienne prawidełka postępowania, inny rozkład pracy.

Opowiadano mi, naprzykład, o jednym z redaktorów *Robotnika*, który był spokojnym tylko wówczas, gdy okno parterowego mieszkania było zamknięte. Z chwilą, gdy dla przewietrzenia lokalu otwarto okno, kręcił się niespokojnie po pokoju, przypinając opuszczone story tak, by jak najszczelniej przylegały do ramy okna. Zwykł był wówczas powtarzać:

— Jeżeli nas co zgubi, to świeże powietrze. Jestem tego pewien!

Albo też wpadał na myśl, że gdy zapałka błyśnie w pokoju w czasie roboty, przechodnie z chodników mogą dojrzeć wnętrze pokoju z maszynką drukarską, wyciągniętą do roboty z szafy. Dla zapalenia więc papierosa wychodził do drugiego pokoju lub usuwał się za szafę. Gdy zaś kto wbrew zakazowi zapalał zapałkę bez żadnej ostrożności, strofował go.

— Nie rób iluminacji! — odzywał się ostro.

O innym towarzyszu, zajętym w drukarni, opowiadano mi, że nie znosił, by na oknie leżała jaka drukowana książka. Żartowano z niego, że gwałtownie pożąda, by go otoczenie posądziło o analfabetyzm, lecz on, niezrażony, usuwał starannie każdy druk z okna, mówiąc na usprawiedliwienie:

— To jest konieczne! W ten sposób przyzwyczajam siebie i innych — tym „innym“ był, natural-

nie, jego mniej porządny i systematyczny współpracownik — do porządku. Dziś zostawi się na oknie jakiś druk legalny, a jutro się zauważy, gdy tam leżeć będzie numer *Robotnika* lub odezwa.

Inny znowu utworzył jakoby cały złożony system wieszania odzienia i ręczników w różnych miejscach, system, mający ubezpieczać i osłaniać maszynkę i zecera od możliwych spojrzeń z ulicy do pokoju. System polegał na tem, że wzrok przechodnia, rzucony wypadkowo na mieszkanie, zajęte na drukarnię, spotykał wszędzie jakąś naturalną i niezwracającą uwagi zaporę.

Co do mnie osobiście, to wyznam, że wątpię, by te prawidełka miały rację bytu, by się przyczyniały do zabezpieczenia drukarni. Widzę w nich jedynie zupełnie zrozumiały wytwór niepokoju tego lub owego towarzysza, niepokoju, który szuka jakiegoś ujścia, jakiejś roboty w celu usunięcia jego. Walka z „iluminacją" lub coś podobnego jest tem ujściem, tą robotą — uspokaja nerwy, daje pozór czynnego usuwania niebezpieczeństwa, wiszącego ustawicznie nad głową towarzyszy, pracujących w drukarni.

Ta świadomość niebezpieczeństwa wraz z bezsilnością wobec niego oraz poczuciem odpowiedzialności, leżącej na towarzyszach, pracujących przy drukarni, stanowi ogromnie ciężką, wyczerpującą nerwy stronę życia drukarnianego. Przy opisie biur transportowych zauważyłem, że stanowisko to należy do najtrudniejszych i najbardziej męczących w partji. Uogólniając to założenie, zastosować je należy do wszystkich „interesów" partyjnych: biur transportowych, druków, składów.

Wtedy, gdy towarzysze, zajęci agitacją i robotą organizatorską, tworzą w wielkim stopniu te warunki, wśród których pracują, biorą żywy udział w życiu, mają wrażenia i przyjemność czynnego życia — towarzysze, zajęci w „interesach" partyjnych, zależni są od pracy tamtych, przygwożdżeni są do tego lub owego miejsca lub mieszkania, skazani na brak wrażeń i towarzystwa, na monotonne życie i bezsilne oczekiwanie mogącego spaść na ich głowy piorunu w postaci najścia żandarmów. Spróbowałem tego życia i muszę wyznać, że nie uśmiechałoby mi się wcale przykucie siebie do taczki tego lub owego „technicznego interesu" P. P. S.

Z powyższego opisu drukarni łódzkiej widocznem jest, jak mało samo urządzenie drukarni ma „romantycznych" szczegółów, jak prostem i zwyczajnem jest ono. Każde nieledwie mieszkanie, trochę zabezpieczone od ciekawości otoczenia, może służyć, jako lokal dla drukarni. Trochę pozorów, przystosowanych do miejsca, wybranego, jako locum dla drukarni, wystarcza, by wśród ludzi, zajętych przeważnie swojemi interesami, ukryć istotny cel zamieszkania tego lub owego towarzysza. Jak najmniej tajemniczości, jak najwięcej pozorów zwykłego filisterskiego życia — oto zasada konspiracyjna, najbardziej zabezpieczająca drukarnię.

W tak zabezpieczonem mieszkaniu, mając odpowiednią maszynkę, możnaby wydrukować całe mnóstwo rzeczy, całe góry bibuły. Ograniczenia wytwórczości pochodzą przeważnie nie z wewnętrznych przyczyn, lecz z zewnętrznych — z konieczności ograniczania stosunków ze światem poza drukarnią. Te właśnie stosunki, o których prze-

ważnie ludzie, starający się wyobrazić sobie tajną drukarnię, nie myślą wcale, te stosunki są najpoważniejszą przeszkodą produkcji i najbardziej zarazem niebezpieczną rzeczą dla wydawniczego „interesu“ partji.

Niektóre stosunki są integralną częścią samej produkcji — jak, naprzykład, dostarczenie papieru i farby drukarskiej. Inne zaś są koniecznem dopełnieniem drukarni, stanowiącem o celowości jej istnienia — są niemi stosunki ze światem partyjnym, otrzymywanie materjałów, danych i wskazówek dla redaktora oraz wywóz z drukarni wyprodukowanej przez nią bibuły.

Farbę sprowadza się z zagranicy lub też zdobywa się przez stosunki partyjne w tem czy innem miejscu. W tym więc wypadku w dostarczaniu farby drukarnia jest zależna od towarzyszów, zajętych przy innej pracy, i otrzymuje ją przy okazji razem z innemi rzeczami, dostarczonemi do drukarni. Lecz papier prawie wyłącznie jest kłopotem towarzyszów drukarnianych. I kłopot to nielada.

Zdawałoby się, cóż łatwiejszego? Pójść do sklepu, zamówić potrzebną ilość, wziąć na dorożkę i dowieźć do drukarni. Ba! przedewszystkiem papieru tego zużywa się w drukarni dosyć dużo. Każde większe zamówienie zwraca uwagę kupca, chociażby dlatego, że jest to interes, korzystny dla kupca, chcącego, naturalnie, zatrzymać dla siebie nowego klienta. Stąd przy większych zakupach naturalna ciekawość kupca. Przy pierwszem kupnie papieru w Łodzi, gdyśmy z Karolkiem wybierali papier, najodpowiedniejszy ze względu na format, grubość i cenę dla naszej produkcji, usłysze-

liśmy od sprzedającego mocno przykre dla nas pytanie:

— Państwo mają drukarnię? — pytał z miłym, ujmującym uśmiechem kupiec.

Co do mnie, gotów byłem za to pytanie huknąć w kark pana kupca. Bo przecie pytanie, chociażby najgłupsze, wymaga odpowiedzi.

— Drukarnię? — odparłem. — Skąd znowu! Nie stać nas na to. Mamy sklep w Tomaszowie, proszę pana.

Wątpię, by odpowiedź bardzo zadowoliła interpelanta, który prawdopodobnie lepiej, niż ja, znał okoliczne sklepy i sklepiki z papierem.

Zresztą uniknąłem w ten sposób innej, również krępującej, propozycji, z jaką się zwykle zwracają do zakupujących większą ilość towaru.

— Gdzie pan każe odesłać? — pyta grzecznie kupiec, z zadowoleniem i szacunkiem oglądając solidnego klienta.

Niech ich djabli porwą z tą grzecznością! Wykręcaj się znowu, znajduj jakąś głupią wymówkę.

To kupowanie papieru to jedna z najprzykrzejszych funkcyj w drukarni. Z prawdziwą rozkoszą i przyjemnością patrzy w tem położeniu człowiek na kupca obojętnego, nie nadskakującego, nawet gburowatego.

I oto zbieraj papier, potrzebny dla produkcji, stopniowo, częściami, kalkuluj, czy niezbyt często się zachodziło do tego lub owego sklepu, zbieraj dane o sprzedaży papieru w mieście, ściągaj nawet papier z miast innych. Licz się następnie z tem, że częste przywożenie pakunków do mieszkania nie należy również do rzeczy konspiracyjnych, że zwrócić to może uwagę otoczenia, zmusić do my-

ślenia stróża, stójkowego, stojącego w pobliżu, służącej z sąsiedniego mieszkania, ciekawszego lokatora i tak dalej.

Znacznie przyjemniejsze są stosunki drukarnianych towarzyszów ze światem partyjnym. Stojąc zdaleka od wiru życia partyjnego, będąc przykuci do monotonnej, nużącej pracy, tęsknią oni zawsze do jakiejkolwiek wiadomości o ludziach, im bliskich, walczących pod jednym z nimi sztandarem. Każde zetknięcie się z tym światem partyjnym, czy to będzie przyjazd którego z towarzyszów do drukarni, czy też odwrotnie — wyjazd którego z więźniów drukarnianych w świat — stanowi swego rodzaju uroczystość. Informacje otrzymane zawsze wydają się zbyt skąpemi, rozmowy zbyt urwanemi, dane zbyt niedostatecznemi — tak mało odpowiadają one długim oczekiwaniom.

Głównie zżyma się przy tych zetknięciach się z ludźmi partji — redaktor. Miał on tysiące wątpliwości przy pisaniu i teraz wymaga rozstrzygnięcia ich.

— Wydaliście odezwę do robotników takiej i takiej fabryki — mówi, — dobrze, ja o tem muszę napisać. Lecz, u licha, nic nie wiem dotąd, jaki był skutek odezwy!

Albo też, przerzucając dostarczone mu wydawnictwa, ze złością mówi:

— Znowu niema niemieckich wydawnictw. Chcecie, żebym zidjociał w tej dziurze. Nie wymagajcie ode mnie mądrych artykułów, jeśli nie umiecie dbać o moją mądrość.

Zarzuca pytaniami, jakie wrażenie ta lub owa część numeru wywarła, co o numerze mówili i tak dalej.

Niestety, pretensje redaktora są zbyt często zupełnie uzasadnione. Przeklęte warunki życia pod batem moskiewskim nie pozwalają na urządzenie porządnego informowania redaktora pisma partyjnego, a niepodobieństwo utrzymywania częstych stosunków z drukarnią uniemożliwia ścisłe pożycie jego z ruchem partyjnym.

Te stosunki ze światem partyjnym, chociaż z natury rzeczy rzadkie, stanowią zarazem najpoważniejsze niebezpieczeństwo dla drukarni. Każdy z ludzi partyjnych może przyjść do drukarni, nie będąc „czystym“ — jak określa techniczne słowo ludzi, nie mających za sobą ogona w postaci szpiega. Również i towarzysze drukarniani mogą przy wyjazdach „zabrudzić się“, ocierając się o „brudne“ stosunki i „nieczystych“ towarzyszów.

Naturalnie, niebezpieczeństwo stosunków drukarni ze światem partyjnym stawia poważną tamę produkcyjności drukarni. Niema sensu produkować, gdy towar z fabryki nie może być zabrany. I w tym właśnie kierunku jest zwrócony cały wysiłek maszynerji organizacji, chcącej zwiększyć produkcję swej fabryki bibuły krajowej.

Oprócz większych drukarń bywają urządzane mniejsze, podręczne, przeznaczone dla załatwiania spraw, wymagających szybkości. Do takich właśnie należała odkryta w tym roku drukarenka w Brześciu. Pod względem technicznym stoją one na poziomie przed P.P.S.-owego okresu, chociaż przy energji techników rozwijają niekiedy zdumiewającą czynność.

Jak mnie zapewniano, jedna z nich w przeciągu dwóch miesięcy wydała 29000 egzemplarzy odezw rozmaitych.

Z jakiemi trudnościami mają nieraz do walczenia towarzysze, pracujący w takich drukarniach, sądzić można z faktu następującego.

Gdy partja postanowiła wydawać odezwy żydowskie, sprowadzono trochę czcionek odpowiednich. Narazie jednak nie miano zecera, znającego żargon, a akurat wypadła potrzeba wydania odezwy żargonowej. Myślano długo, jak załatwić ten interes. Wreszcie jeden z towarzyszów wpadł na taki pomysł.

Kupiono alfabet żargonowy i pod każdą literą postawiono odpowiednią literę łacińską. Autor odezwy, napisawszy ją w żargonie, przepisał ją literami łacińskiemi, zgodnemi z powyższym alfabetem. Biedny zecer, który nigdy dotąd nie widział dziwacznych literek żargonowych, nieprzyzwyczajony do odwrotnego składania, kładł do winkla literkę obok literki, nie rozumiejąc zupełnie, co robi. Nagle ku wielkiemu zdumieniu zabrakło mu litery „e". Zdawało mu się, że cała sprawa jest na nic. Na szczęście, miano do czynienia z tak dziwnym językiem, jak żargon. Gdy w kłopocie zwrócono się znowu do autora odezwy, ten przejrzał raz jeszcze rękopis, wykreślił w niektórych miejscach nieszczęsną literę „e", zastępując ją jakąś inną i ułożył odezwę tak, by tego „e" wystarczyło na całość.

Z polskiemi odezwami, naturalnie, tak gładko załatwić się nie można. Trzeba nieraz uciekać się do różnych środeczków zecerskich: przerabiać „é", „ń" na „e" i „n", fuszerować, dobierając litery z innego pisma. Widziałem nawet odezwę, z której połowa była złożona jednem pismem, druga zaś część innem. Wielu z czytelników sfu-

szerowanej odezwy wzrusza zapewne ramionami z powodu takiej drobnostki. Lecz ja pomimo woli obok jakiejś skaleczonej litery, obok fuszerki dostrzegam zakłopotaną, zbiedzoną twarz towarzysza, pracującego z mieczem damoklesowym nad głową w jakiejś izdebce, gdy sięgając po czcionkę do którejkolwiek przedziałki naprędce skleconej kaszty, wyczuje pod palcami pustkę. Trzeba przerwać robotę, obmyśleć sposób wyjścia, zaradzić brakowi. A tu z robotą śpieszyć należy, bo odezwa spóźnić się nie może, termin odebrania jej z drukarni już jest umówiony, na określony już czas przygotowani są towarzysze, którzy odezwę rozpowszechnią.

Kończąc rozdział o drukarniach, chcę z prawdziwą przyjemnością zaznaczyć, że od czasu Łodzi technika drukarska zrobiła krok naprzód. Gdy przeglądam obecne numery *Robotnika,* widzę, że znacznie mniej w nim cech „krajowej" produkcji, niż dawniej. Mniej jest zabrudzonych i bladych, jak twarz suchotnika, stronic, mniej fuszerek w odbijaniu. Jak mnie zapewniano, pochodzi to głównie z tej przyczyny, że obecnie użytą jest do roboty maszynka innego systemu, pozwalająca na zastosowanie większej presji. Oprócz tego, od jubileuszowego — pięćdziesiątego—numeru *Robotnik* zwiększył znacznie swój format. Do każdego numeru dodano nieledwie cztery stronice dawnego formatu, więc zwiększono go o trzecią część.

W tym czasie zaszła też inna, głębszego znaczenia, zmiana w sprawie drukarń tajnych. Dopóki drukarnia nie przeszła przez próbę ogniową aresztowania, dopóty była ona centralnym punk-

tem życia partyjnego, dopóty istniała wieczna wątpliwość, czy w razie nieszczęścia partja będzie w stanie zapełnić lukę, dopóty wreszcie była ona szczególnym celem dla żandarmerji i jej agentów. Do katastrofy łódzkiej drukarnia, gęstemi zasłonami tajemnicy otoczona, była dla ludzi, rewolucyjnie usposobionych, czemś cudownem, czemś romantycznem, nimbem okolonem, wyglądała, jak mityczna forteca, znikająca z oczu szturmującego do niej wroga.

Lecz oto przyszła lutowa katastrofa — drukarnię aresztowano, wstępnym bojem zdobyto tajemniczą fortecę. Nie minęło jednak i dwóch miesięcy, a partja z podziwu godną energją puściła w obieg świeży numer, a po pewnym czasie, koniecznym dla dopasowania maszynerji organizacyjnej do nowych warunków, *Robotnik* zaczął się ukazywać równie perjodycznie i spokojnie, jak dawniej. To, co przed ośmiu laty uznanem było, jako nadzwyczaj śmiałe, „romantyczne" przedsięwzięcie, to, czego się obawiały „pozytywne" umysły, okazało się wcale nie tak trudnem i nie tak strasznem. Partja pod względem drukarnianym przeszła względnie łatwo przez chrzest ogniowy.

Fakt ten wpłynął na spowszednienie wyjątkowego, podziwianego niegdyś, zjawiska. Ludzie się doń przyzwyczaili, uważając za zupełnie normalną rzecz, by od czasu do czasu widziano numer *Robotnika* z nieobeschłą jeszcze farbą drukarską, by w chwili odpowiedniej pojawiały się odezwy z podpisami centralnego lub lokalnego robotniczego komitetu. Ba! dają się coraz częściej słyszeć pretensje i skargi na to, iż *Robotnik* za

rzadko się ukazuje, a wymagania wydawania odezw mnożą się stale. To, co niedawno jeszcze było bohaterstwem „romantyków“, stało się zwyczajnym, szarym obowiązkiem, uznanym przez „najpozytywniejsze“ głowy.

Bezwątpienia przyzwyczaili się do produktów krajowej fabryki bibuły i żandarmi. Zwycięstwo, odniesione w lutym 1900 roku, musiało grubo zmaleć w ich oczach, gdy skutki tego zwycięstwa okazały się tak djablo małe. Sądząc z rozmów, które miałem z panami rotmistrzami i podpułkownikami w cytadeli i więzieniu łódzkiem, żandarmi mieli wysokie wyobrażenie o ciosie, przez nich partji zadanym. Sądząc zaś z zaprzestania taktyki dziwacznych polowań na drukarnię, jakie dawniej były na porządku dziennym, przypuścić należy, iż żandarmi w stosunku do drukarni przeszli również od „romantyzmu“ genialnych kombinacyj do szarej, pozytywnej pracy łapaczów.

Po sprawie łódzkiej, tak wrogowie wolnego słowa i myśli, jak zarówno i przyjaciele, musieli się przekonać, że produkcja krajowa bibuły nie jest wytworem fantazji rewolucyjnej kilku jednostek, lecz głęboką potrzebą całego mnóstwa ludzi, potrzebą, wymagającą zadowolenia. A wobec tego drukarnia ze sfery fantastycznych projektów narwańców rewolucyjnych przeszła w krainę szarej rzeczywistości, stała się jednem z kół szerokiego mechanizmu rewolucyjnego, kołem, mającem istotny sens jedynie wtedy, gdy swemi zębami zaczepiać może inne koła, stanowiąc część ogólnego systemu.

CYRKULACJA BIBUŁY. SKŁADY.

Bibuła, przetransportowana przez granicę oraz wyprodukowana w drukarniach krajowych, musi być rozpowszechniona, w przeciwnym razie byłaby nieużytecznym balastem i ciężarem. Porównałem wyżej drukarnię do koła — części ogólnej maszynerji organizacyjnej. To samo jest i z bibułą, sprowadzaną z zagranicy. żeby jedno i drugie miało sens, żeby nie było czemś w rodzaju sztuki dla sztuki, trzeba, by te koła były dopasowane do innych części maszynerji, poruszały się zgodnie i harmonijnie. Tą resztą maszynerji dla bibuły jest służba rozwozowa i kolporterka.

Kolporterka jest ostatnim aktem partyjnym w stosunku do tego lub owego egzemplarza bibuły. Jest ona częścią integralną agitacji i czynności organizatorskich. Natomiast służba rozwozowa, dostarczanie większej ilości bibuły do tego lub owego centru organizacji, stanowić musi część techniki, że się tak wyrażę, partyjnej.

Proszę sobie wyobrazić te stosy zadrukowanego papieru, wynoszącego rocznie do stu pudów wagi, proszę przedstawić sobie, że ten cały papier trzeba posegregować na gatunki i w rozmaitych ilościach każdego gatunku dostarczyć do dziesiątków punktów, posiadających rozmaite warunki

komunikacyjne, życiowe i policyjne, — a łatwo zrozumieć, że bez jakiegoś systemu, bez cienia chociażby planu w robocie niepodobna spełnić takiej roboty. Dodajmy jeszcze, że organizacja dążyć musi do tego, by oręż agitacyjny, jakim jest bibuła wszelkiego rodzaju, był równomiernie w stosunkach partyjnych rozpowszechniony, by w dostarczaniu bibuły nie było przypadkowości, lecz, przeciwnie, panowała możliwa regularność maszynowa.

W europejskich stosunkach interes ten załatwia się w sposób nadzwyczaj prosty. Pisma mają adresy swych abonentów lub kolporterów, istnieją księgarnie, należące do tej lub owej organizacji i ułatwiające nabycie i rozpowszechnienie tego lub owego wydawnictwa. Do usług pism i księgarń otworem stoi poczta i instytucje przewozowe, jak kolej. Tam, w zaborze rosyjskim, ludzie bez tych rzeczy, do których każdy Europejczyk jest przyzwyczajony, obchodzić się muszą. Adresy przyjaciół, poczta, przesyłki kolejowe — to luksus, zbytek dla nich; więcej, to jest niebezpieczeństwo, okoliczność, ułatwiająca czynność barbarzyńskich prześladowców, ściągająca gromy na głowy tak nadawców, jak zarówno i odbiorców rzeczy, posyłanych legalną drogą.

Te braki kulturalne, z któremi organizacje rewolucyjne liczyć się muszą, wpływać muszą, rzecz prosta, na ogromne zmniejszenie ilości bibuły, kursującej w kraju, szczególnie zaś bibuły, perjodycznie się ukazującej, która z natury rzeczy wymaga jakiej takiej organizacji dla jej rozpowszechnienia. Przez granicę możnaby przetransportować mnóstwo książek, w tajnej dru-

karni możnaby odbić góry bibuły, lecz z chwilą, gdy w maszynerji organizacyjnej, rozprzestrzeniającej bibułę w kraju, są braki, gdy nie jest ona dopasowaną do ilości wyprodukowanej bibuły, nie będzie ona spożytą, skonsumowaną, gdyż najczęściej nie dojdzie do rąk tych, dla których jest przeznaczona.

Przedewszystkiem bibuła, jako rzecz martwa, lecz będąca ciałem fizycznem, posiadającem wagę i objętość, musi z centralnych punktów produkcji — granic i drukarni — być przyniesioną lub przywiezioną do jakiegoś również materjalnego punktu — mieszkania ludzkiego, mieszkania, z którem konsumenci bibuły w jakiś sposób muszą być związani. Te mieszkania w języku technicznym zowią się zajazdami i łatwo zrozumieć, że w każdem miejscu, w którem bibuła się rozchodzi, musi istnieć ten pierwszy punkt — zajazd, gdzie bibuła wraz z człowiekiem się zjawia. Zajazdy ze względu na uczucia człowieka, opiekuna przynoszonej lub przywożonej bibuły, dadzą się podzielić na przykre i przyjemne.

Przyjemnemi są te, gdzie człowieka i bibułę spotykają z otwartemi ramionami, gdzie są oni pożądanymi gośćmi, nie wzbudzającymi obawy. Są to przeważnie zajazdy do ludzi partyjnych. Zajeżdżającemu sprawia przyjemność ta właśnie okoliczność, że gospodarz mieszkania dzieli wraz z nim odpowiedzialność zupełnie świadomie i traktuje wraz z zajeżdżającym bibułę i sprawę zajazdu jako swój interes, nie narzucony mu ze strony. Przykremi są te, które się wyróżniają przeciwnemi cechami, to jest, gdy przyjmujący bibułę boją się, tchórzą i człowiek, przywożący lub

przynoszący bibułę, odczuwa, że odpowiedzialność cała za bezpieczeństwo interesu spada na niego samego.

Jak łatwo zrozumieć, przyjemnych zajazdów jest znacznie mniej, niż przykrych. Niestety, wraz z przyjemnością zajazdu wzrasta i niebezpieczeństwo, z nim związane. Im bardziej człowiek jest partyjnym, związanym z organizacją, im więcej nici łączy go z ruchem, tem bardziej prawdopodobnem jest, że obok przygotowanego na przyjęcie bibuły zajazdu stoi gdzieś niepożądany „anioł stróż“, „psycholog“, to jest szpicel żandarmerji. Stąd przy poszukiwaniu zajazdów organizacja najczęściej się udaje na najdalsze peryferje ruchu, stara się wynaleźć punkty, jak najmniej z czynnem życiem organizacji związane.

Naturalnie, w wypadkach, gdy z powodu wielkiego znaczenia danego punktu oparcia dla bibuły — znaczenia, czy to z racji większej ilości niecenzuralnych wydawnictw, przezeń przechodzących, czy też absolutnej ich konieczności przy planowym rozkładzie pracy rozwozowej — organizacja nieraz jest zmuszoną odsunąć pewną jednostkę lub grupę od wszelkiej czynnej roboty, by w ten sposób zabezpieczyć dostarczanie bibuły.

Punkty takie stają się częścią maszynerji rozwozowej, kółkami w ogólnym systemie — są to zajazdy ściśle partyjne, przy których ludzie bierną rolę zajazdowiczów łączą najczęściej z czynną rolą dystrybutorów bibuły. Wobec jednak kosztowności takiego urządzenia, kosztowności nietylko ze względu na pieniądze, lecz i na siły, zużyte dla zorganizowania takich punktów, orga-

nizacja najczęściej zadawalać się musi nielicznemi przyjemnemi i licznemi, mniej lub więcej, przykremi zajazdami.

Liczba zajazdów przyjemnych zmniejsza się jeszcze bardziej wobec tego, że taki zajazd związany jest nieraz ze stykaniem się z osobami, nic wspólnego z ruchem rewolucyjnym nie mającemi. Oto, naprzykład, syn lub córka, mieszkający przy rodzinie, udzielają swego mieszkania na zajazd. Może on być przyjemnym ze względu na szczere przywiązanie do sprawy części gospodarzy mieszkania, lecz nieprzyjemnym z powodu podejrzliwości, a nawet wyraźnej niechęci reszty. Jak mi opowiadano, są zajazdy, gdzie żona w sekrecie od męża przyjmuje i przechowuje bibułę.

W takich wypadkach zastosować się trzeba ściśle do wskazówek, udzielonych przez przyjmujących bibułę. Trzeba się trzymać pewnych, zgóry określonych godzin, trzeba nieraz kłamać i grać narzuconą sobie rolę, trzeba często podtrzymywać rozmowę o najrozmaitszych, nieraz zupełnie sobie nieznanych, rzeczach i sprawach. Że nie należy to do przyjemnych rzeczy, że, przeciwnie, musi to nieraz męczyć takiego aktora z musu — łatwo to zrozumieć.

Nieraz taki nieszcześliwy „aktor" jednego dnia udaje kolegę syna technika i sam. będąc, naprzykład, lekarzem, rozprawia o szkołach technicznych i nawet w razie potrzeby o różnych technicznych sprawach, na drugi dzień przygotować się musi do rozmowy o gospodarce wiejskiej, o której, jako mieszczuch, najmniejszego wyobrażenia nie ma. I dobrze jest, jeśli go przynajmniej uprzedzą i dokładnie powiedzą, co właściwie my-

śli o nim ten lub ów niewtajemniczony członek rodziny. Najczęściej wprost zgadywać trzeba należyte odpowiedzi na zapytania lub udawać mruka, człowieka, nieumiejącego i trzech zliczyć. W każdym jednak razie najprzykrzejszem jest uczucie strachu u gospodarzy.

Jeden z towarzyszów, który miał sobie poruczone dostarczenie bibuły do pewnego miasta w Królestwie, tak opowiadał o swym „zajeździe“:

— W mieście N. N. stosunki nasze w tym czasie były strasznie zaszpiclowane i raz po raz zmieniano zajazdy, wyznaczając nowe, bezpieczniejsze. Zajazdy stawały się coraz przykrzejsze, coraz częściej spotykały mię wydłużone twarze i niechętne spojrzenia.

Przyszedł jednak świeży numer *Robotnika*, trzeba było go dostarczyć i do N. N. Towarzysz, kierujący tam robotą, przy widzeniu się ze mną w Warszawie powiedział mi na pożegnanie:

— Słuchajcie, teraz z żadnemi pakunkami do nas nie przyjeżdżajcie. Tylko na sobie! Przycisnęli nas tam ostro ze wszystkich stron. Dawne adresy na nic. Dam wam nowy, ale uprzedzam, są to ludzie bardzo, bardzo tchórzliwi. Jak ten osioł, tyle ujedziesz, co ubijesz, co gwałtem wydusisz. Uprzedzicie mnie o dniu przyjazdu. Gdybym się nie zgłosił na randkę, będzie to oznaczało, że źle jest i ze mną. Uprzedzę w każdym razie innego z naszych, by mnie w tym wypadku zastąpił. Noclegu tam u nas nie szukajcie. Klimat tam obecnie niezupełnie zdrowy!

Zmarszczyłem się, gdym się dowiedział, że będę miał do czynienia z tchórzami. Mój towarzysz spostrzegł to.

— No! — dodał — nie podoba się wam taki interes!? Wierzę, ale co ja na to poradzę?

Więc po otrzymaniu *Robotnika* opakowałem się nim jak osioł i, wyprostowany jakbym kij połknął, jazda do N. N.

Przyjeżdżam, oglądam dworzec — rzeczywiście dosyć brzydko wygląda. Ciemnych, podejrzanych figur na dworcu i przed nim dosyć dużo. Oglądają przyjezdnych najbezczelniej. Mnie nikt nie zaczepia, nikt za mną się nie poruszył. Walę na wskazany adres. Dzwonię. Otworzył mi drzwi młody, porządnie ubrany człowiek z semickiemi rysami, który patrzy na mnie pytającemi oczami.

— Przepraszam pana — mówię, — pan Z. polecił mi zajść do pana i poczekać na niego tutaj.

— Proszę, proszę — odzywa się mój amfitrjon,— niech pan wejdzie.

Ogląda mnie przytem podejrzliwie, a gdym zdjął palto i wszedł do pokoju, pyta mnie nieśmiało.

— Pan od pana Z.? Pan Z. mnie uprzedzał, ale pan tylko czekać ma na niego? Czy jaki inny interes jest jeszcze?

Zawahałem się, czy mam powiedzieć o bibule, którą mam na sobie. Wreszcie postanowiłem zamilczeć i pozostawić tę sprawę do nadejścia Z., któremu, jako znajomemu, łatwiej przyjść do porozumienia z gospodarzem.

— Pan dawno widział pana Z.? — zapytałem.

Mój gospodarz zawahał się również chwilkę, wreszcie przyciszonym głosem odpowiedział, że dzisiaj rano wpadł do niego Z. i uprzedził go o mojej wizycie.

— Ale — dodał, — pan ode mnie co zabierze?

Nie zrozumiałem zapytania, alem się przekonał, żem dobrze postąpił, nie mówiąc nic o bibule.

— Nie, proszę pana — odpowiedziałem, — nie zabiorę nic.

Twarz mego gospodarza wydłużyła się nieco, lecz zostawił mię w spokoju. Z miną zagniewaną odszedł do drugiego pokoju, gdziem słyszał lekkie kobiece kroki i dźwięki szkła. stawianego na stole. Pora była wieczorna, po podróży w niewygodnej pozycji pić mi się chciało, ucieszyłem się więc nadzieją otrzymania herbaty.

Lecz mój gospodarz drzwi za sobą zamknął i wkrótce z dźwięków, dochodzących do mnie z drugiego pokoju, musiałem wywnioskować, że spotka mię w tym wypadku zawód. Gospodarze, widocznie, postanowili nie zapraszać mnie na herbatę.

Ten brak gościnności rozgniewał mię, ale czekałem cierpliwie. Lecz minęła godzina, o którą się umówiłem z Z., a jego, ani kogo innego z towarzyszów nie było. Wobec tego, że Z. mię uprzedzał, abym nie nocował w N. N., musiałem coś przedsięwziąć — zbliżał się bowiem czas odejścia ostatniego pociągu, którym opuścić mogłem niegościnne N. N. Zdecydowałem się i zapukałem lekko do gospodarza, który z pochmurną miną wyszedł do mnie.

— Przepraszam pana — odezwałem się, — ale będę musiał iść do pociągu, a pan Z. dotąd się nie zgłosił do pana. Będzie pan łaskaw powiedzieć mu, że tu byłem, a oprócz tego zostawię u pana bibułę dla niego. Pan mu ją odda.

Nie skończyłem jeszcze swego przemówienia, gdy mój gospodarz schwycił się za głowę.

— Co? bibułę? — jęczał, — panowie mnie zgubią. Pan zostawił w przedpokoju pakunki z bibułą... tam chodzi służąca... zobaczyć mogła — mówił urywanemi słowami, biegnąc do przedpokoju.

— Ależ, panie — uspakajałem go, — żadnej bibuły w przedpokoju nie zostawiałem.

Gospodarz nie słuchał mnie, jak piorun wpadł do przedpokoju, po chwili wrócił, minę miał ogromnie wystraszoną.

— A co? — wyjąkał — niema! Już zgubił mnie pan!

Był zupełnie przybity i przygnębiony, ręce bezwładnie mu wisiały. Co do mnie, byłem wściekły, lecz zarazem rozśmieszony.

— Czego pan rozpacza? — rzekłem. — Bibułę mam na sobie, nic się nie stało.

Gospodarz ożywił się. Spojrzał na mnie z pewnem zdziwieniem.

— Na sobie? — mówił, podchodząc do mnie i dotykając palcem ubrania. — Prawda, jest bibuła — potwierdził, spotkawszy pod palcem twardą przeszkodę. — Cóż pan teraz zrobi?

— Co zrobię? — odpowiedziałem, odpinając guziki od kamizelki. — Ot co: zdejmę z siebie i zostawię u pana.

Gospodarz, który niespokojnie śledził moje ruchy, nagle porwał mię za ramię i wciągnął do kąta, oddalonego od okna.

— Co pan robi? co pan robi? — szeptał mi wystraszonym głosem, — pan mnie gubi. Czy pan wie, kto tam mieszka? — pytał, wskazując przez okno na przeciwległą kamienicę z rzęsiście oświetlonemi oknami.

— Nie — przyznałem się, — nie wiem. A co?

— I ja nie wiem — mówił ku memu zdumieniu gospodarz, — ale czy pan zaręczy, że tam nie mieszka żandarm albo szpicel, czy pan zaręczy, że on tam przy oknie nie siedzi oddawna i nie pilnuje mnie i moich gości?

Przestrach mego gospodarza wzmagał się z każdą chwilą, z każdem słowem, wychodzącem z ust jego. Miał minę tak zrozpaczoną i tak komiczną zarazem, żem się ledwie powstrzymał od wybuchu śmiechu. Postanowiłem jednak nie zwracać nań uwagi i w tym kącie, odwrócony od okna, wyjąłem z pod ubrania owiniętą w papier bibułę. Gospodarz, który z rozpaczą patrzał na mnie, zrezygnowany i bezradny, wziął z moich rąk pakunki. W tej chwili u drzwi brzęknął dzwonek. Bibuła wypadła z rąk gospodarza, zbladł on śmiertelnie.

— Pan Z. — uspakajałem go. — Niech-że pan pójdzie otworzyć. Nie bój się pan! Jeżeli to żandarmi, przyznam się do bibuły, powiem, że moja. Niech pan w takim wypadku powie, że mnie pan nie zna, że zaszedłem do pana i wpychałem gwałtem te pakunki, że...

Nie dokończyłem, bo do pokoju już wchodził Z. Służąca otworzyła mu drzwi.

— Przepraszam — odezwał się z progu, — przepraszam, spóźniłem się nieco.

Mój gospodarz odetchnął, kolory powróciły mu na policzki. Z pewnym wyrzutem mówił do Z.:

— Pan mi nic nie powiedział, że ten pan — wskazał na mnie — przywiezie bibułę.

— Nic się nie stało — odparł Z. wesoło, — przecież, gdybym panu to powiedział, to pan albo-

byś odmówił, albo jeszcze gorzej — zgodził się, a potem w potrzebnej chwili wyszedł z domu, zostawiając towarzysza na łaskę losów. Nic się nie stało, uspokójcie się!

— Ale pan zabierze to, co obiecał? — pytał jeszcze niespokojnie gospodarz.

— Zabiorę, zabiorę — mówił Z., klepiąc go po ramieniu.

Z. odprowadził mię na stronę i wyjaśnił sytuację. Rano wpadł do naszego gospodarza, uprzedził go o mojem przybyciu po południu. Miał przy sobie kilka egzemplarzy *Przedświtu,* które mu zostały po rozdaniu ostatniego numeru, a że po południu musiał pójść do paru dosyć „brudnych" miejsc, nie chciał mieć przy sobie bibuły. Prosił więc niegościnnego gospodarza, by do wieczora przechował te egzemplarze *Przedświtu* i obiecał zajść sam po nie lub przysłać kogokolwiek. W ten sposób zmusił niejako tchórzliwego gospodarza do oczekiwania.

Zrozumiałem teraz pytanie, z którem mnie spotkał gospodarz oraz jego kwaśną minę. Te parę egzemplarzy *Przedświtu* paliły go, chciał czemprędzej ich się pozbyć, a moja odpowiedź zrobiła mu zawód.

W istocie, gdy usłyszał od Z., że i *Przedświt* będzie zabrany, skoczył do drugiego pokoju. Po chwili wyszedł stamtąd, trzymając w jednem ręku rulonik bibuły, w drugiem szklankę herbaty.

— Może wypijecie szklankę herbaty? — zwrócił się do mnie uprzejmie.

Wypiłem czemprędzej herbatę, słuchając różnych poleceń Z., umawiając się z nim na przyszłość. Po chwili opuściłem N. N.

Naturalnie, takie przyjęcie bibuły oraz takie wybiegi w celu urządzenia zajazdu są wyjątkowemi. Lecz często drżączka gospodarzy, przyjmujących bibułę, ich trwożliwe spojrzenia i pytania dają się we znaki towarzyszom, rozwożącym bibułę po kraju.

W każdym razie przytoczone opowiadanie świadczy, że nie zawsze jest łatwo urządzić zajazd dla bibuły. Dla każdego zajazdu trzeba możliwie ściśle się umawiać o termin przybycia bibuły, o porę dnia, która dla obydwóch stron, dającej i odbierającej, jest najdogodniejsza, trzeba uprzedzić tak jedną, jak drugą stronę o tem, kogo spotkać mogą przy zetknięciu się, nieraz opisać wygląd i zewnętrzne cechy przyjeżdżającego lub spotykającego. Wreszcie dla uniknięcia wszelkich rozpytywań o adresata trzeba odwożącemu bibułę dokładnie opisać, w jaki sposób ma on trafić do zajazdu. Najczęściej w tym celu rysuje się plan, obejmujący nieraz całą drogę od jakiegoś znanego punktu do drzwi mieszkania, przeznaczonego na zajazd. Omyłka lub niedokładność w takiej umowie może nieraz pociągnąć za sobą przykre, kłopotliwe następstwa.

Opowiadano mi o zabawnej scenie, która miała miejsce w niewielkiem prowincjonalnem mieście z powodu takiej omyłki.

Jeden z młodych towarzyszów miał zawieźć do tego miasta bibułę. Inny, znający dokładnie tameczne stosunki, wytłumaczył mu możliwie dokładnie drogę od dworca kolejowego do zajazdu.

— Od dworca — mówił — ulicą na lewo. Miniecie jeden róg na prawo, w drugą ulicę na prawo skręcicie. Numerów tam niema, zresztą będzie

jeszcze ciemnawo, gdy tam przyjedziecie. Ale po lewej stronie ulicy poznacie kamienicę, do której iść macie, po tem, że jest nieco wyższą od otaczających ją domów i przy bramie sterczy z muru kamień płaski, mogący służyć za ławkę. Jest to mniej więcej dwunasta kamienica od rogu. Przez bramę wejdziecie w podwórze, w prawej oficynie pójdziecie po schodach aż do skutku, na samą górę. Tam drzwi na prawo. Biletu wizytowego niema, dzwonka również. Zastukacie do drzwi mocno trzy razy. Otworzy wam facet niemłody, dosyć tęgi, z wąsami, bez brody. Zapytacie: czy tu mieszka pan Bacewicz i powołacie się na moje konspiracyjne imię. To dzielny chłop, nasz agitator. Od niego weźmiecie zamówienia na przyszłość, korespondencje dla *Robotnika* i pokwitowania. Monety tam teraz nie otrzymacie, ale jeśli będą mieli, to weźcie.

Nasz towarzysz z małem zawiniątkiem, zawierającem bibułę, wyruszył. Przyjechał do owego miasteczka nad ranem, gdy wszyscy mieszkańcy jeszcze spali. Zgodnie ze wskazówkami minął ulicę, odchodzącą na prawo, skręcił w drugą, szedł dosyć długo, lecz kamienicy wskazanej jeszcze nie dostrzegł. Zaczęło go to niepokoić, lecz nagle spostrzega ów kamień, sterczący z muru. Wchodzi do otwartej już bramy, ale z wielkiem zdumieniem spostrzega, że prawej oficyny kamienica nie posiada. Zakłopotany, ogląda się po podwórzu, gdy nagle słyszy za sobą głos:

— A kogo tu pan szuka?

Za nim stał stróż kamieniczny z miotłą w ręku.

— Czy nie mieszka tu pan Bacewicz? — pyta nasz towarzysz niespokojnie.

— Bacewicz? — cedził flegmatycznie stróż — nie, nie mieszka. Ale, czekaj pan, taki tęgi, wąsaty? Co? No, to mieszkał, mieszkał tu dawniej, a jakże. Ale teraz niema.

— Może wiecie, gdzie się przeniósł? — pyta towarzysz.

— Wiem, niedaleko, na ulicę — tu wymienił jakąś nazwę ulicy, o której nasz towarzysz pierwszy raz w życiu słyszał.

— Nie znam miasta — przyznał się towarzysz, — jak mam na tę ulicę trafić?

— Trafić? — odparł stróż — łatwo. Chodź pan! Wyprowadził go za bramę i, wskazując na dalszy ciąg ulicy, mówił:

— Pójdzie pan dalej. Widzi pan na rogu dom duży, to tam. A jakże, wiem, pomagałem temu panu przenosić rzeczy.

Nasz towarzysz ruszył we wskazanym kierunku, dotarł do narożnej kamienicy. W istocie kamienica była duża. Zaczął podejrzywać, że się omylił, bo przecie przy dawaniu informacji mówiono mu, że zajazd jest w największym domu na ulicy, a tymczasem ten, przed którym stał obecnie, był znacznie wyższy od poprzedniego. Lecz trzeba było brnąć dalej. Stróż zamiatał przed kamienicą ulicę.

— Czy tu mieszka pan Bacewicz? — pyta znowu.

— Tu, proszę pana, — odpowiada stróż — po frontowych schodach, na drugiem piętrze na lewo. Ale tam jeszcze śpią, — ostrzega stróż.

— To nic, obudzę — odpowiada towarzysz, zadowolony, że dotarł nareszcie do celu. Trochę go to dziwi, że robotnik mieszka przy frontowych

schodach, ale idzie na owo piętro. Jest i dzwonek. Dzwoni. Po chwili słyszy głos kobiecy za drzwiami:

— Kto tam?

— Przepraszam — mówi, — czy tu mieszka pan Bacewicz?

— Tu, ale śpi, proszę przyjść później — odpowiada kobieta za drzwiami.

— Jestem z drogi, mam pilny interes do pana, proszę obudzić — odpowiada towarzysz.

Głos za drzwiami milknie, po chwili drzwi się odmykają, przed naszym towarzyszem stoi w bieliźnie tęgi mężczyzna z zaspaną twarzą.

— Czego pan chce, do djabła? — mówi gospodarz opryskliwym głosem.

— Przepraszam pana, ja od pana Stanisława — mówi towarzysz, robiąc nacisk na imieniu.

— Od jakiego pana Stanisława? — burczy gospodarz, a widząc, że nasz towarzysz milczy, wpada w wściekłość. — Kto pan jest? — krzyczy. — Czego pan ludzi po nocy napastuje?

— Przepraszam pana — mówi towarzysz, zaczynając się przekonywać, że zaszła jakaś omyłka, — czy z panem Bacewiczem, szewcem, mam do czynienia?

— Co? — wpada w pasję gospodarz, — szewcem? Bacewiczem? Ja nie żaden szewc i nie Bacewicz, tylko urzędnik i Pacewicz. Jakiem prawem pan mnie napastujesz po nocy? — rzuca się mężczyzna w negliżu, podnosząc potężną pięść pod nos towarzyszowi, — ja pana na policję odeślę! Toż to gwałt na równej drodze.! Szuka szewca po nocach! Co?

Lecz towarzysz nasz nie słuchał już, a szybko zmiatał po schodach na dół. Poszedł wprost na dworzec i wyjechał z bibułą zpowrotem.

Jak się okazało potem, informacje i plan nie były zupełnie dokładne. Informacja głosiła, że należy minąć pierwszą ulicę, idącą na prawo od drogi, łączącej dworzec z miastem. Lecz informator zapomniał dodać, że przed tą pierwszą ulicą odchodzi na prawo coś w rodzaju ulicy, jeszcze niezabudowanej, którą ludzie miejscowi za ulicę uważać jeszcze nie chcą. Nasz niefortunny towarzysz, nieuprzedzony o tem, uważał tę drogę za ulicę i nie doszedł do miejsca, gdzie mu skręcić należało.

Dodać jeszcze muszę, że nazwiska, przytoczone w tem opowiadaniu, są zmyślone. W rzeczywistości były one inne, lecz różnica pomiędzy nazwiskami poszukiwanego towarzysza i odnalezionego filistra polegała na tem jedynie, że się zaczynały od różnych, lecz pokrewnych ze względu na brzmienie liter.

Z tych opowiadań łatwo wywnioskować, jak skomplikowaną nieraz bywa służba rozwozowa. Bo proszę sobie wyobrazić, że oprócz trzymania w swej pamięci mnóstwa drobnych szczegółów adresu i warunków życiowych w zajeździe, a raczej w zajazdach, niezapominania o terminach, sposobach wejścia i pytania o potrzebnych ludzi, trzeba się wciąż jeszcze liczyć ze zmianami, jakie ustawicznie w tem lub owem miejscu zachodzą. Wszystkie szczegóły jakiegokolwiek zajazdu, już utrwalone w pamięci, muszą być zastąpione przez nowe przy zmianie zajazdu, zmianie, niestety, zbyt częstej w walce z żandarmerją i szpiclami.

Dodajmy do tego, że na obowiązku towarzyszów, rozwożących bibułę, leżą jeszcze i inne sprawy. Przy unikaniu poczty i korespondencji listownej, która żandarmom dostarczyć może niezbitych dowodów czyjejkolwiek winy i naprowadzić ich jest w stanie na ślady knowań rewolucyjnych, ludzie, chcący się porozumieć w jakiejkolwiek sprawie ze swymi współtowarzyszami organizacyjnymi w innem mieście, muszą dokonywać tego za pomocą i przy pośrednictwie ludzi, mogących mieć stosunki i widzieć się z członkami organizacji w różnych miejscach. Przy każdej więc wizycie towarzysza z bibułą załatwiają się wszystkie interesy miejscowych członków organizacji do zamiejscowych. Zamówienia na bibułę, zmiany w ilości potrzebnych egzemplarzy perjodycznych wydawnictw partji, zakomunikowanie takiej lub innej wiadomości, dane o członkach organizacji, którzy się przenieśli do innych miejscowości — wszystkie te, drobne nieraz, szczegóły życia rewolucyjnego obciążają niesłychanie już i tak przez szczegóły zajazdów obciążoną pamięć rozjazdowych towarzyszów. Mówię: pamięć, bo większość tych szczegółów dla konspiracji nie zapisuje się wcale, a jeśli i zapisuje się, to w jakiś dziwaczny sposób, mogący zaledwie ułatwić, lecz nie zastąpić robotę pamięci.

Proszę sobie teraz wyobrazić, że stosunki organizacji obejmują ogromny kawał kraju, sięgają do miasteczek powiatowych, a nawet ostatnio i na wieś, że te stosunki nie są jednorodne, lecz rozmaite pod względem składu członków organizacji oraz pod względem „czystości“ policyjnej, że wreszcie ta setka pudów bibuły, stanowiąca roczną kon-

sumpcję organizacji, jest w stanie, że tak powiem, płynnym, to jest ustawicznie się rusza z miejsca na miejsce — a zrozumiemy, jak ciężką i kosztowną jest praca rozwozowa. Jeden z towarzyszów, który dłuższy czas pracował w tej branży, mówił mi o tej pracy w te słowa:

— Jestem człowiekiem, dopóki nie siądę do wagonu. Mogę wówczas myśleć, czytać. Z chwilą, gdym wlazł do tego pudła, — idjocieję. Słowo daję — mózg mi kamienieje. Po głowie kręcą się tylko takie myśli: „o godzinie tej a tej będę tam — drzwi na lewo, bilet wizytowy jest; muszę zdążyć do wieczornego pociągu, bo na następny dzień randka w innem mieście, tam od dworca prosto, trzecia ulica na lewo, kamienica, czerwonemi cegłami upiększona; tam bibułę oddać, powiedzieć, że z Warszawy przeniósł się do nich stolarz taki a taki, zapytać o to czy owo, hasło gdzieindziej zawieźć i tak dalej — godziny, na prawo, na lewo, liczba piętr, wyglądy facetów, mnie opisywanych" — oto moje myśli wagonowe. Głowa przestaje myśleć, staje się jakąś maszynką pamięciową.

— I wiesz — dodawał, — do czego zawsze tęskniłem? Do porządnego planu w robocie. Taka robota wówczas tylko idzie dobrze, gdy upodabnia się do maszyny, działającej z zegarkową regularnością. Ale gdzie tam! Taka maszynowa robota trwać może najwyżej miesiąc. A tam, zaledwieś się do niej wciągnął, już nastąpi cokolwiek — jakaś wsypa, nieprzewidziane przeszkody na granicy lub w drukarni, nagłe wypadki — jesteś wyrzucony z kolei, pociąg schodzi z szyn, turkocze rozpaczliwie po podkładach, wreszcie staje. I znowu rozpoczynaj nowe umowy, odwołuj naznaczo-

ne terminy, szukaj nowego planu i rozkładu roboty. Przeklęta robota!

Inny towarzysz, w tym samym oddziale pracujący, opisywał swe wrażenia nieco inaczej. Był to młody chłopak, który od prowincjonalnej, spokojnej roboty został wzięty właśnie do pracy rozwozowej. Trafił on widocznie akurat na czasy względnie nieawanturnicze, gdy owa „maszynowa robota" była możliwa. Był zachwycony.

— Nigdy — mówił — nie przypuszczałem, że jesteśmy tak silni. Wszędzie są nasi, wszędzie idzie praca rewolucyjna. Kiedym dawniej czytał *Robotnika* i spotykałem korespondencje z różnych stron kraju, nie umiałem poza temi wiadomościami dojrzeć ludzi, którzy tem lub owem się wzruszają i tak lub inaczej są z nami związani. Dopiero przy osobistem zetknięciu z nimi przekonałem się o realności różnych rzeczy organizacyjnych. I jaka to ogromna robota! Jak przyjemnie czuć się kołem w ogromnej maszynie, która całą siłą pary ciągnie w świetlaną przyszłość naszą ojczyznę! Nigdym, patrząc ze strony na roboty partyjne, nie przypuszczał, że panować tam może taka regularność i takie powiązanie części organizacji ze sobą.

Przyszły jednak i ciężkie dni, dni trwogi i kryzysu, gdy nici organizacyjne rwą się i pękają, gdy dzisiaj staje się niepodobne do wczoraj, gdy, stawiając krok, nie jesteś zupełnie pewnym, czy go stawiasz celowo i produkcyjnie. Towarzysz, o którym mowa, nieco się zdekoncertował — poznał odwrotną stronę medalu. O partji i jej przyszłości nie zwątpił, lecz był zły na świat cały.

— Tak było dobrze i pięknie! — mówił, — a tu masz djable kaftan! Okazało się, że ta piękność — to budowa na piasku, wiecznie się rozsypująca i nietrwała. I czy tak długo będzie? Ile my już zmarnowaliśmy sił, pieniędzy i czasu na to samo, co jeszcze wczoraj tak łatwo było uskutecznić!

Był zakłopotany, niepewny, wahający się. Trochę go uspakajała równowaga starszych towarzyszów, którzy już przeżyli niejedną taką burzę, z niejednego zawikłania już wyszli i którzy z filozoficznym spokojem patrzyli na rozbicie tego lub owego planu, na zrujnowanie tej lub owej części organizacji, na taki lub inny zawód czy rozczarowanie.

Najwspanialej jest opracowana praca rozwozowa wydawnictwa krajowego — *Robotnika*. Pod tym względem partja nie żałuje ani kosztów, ani sił, by zapewnić swemu pismu możliwie szybkie rozpowszechnienie we wszystkich stosunkach partyjnych. Nieraz partja urządza się w ten sposób, że w większości poważniejszych ognisk życia organizacji *Robotnik* dochodzi do rąk swych stałych odbiorców w dzień wyjścia z tajnej drukarni. Reszta otrzymuje *Robotnika* w dwa, trzy dni po wyjściu i tylko najdalsze zakątki, najgłuchsze dziury, gdzie stosunki są drobne i nieliczne, czekać muszą tydzień, niekiedy i więcej, na okazję, przy której się załatwiają wszystkie interesy partyjne z całą okolicą. Ładnie wygląda rozpowszechnienie *Robotnika* w samej Warszawie, pochłaniającej więcej niż trzecią część nakładu. Oto w określonym zgóry punkcie — zajeździe, specjalnie w tym celu przygotowanym — w naznaczonym na kilka dni przedtem terminie, ści-

słym aż do godziny, lecz znanym tylko nielicznej garstce najbardziej zaufanych ludzi, zjawia się towarzysz z *Robotnikiem*, którego dwie ostatnie strony jeszcze niezupełnie obeschły po wyjściu z pod prasy. Już nań oczekują przygotowani do tej czynności „dromaderzy“ i „dromaderki“ — towarzysze i towarzyszki. W jednej chwili cała kupa papieru jest podzielona na części, odpowiadające podziałowi organizacji warszawskiej. W pół godziny, najwięcej godzinę lub dwie, nie zostaje w zajeździe ani śladu *Robotnika*. Wyruszył on na najbliższy etap, do mieszkań, wyznaczonych przez głównych kierowników poszczególnych części organizacji.

Tam następuje nowy podział na drobniejsze już działy, zawierające jednak nieraz pięćdziesiąt i trochę więcej egzemplarzy. Te są przeznaczone dla głównych organizatorów zgrupowanych stosunków. Jest to ostatni etap, gdzie *Robotnika* dnia tego oczekują. Dla reszty stosunków *Robotnik* jest niespodzianką. Tutaj terminy — godziny i minuty — są rozmaite, zależne od warunków życiowych tych ludzi, którzy się zajmą dalszym podziałem, dalszem rozpowszechnieniem *Robotnika*. Lecz w wyjątkowych jedynie wypadkach, gdy w danej grupie stosunków coś przed samem wyjściem *Robotnika* się zepsuło, przygotowane egzemplarze czekają dnia następnego. Zwykle idą w kurs tegoż dnia.

Organizatorowie rozdrabniają jeszcze bardziej otrzymaną kupkę *Robotnika*. Już wyznaczyli na ten dzień pod rozmaitemi pozorami randki zaufanym ludziom ze swych stosunków. Randki zaś są obliczone tak, by móc jednego dnia załatwić je

wszystkie. Najczęściej więc w dniu wyjścia *Robotnika* jest on w ręku ogromnej większości członków organizacji. I tylko dalszą drogę, wędrówkę z ręki do ręki, z domu do domu, z miast do miasteczek i na wieś — odbywa *Robotnik* już wolniej, bez pośpiechu.

Perjodyczna bibuła pochodzenia zagranicznego nie może korzystać z tak wyrównanej, zawczasu przygotowanej drogi. Nie może, bo terminu jej nadejścia niepodobna wobec stosunków granicznych określić ze ścisłością. Rozpowszechnienie więc czy to numeru *Przedświtu*, czy *Światła*, czy jakiego innego pisma nie idzie tak szybko i tak regularnie, jak opisane wyżej doręczanie odbiorcom *Robotnika*. Trwa ono tygodniami całemi i najczęściej brak w niem planu, specjalnie na ten wypadek wyrobionego. Dzisiaj któryś z numerów, naprzykład, *Przedświtu* jest w Warszawie, a w jakimś Radomiu lub Kownie może się ukazać dopiero za tydzień, w zależności od tego, czy w tym czasie były jakie „okazje" partyjne, czy towarzysze, zajmujący się rozwożeniem lub łączeniem pojedyńczych organizacyj lokalnych w jedno, mieli właśnie tam interesy do załatwienia. W każdym jednak razie bibuła perjodyczna, mająca zgóry określoną liczbę odbiorców, nie sprawia tak wielkiego kłopotu, jak bibuła książkowa i broszurowa.

Przy pracy z tą ostatnią znika z natury rzeczy wszelka regularność i określoność. Bo proszę: dzisiaj w tym stosunku może być potrzebna taka broszura, jutro inna, stamtąd żądają dużo rzeczy do czytania, skądinąd mniej. Książka i broszura nie jest pismem i przy większem rozpowszechnieniu wymaga istnienia księgozbioru, z którego przy po-

trzebie możnaby wziąć akurat tyle egzemplarzy, ile się chce lub wymaga. Na całym świecie dla zadowolenia tej potrzeby istnicją księgarnie i, naturalnie, coś podobnego do księgarni musi być urządzonem i dla bibuły broszurowej, jeśli broszura i książka ma być nie czemś wypadkowem, lecz stałem zjawiskiem.

Rolę księgarni spełniają tak zwane w języku technicznym „składy“ — składy bibuły. I jedną z trosk najdrobniejszej nawet organizacyjki lokalnej jest urządzenie takiej właśnie księgarenki — składu na swe potrzeby.

Jak każdy łatwo zrozumie, te poszczególne składziki muszą być w jakimkolwiek związku z pokaźniejszemi składami, odgrywającemi względem nich taką rolę, jaką odgrywają hurtowne składy dla handlów detalicznych. Muszą istnieć źródła, z których możnaby czerpać odpowiedni towar w odpowiednich ilościach. Jeżeli zaś sobie przedstawimy, że stosunki organizacji są liczne i szeroko rozgałęzione, że z konieczności grupować się one muszą koło jakichkolwiek ognisk, będących centralnemi jedynie dla pewnej części stosunków, zrozumiemy, że te pokaźniejsze składy, będąc hurtownemi dla najdetaliczniejszych składzików, muszą swoją koleją mieć jeszcze bardziej centralne źródło — centralną lub centralne księgarnie-składy. Jest to więc cała sieć mniejszych i większych składów-księgarń, obsługujących odpowiednio do swej wielkości jakąś jedną fabrykę lub fach w danem mieście, albo też całą serję takich drobnych księgareniek.

Najbardziej pokaźnie i poważnie wygląda, naturalnie, skład centralny, główny, nie bawiący się

wcale w żadne detaliczne stosuneczki. Gdyby kto jednak przypuszczał, że jest on choć nieco podobnym z zewnętrznego wyglądu do najmarniejszej nawet księgarni, gruboby się omylił. Przeciwnie, przypuszczam, że gospodarze takiego składu, jak ów towarzysz z drukarni, co to życzył sobie, by otoczenie go podejrzywało o analfabetyzm, unikają jak najstaranniej każdej, widocznej dla otoczenia. rzeczy, mogącej mieć coś wspólnego z książkami.

Taki skład jest partyjnym interesem równie dobrze, jak i drukarnia, i, naturalnie, musi być zabezpieczonym, jak i ona, od wszelkich bezpośrednich stosunków z czynnem życiem partyjnem.

Różnica pomiędzy składem a drukarnią polega na tem, iż skład musi być urządzony tak, by bez narażania jego pozorów możnaby było mieć z nim częste stosunki.

Jeden z towarzyszów, który z obowiązku partyjnego musiał mieć częste z głównym składem stosunki, tak go opisywał:

— Skład główny — mówił on — był umieszczony u niezamożnej wdowy, staruszki, która zajmowała z córką niewielkie mieszkanie w dużej kamienicy. Przyznam ci się, że lubiłem tam bywać. Nie uśmiechaj się podejrzliwie, córka wcale nie była dla mnie tym magnesem przyciągającym.

Panna rozsądna, dosyć inteligentna, ale nie w moim guście. Natomiast serdecznie byłem przywiązany do staruszki — gospodyni składu. Co za serce, współczujące każdej biedzie, każdemu nieszczęściu, miała ta kobieta! Jaką zachowała świeżość uczuć! Wiesz, może mię nazwiesz trochę sentymentalnym, ja nabieram zawsze odwagi do ży-

cia, gdy spotkam kogo ze starszej generacji, zdolnego do odczucia potrzeb nowych pokoleń.

— Pomyśl — dodał, — przecie ci ludzie przeszli przez takie próby, o jakich nam się nie śniło. Przeżyli, przeboleli straszny rok 63. Nadzieje z wiosny ich życia brutalnie rozbito, wciśnięto ich w nowe, znacznie więcej skomplikowane warunki życiowe. Serce mieli czułe, więc w tem życiu każdy krok ich musiał być łzą serdeczną — i pomimo to zachować zdolność, jeśli nie do zrozumienia, to do odczucia nowych, całkiem nieznanych dotąd, prądów, często wyszydzanych i oplwanych przez ich otoczenie. Zdawałoby się, że tam, w ich sercu, w najlepszym razie są zawarte jedynie groby posępne i krzyże mogilne, a tymczasem spostrzegasz, że jest ono zdolnem do bicia w takt z najmłodszemi, z najbardziej żądnemi życia sercami.

— Ale do rzeczy — mówił nieco wzruszony. — Nasze panie zajmowały dwa niewielkie pokoiki, umeblowane nieco po staroświecku. Sługi nie miały, bo dochody ich były bardzo skromne. Córka miała kilka lekcyj, matka trochę uciułanego grosza. My dla składu odnajmowaliśmy jeden pokój. Skład urządzony był w pokoju sypialnym, gdzie stał duży kosz, będący naszą księgarnią. Niekiedy, gdy bibuły zbierało się więcej, oprócz kosza napełniało się i walizki, przechowane pod łóżkiem. W koszu na górze leżała książeczka rachunkowa. Każda broszura, każda książka miała osobną stronicę, na której się zapisywało dochód i rozchód danej książki. Obok leżał plan kosza, ułatwiający poszukiwanie potrzebnych książek. Gospodyni pilnie przestrzegała, by każdy z upoważnionych do czerpania z zapasów bibuły nie zapomniał zapisać,

co wziął ze składu. Porządek zaś w koszu i walizkach był starannie utrzymany. Nigdy mi się nie zdarzyło nie znaleźć poszukiwanego tytułu w odpowiedniem miejscu podług planu.

Gdy się wychodziło ze składu do pokoju neutralnego, zastawało się zwykle gospodynię, przyrządzającą herbatę. Nie było sposobu wymówić się od zadowolenia gospodyni pod tym względem.

— Ależ niech pan siada — mówiła staruszka, — nie puszczę pana bez herbaty. Nabiega się, namęczy chłopiec, to musi mieć apetyt. Wy tam biedacy nieraz bez obiadu cały dzień przebiegacie. Musi pan cokolwiek przegryźć!

Przy herbacie umawiano się o następne wizyty, o czas, gdy którakolwiek z gospodyń musiała być w domu. Gospodyni polecała, by powiedzieć komu należy, że tego lub owego wydawnictwa jest już mało lub wcale niema. Wreszcie odpowiednio do ilości bibuły wywoziło się ją w walizce lub wynosiło na sobie.

Mniej więcej tak samo wyglądają i mniejsze składy w różnych ogniskach życia partyjnego — następne etapy bibuły po wyjściu ze składu głównego. Lecz w tym wypadku niepodobna najczęściej urządzać je, jako partyjne interesy, i tak samo, jak z zajazdami, trzeba wyruszać na poszukiwanie mieszkania dla składu za peryferje organizacji i ruchu, jako najbardziej zabezpieczone od napaści żandarmów i od ataków szpiclowskich. Peryferje jednak, jak to zaznaczyłem już przy zajazdach, mają tę złą stronę, że bardziej, niż czynna armja, podlegają uczuciu strachu i bardziej są kapryśne w drobiazgach przy stosunku z tem życiem. Więc ludzi, stanowiących łącznik pomiędzy

składem a organizacją, bardzo często spotykają te same przykrości, o jakich mówiłem, opisując zajazdy.

W jednym wypadku trzeba się trzymać ściśle godzin i nawet minut, w ciągu których jedynie skład załatwia swe czynności; w drugim — nie może utrzymywać stosunku ze składem mężczyzna, w innych, odwrotnie, kobieta. Najczęściej zaś urządzenie składu zależy od osobistego zaufania gospodarza lub gospodyni składu do osoby, urządzającej go, i wszelka nowa figura w tych wypadkach budzi strach i podejrzenie. W razie więc aresztowania tej osoby następuje najczęściej panika, która nieraz prowadzi do niszczenia bibuły, z takim kosztem i poświęceniem dostarczonej do składu. Wogóle paniczny strach na peryferjach ruchu stanowi zwykle jeden z najbardziej dających się we znaki kłopotów organizacji. Bywa on komicznym, nie przestając jednak być kłopotliwym.

Jeden z towarzyszów opowiadał mi właśnie o takim wypadku w sposób następujący:

— Bibułą — mówił mi — w Wilnie rządził przez dłuższy czas towarzysz Michałowski (umarł po powrocie z wygnania w 1899 roku). Michałek nie odznaczał się ani porządkiem, ani systematycznością. Miał talent teroryzowania różnych swych znajomych i bez ceremonji zostawiał u nich na przechowanie ten lub ów pakunek z bibułą, besztając ich przytem, że są głupimi burżujami. Zapewniał każdego z nich, że im się nic nie stanie, że wewnątrz każdej paczki zostawiał kartkę, głoszącą, że ta bibuła należy do niego, Michałowskiego, co też rzeczywiście robił.

Było to w początkach ruchu P. P. S-owego i młoda organizacja nie wypracowała jeszcze ani porządnego planu działań, ani usystematyzowała swej maszynerji. Jak w sprawie bibuły i drukarń tajnych, tak i w sprawie maszynerji organizacyjnej P. P. S. była pionierem, przekładającym nowe ścieżki, niewydeptane dotąd przez poprzedników na polu rewolucyjnem. Nic dziwnego, że organizacja kłopotów i przeszkód miała mnóstwo. Bibuły, naprzykład, było dużo, lecz często spotykało się kłopoty i przeszkody w jej ulokowaniu. Na pomoc w tych wypadkach zawsze przychodził Michałek.

— Co u czorta! — mówił swym śpiewnym, litewskim akcentem. — Bibuła? Dawajcie ją mnie, już ja się nią zaopiekuję. U mnie w Wilnie spokojnie, niech leży!

Bibułę brał i rozlokowywał ją u różnych znajomych. Lecz że ani spisów bibuły nie prowadził, ani też sam dobrze nie wiedział, gdzie i co u niego leży, wkradał się więc stopniowo nieporządek i bezład okropny. Nikt nie był nigdy pewnym, czy taką lub inną broszurę w wymaganej ilości otrzyma. Nareszcie postanowiono założyć skład główny i oddać go pod opiekę bardziej porządnego towarzysza. Było to tem bardziej koniecznem, że Michałowski był pod dozorem policyjnym za dawną sprawę i pisał, że mu zaczyna ten dozór dokuczać.

— Wydelegowano — mówił mi ów towarzysz — mnie do Wilna dla zrobienia porządku z tym interesem. Trzeba było wypadku, że po przyjeździe do Wilna Michałka już nie zastałem; aresztowano go i osadzono w 14 numerze (X pawilon wileński). Parę dni spędziłem na poszukiwaniu najbliższych znajomych Michałka i rozpytywaniu ich o bibułę.

Ludzie ci, chociaż przestraszeni aresztowaniem Michałowskiego, zgodzili się pomóc mi w poszukiwaniach i ściągnięciu bibuły do jednego miejsca. Lecz, niestety, wskazówek co do miejsc, gdzie bibuła była ulokowana, mieliśmy skąpo. Znaleźliśmy dwa, trzy pudy, wtedy gdy ja z otrzymanych w Warszawie informacyj oczekiwałem conajmniej 8—10 pudów.

Nie ustawaliśmy w poszukiwaniach i rozpytywaniach różnych znajomych Michałowskiego. Trudno sobie wyobrazić, z jakiemi typami wówczas się spotkałem. Stare baby, trzepiące pacierze, młode dziewczyny, naiwne i głupiutkie, stateczni inżynierowie, którzy ze wstydem się przyznawali, że bibułę ze strachu wywieźli na wieś, młodziutcy gimnazjaliści, którzy zakopywali bibułę w ogrodach na przedmieściu. Wszystko to było wystraszone, oczekujące z każdą chwilą napaści żandarmów, przeklinając biednego Michałka za bezczelność. Niektórzy pod wielkim sekretem przyznawali się, że spalili bibułę. Po tygodniu poszukiwań, w czasie których codzień otrzymywałem wiadomość, że znowu gdzieś na jakichś „kiszkach" — tak bowiem, zdaje się, kończą nazwy wielu przedmieść wileńskich — okazała się schowana bibuła, po tygodniu — mówię — zebrałem coś koło ośmiu pudów.

W końcu tych poszukiwań napotkałem najzabawniejsze ze wszystkich schowanko Michałowskiego. Jeden z moich pomocników w poszukiwaniach opowiedział mi, że doszła doń wiadomość, że jakiś dawny kolega Michałowskiego również był obdarzony bibułą przez niego. Ruszamy do owego kolegi. Spotkał nas młody chłopak, który powiedział, że właściwie nie on przechowywał bibułę,

lecz że Michałek wraz z nim odwoził ją do „jednej pani“.

— Możesz pan stamtąd ją wydobyć? — pytam.

— Dobrze — odpowiada chłopak,—ale ktoś z panów ze mną pojedzie, ja wyniosę od tej pani bibułę, ale sam wozić jej nie chcę.

Zgodziłem się na to. Pojechaliśmy. Dorożka zatrzymała się przed cerkwią.

— Więc to w cerkwi? — pytam, — być nie może!?

— Nie — odparł zdetonowany młodzieniec, — ale tu obok mieszka pop.

— Pop? — zdziwiłem się jeszcze bardziej, wiedząc, że popi na Litwie bez wyjątku są najpodlejszymi sługami rządowymi.

— Niech pan zaczeka — twierdził chłopak, — ja zaraz wrócę.

Po kilku minutach chłopak wypadł z cerkwi z wystraszoną twarzą, wskoczył do dorożki i kazał jechać. Mnie zaś rzucił krótkie słowo: „spalili“.

Gdyśmy wyszli z dorożki, rozciekawiony wypytywałem chłopaka o ten dziwny skład wydawnictw rewolucyjnych.

Okazało się, że pani popadja była znajomą Michałowskiego od dzieciństwa, gdy się razem na podwórzu bawili. Potem ona wyszła za popa, on został rewolucjonistą, lecz znajomość się nie urwała. Na podstawie tej znajomości Michałek w czasie nieobecności popa zawiózł tam walizkę z bibułą i, nie mówiąc o tem, co walizka zawiera, zostawił ją na pewien czas na przechowanie. Popadja nic o tem mężowi nie powiedziała. Lecz gdy Michałka aresztowano, wystraszona popadja przyznała się swemu małżonkowi, że ma jakieś rzeczy Michałowskiego. Małżonkowie złamali zamek i ku wielkiemu

zdumieniu znaleźli bibułę, przykrytą w dodatku brudną męską bielizną. Pop chciał nieść to odrazu do żandarmów, lecz po namyśle przyszedł do przekonania, że go to może skompromitować. Spalił więc bibułę, a dla ulżenia sercu sprał swą połowicę co się zowie.

Z podobnemi nieco perturbacjami składowemi, perturbacjami, wywołanemi przez panikę na peryferjach ruchu, zetknąłem się w Warszawie w 1900 roku, w styczniu. Było to świeżo po grudniowych aresztowaniach tak zwanych *dekabrystów*. Tak przez żart nazwano różnych literatów i przedstawicieli inteligencji warszawskiej, aresztowanych niewiadomo za co w grudniu 1899 roku. Wywołało to ogromny przestrach i spowodowało tchórzliwą drżączkę w całej masie rodzin inteligenckich o postępowem zabarwieniu. W tym samym czasie wypuszczono na Warszawę całą moc szpiclów, agentów świeżo utworzonej instytucji „ochrony", która wykazać chciała swą sprężystość i działalność.

Warszawa chyba do owego czasu nie widziała nic podobnego. Główne arterje ruchu, jak Marszałkowska, Nowy Świat i ulice, łączące je, były na wszystkich rogach udekorowane przez podejrzane figury, trącające siebie łokciami, dające sobie sygnały, zachowujące się bezczelnie i natrętnie. Rzucało się to każdemu człowiekowi w oczy, wszyscy o tej szarańczy szpiclowskiej mówili, powiększając jeszcze bardziej panikę wśród tych, co, trzymając się najgorszej w konspiracji zasady: „na złodzieju czapka gore" — mieli już duszę na ramieniu i drżeli na sam widok niewinnego stójkowego.

Akurat w tym czasie wypadło mi być w intere-

sach drukarnianych w Warszawie. Szedłem po Marszałkowskiej, gdy za sobą usłyszałem wołanie:

—Piłsudski! ależ stój, nie uciekaj!

Tak już się odzwyczaiłem od brzmienia mego nazwiska, żem narazie nie zwrócił uwagi na wołanie. Dopiero powtórny okrzyk zatrzymał mię. Odwróciłem się — przede mną stał kolega z gimnazjum wileńskiego, szlagon ze Żmudzi, z którym podczas wędrówek po świecie spotykałem się niekiedy.

Rzuciłem okiem wokoło, lecz uspokoiłem się. Nazwisko moje nie zwróciło niczyjej uwagi. Śnieg sypał przechodniom w oczy, wszyscy śpieszyli, nie patrząc na innych, i tylko na rogach ulic majaczyły postacie szpiclów. Uściskaliśmy się z kolegą, który mi zaraz bardzo tajemniczo zaczął szeptać, bym koniecznie wpadł do niego, do hotelu. Umówiliśmy się o godzinę i rozeszliśmy się. Stawiłem się punktualnie o naznaczonej godzinie. Kolega przywitał mnie serdecznie, lecz odrazu rzucił mi pytanie:

— Ty znasz, braciaszku, moją bratową? Wiesz, my z nią przenosiliśmy dzisiaj jakieś wasze rzeczy. No, broszurki — dodał, widząc, że nie rozumiem, o co chodzi.

Byłem zdumiony. Kolega mój nigdy nie odznaczał się usposobieniem rewolucyjnem, a z socjalizmem nie miał nic wspólnego, prawdopodobnie nie przeczytał nigdy książki, ani broszury socjalistycznej.

O bratowej jego nigdy w życiu nie słyszałem, ale czułem, że wypieranie się moje do niczego nie prowadzi. Ludzie, stojący poza ruchem, tak samo, jak i żandarmi, są przekonani, że wszyscy re-

wolucjoniści znają się wzajemnie, jak łyse konie. Dla mego kolegi bratowa była widocznie rewolucjonistką, ja byłem na Syberji — wniosek stąd oczywisty. że się znać musimy.

— Jakże się to stało? — pytałem go zdziwiony.

— A widzisz, braciaszku! — mówił z pewnego rodzaju triumfem. — Widzisz: zachodzę dzisiaj rano do bratowej, widzę — kobieta zakłopotana, chodzi zamyślona, odpowiada nie *wpopad* — mówił z rosyjska. — Czego — pytam — siostrunia martwi się? Powiada, ma kłopot i że ja pomóc muszę. Ja na to — i owszem.

Przyznała mi się kobiecina, że ma na schowaniu nielegalne książki, ale że się teraz obawia je nadal zachowywać, bo jakiegoś jej znajomego niedawno aresztowali. Chce więc je przenieść tymczasem do starej ciotki, ale tego dużo i sama nie zabierze. Chce, żebym jej pomógł. No, myślę, ma nosić coś kobieta, poniosę i ja. Ale pytam, czy nie lepiej przewieźć — poco nosić? Ale wytłumaczyła mi, że to u nas tak się nie robi, że to zbyt widoczne, że trzeba pod paltotem nieść, a ona resztę poniesie pod rotundą. Jak taka moda, trudno. Opakowała mię bratowa książkami, sama wzięła parę pakunków i wyszliśmy na ulicę. Powiadam ci, braciaszku, nie tchórz jestem, ale te książeczki mię paliły. Ciągle mi się zdawało, że wszyscy patrzą na mnie. A tu, jak na złość, gdy podchodzimy do dorożki, bratowa mi mówi: patrz, tu szpicle stoją, nie bierzmy tej dorożki.

Idziemy dalej. Tam stali jacyś ludzie, ale grzecznie usunęli się nam z drogi. Nigdybym nie przypuścił, że to byli szpicle. Wyglądają wcale przyzwoicie, — ale wy chyba na tem się znacie. Przeszliśmy

koło pięciu dorożek, wyobraź sobie wszędzie byli szpicle. Ilu tu ich jest! I to my na to tałatajstwo tyle podatków płacimy! Koło szóstej dopiero dorożki nikogo nie było — siedliśmy i jazda do ciotki na ulicę — tu wymienił mi nazwę ulicy, numer domu i nazwisko ciotki.

Tam bratowa długo coś szeptała z ciotką, wreszcie oswobodzono mię od tych pakunków. Wyobraź sobie, z dziesięć minut w paltocie stałem w pokoju — nigdy tak niegrzeczny nie byłem!

Opowiadał mi z takim zapałem, tak komieznie przyciszonym głosem, tak często podbiegał do drzwi i zaglądał, czy kogo za drzwiami niema, żem ledwie nie poległ od śmiechu, wyobrażając sobie, jak ta para wystraszonych profanów rewolucyjnych odsuwała się od dorożki, dlatego, że gdzieś niedaleko ktoś stoi lub przechodzi.

— A imaginuj sobie — mówił dalej kolega, — gdyśmy przyszli do domu, po książki przyszli...

— Jakto przyszli? — zerwałem się, chwytając za kapelusz, przypuszczałem bowiem, że mówi o żandarmach i że, jak to zwykle w takich wypadkach bywa, mój kolega jest już pod bacznym dozorem policji i szpiegów.

— A przyszli — potwierdził — wasi. Jakiś pan, raczej młody chłopiec z panną. Ten pan przedstawił mi się jako Szczurowski, ale bratowa mi mówiła, że to kłamstwo, bo jakoby wy prawdziwego swego nazwiska nigdy nikomu nie mówicie. Wiesz, że to niebardzo grzecznie, to mi się nie podoba.

Jak potem przez ciekawość sprawdziłem, część bibuły warszawskiej pozostawiono na noc u bratowej mego kolegi i ta po jednej nocy, spędzonej z bibułą pod jednym dachem, tak się wystraszyła,

że, zaledwie doczekawszy się rana, wyniosła ją natychmiast dalej.

Takie perturbacje składowe i panika, powstająca na peryferjach ruchu rewolucyjnego za lada przyczyną, sprawiają zwykle dużo kłopotów organizacjom i ludziom, zmuszonym opiekować się bibułą. Niekiedy mają przytem miejsce przykre, wstrząsające sceny. O takiej właśnie scenie słyszałem od pewnej towarzyszki, która przez dłuższy czas opiekowała się bibułą i składami w Warszawie.

— Miałam — mówiła mi — wspaniały skład u jednej swojej znajomej, żony drobnego urzędnika. Naturalnie — dodawała feministycznie usposobiona towarzyszka — mąż o tem nic nie wiedział. Już to mężczyźni w sferze nieściśle rewolucyjnej są daleko większymi tchórzami, niż niewiasty. W dodatku pan mąż należał do kategorji zazdrosnych, co między wami na każdym kroku się zdarza. Biedna kobiecina drżała przed swym despotą, lecz w tajemnicy przed nim oddawała nam spore usługi. Coprawda, musieliśmy się stosować do warunków życia naszej składniczki. Przychodziliśmy do niej tylko w czasie zajęć biurowych pana domu, a więc przed obiadem, nie mogliśmy posyłać tam mężczyzn, bo razu pewnego, gdyśmy tak postąpili, Otello przez sługę się dowiedział o tem i zrobił straszną scenę żonie, która, nie chcąc zdradzić tajemnicy, nie mogła mu wytłumaczyć męskiej wizyty u siebie. Tak trwało dosyć długo — parę lat. Przyzwyczaiłyśmy się do siebie, interes się ułożył, wszystko szło, jak po maśle

I nagle spadła na nas katastrofa! Razu pewnego zachodzę w porze przedobiadowej do naszej składniczki, żeby się z nią umówić o przeniesienie do niej

świeżego transportu bibuły agitacyjnej, dzwonię i ku wielkiemu zdumieniu słyszę za drzwiami męskie kroki. Przypuszczałam, że mąż-despota zachorował i nie poszedł do biura, lecz drzwi się otworzyły i przede mną stał sam pan mąż. Był blady, twarz miał zmęczoną.

— Czy pańska żona w domu? — spytałam grzecznie.

— Żona moja umarła — odpowiedział mi pan grobowym głosem.

Odskoczyłam przerażona. Było to tak nagłe i niespodziewane, żem przez pewien czas nie mogła przyjść do siebie. Lecz wreszcie przez głowę przemknęła mi myśl, chociaż i śmiesznie mała wobec majestatu śmierci, lecz pomimo to obchodząca mię — myśl o bibule.

—Pani była przyjaciółką mojej żony? — pytał łagodnym, przyciszonym głosem.

Pod wpływem łagodnego tonu rozmiękłam i ja.

— Przepraszam pana — rzekłam, — że w takiej chwili będę pana memi kłopotami zajmowała, ale nieboszczka żona pańska miała na przechowaniu trochę moich rzeczy. Miałam właśnie zabrać je teraz...

Nie dokończyłam, gdyż poczułam, że gospodarz chwycił mię brutalnie za ramię i ciągnął do dalszych pokoi.

— Aha! to pani! — powtarzał chrypliwym głosem.

Wreszcie znaleźliśmy się w pokoju, gdzie tak niedawno jeszcze prowadziłam ze zmarłą przyjaciółką narady o wspólnym interesie, a gdzie teraz leżała ona martwa w trumnie. Koło nieboszczki

modliła się jakaś staruszka, która na znak gospodarza wyszła z pokoju.

— Więc to pani! — mówił gospodarz, — co, jak wąż, wślizgnęła się do mojego domu, by zakłócać jego spokój, by swą niecną robotą narażać szczęście i dobre imię moje i mojej żony.

Oburzyłam się na te słowa, wydały mi się one obrazą pamięci mojej przyjaciółki, obok ciała której staliśmy w tej chwili.

— Niech pan żony swojej — powiedziałam ostro — nie obraża przypuszczeniem, że jak jakaś głupia istota bez woli mogła być wplątaną przez kogoś do rzeczy, nieuznawanej przez siebie za godną ofiary i poświęcenia. Jeżeli to robiła pod sekretem przed panem, to jedynie dlatego, żeby nie było piekła w domu, za co pan wdzięcznym jej być powinien. Proszę pana zaprzestać tych przykrych scen i powiedzieć wyraźnie, gdzie są książki i jak je mam odebrać.

— Nie! ja pani tak nie wypuszczę! — chrypiał gospodarz, — pani tu, w tym pokoju przysiąc mi musi, że z ust pani nie wyjdzie tajemnica, która hańbą pokryć dom mój może.

— O co panu chodzi? — rzekłam ze wstrętem, widząc, że ten człowiek drży o własną skórę i chce wykorzystać nawet śmierć żony, by tę skórę zabezpieczyć. — Jeżeli o to, by nazwisko pańskie nie było przeze mnie związywane wobec kogokolwiek ze sprawami nielegalnemi, to i owszem, mogę panu to przyrzec, tem bardziej, że stanowi to mój obowiązek.

— Niech pani przysięga! — szeptał, biorąc krucyfiks ze stołu obok nieboszczki.

— Proszę zaprzestać komedji! — krzyknęłam, wyrywając mu się z rąk, — niech panu wystarcza moje przyrzeczenie.

Gospodarz domu z nienawiścią patrzył na mnie. Wreszcie po chwili namysłu postawił krucyfiks na stole i rzucił mi:

— Dobrze! niechże pani dotrzyma swej obietnicy! Proszę za mną!

W następnym pokoju był koszyk z bibułą, wsunięty pod łóżko. Zamek, wiszący przy koszyku, był zepsuty.

— Proszę zabrać swoje rzeczy! — rzekł do mnie ostro.

Zmusiłam go posłać po dorożkę. stróż zniósł mi koszyk na dół.

Byłam tak wzruszona, że nogi mi drżały i w głowie mi się kręciło, gdym schodziła ze schodów. Przechorowałam tę scenę, przez kilka dni stał mi w oczach pokój z trumną na stole i wściekłym gospodarzem, trzymającym mnie, jak w kleszczach, za ramię.

Wobec tak skomplikowanych urządzeń i stosunków ze składami większemi, wobec niemożliwości użytkowania ze składowych instytucyj w każdej chwili, koniecznem jest rozdrabnianie księgarńskładów jeszcze bardziej, stwarzanie nowych, drobniejszych, lecz bliższych do konsumentów. W istocie, proszę sobie wyobrazić, że któremuś ze stolarzy, naprzykład, w agitacji wśród kolegów z warsztatu okazała się potrzebną, przypuśćmy, broszura *Kto z czego żyje?* — klasyczna popularyzacja teorji Marksa. Nasz stolarz potrzebuje jej natychmiast; mówił o tej broszurze swemu agitowanemu koledze, spostrzegł zainteresowanie się spra-

wą robotniczą u niego i radzi mu przeczytać broszurkę, obiecuje ją dostarczyć. Gdyby to zapotrzebowanie iść musiało do centralnych składów-księgarń, przechodząc różne stopnie organizacyjne, gdyby takie drobne zapotrzebowanie musiało się stosować do kaprysów hurtownych składników i składniczek, straciłoby się dużo czasu i broszura mogłaby trafić do rąk konsumenta wtedy, gdy potrzeba już minęła i znikł ten nastrój, który stanowił o skuteczności wpływu broszury. Oprócz więc hurtownych składów muszą istnieć i detaliczne.

Z natury rzeczy są one drobne. Kilka egzemplarzy najpopularniejszych broszur, kilka zapasowych numerów *Robotnika* — oto najczęstszy inwentarz tych małych, podręcznych księgarń. Każdy nieledwie agitator ma taki składzik z zapasowemi wydawnictwami, najbardziej potrzebnemi w robocie. Często i tutaj dla zabezpieczenia składu ludzie poszukują miejsca dla niego wśród swoich osobistych znajomych, nie biorących bezpośredniego udziału w czynnem życiu organizacji. I bodaj największe usługi w tym wypadku oddają kobiety.

Niekiedy, lecz bardzo rzadko, takie detaliczne księgarnie bywają urządzane w fabrykach lub warsztatach. Nie zawsze jest to bezpiecznem, bo żandarmi często nie ograniczają się poszukiwaniem w mieszkaniach, zajmowanych przez podejrzane osoby. Przetrząsają oni biurka w kancelarjach, szafki z instrumentami w fabrykach i warsztatach. W Żyrardowie w 1900 roku aresztowano maszynistę, którego podejrzywano o rozpowszechnianie bibuły. Zrobiono przytem najstaranniej rewizję

w całej maszynsztubie fabrycznej. Nie znaleziono nic. Po pewnym czasie wskutek zdrady jednego z wtajemniczonych zrobiono tam rewizję po raz drugi. Tym razem poszukiwania wykazały, że w podmurowaniu maszyny parowej była ukryta taka właśnie detaliczna księgarenka.

Wogóle wśród robotników, którzy najbardziej są narażeni na rewizje i napaści żandarmów, mocno jest rozwiniętą wynalazczość w kierunku urządzania różnych dowcipnych skrytek i schowanek dla podręcznych księgarń z niewielką ilością bibuły. Jak mnie zapewniano ze strony ludzi, znających dobrze te stosunki, te skrytki urządzone są nieraz po mistrzowsku i często zostają niewykryte przy najściślejszych rewizjach. Zdarzało się nieraz, że po aresztowaniu właściciela takiej skrytki bibuła leżała rok i więcej, pomimo, iż nowi lokatorowie w mieszkaniu lub robotnicy w fabryce codzień mogli je wykryć. Opowiadano mi o wypadku, gdy któryś z warszawskich robotników zostawił w swem mieszkaniu niewykrytą przy rewizji bibułę. Robotnik ten został skazany na wygnanie i po kilku latach wrócił do Warszawy. Po powrocie postanowił się dowiedzieć, co się stało z ową bibułą. Szczęśliwym trafem znalazł swe dawne mieszkanie zajęte przez znajomego towarzysza partyjnego. Poszedł więc do niego i ku wielkiemu jego zdumieniu wyjął ze skrytki bibułę, nieco zresztą uszkodzoną i zbutwiałą od wilgoci.

Na prowincji, gdzie otoczenie i tryb życia często jest napół wiejskie, urządzenie detalicznej księgarenki jest znacznie łatwiejsze, niż w dużych miastach, jak Warszawa i Łódź. W tych warunkach wykorzystać można dziesiątki zakamarków

i kącików, o których prawie z pewnością powiedzieć można, że są zupełnie bezpieczne i niedostępne dla najszczwańszych lisów żandarmskich. Tam też często się zdarza, że przy aresztowaniach na ulicy lub w warsztatach współtowarzysze aresztowanych uprzedzą żandarmów i wyniosą z mieszkania wszystko, co może kompromitować aresztowanego, nim władza zdąży z rewizją. Oto wiadomo o takim właśnie fakcie w Zagłębiu Dąbrowskiem.

Zagłębie, którego poszczególne części, jak Sosnowiec lub Dąbrowa, rozwijają się i zaludniają z iście amerykańską szybkością, jest pod względem policyjnym i kulturalnym zwykłą, najobskurniejszą dziurą. Ani organy rządowe, idące w swym rozwoju ze zwykłym w Rosji pośpiechem żółwia, ani instytucje kulturalne w społeczeństwie, skrępowanem przez barbarzyńskie prawa caratu, nie mogą dotrzymać kroku szybko postępującemu naprzód przemysłowi tego zakątka. Stąd wynika, że ani ulice, ani mieszkania, ani paszporty, ani dozór policyjny — słowem, nic prawie nie jest uregulowanem. Gdy więc kto wskaże swe miejsce zamieszkania, to nieraz trzeba dużo stracić czasu, nim się wskazany punkt odnajdzie. Żandarmerja, która w tych warunkach ma również utrudnione zadanie, załatwia się tam nieraz w ten sposób, że aresztuje robotników przy wyjściu z fabryki i dopiero stamtąd wyrusza na poszukiwanie mieszkania aresztowanego. Poszukiwania te trwają nieraz parę dni.

Otóż razu pewnego aresztowano w ten sposób robotnika, u którego na składzie leżało sporo bibuły. Aresztowany, licząc na pomoc towarzyszów, dał

żandarmom o swem mieszkaniu wskazówki tak nieokreślone, że ci w żaden sposób tegoż dnia trafić doń nie mogli. Wiadomość o aresztowaniu kogokolwiek szybko się rozchodzi. Współtowarzysze więc wiedzieli o wypadku tegoż dnia wieczorem. Wysłano naprzód na zwiady jednego ze spiskowców. Ten wrócił z zapewnieniem, że żandarmi dotąd nie dotarli do mieszkania. Wyruszono tedy w kupie z przygotowanym workiem. Jedni stanęli na straży wokoło, by umówionym sygnałem uprzedzić w razie czego innych, którzy zakradli się do mieszkania przez wybitą szybę i wyciągnęli stamtąd całą księgarnię. Żandarmi trafili do mieszkania dopiero nazajutrz, czy jeszcze później i, naturalnie, nic nie znaleźli.

Ma się rozumieć, towarzysze dąbrowscy mieli zadanie ogromnie ułatwione. Ciemności egipskie, brak policji, błotniste drogi i ścieżki — wszystko to stwarza doskonały grunt zarówno dla istotnych rzezimieszków, jak i dla tych, co w jakimbądź celu brać na siebie muszą ich rolę.

Te drobne składy-księgarenki, rzecz prosta, sprawiają swym właścicielom i organizatorom również kłopoty przy panice podczas większych aresztowań, jak to widzieliśmy przy hurtownych składach. Kłopoty te są mniejsze, bo przecie z niewielką ilością bibuły łatwo sobie dać rady — nie przedstawia żadnej trudności przenieść ją w kieszeni lub nawet zniszczyć w ostatecznej potrzebie. Uważam jednak za obowiązek przyznać, że te właśnie detaliczne składy, rozmieszczone najczęściej wśród ludności robotniczej, mniej są narażone na szwank z powodu strachu składnika lub składniczki. Ludzie w tej sferze są stanowczo odważniejsi i więcej

cej cenią pracę i poświęcenie, włożone w każdy egzemplarz bibuły w państwie cara.

Zdarzają się jednak wypadki, gdy panika ogarnia i odważniejsze serca. A że strach bardzo często jest najgorszym doradcą, bywały wypadki, że właśnie strach gubił ludzi. Opowiadano mi, że do Pabjanic pod Łodzią razu pewnego przyjechali żandarmi. Niewiadomo było, do kogo się udadzą, lecz niektórzy z tych, co mieli coś niecoś na sumieniu, uznali, że, jeśli żandarmi przyjechali, to niechybnie dla nich. Otóż jeden z tych ogarniętych strachem przypomniał sobie, że u niego leży kilka broszur. Biegnie czemprędzej do domu i w pośpiechu zakopuje je na swem podwórku. Bojąc się jednak, by kto nie nadszedł, zakopał je bardzo płytko. Żandarmi zrobili parę rewizyj i nie zaczepili wcale o naszego tchórza. Lecz cóż się stało? Świnia, chodząc po podwórku, wyryła zakopaną świeżo bibułę i wysunęła jedną z broszur na ulicę. Spostrzegł to ktoś z władzy i w rezultacie naszego tchórza aresztowano. Odtąd, jakoby, w Pabjanicach dla przestrogi młodych opowiadają historję o tem, jak „świnia zasypała towarzysza".

Jak widzimy, w interesie bibulastym rozwiniętym jest system pośrednictwa. Książka lub broszura, nim dojdzie do rąk swego czytelnika, przechodzi przedtem przez cały szereg rąk pośredniczących — komiwojażerów partyjnych, składników centralnych, hurtownych, wreszcie detalicznych.

Naturalnie, powiększa to ilość pracy, włożonej w każdy egzemplarz bibuły, a zatem i wartość jego. Cały ten ogrom pracy pośredników, unikających w dodatku poczty, jak ognia, jest wynikiem nielegalności pracy z bibułą, a cały misterny sy-

stem składów, podskładów i składzików jest koniecznym skutkiem przystosowywania się do dzikich warunków politycznych w państwie rosyjskiem. Prześladowania rządowe wpływają na zwiększenie nieprodukcyjnej pracy pośredników pomiędzy wytwórcami i konsumentami bibuły do tego stopnia, że swemi rozmiarami, ilością ludzi, zajętych przy niej, przewyższa ona stokrotnie pracę ściśle produkcyjną. Pośrednictwo staje się dominującą częścią sprawy rozpowszechnienia bibuły i decyduje o ilości i nieprzerwalności w kursowaniu bibuły w kraju.

Narazie w P. P. S., która, jak to widzieliśmy, we wszystkiem, tyczącem się bibuły, stworzyła nowe wzory postępowania, robiono główny nacisk na produkcję bibuły. Zdawało się, że reszta, to jest pośrednictwo, przyjdzie samo przez się, zorganizuje się łatwo. W istocie dalsza część systemu — lokalne składy hurtowne i detaliczne składziki — zorganizowały się bez trudu. Konieczny związek pomiędzy niemi był utrzymywany przez lokalne organizacje partyjne, mające w swem rozporządzeniu dostateczną ilość ludzi, by zarówno system, jak i związek pomiędzy pojedyńczemi ogniwami, nie ponosił szwanku.

Trudniejszem było dopasowanie centrów produkcji bibuły — granic i drukarni — do głównego składu oraz tego składu do lokalnych składowych instytucyj. Dopóki bibuły nie było tak dużo, dopóki stosunki organizacji nie sięgały dalej poza główne miasta i ogniska przemysłowe, wszystko szło jako tako. Sprawy bibulaste załatwiało się przygodnie — przy innych interesach lub też przy

okazjach. Nieliczni funkcjonarjusze partyjni dawali sobie z tem radę.

Lecz wkrótce ilość bibuły zaczęła się zwiększać, wymagania wzrastać, stosunki rozszerzać. To, co było dobrem i dostatecznem dla paru tysięcy egzemplarzy różnych wydawnictw i dla czterech, pięciu punktów organizacyjnych stało się niewystarczającem, gdy chodziło o dziesiątki tysięcy egzemplarzy, gdy trzeba było zaglądać do dziesiątków miast i miasteczek.

Jeden z towarzyszów, entuzjastów bibuły, który w dodatku starał się zawsze o cyfrowe przedstawienie rzeczy, mówił mi rok temu:

— Nie masz wyobrażenia, jak się stosunki zmieniły! Dawniej, gdy się sprowadziło 500 egzemplarzy jakiej broszury, to się miało cały rok zapewniony. Szło to sobie powoli, kropelkami. Teraz 300—400 egzemplarzy porządnej, łatwej do czytania broszury wystarcza zaledwie na pierwszą porcję. Puścisz tę parę setek i jeszcze się nasłuchasz pretensyj, że za mało tu lub gdzieindziej dano.

Mniej więcej w ten sam sposób przedstawiano mi rzeczy w Londynie, głównym wydawniczym punkcie dla socjalistycznych broszur polskich, przeznaczonych dla zaboru rosyjskiego.

Dawne wydawnictwa, z okresu przed P. P. S-owego, które rozchodziły się powoli, już się zupełnie wyczerpały. A teraz, gdy trzeba dawać nowe wydania starych rzeczy lub wydawać świeże, nie warto bić mniejszej ilości, jak 7—10 tysięcy, ilości niesłychane dla poprzedniego stadjum ruchu.

Z chwilą więc, gdy przygodne załatwianie interesów bibulastych przy rozwoju stosunków stało się utrudnionem, zaczęło się wkradać zamiesza-

nie do organizacji pośrednictwa w dostarczaniu bibuły z instytucyj centralnych do lokalnych. Nieliczni funkcjonarjusze byli przeciążeni pracą, którą dotąd uważali dla siebie jako dodatkowy, przygodnie wypełniany obowiązek.

Jeden z towarzyszów, który w tym właśnie okresie pracował, opowiadał mi ze złością:

— Bibuła zapanowała nad nami, byliśmy jej niewolnikami, sługami. O niczem innem niepodobna było myśleć, jak tylko o walizkach, jazdach z bibułą, umowach o dostarczenie tego lub owego z centralnego składu. Towar panował nad wytwórcą. Brr!.. — wstrząsał się, — paskudny był to czas!

Naturalnem wyjściem z tego położenia rzeczy było wyodrębnienie sprawy pośrednictwa pomiędzy centralnemi zbiorowiskami bibuły a lokalnemi księgarniami-składami w osobną funkcję organizacyjną. Bibuła w ten sposób panuje nieograniczenie nad ludźmi, do tej funkcji przystawionymi, lecz zato inni są wolni od tej troski i mają do czynienia z bibułą tylko o tyle, o ile wchodzi ona w zakres bezpośrednich czynności organizatorskich i kolporterskich.

Przy takiem wyodrębnieniu funkcyj bibulastych i oddaniu ich w ręce rzeczywistych niewolników bibuły znikać też musi stopniowo i przygodność, wypadkowość w załatwianiu spraw, związanych z bibułą. Cała maszynerja, mająca na swe usługi specjalistów, nabiera precyzji w działaniu i regularności w ruchach. Takimi specjalistami są towarzysze, zajęci przy rozwożeniu bibuły do różnych lokalnych składów-księgarń. O kłopotach ich z powodu zajazdów opowiadałem wyżej, wykaza-

łem, jak bardzo obciążoną jest ich pamięć drobnemi szczegółami. Lecz nie jest to wszystko. Skazani są oni w dodatku na spędzanie nieledwie połowy swego czasu w dusznych wagonach kolejowych. Właściwie nazwaćby ich można komiwojażerami od bibuły.

O szerokości tego interesu w P. P. S. świadczyć może następujące obliczenie, zakomunikowane mi przez ludzi, prowadzących rachunki partji. Jako osobna rubryka wydatków partyjnych figurują w rachunkach „bilety kolejowe". Przeciętnie w rubryce tej co miesiąc rachmistrze partyjni wpisują cyfrę — 500 rubli. W niektórych miesiącach, jak mi mówiono, wydatki te dochodzą do 600 rubli (756 guldenów czyli 1500 koron). Jak mnie zapewniano, połowa tej sumy jest wydawaną przez komiwojażerów od bibuły, reszta przypada na różne organizacyjne wyjazdy. Jeżeli zaś przyjmiemy pod uwagę, że taryfa pasażerska na kolejach rosyjskich jest najniższą w Europie i że cały obszar Polski razem z częścią Litwy, objętej przez działanie P. P. S., nie jest znowu tak duży, łatwo zrozumiemy, jak częste są podróże komiwojażerów, zmuszonych wydawać rocznie 3000 rubli na bilety kolejowe.

Opowiadano mi, że z powodu tych częstych podróży jeden z żartownisiów podawał projekt, by partja zwróciła się do zarządów kolejowych z wymaganiem zniżki na biletach dla swych funkcjonarjuszów, dających tak znaczny zarobek kolejom. Inny dowcipniś żartował, mówiąc:

— Na naszych komiwojażerach nie sprawdza się znane twierdzenie znakomitego satyryka rosyjskiego, Szczedryna, że każdy rosyjski poddany składa

się z trzech części: ciała, duszy i... paszportu, albowiem ci najczęściej paszportu nie posiadają. Natomiast — twierdził — możnaby sformułować względem nich tę myśl inaczej: składają się oni z ciała, duszy i... przewodnika kolejowego, z którym się nigdy nie rozstają równie dobrze, jak prawowierny poddany rosyjski z paszportem.

W istocie książka z rozkładem kolejowym jest najczęstszą lekturą komiwojażerów. Wszystkie kwestje, tyczące się ruchu pasażerskiego na kolejach, są przez nich znakomicie wystudjowane. Ile i gdzie jaki pociąg stoi na stacji, gdzie się pociągi krzyżują, w jakich pociągach znajdują się wagony komunikacji bezpośredniej z dalszemi kolejami, dopłaty kolejowe, które koleje mają najwygodniejsze wagony — wszystko to są sprawy, co do których najlepszych informacyj zawsze udzielić może towarzysz-komiwojażer.

Specjalną uwagę zwracają komiwojażerowie na szpiclów na dworcach i zielonych. Wobec tego, że pociągi, idące od granic państwa, są najbardziej strzeżone, wybierać nieraz trzeba, szczególnie, gdy się jedzie z rzeczami, takie pociągi, które na stacji, będącej celem podróży, nie spotykają pociągów nadgranicznych. Uważać też należy na dworcach kolejowych na podejrzane figury, kryjące się po kątach. Słowem, głowa biednych komiwojażerów jest wiecznie przepełniona szczegółami i drobiazgami zajazdowemi, składowemi, kolejowemi, a rozmowy kręcą się zwykle około przygód kolejowych i szpiclów na dworcach.

Wobec tak częstych podróży kolejowych komiwojażerowie spotkać się też musieli z plagą kolei rosyjskich — złodziejami, operującymi w pocią-

gach. Oto fakt, o którym słyszałem od jednego z towarzyszów.

Razu pewnego komiwojażer z bibułą, zapakowaną w niewielką ręczną walizkę, wyruszył z Warszawy do jednego z miast prowincjonalnych. Wobec zmiany zajazdu miał go spotkać na dworcu jeden z towarzyszów miejscowych, który musiał go zaprowadzić do nowego, przeznaczonego na zajazd mieszkania. Gdy pociąg wchodził na stację, nasz komiwojażer stał przy oknie przedniego wagonu i lustrował publiczność na peronie dworca, chcąc zawczasu wiedzieć, w którem miejscu stoi spotykający go towarzysz, żeby niepotrzebnie nie kręcić się potem na peronie.

W istocie spostrzegł z okna oczekującego go towarzysza, lecz niedaleko od niego dojrzał też znanego mu z poprzednich podróży szpicla. Postanowił więc skontrolować zachowanie się szpicla i przekonać się, czy nie stoi on przypadkiem dla towarzysza na peronie. Gdy zatem pociąg stanął, wyskoczył zeń bez bibuły, chcąc zobaczyć, co będą robili obserwowani przezeń ludzie. Po chwili przekonał się, że obawy jego były mylnemi. Oczekujący go towarzysz szedł w kierunku lokomotywy, gdyż spostrzegł komiwojażera w oknie pierwszego wagonu, a szpicel pobiegł lustrować pociąg w jego ogonie. Uspokojony komiwojażer wraca do wagonu po swój bagaż i, proszę sobie wyobrazić jego przestrach i zdziwienie, gdy go na miejscu nie znajduje.

Rozpytuje sąsiadów i dowiaduje się, że przed chwilą wszedł do wagonu jakiś człowiek i zabrał pakunek, jak własny. Sąsiedzi z ciekawości rozpytują, czy to nie złodziej, chcą iść do żandarma

kolejowego, opisują cechy zewnętrzne człowieka, który zabrał rzeczy. Nasz komiwojażer był w ogromnym kłopocie. Bibuły szkoda, lecz zarazem niepodobna odszukiwać złodzieja. Żandarm otworzy walizkę, znajdzie tam bibułę — i oprócz bibuły zginie i człowiek. Naprędce więc uspokoił sąsiadów twierdzeniem, że z opisu poznaje znajomego, z którym jechał i który prawdopodobnie czeka go na peronie. Publiczność uspokoiła się, a nasz niefortunny komiwojażer zdetonowany wyszedł z wagonu, by opowiedzieć swą przygodę towarzyszowi.

Zdarzają się też inne przygody kolejowe. Wybieram z pomiędzy słyszanych dwie dosyć charakterystyczne.

Jeden z towarzyszów wiózł w ciężkiej walizce bibułę. Był wściekle głodny, więc na większej stacji wyskoczył, by przegryźć cokolwiek w restauracji stacyjnej. Nieszczęście chciało, że pociąg z powodu opóźnienia stał na stacjach krócej, niż mu wypadało według rozkładu jazdy. Nasz towarzysz zagapił się i opuścił porę wsiadania — pociąg ruszył bez niego, uwożąc walizkę z bibułą. Niedługo myśląc, komiwojażer zadepeszował, by rzeczy jego zatrzymano do następnego pociągu. Opisał zewnętrzne cechy walizki, miejsce, przez siebie zajmowane w wagonie, liczył więc na to, że mu wydadzą walizkę bez kłopotu i protestu. Przed odjazdem otrzymał depeszę, że rzeczy jego zatrzymano o kilka stacyj dalej i są u żandarma.

Uspokojony przybywa wreszcie na oznaczoną w depeszy stację i zwraca się do żandarma kolejowego, żądając zwrotu swej walizki. Żandarm pokazuje mu walizkę, którą nasz towarzysz uznał za swoją, lecz oznajmia, że w takich wypadkach

prawo mu nakazuje zażądać od pasażera opisu rzeczy, znajdujących się w walizce, którą może wydać dopiero wówczas, gdy się przekona, że w istocie w walizce znajdują się wskazane przez pasażera rzeczy.

Nasz towarzysz zaczął się śmiać z tych wywodów żandarma, dowodząc, że przecie nikt inny, jak właściciel, nie depeszował o zatrzymanie walizki, i na dowód pokazał kwit urzędu telegraficznego. Żandarm jednak nie dawał się przekonać i nastawał, by towarzysz wymienił rzeczy, znajdujące się w walizce, i otworzył ją przy nim. Zakłopotanie biednego komiwojażera wzrastało. Zaczął niby szukać w kieszeniach kluczyka od walizki, wymieniając nieistniejące wcale rzeczy. Tymczasem zbliżał się czas odjazdu i wreszcie żandarmowi dokuczyło to oczekiwanie; zapisał więc tylko nazwisko i adres naszego towarzysza — naturalnie, zmyślone — i oddał mu walizkę, nie otwierając jej wcale.

O innej przygodzie, z nieco bardziej tragicznym skutkiem, opowiadano mi niedawno. Towarzysz wiózł odezwy z aresztowanej przed paru miesiącami drukarenki w Brześciu. Siadł do wagonu wieczorem, a że przedtem parę nocy nie dosypiał w podróżach i znalazł odpowiednie miejsce, położył się na ławce i wkrótce zasnął, zostawiwszy zawiniątko z odezwami na siatce dla bagażu ręcznego. Wypadkowo jakiś kupiec, który miał jechać tym samym pociągiem i wniósł swój pakunek do wagonu, dla jakichś powodów został na stacji, zapominając o swych rzeczach. Depeszował więc, by jego bagaż ręczny zatrzymano.

Wskutek depeszy konduktorowie szukali zapomnianego pakunku w wagonach. Czy zawiniątko z odezwami było zewnętrznie podobne do bagażu owego kupca, czy też, nie doszukawszy się właściciela zawiniątka, bo nasz towarzysz spał w najlepsze, konduktor przypuszczał, że pakunek bez właściciela jest poszukiwanym przez kupca bagażem — dosyć, że zawiniątko z odezwami zabrano i odesłano na stację, oznaczoną przez kupca. Nasz towarzysz, gdy się obudził, odezw już nie znalazł i gorzko sobie wyrzucał, że nie wziął zawiniątka pod głowę. Sądził, że rzeczy mu skradziono.

Wkrótce jednak okazało się, że z powodu tych odezw wynikła cała awantura. Kupiec zgłosił się na stację po zapomniane rzeczy, lecz tam aresztowano go natychmiast — zawiniątko zwróciło uwagę żandarma, który zrewidował zawartość bagażu i znalazł tam nielegalne druki. Biedny kupiec, jak mi opowiadano, siedział parę tygodni w więzieniu, nim się cała sprawa wyjaśniła i znaleziono właściwe rzeczy, zapomniane przez niego w wagonie. Rzeczywistego właściciela zawiniątka z odezwami — towarzysza, który zasnął w wagonie — nie odszukano.

Do kłopotów komiwojażerskich należy też pomiędzy innemi staranie się o odpowiednie opakowanie przewożonej bibuły. W jednym wypadku, gdy się zajeżdża do domu inteligencko-burżuazyjnego, trzeba mieć porządne, dobrze wyglądające walizki, sakwojaże i tym podobne rzeczy. W innym, gdy się ma zajść do proletarjackiego mieszkanka, takie właśnie porządne podróżne nesesery zwracają niepotrzebnie uwagę. Oprócz

tego przewozi się bibułę w rozmaitych ilościach. Jak niepodobna wieźć dużo bibuły w małym koszyku, tak zarówno unikać należy przewożenia niewielkiej ilości druków w dużych pudłach i walizach.

Zdawałoby się, nic łatwiejszego! Dosyć jest mieć asortyment waliz, koszów, pasów rzemiennych, by odpowiednio do potrzeby wybrać zeń należyte opakowanie. W istocie zaś nie tak łatwo to urządzić. Zajeżdża, naprzykład, komiwojażer do przygotowanego dla niego mieszkania. Oprócz tego interesu ma on do załatwienia jeszcze inne — musi się z tym lub owym towarzyszem zobaczyć w innym punkcie, musi zjeść obiad, powinien się zastosować do warunków zajazdu, które to warunki często nie pozwalają na odebranie natychmiastowe przywiezionej walizki albo na zjawianie się powtórne w mieszkaniu zajazdowem. Nieraz z zajazdu bibuła nie może być wyekspedjowaną do składu odrazu, a komiwojażer musi śpieszyć do pociągu, by zdążyć na następną randkę. I oto w rezultacie asortyment już jest zepsuty, ta lub owa rzecz „posiana“, jak się mówi w technicznym języku komiwojażerów.

Takie wypadki zdarzają się na każdym kroku, a że wyjazdy z bibułą są częste, więc biedni komiwojażerowie są w wiecznej pogoni za walizkami, koszykami, paskami. Pieniędzy często brak na drogę lub jedzenie, więc kłopot jeszcze bardziej się zwiększa i komiwojażerowie często pożyczają u tego lub owego znajomego odpowiednią walizkę lub koszyk i wówczas oprócz innych interesów, leżących na ich głowie, powstaje no-

wy: odebranie i odwiezienie pożyczonej na czas pewien walizki.

W dodatku, jeśli sobie czytelnik przypomni to, com mówił o trzecim pasie pogranicznym, zrozumie, że takie lub inne opakowanie bibuły ma swe znaczenie dla nadania pozorów odpowiednich wobec zielonych, stojących na dworcach i stacjach kolejowych. Pod tym względem są brane pod uwagę wszystkie właściwości danej walizki lub torebki podróżnej i specjalnie jest cenioną cecha, nie często się spotykająca, — mianowicie pakowność, to jest możność umieszczania wielkiej ilości bibuły przy zewnętrznych pozorach nieдużej objętości. Jak wielką wagę przywiązują komiwojażerowie do swych walizek i torebek, wnioskować można z pewnego uosabiania tych martwych rzeczy. W języku ich walizki i torebki noszą nazwy „blondynek“, „brunetek‘,‘ „rudych facetek“ — stosownie do koloru skóry, która stanowi zewnętrzną stronę opakowania bibuły.

Wobec tego, że te szanowne „panie“ zwykle ulegają zaprzepaszczeniu, czyli „posianiu“ w zajazdach i składach, toczy się o nie wieczna wojna pomiędzy komiwojażerami i towarzyszami lub towarzyszkami, zarządzającymi powyższemi instytucjami. I oto do instrukcyj, udzielanych sobie wzajemnie przez komiwojażerów, wciskają się nowe szczegóły.

— A nie zapomnij pan — dodaje jeden z nich przed odjazdem drugiego — wyciągnąć z N. N. brunetkę, com ją posiał ostatnim razem. Wspaniała facetka: lekka, jak anioł, a pakowna, jak studnia! Taka mi jej szkoda, jakby mi rękę kto

uciął. Te szelmy z zajazdu gotowi ją nam zaprzepaścić na amen!

Albo też do przeładowanej już szczegółami podróży głowy wyjeżdżającego komiwojażera dodaje się jeszcze jeden szczegół:

— Słuchaj! jak będziesz w Zagłębiu, wstąp tam do X. U nich oddawna już leży posiana brunetka. Podła to sztuka i nic nie warta, ale pożyczyłem ją u Z. i ten ananas gwałtownie domaga się zwrotu. Trzeba być uczciwym w interesach, bo jak przyjdzie bieda, nie znajdziemy nigdzie pomocy. Zawieź ją chociażby do kogokolwiek w Warszawie, będzie potem łatwiej zrobić z nią porządek.

Opisany wyżej system pośrednictwa jest, zdaniem mojem, jedynym systemem, mogącym zabezpieczyć prawidłowe i stałe rozpowszechnianie druków nielegalnych w warunkach politycznych państwa rosyjskiego. Gdzie tych ogniw, łączących wytwórców z konsumentami, niema, tam nie może być i mowy o stałym dopływie bibuły — krwi ożywczej dla organizacji rewolucyjnej pod caratem.

KOLPORTERKA.

Najbardziej pierwotnym sposobem rozpowszechniania bibuły jest rozrzucanie nielegalnych wydawnictw. Sposób ten ma niezaprzeczenie swoje dobre strony. Przedewszystkiem jest nadzwyczaj konspiracyjnym.

Znajdujący bibułę gdziekolwiek: na ulicy, podwórku, warsztacie lub fabryce — nie zna i nie widzi tego, który bibułę rozrzucał, i w razie złapania u niego książki niecenzuralnej ma łatwy i naturalny sposób usprawiedliwienia się przed władzą. „Znalazłem tam i tam" — brzmi lakoniczna, nikogo nie kompromitująca odpowiedź na żandarmskie rozpytywanie o bibułę.

Następnie rozrzucenie daje się względnie łatwo uskutecznić i nie wymaga wcale istnienia szerszej organizacji kolporterskiej, ani też obszernych stosunków wśród ludzi, dla których bibuła jest przeznaczona. Przecie znacznie łatwiejszem i bezpieczniejszem jest rozrzucenie, dajmy nato, stu egzemplarzy jakiegoś wydawnictwa, niż posiadanie stu znajomych ludzi, którzy wezmą te egzemplarze z rąk do rąk. Idź i syp na prawo i lewo — recepta to nietrudna, a wykonanie jej uwarunkowane jest jedynie krótkotrwałem wyładowaniem pewnej energji u niewielkiej ilości ludzi.

Wobec tego rozrzucanie nielegalnych wydawnictw partyjnych spotykamy wszędzie przy

pierwszych krokach, stawianych przez organizację rewolucyjną. Jak mnie zapewniano, więcej, niż połowa nakładu *Robotnika* w początkach jego istnienia, w roku 1894 i 1895, była rozsypywana wśród ludności fabrycznej i rzemieślniczej w głównych ogniskach przemysłowych Polski. To samo było z *Górnikiem,* wydawanym przez P. P. S. dla Zagłębia Dąbrowskiego. Według relacyj, otrzymanych przeze mnie co do Rosji i Ukrainy, i tam dotąd przeważa system rozrzucania wydawnictw — odezw i broszur rewolucyjnych — wśród ludu pracującego.

Jeden z towarzyszów, który pracował właśnie w tym pierwszym okresie ruchu w Zagłębiu Dąbrowskiem, opowiadał o swych wrażeniach w sposób następujący:

— Źle staliśmy wówczas pod względem organizacyjnym w Zagłębiu. Ludzi w organizacji było bardzo mało, socjalizm też był ideją o tyle nową, że wśród robotników, stojących na dosyć niskim stopniu kulturalnym, trudno było go rozpowszechniać ustnie. Oswajaliśmy masy z „dobrą nowiną" socjalizmu przez rozrzucanie wydawnictw naszych w wielkiej ilości.

Prawie co wieczór garstka nasza wychodziła na robotę. W kieszeniach każdy z nas miał kupkę najpopularniejszych broszur — głównie rozpowszechnialiśmy *Sprawę górniczą,* specjalnie dla górników przeznaczoną. Każdy z nas znał wertepy Zagłębia, jak swoją kieszeń. Było to koniecznie potrzebnem, bo wypadało nam trafiać do określonych zawczasu punktów w nocy, omijając zarówno bardziej zaludnione miejscowości, jak doły

i odkrywki kopalniane, w których łatwo kark skręcić.

Chodziliśmy dla bezpieczeństwa parami i zgóry określaliśmy dla każdej pary miejscowość, którą obejść należało. Dopiero nad ranem, po nużącej wędrówce po błocie dąbrowskiem, przychodziło się do domu zmęczonym i wyczerpanym zupełnie.

Wkrótce zaczęły krążyć legendy o tajemniczych ludziach, rozrzucających książeczki. Dochodziły do nas wieści o rozmowach, toczonych wśród robotników pod wpływem bibuły. Nasze broszury spodobały się ludziom. W pamięci zostało u mnie parę scen, świadczących o takim sympatyzującym stosunku ludności robotniczej do bibuły.

Razu pewnego, już nad ranem, gdym kończył swoją robotę i zostało mi parę broszur w kieszeni, postanowiłem podrzucić je w najbliższej kolonji robotniczej — grupie domków górniczych, otaczających najbliższą kopalnię. Szedłem szybko, zamyśliłem się i nie spostrzegłem, że w okienku, do którego zmierzałem, świeci się mdły ogieniek, że ludzie już tam wstali. Gdym to dojrzał, stałem już przed oknem, tak, że nietylko ja widziałem wnętrze ubogiego pokoiku, lecz i sam byłem widocznym dla mieszkańców lokalu.

W pokoju górnik śpiesznie ubierał się, a żona jego, jeszcze w koszuli, przygotowywała mu śniadanie. Oboje spostrzegli mnie przed oknem i wyraz twarzy ich mówił o zdumieniu. Bałem się, by nie zrobili alarmu, mógłbym bowiem być złapanym, jako złodziej. Postanowiłem zaryzykować.

Wyciągnąłem z kieszeni książeczkę, pokazałem ją przez okno górnikowi i położyłem na murze

koło okna. Na twarzy górnika zakwitł uśmiech — zrozumiał, o co mi chodzi, — oboje zakiwali głowami w znak zgody i podziękowania. Uspokojony ruszyłem do domu.

Innym razem, podchodząc w ciemności do domków robotniczych, nie spostrzegłem, że obok domu stał człowiek. Gdym wyciągnął z kieszeni książeczkę i zamierzał ją położyć koło okna, wpadł na mnie pies, ujadając wściekle. Chciałem się wycofać z interesu, gdy usłyszałem głos.

— Pójdź tu, psiakrew! — odwoływał ktoś psa, ktoś stojący ode mnie bardzo blisko.

Zrozumiałem, iż ten, kto odwoływał psa, musiał widzieć moje ruchy, musiał dostrzec i broszurę, wyjmowaną z kieszeni. Położyłem więc spokojnie bibułę tam, gdziem zamierzał, i oddaliłem się. Pies raz jeszcze spróbował spełnić swój obowiązek i groźnie zaszczekał. Po chwili jednak usłyszałem uderzenie i przeraźliwe skomlenie uderzonego psa, którego raz jeszcze powstrzymał ów nieznajomy.

Naturalnie, taki prosty sposób rozrzucania bibuły nie jest przydatnym dla miast, porządnie obsadzonych policją i szpiegami, — jak Warszawa albo Łódź. Tam proces rozrzucania wymaga większego nakładu pracy i sprytu. Opowiadano mi pomiędzy innemi, że przez dłuższy czas w Łodzi udawało się rozpowszechniać sporą ilość *Robotnika* przez łobuzów ulicznych.

Dawało się takiemu chłopczykowi paczkę *Robotnika* i złotówkę lub czterdziestkę z nakazem, by rozdał „te ogłoszenia“ robotnikom przy wyjściu ich z fabryki. Robiło się to przed samym końcem roboty, tak, że chłopak mógł widzieć, iż

oddawca „ogłoszeń“ kontroluje go przy spełnianiu wziętego na się obowiązku.

W istocie, chłopak stawał u wyjścia z fabryki i, gdy robotnicy tłumnie zaczynali wychodzić z furtki lub bramy, raz po raz wysuwał egzemplarz „ogłoszenia“, podając go przechodniowi. Policja, gdyby nawet i była na ulicy, nie spostrzegłaby nic zdrożnego, bo taki malec z „ogłoszeniami“ ginął w ogromnym, liczącym kilka setek ludzi, tłumie.

— Zabawnem było — mówił mi towarzysz z Łodzi — obserwować, co robią ludzie z otrzymanym *Robotnikiem*. Niektórzy rzucali okiem na tytuł i pośpiesznie chowali papier do kieszeni. Inni z miną wystraszoną oddawali pismo chłopakowi, lecz byli i tacy, którzy tutaj, na ulicy, stawali i przeglądali otrzymane „ogłoszenie“. Tworzyły się nawet grupki ludzi, otaczających zwartą masą jednego, który widocznie na głos czytał ten lub inny ustęp z *Robotnika*. Najzabawniejszem zaś było patrzeć na „salcesona“ — tak w żargonie złodziejskim nazywają policjantów,—który z najobojętniejszą w świecie miną patrzał filozoficznie na otoczenie, nie przeczuwając, że tuż obok niego dzieją się tak zdrożne i buntownicze rzeczy.

Po pewnym czasie doszło jednak do wiedzy władzy, że ktoś rozdaje pod fabrykami „buntownicze“ pisma. Któregoś z chłopaków przyłapano na gorącym uczynku i trzeba było zaprzestać rozdawnictwa „ogłoszeń“.

Pomimo jednak prostoty i łatwości samego procesu rozrzucania bibuły, sposób ten ma i odwrotną stronę, która stopniowo ogranicza zastosowalność jego przy rozpowszechnianiu druków nielegal-

nych i zmusza szukać innych, bardziej skutecznych, bardziej płodnych w rezultaty.

Przedewszystkiem więc taką odwrotną stroną medalu przy rozrzucaniu bibuły jest zupełny brak danych o osobie, której się podrzuca ten lub ów druk zakazany.

Wobec tego, że przy rządach carskich ogromną część ludności stanowią analfabeci, — bibuła często trafiać musi do ludzi, którzy z niej żadnego pożytku mieć nie mogą. Oprócz tego bibuła łatwo trafić może do rąk niepożądanych, do jej wrogów, czy to z urzędu — szpiegów i urzędników, czy to z ciemnoty — ludzi, zostających pod wpływem, naprzykład, księży, w wypadku, gdy bibuła jest socjalistyczną. Dodajmy jeszcze tchórzostwo, które zmusza wielu do niszczenia każdego nielegalnego druku, dodajmy ludzi zupełnie obojętnych na wszelkie wpływy, którzy ani zajrzą do podrzuconego egzemplarza bibuły, a zrozumiemy, jak mało produkcyjnym jest sposób rozrzucania. Można z pewnością powiedzieć, że dwie trzecie bibuły rozrzuconej ginie bez pożytku, pozostaje bez wpływu.

Stąd wynika druga ujemna cecha systemu rozrzucania — jego kosztowność. Wobec trudności przy sprowadzaniu bibuły i przy jej produkcji w kraju każdy egzemplarz druku zakazanego kosztuje sporo. Jak mi opowiadano, obliczenia P. P. S. wskazują, że koszta transportu podnoszą mniej więcej cenę książki lub broszury w dwójnasób. Można więc sobie wyobrazić, jakie mnóstwo pieniędzy wrzuca się najliteralniej w świecie w błoto, gdy się trzyma systemu rozsypywania i podrzucania bibuły. Przecie w tym wypadku

nie może być i mowy, by wrócił choć jeden cent z pieniędzy, wydanych na wydrukowanie i przetransportowanie książki czy broszury.

Najgorszem jednak w systemie rozrzucania jest jego minimalna skuteczność pod względem organizacyjnym, jego niezdolność do przysparzania członków organizacji, do związywania ludzi z grupą rewolucyjną, rozsypującą bibułę. Bibuła w tym wypadku spada ludziom z nieba, otrzymują ją oni bez zaciągania przytem jakichkolwiek zobowiązań względem tych, od kogo ona pochodzi. Więcej nawet — przy stałem stosowaniu tego systemu ludzie się przyzwyczajają do uważania siebie za przedmiot jakichś operacyj, dokonywanych nad nimi przez kogoś im obcego, nieznanego, niczem z nimi nie związanego.

Wpływ bibuły w tym wypadku, narazie może i silny, słabnie, a w każdym razie jest zupełnie nieuchwytnym — nie daje się ani zmierzyć, ani regulować. Organizacja, uprawiająca stale i jedynie system rozrzucania swych wydawnictw, staje się podobną do jeźdźca, który w ręku nie ma cugli do kierowania rumakiem. Szczególnie zgubnym jest taki skutek systemu rozrzucania dla organizacji socjalistycznej, która siłę swą czerpać musi nietylko z świadomości ludu pracującego, lecz i z organizowania jego w swych szeregach, z udziału jego w pracach i działalności organizacyjnej. System rozrzucania bibuły stosowanym być może jedynie, jako sposób przejściowy, stopień, po którym wspiąć się można wyżej, by wyjść na normalniejszą drogę.

Zresztą, każda organizacja, która się rozwija, drogą naturalnej ewolucji dojść musi do ograni-

czenia, jeśli nie do zupełnego porzucenia tego sposobu. Bo gdy szeregi organizacyjne rosną w liczbę, rośnie też i ilość bibuły, spotrzebowanej w łonie organizacji. A że zdolność wytwórcza organizacji dla bibuły nie jest czemś nieograniczonem, że z konieczności wzrastać ona może tylko wolno, nie gwałtownie, ilość bibuły, pozostającej dla rozrzucenia, stopniowo musi maleć, redukować się do coraz mniejszej liczby.

Znamienną jest ewolucja, dokonana pod tym względem przez P. P. S. przy rozpowszechnianiu swego organu — *Robotnika.* Zaczęto od tego, że połowę nakładu, który wynosił wówczas 1200 egzemplarzy, rozrzucano. Jak mi opowiadano, stosunki organizacyjne partji podlegały w owe czasy takiej fluktuacji, że przy niektórych numerach początkowych zaledwie czwarta część nakładu szła z rąk do rąk w łonie samej organizacji. Stopniowo jednak sytuacja się polepszała z każdym miesiącem. Organizacja wzmagała się, rosły też żądania bibuły.

Wobec tego rozpoczęto walkę z systemem rozrzucania bibuły. W tych stosunkach, gdzie uprawiano ten sport na większą skalę, obcinano żądania, dając mniejszą ilość *Robotnika* dla rozpowszechnienia. Pomimo to już w 1896 roku — w dwa lata po rozpoczęciu wydawnictwa — trzeba było powiększyć nakład do 1300, 1400, wreszcie do 1500 egzemplarzy. Jak mi opowiadano, walka z rozrzucaniem bibuły, a szczególnie *Robotnika,* trwała dosyć długo. Ludziska ogromnie się do tego sposobu rozpowszechniania wciągnęli i przyzwyczaili. Przytaczano rozmaite argumenty w celu utrzymania go i nadal, a niepoślednią rolę

odgrywał jakoby argument o bezpieczeństwie rozpowszechniających w ten sposób bibułę.

Zczasem jednak zwycięstwo zostało odniesionem — *Robotnika* przestano rozrzucać, a zarazem liczba jego czytelników stale wzrastała. W roku 1899 biliśmy już 1900 egzemplarzy. Od tego czasu nakład nie wzrastał. Na przeszkodzie stoją warunki techniczne. Przy wzrastaniu liczby odbijanych egzemplarzy wzrastać też musi, rzecz prosta, i czas, zużyty na pracę przy maszynce, i *Robotnik*, który już teraz wymaga 15—16 dni dosyć ciężkiej roboty, musiałby ukazywać się rzadziej.

W tych warunkach, jak mi opisywano, zarząd partyjny zmuszony jest obcinać wszelkie żądania *Robotnika*, odmawiać stale natarczywym wymaganiom poszczególnych organizacyj co do zwiększenia ilości otrzymywanych egzemplarzy pisma. Czytelnicy, którzy z konieczności zastosować się musieli do tego postanowienia, znaleźli radę na nieszczęście. Nastąpił proces, że go tak nazwę, zrzekania się czytelników *Robotnika*. Polega on na tem, że grono ludzi, dobrze znających się wzajemnie, umawia się o kolejkę, jaką obiegnie nowy numer *Robotnika* całe zrzeszone koło. Grono ludzi, w ten sposób zrzeszonych, składa się nieraz z 10 stałych czytelników bibuły. Najbardziej rozpowszechnionym jest ten nowy sposób w najstarszych, dobrze ugruntowanych organizacjach, które, rzecz prosta, są najbardziej przez zarząd partyjny krzywdzone przy podziale nakładu *Robotnika* na rzecz nowych, zawiązujących się organizacyj.

Nie trzeba jednak sądzić, że podrzucanie bibuły zostało zaniechanem w zupełności. Praktykuje się ono dotąd, nieraz na szeroką skalę, lecz w każdym wypadku posiada ono cechy pewnej celowości i spowodowane jest chęcią wywołania zgóry określonego efektu. Przedewszystkiem więc podrzuca się bibułę ludziom, których się chce wypróbować.

Zrozumiałą jest rzeczą, że przy okrutnych prześladowaniach, jakie spadają na organizacje rewolucyjne pod caratem, trzeba być bardzo ostrożnym przy przyjmowaniu nowych członków do organizacji. Trzeba zbadać nietylko przekonania i poglądy kandydata, lecz i jego charakter osobisty. Takim probierzem zarówno poglądów, jak charakteru bywa nieraz egzemplarz bibuły, podrzucony badanemu kandydatowi. Co kandydat z bibułą zrobi — zniszczy ją, czy puści dalej, odda ją w ręce władzy rządowej lub fabrycznej, co będzie mówił o podrzuconym egzemplarzu druku — wszystko to bierze się w rachubę, zważa się i ocenia.

Opowiadano mi o jednej takiej próbie, dokonanej w mrocznych korytarzach którejś kopalni w Zagłębiu Dąbrowskiem.

Ludzie, zorganizowani w tej kopalni, mieli chrapkę na jednego z górników, który podobał się z powodu dosyć wysokiego poczucia godności osobistej, jakiem ów kolega pracy wyróżniał się z pomiędzy otoczenia. Lecz górnik był mrukiem i niechętnie prowadził rozmowy, trudno więc było go wysondować. Postanowiono dla próby podrzucić mu egzemplarz *Górnika.* Położono bibułę w załomie filaru węglanego, obok miejsca, gdzie ów górnik

zwykł był składać różne rzeczy, gdy mu zawadzały przy robocie.

Sprawdzono, że bibuła znikła, więc górnik, badany przez towarzyszów, musiał ją zabrać, lecz wobec jego milczenia nie można było określić stosunku jego do bibuły i idei, przez nią reprezentowanej. Postanowiono prowadzić próbę dalej. Gdy wyszedł nowy numer *Górnika,* podrzucono go znowu. Numer ten znikł, jak poprzedni, i kilka dni minęło bez żadnego widocznego rezultatu. Towarzysze organizacyjni byli zniechęceni i zamierzali zaniechać dalszych badań w tym kierunku, lecz na usilne prośby jednego z nich, który najbliżej znał badanego kolegę, zaryzykowano raz jeszcze.

Po trzecim numerze milczący górnik przemówił. Nazajutrz po otrzymaniu bibuły zwrócił się on do kolegi, który go protegował w organizacji, i prosił go o radę. Opowiedział mu o trzykrotnem podrzuceniu i wyznał, że mu gazetka spodobała się ogromnie. Nasz towarzysz udał, że nie rozumie, o co chodzi.

— Jaka gazetka? — pytał, — żadnej nigdy nie widziałem.

Górnik pod wielkim sekretem dał mu do przeczytania wszystkie trzy numery. Koledzy zeszli się znowu i długo gawędzili o różnych sprawach, poruszanych przez „socjalne“ pismo.

Pomiędzy innemi badany górnik chciał sobie rozstrzygnąć pytanie, skąd pochodzi podrzucone mu pismo.

— Nie skarbnik[1]) przecie — rozumował, — on się tem nie zajmuje. Musi to robić ktoś obchodzący kopalnie w tym celu. I wiesz — dodał — co mnie męczy? Drukowanie takich rzeczy musi kosztować sporo pieniędzy. W gazetce na końcu są nawet pokwitowania, więc ktoś wydawcom za gazetkę płaci. A mnie wstyd, żem już trzy numery otrzymał i ani grosza zato nie zapłacił. Zapewne ten, kto gazetę roznosi, łaje mnie. „Łajdak, — mówi, — gazetę czytasz, chwalisz ją, a złamanego szeląga od ciebie nie widzę“. Łamałem już sobie głowę nad tem, jak to urządzić, by pieniądze do gazety doszły. Odłożyłem już na ten cel pół rubla z ostatniej wypłaty. Ale jak to zrobić?

— Jak sądzisz? — pytał, — czy dobrze będzie tak, jak teraz sobie wykombinowałem. Ten, kto chodzi i gazetkę rozrzuca, oczekuje pewnikiem, że pieniądze za gazetkę będą położone w tem samem miejscu, co i pismo. Musi je znaleźć. Co?

Przyjaciel zgodził się, że to projekt najpewniejszy. Tak też nasz górnik postąpił. Gdy znalazł po raz czwarty pismo, położył na to miejsce 50 kopiejek i odszedł. Naturalnie, towarzysz, który już o tem wiedział, zabrał pieniądze i ku wielkiemu zadowoleniu ofiarodawcy w następnym numerze

---

[1]) Według legend górniczych istnieje duch opiekuńczy, zwany „skarbnikiem“, który od czasu do czasu ukazuje się w kopalniach, szczególnie, gdy ma się zdarzyć wypadek z ofiarami ludzkiemi. Przeważnie ukazuje się on w ubraniu sztygarów pruskich, jakie noszono niegdyś przy początkach górnictwa w Zagłębiu.

w pokwitowaniach było wydrukowane: Z filaru w chodniku takim to za gazetę 50 kopiejek.

Bibułę podrzucają również ludziom, których podejrzywają o ściślejsze stosunki z policją lub władzą fabryczną, a to w celu skontrolowania, co taki pan z podrzuconym egzemplarzem zrobi. Fakt oddania bibuły w ręce tej lub owej władzy świadczy o złej woli człowieka i nakazuje być ostrożnym z nim we wszystkich sprawach.

Poza tem podrzucanie bibuły jest praktykowane w stosunkach, mało zbadanych, nieszeroko rozgałęzionych, lub w takich, do których zwyczajną organizacyjną drogą narazie trafić niepodobna. Przez dłuższy czas sposób ten praktykowano w stosunku do ludności wiejskiej w okolicach podmiejskich. Do ostatnich czasów, gdy partja rozpoczęła prawidłową działalność wśród ludu wiejskiego, bibuła partyjna szła na wieś przeważnie takim właśnie pierwotnym sposobem.

W niedzielę lub święto, szczególnie latem, robotnicy zaopatrywali się w przeczytaną już i zbyteczną bibułę i wyruszali za miasto, by wetknąć ją gdziekolwiek na wsi. Naturalnie, urządzano podrzucanie w ten sposób, by egzemplarz bibuły jak najprędzej wpadł w oko komukolwiek. Prawie w każdem mieście, w którem P. P. S. ma stosunki wśród ludności robotniczej, znajduje się kilku takich amatorów wędrówek zamiejskich w celu podrzucenia paru egzemplarzy bibuły w tej lub owej wsi podmiejskiej.

Na większą skalę organizowała P. P. S. rozrzucanie bibuły wśród wieśniaków w czasie odpustów w Częstochowie, gdy pod Jasną Górą zbiera

się z różnych stron kraju do setki tysięcy pobożnych pątników. Opowiadano mi o wypadku, gdy w czasie jednego z odpustów rozrzucono i rozdano 10 tysięcy egzemplarzy wydawnictw socjalistycznych, specjalnie w tym celu wybranych z asortymentu partyjnego. Mówię — rozdano, bo niektórzy z cwaniaków warszawskich, posłanych do Częstochowy dla wykonania planu, posunęli swą śmiałość do tego, że krążyli w tłumie, pytając ludzi, czy umieją czytać? Dawano książki tylko tym, którzy na to pytanie odpowiadali twierdząco.

Takim amatorem puszczania na wieś bibuły był pomiędzy innymi zmarły na wygnaniu w Syberji towarzysz Błażejewicz, stolarz warszawski, który należał do pierwszych organizacyj socjalistycznych w Warszawie. Wysłany na Sybir jeszcze przed zawiązaniem pierwszej partji socjalistycznej w Polsce „Proletarjat", wrócił z wygnania po kilku latach i, gdy mu zabroniono mieszkać w Warszawie, osiadł w Wilnie.

Tutaj stary wyga rewolucyjny puścił wodze swemu temperamentowi. Zawsze chodził obładowany broszurami, które wtykał ludziom przy każdem spotkaniu. Szczególnie jednak lubiał operować na dworcu kolejowym w czasie dorocznej pielgrzymki pobożnych wieśniaków do Kalwarji pod Wilnem, gdy przed każdym pociągiem w sali trzeciej klasy znaleźć można tłumy siermiężnych chłopów. Błażejewicz wpadał do tego tłumu, wyszukiwał wśród niego inteligentniejsze twarze, rozpoczynał rozmowę, wreszcie zapytawszy, czy chłop umie czytać po polsku, dawał mu książeczkę.

— *Na, schawaj!* — mówił po białorusku, — *ad biskupa.*

Wychowaniec starej szkoły rewolucyjnej nie chciał się pozbyć różnych demagogiczno-klerykalnych zwrotów, któremi otwierał serca chłopów. Jak mi opowiadano, młodsze pokolenie rewolucyjne staczało z nim o to *ad biskupa* długie walki, lecz przekonać go nie mogło.

Wogóle wieś, przy braku porządnie zorganizowanej policji oraz przy naiwności i zaufaniu do druku swych mieszkańców, zawsze jest idealnym terenem dla operacji rozrzucania bibuły. A wobec tego, że stosunki organizacyjne — przynajmniej w organizacjach socjalistycznych — na wsi mogą być tylko skutkiem poważniejszego ich rozwoju w miastach, wszystkie młode organizacje zaczynały na wsi robotę od rozrzucania wśród wieśniaków bibuły. Pomiędzy innemi rozruchy chłopskie w gubernjach półtawskiej i charkowskiej, rozruchy, które niedawno tyle narobiły hałasu, były skutkiem rozrzucenia w tych okolicach całego mnóstwa bibuły ukraińskiej, przeważnie tłumaczenia doskonałej broszury polskiej *Ojciec Szymon.*

Ale i na wsi, rzecz prosta, przy rozwoju stosunków ewolucja kolportażu musi doprowadzić do stopniowego zarzucania pierwotnego systemu i przechodzenia do wyższego typu rozpowszechniania bibuły. Tym wyższym typem rozpowszechniania bibuły jest kolportaż właściwy — oddawanie druku nielegalnego z ręki do ręki wzamian czy to pieniędzy, czy też tych lub innych zobowiązań względem organizacji partyjnej. Ten typ jest

obecnie w P. P. S. najbardziej rozpowszechnionym, jest stałem niejako prawem, regułą, względem której inne sposoby są wyjątkami.

Bibuła perjodyczna z centrów partyjnych, a broszurowa i książkowa z detalicznych składów-księgarń dostaje się do rąk pierwszych odbiorców. Ci przeważnie biorą ją nie dla siebie, lecz dlatego, że mają zamówienia odpowiednie od innych, dalej od ognisk partyjnych stojących towarzyszów. Jest to drugi stopień, po którym bibuła schodzi w głąb ludową. Najczęściej druk zakazany na tym stopniu nie zatrzymuje się długo. Niekiedy, mianowicie, gdy zaszła co do książki lub numeru pisma odpowiednia umowa, bibuła wraca znowu na pierwszy stopień, by wyruszyć w inną stronę, przeważnie jednak po pewnym czasie idzie ona dalej w świat.

W pierwszym wypadku formuje się coś w rodzaju wypożyczalni bibuły. Egzemplarz jej raz po raz zmienia czytelnika, lecz zawsze wraca do pierwotnego jej posiadacza — zwykle członka organizacji partyjnej. Prawie w każdej organizacji lokalnej istnieje lub istnieją takie wypożyczalnie, liczące tytuły dziesiątkami. Są amatorowie takiego właśnie systemu rozpowszechniania bibuły. Ci usilnie starają się, by wypożyczalnia posiadała możliwie wszystkie wydawnictwa partyjne, by zadowolić mogła każde wymaganie klienteli.

Kiedym był redaktorem *Robotnika,* miałem podręczny komplet naszego pisma. Przypadkiem spaliłem wraz z niepotrzebnemi papierami jeden z pierwszych numerów *Robotnika.* Zmartwiony byłem tą stratą, gdyż przypuszczałem, że jest ona

do niepowetowania. Pięć lat minęło od wydania numeru i trudno było przypuszczać, by gdziekolwiek w organizacji krajowej, podlegającej tylu perturbacjom — rewizjom i aresztowaniom — mógł się zachować tak dawny numer.

Po pewnym czasie dostarczono mi ów zaginiony numer. Powiedziano mi, że pochodzi on z takiej właśnie wypożyczalni w Zawierciu, osadzie fabrycznej pomiędzy Dąbrową i Częstochową. Dodano przytem, że towarzysz, zarządzający wypożyczalnią, był ogromnie zmartwiony koniecznością zdekompletowania swego zbioru, lecz zrobił ofiarę przez wzgląd na potrzeby redakcyjne. Egzemplarz, który w owe czasy był dla mnie ciekawym okazem, swym zewnętrznym wyglądem dawał wspaniałe świadectwo swej służby.

Był to druk zaczytany i przechodzony co się zowie. Głębokie rysy, idące w różnych kierunkach, świadczyły, że go zginano rozmaicie, odpowiednio do wielkości tej lub owej kieszeni.

Każda stronica nosiła ślady dotknięcia ręki, zatłuszczonej lub pokrytej sadzą. Rogi dolne arkusików od częstego zetknięcia się z palcami czytelników były albo oddarte, albo też, gdy się zadzierała i część tekstu, podklejone nowym papierem. W wielu miejscach druk stał się prawie nieczytelnym i jakaś troskliwa ręka porobiła na marginesach odpowiednie dodatki. Kartki były podziurawione w kilku miejscach — świadectwo, że już kilkakrotnie egzemplarz *Robotnika* podlegał operacji zszywania. Słowem, widocznem było, że w ciągu ubiegłych pięciu lat egzemplarz bibuły nie próżnował i przechodził ustawicznie z rąk do rąk, od jednego czytelnika do drugiego.

Ile to — myślałem — takich zaczytanych egzemplarzy bibuły przechowuje się, jak świętość, w różnych zakątkach Polski! Ilu to ludzi starannie podkleja rozszarpane kartki, zszywa i pielęgnuje te ćwiartki zadrukowanego papieru! Przyznam się otwarcie, po obejrzeniu tego szacownego egzemplarza druku zakazanego byłem nieco wzruszony i z podwójną przyjemnością siadłem do pracy nad nowym kolegą opisanego weterana ruchu rewolucyjnego.

Druga, większa część bibuły nie wraca, jak to powiedziałem, do pierwotnych posiadaczów druków — organizatorów kolporterki. Idzie ona dalej, spuszcza się jeszcze głębiej w morze ludowe. Im dalej egzemplarz bibuły odsuwa się od ogniska partyjnego, tem bardziej niknie kontrola nad jego poruszeniami i nad wpływem jego na czytelników i otoczenie.

Bezwątpienia, część takiej bibuły zostaje zniszczona, inna część trafia przy rewizjach do rąk żandarmów i prokuratorów, wzbogacając archiwa rządowe. Lecz bodaj największa ilość wędruje z rąk do rąk, zataczając niekiedy szerokie bardzo koła, zaglądając do zakątków, o których ani się śniło tym, co dany egzemplarz w ruch puścili. Jak powiedziałem, jakakolwiek kontrola, jakiekolwiek obliczenie dla tej ostatniej części bibuły jest zupełnie niemożliwe.

Fakt istnienia czytelnictwa pozapartyjnego jest niezaprzeczalnym i nieraz próbowano, choć w przybliżeniu, obliczyć jego rozmiary. Dla wielkich miast, dużych skupień ludzkich, w których pojedyńczy ludzie przeważnie mało się znają, takie

obliczenie jest, naturalnie, niemożliwe. Lecz w mniejszych miasteczkach, gdzie życie prowincjonalne zbliża ludzi do siebie i pozwala na skuteczniejszą obserwację otoczenia, obliczenie podobne może mieć pewne cechy prawdopodobieństwa.

Opowiadano mi, że jedna z organizacyj lokalnych, pracująca w sporem miasteczku fabrycznem, postanowiła określić, ilu też robotników w fabrykach miejscowych czyta bibułę P. P. S-ową. Specjalnie zajmowała ich ta kwestja w stosunku do najulubieńszego dziecka partyjnego — *Robotnika*. Przy badaniach i poszukiwaniach postępowano nadzwyczaj ostrożnie i wszelkie wątpliwe wypadki odrzucano, nie wciągając ich do rachuby.

Przy obliczeniach kierowano się wrażeniami z rozmów koleżeńskich. Z nich każdy obserwacyjny umysł z łatwością wywnioskować może o wpływach, którym obserwowany podlega. Słowa i określenia różnych stosunków, nawet zdania całe, żywcem z *Robotnika* wyrwane, łatwo zdradzają czytelników jego. Otóż obrachowano, że w owem miasteczku, liczącem do 20 tysięcy mieszkańców, jest z pewnością nie mniej, niż 400 stałych czytelników *Robotnika*. A że organizacja otrzymywała dla rozpowszechnienia 40 egzemplarzy tego pisma, wywnioskowano, że przeciętnie liczyć trzeba w każdem miejscu po 10 czytelników na każdy egzemplarz *Robotnika*.

Nie da się zaprzeczyć, że powyższe obliczenie jest nadzwyczaj nieścisłem. Lecz, jeśli chodzi o poprawkę w niem, tobym ją zrobił w kierunku po-

większenia wyniku cyfrowego. Powiększenie takie jest koniecznem, gdy się uwzględni wędrówki bibuły nietylko w obrębie danej miejscowości, lecz i dalsze — do innych miast, miasteczek i wsi.

Faktem jest niezaprzeczonym — opowiadali mi o nim wszyscy ludzie, którzy się stykali z robotą partyjną w różnych miejscach kraju — że bibuła wszędzie wyprzedza organizację. Każdy nowy punkt, do którego tą lub inną drogą wkracza organizacja, każdy nowy stosunek w tem lub owem miejscu miał już przedtem bibułę. Skąd? jaką drogą? — najczęściej trudno nawet zbadać. Wypadki zaś, gdy ta kwestja została rozstrzygniętą, wskazywały, że bibuła potrafi wędrować o setki kilometrów, przerzucać się z miejsca na miejsce drogami, zupełnie niemożliwemi do przewidzenia i uregulowania. Opowiadano mi, że w ostatnich czasach, gdy partja rozpoczęła szerszą działalność na wsi, spotkano się z tem samem zjawiskiem — bibuła partyjna już dotarła i tam, wyprzedzając organizatora lub agitatora partyjnego.

Jeden z towarzyszów, który przez dłuższy czas pracował po różnych prowincjonalnych dziurach, opowiadał mi o zabawnych odkryciach, jakie niekiedy robił przy stykaniu się z nowemi stosunkami.

— Wiesz — mówił mi, — mam trochę patrjotyzmu lokalnego. Czuję specjalne przywiązanie do miasta, gdziem się urodził i spędził swe dziecińswo. Otóż, gdym się stał socjalistą i zaczął pracować w organizacji P. P. S-owej, irytowało mię niezmiernie, że w mojem rodzinnem mieście jest

tak cicho, jak makiem posiał. Za każdym razem, gdym otrzymywał *Robotnika*, przeglądałem go od początku do końca, chcąc w nim wynaleźć choćby najlżejszą wzmiankę o mieście, które mnie tak żywo obchodziło — zawsze byłem rozczarowany. Moje N. N. spało widocznie w najlepsze.

— Wyobraź więc sobie — mówił dalej — moją radość, gdy przez robotników warszawskich otrzymałem adres jakiegoś rzemieślnika w mojem rodzinnem mieście. Rzemieślnik ten był krewnym jednego z naszych warszawskich towarzyszów, który zapewniał, że jego kuzyn z chęciąby utrzymywał stosunki z partją i pomógłby, być może, do zawiązania tam lokalnej organizacji partyjnej.

Rozpytywałem najstaranniej, czy posyłano kiedy bibułę, lecz na to nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Wobec tego wziąłem z sobą komplet wydawnictw nowych i dawniejszych i wyruszyłem w drogę. W drodze ustawicznie się przygotowywałem do rozmowy z ludźmi, którzy nic albo prawie nic o socjalizmie, a tem bardziej o partji i jej życiu, nie wiedzą. Uplanowałem sobie, od czego zacznę, jak poruszę tę lub ową sprawę.

Wreszcie przyjeżdżam do owego rzemieślnika, wskazanego mi z Warszawy. Opowiadam mu się, jak należy, powołuję się na krewniaka i mówię, z czem przyjechałem. Przyjmuje mię chłop serdecznie, jak anioła, zesłanego mu z nieba. Na wieczór obiecuje mi zgromadzić kupę ludzi odpowiednich. Wiem, co to oznacza w początkach ruchu. Na takie zebranie ściągają mnóstwo ludzi, bezwątpienia zacnych i poczciwych, lecz będących

w większości wypadków, jako materjał organizacyjny, zupełnem zerem, ludzi, którzy chętnie słuchają, o czem to przyjezdny „pan" mówi, ale którzy co najwyżej będą jedynie czytać to, co im wsuną w rękę.

Wobec tego uprzedzam mego gospodarza, że chciałbym się zobaczyć tylko z takimi ludźmi, którzy mogliby pracować razem z nami nad rozwojem sprawy. Tłumaczę mu, że lepiej na początek mieć do czynienia z niewielką garstką ludzi, chcących robić, niż z wielu słuchaczami.

— Wiem, wiem — przerwał mi dowodzenie gospodarz — sprowadzę tu tylko tych, co już coś niecoś robią, co już są zorganizowani.

Ostatnie słowa wymówił z pewną dumą.

— Zorganizowani? — spytałem zdumiony, — to wy już macie organizację?

— A jakże — odparł urażony rzemieślnik — organizację socjalistyczną.

Coraz bardziej zdziwiony zacząłem rozpytywać o tę organizację. Okazało się, że pod wpływem bibuły, która do mego miasta Bóg wie jakiemi drogami zawędrowała, u kilku rzemieślników powstała myśl zawiązania organizacji, a raczej kółka. Członkowie tej samorzutnej organizacyjki zbierali się regularnie, obgadywali różne sprawy lokalne, czytali wspólnie legalne i nielegalne książki, jakie im trafiały do rąk. Mój nowy znajomy obiecał mi przynieść spis bibuły, będącej u nich na składzie, który zarazem był wypożyczalnią, obsługującą, jak się okazało, dosyć szerokie grono ludzi poza ścisłem kołem początkowem.

Wieczorem zebraliśmy się. Było nas niewielu — siedmiu czy ośmiu zaledwie. Rozpocząłem przygotowane już elementarne przemówienie. Słuchacze moi kiwali, coprawda, potwierdzająco głowami, lecz odczuwałem, że ich nie wzruszam. Zrozumiałem, że mówię im o rzeczach, dawno przez nich przetrawionych, i że widocznie oczekują oni ode mnie czegoś innego. Spróbowałem z innej beczki.

Zacząłem mówić o historji ruchu socjalistycznego w Polsce. Gdym doszedł do „Proletarjatu" i zaczął mówić o bohaterskiej śmierci czterech powieszonych na stokach cytadeli towarzyszów, przerwano mi opowiadaniem, że kółko, z którem miałem do czynienia, urządzało u siebie obchód rocznicy śmierci proletarjatczyków. Jak się okazało, trafił do nich numer *Robotnika* z odpowiednim artykułem i ta nieznana, niezwiązana z całością ruchu grupka wbrew swemu odosobnieniu stanęła do apelu w tym wypadku. Byłem tem nieco wzruszony, mówiłem więc prawdopodobnie cieplej i serdeczniej, tak, że wkońcu zaprzyjaźniliśmy się na dobre.

Wkońcu zaczęto mię zasypywać pytaniami, żądaniami wyjaśnień w tej lub owej kwestji. Widocznem było, że przy czytaniu bibuły partyjnej powstawały w głowach członków organizacyjki wątpliwości, spory i teraz korzystano z mojej obecności, by lepiej rzecz wyjaśnić czy nawet ją rozstrzygnąć. Bawiło mię osobliwie, gdy mię pytano o sprawy, dawno przebrzmiałe, o których w Warszawie zupełnie zapomniano, a które tutaj żyły w umysłach pod wpływem „gorącego oddechu" świeżo przeczytanego słowa drukowanego.

Wyjechałem z mego rodzinnego miasta szczerze wzruszony i uradowany, a szacunek dla potęgi „bibuły“, którą zakuć w kajdany nie potrafili nasi wrogowie, wzrósł ogromnie.

Z takim wpływem bibuły — ciągnął dalej ów towarzysz — bibuły, która wyszła z pod kontroli partji i wędruje po kraju niezbadanemi drogami, spotkałem się i na wsi, gdym rozpoczął tam robotę partyjną.

Razu pewnego udałem się na wieś w dosyć głuchym, oddalonym od naszych ognisk partyjnych zakątku, by nawiązać organizacyjny stosunek z paru chłopami, wskazywanymi mi przez wieśniaków podmiejskich, z którymi byłem już dawniej ustosunkowany. Zabrałem z sobą, jak i w poprzednim wypadku, odpowiedni asortyment bibuły. Gdym po wstępnych rozmowach w onej wsi pokazał bibułę chłopom, ci okazali się obznajomieni z większością broszurek przywiezionych. Ba, wymagano ode mnie, bym przywiózł inne broszury i nawet pisma, wymawiając tytuły z pewną chełpliwością.

Zacząłem rozpytywać, skąd pochodzi ta nieoczekiwana przeze mnie znajomość z naszą literaturą partyjną. Dopytałem się wreszcie do źródła. Okazał się niem włościanin z sąsiedniej wsi, który — jak się dowiedziałem potem — miał brata w Łodzi, pracującego w przędzalni. Naturalnie, złożyłem wizytę temu gospodarzowi.

Był to chłop mądry. Rozprawiał z pewnem namaszczeniem o różnych rzeczach i sprawach, które przeważnie są obce nietylko chłopom, lecz i przeciętnym robotnikom miejskim. Był abonen-

tem jednej z legalnych gazet ludowych, a oprócz tego posiadał bibljoteczkę. Zajrzałem do niej. Czego tam nie było? Trylogja Sienkiewicza obok tandetnych utworów Rodziewiczówny, parę tomików Orzeszkowej, Mickiewicza, masa książeczek ludowych, podręcznik fizyki i chemji, gruby rocznik *Gazety Rolniczej* obok *Biesiady Literackiej* — a wszystko to razem pomieszane z mnóstwem wydawnictw nielegalnych.

Z tych ostatnich były i broszurki socjalistyczne, parę numerów *Robotnika, Przedświtu* i *Przeglądu Wszechpolskiego* z różnych lat i miesięcy. Widocznem było, że właściciel księgozbioru brał wszystko, co mu trafiło wypadkiem do ręki, i latami całemi układał tę pstrą bibljoteczkę. Z rozmowy dowiedziałem się, że bibljoteczka była zarazem i wypożyczalnią, gdyż właściciel książek chętnie dawał do czytania swym sąsiadom tę lub ową książkę czy broszurę.

Ale w tym księgozbiorze było swego rodzaju sanctuarium, stanowiące niepodzielną własność gospodarza. Był w nim ciekawy zbiór odezw różnych organizacyj nielegalnych w Polsce. Widocznie nieco napuszony, agitacyjny styl odezwowy trafiał do gustu i przekonania mego gospodarza, gdy tak umiłował i tak skrzętnie zbierał tego rodzaju literaturę. Były w tym zbiorze odezwy rozmaitego gatunku — socjalistyczne i patrjotyczne, traktujące o strejkach i o wypadkach politycznych, drukowane i hektografowane. Niektóre z nich były widocznie przepisane z drukowanych egzemplarzy. Były to, jak mi wytłumaczył gospodarz, takie, które brat jego w Łodzi miał w ręku na czas pewien, nie na własność.

Najzabawniejszem było, że gospodarz swe amatorstwo do odezw posunął do tego stopnia, że miał w swym zbiorze jedną odezwę rosyjską i dwie żydowskie, których, naturalnie, nie był w stanie przeczytać. Rosyjską przetłumaczyłem mu, za co serdecznie mi dziękował, a co do żydowskich, obiecałem mu również dostarczyć tłumaczenie i zanotowałem daty odezw, by wiedzieć, o które mianowicie w tym wypadku chodzi.

Mówiąc o kolportażu, niepodobna pominąć finansowej jego strony. Znaną jest rzeczą, że nawet w normalnych — nie rosyjskich — stosunkach wydawcy mają duże kłopoty z wydobyciem monety przy kolportażu wydawnictwa i zawsze liczyć muszą na pewien procent straty w tym interesie. Naturalnie, że w warunkach politycznych zaboru rosyjskiego straty te muszą być znacznie poważniejsze.

Jak już wykazywałem, prześladowania rządowe wytwarzają z konieczności złożony system pośrednictwa przy rozpowszechnianiu bibuły. Pieniądze za nią idą drogą odwrotną, również z ręki do ręki, przechodząc nieraz przez kilka ogniw pośrednich, nim dojdą do ludzi, prowadzących interes wydawniczy. Przedewszystkiem więc kontrola i rachunki muszą być ogromnie utrudnione, a zagmatwanie interesu zwiększa się jeszcze bardziej z powodu niemożliwości prowadzenia ani porządnych ksiąg rachunkowych, ani listy kolporterów. Rachunki są zapisywane na kartkach, mogących być łatwo zniszczonemi, w sposób zawiły i niezrozumiały, by w wypadku wpadnięcia ich w ręce żandarmów nic z nich nie można było wywnioskować.

Gdy się w dodatku zważy, że ciągłe rewizje i aresztowania raz po raz wyrywają pośredniczące ogniwa kolportażu, że nawet obawa przed rewizją spowodowuje zniszczenie tego lub owego rachunku — można sobie wyobrazić, jak wielkim jest zamęt w tym interesie i jak trudno zdać sobie jasno sprawę z jego stanu. To też wątpię, by ktokolwiek z ludzi, najlepiej nawet znających sprawę kolportażu, mógł przedstawić choć jako tako wiarygodne cyfry pod tym względem. Przynajmniej moje rozpytywania i badania w tym kierunku nie dały mi nawet żadnej nici przewodniej, żadnego probierza w tej sprawie. Istnieją tylko ogólne wrażenia, wyniesione z dłuższej roboty przy interesie u tych czy innych działaczy partyjnych. Dadzą się one streścić w sposób następujący:

Jedną z głównych przeszkód do prawidłowej sprzedaży broszur i pism zakazanych jest przyzwyczajenie w większych miastach do otrzymywania bibuły darmo. Ruch socjalistyczny właśnie się w tych większych miastach rozpoczął, a pierwsze stadja jego, jeśli odznaczały się ogromnym zapałem i poświęceniem, to brakowało im ładu i porządku. Oprócz tego trzymano się systemu rozpowszechniania bibuły zapomocą rozrzucania, wpychania jej gwałtem. I oto, jako jeden ze skutków tego rodzaju roboty, jest niechęć do płacenia za bibułę.

— Nie masz wyobrażenia — mówił mi jeden z towarzyszów, który przez dłuższy czas pracował w Warszawie, — jak trudno wprowadzić w życie regularne płacenie za wydawnictwa. Zdawałoby

się, cóż prostszego — oto masz tyle to egzemplarzy takiej to broszury, sprzedaj je za taką to sumę, a jeśli ci się to nie uda zupełnie lub w części, zwróć wszystko lub niesprzedaną resztę. Gdzie tam! robotnicy u nas zgodzą się dać składkę na partję, niekiedy nawet przenoszącą wartość tej bibuły, którą przeczytali. Lecz płacić za każdy egzemplarz, sprzedawać bibułę — na to zgadzają się z trudnością.

— Znajdziesz wielu, — dodał jeszcze, — którzy są zasadniczymi przeciwnikami handlu bibułą. Twierdzą oni, że w ten sposób zmniejsza się powaga i siła jednej z głównych podstaw naszego ruchu — ofiarności. Słowem, można się nasłuchać najrozmaitszych argumentów, od najbłahszych do poważnych, zaczerpniętych i z praktyki, i z etyki, a skierowanych przeciwko sprzedaży prawidłowej wydawnictw.

— Partja nasza — mówił mi inny — stara się przeprowadzić reformę w rozpowszechnianiu bibuły za pomocą prawidłowego kolportażu. Dotąd pewne rezultaty osiągnięto jedynie przy rozpowszechnianiu wydawnictw broszurowych i książkowych. Dla *Robotnika* ogromnie trudno, niekiedy niepodobna wprowadzić w życie tę reformę — w tym wypadku trzeba się zadawalniać składkami. I bodaj główną przyczynę względnego powodzenia reformy co do bibuły broszurowej zawdzięczać należy temu, że przy rozroście stosunków jest jej za mało. Popyt znacznie przewyższa w tym wypadku podaż, wtedy, gdy *Robotnik* przychodzi stale w określonej zgóry ilości, do której się ludziska przyzwyczają.

— Tymczasem — tłumaczył mi dalej — raz po raz się zdarza, że się dowiadujemy o handlu naszą bibułą poza nami. W dodatku ceny w takich wypadkach są zawsze wyższe niż te, które my swym kolporterom naznaczamy. Jest to dowodem, że prawidłowy kolportaż — naturalnie, z uwzględnieniem viris majoris, żandarmów, rewizyj i aresztowań — jest u nas możliwym i oprzećby na nim można zarówno działalność wydawniczą, jak prawidłowe sądy o wartości tego lub innego wydawnictwa.

Co do określenia części, czy to dochodów z rozprzedaży bibuły, czy też stosunku druków rozprzedawanych do rozdanych, to ani z rozmów, ani z danych partyjnych żadnego wniosku wyciągnąć nie mogłem. Najwidoczniej reforma, o której mówiłem wyżej, jest jeszcze tak świeżej daty, że niepodobna oznaczyć jej wyników.

Napomknąłem wyżej o zrzeszaniu się czytelników *Robotnika* w grona i kółka, które zadawalają się jednym egzemplarzem pisma. Jest to najwyższy typ czytelnictwa, osiągnięty dotąd. Typ ten umożliwia rozszerzenie koła czytelników, nie wymagając dosyć trudnego ze względów technicznych powiększenia produkcji drukarnianej. W zysku zaś otrzymuje się oprócz tego zacieśnienie węzłów organizacyjnych pomiędzy zrzeszonymi czytelnikami, co przy gwałtownem dążeniu ze strony rządu do rozatomizowania społeczeństwa, trzymania go, jak się nieraz wyraził były minister finansów carskich, pan Witte, w stanie sproszkowanym, ma niepoślednie znaczenie. Życzyćby więc należało, by właśnie ten typ stopniowo otrzy-

mywał przewagę nad innemi i stał się regułą, przynajmniej dla *Robotnika* i innych pism partyjnych.

Specjalnym rodzajem bibuły, wymagającym też specjalnego sposobu rozpowszechniania, są odezwy, wydawane przez centralny i lokalne komitety partyjne. Komitety te zwracają się ze swemi odezwami do szerokiego ogółu, nawołując go do jakiegokolwiek czynu lub wystąpienia, albo też tłumacząc znaczenie jakiegokolwiek wypadku, zajmującego w danej chwili umysły publiczności. Nie chodzi tu o przekonanie lub kierowanie opinją wśród członków organizacji — do tego istnieją zwykłe organizacyjne drogi, — lecz o wywarcie wpływu natychmiastowego na ludzi, stojących poza organizacją, nie należących do jej szeregów bojowych.

Wobec tego koniecznem jest, by odezwa była rozpowszechniona, „puszczona" — jak o tej akcji mówią rewolucjoniści — jak najszerzej, by jak najwięcej o niej gadano i dyskutowano. Im więcej się hałasu, zwracającego powszechną uwagę, zrobi przy puszczaniu odezw, tem łatwiej osiągnąć cel: owładnąć opinją, przykuć jej uwagę w potrzebnej chwili do tego, a nie do innego zjawiska, do takiego, a nie innego sposobu pojmowania sprawy.

Trzeba przyznać, że wielce pomocnym właśnie w reklamowaniu — że się tak wyrażę — odezw jest sam rząd. Odezwy należą do rzeczy, najbardziej drażniących agentów rządowych — policjantów i żandarmów, osobliwie pierwszych, którzy przeważnie odznaczają się kapitalną głupotą

i brakiem taktu politycznego. Robią oni zwykle tyle hałasu z powodu każdej odezwy, latają, jak opętani, po mieście, chwytają najniewinniejszych ludzi, by wykazać swą troskliwość o dobro cara, że nawet głusi usłyszą o odezwach, ślepi je dojrzą, a zwykła ciekawość ludzka zmusi publiczność do wyszukiwania przyczyn nadzwyczajnego rozjątrzenia niedźwiedzia policyjnego. Szczególnie na prowincji w takich wypadkach policja, obudzona ze słodkiej drzemki, dostaje jakiegoś ataku szału i wściekłości, tem śmieszniejszego, że w warunkach życia prowincjonalnego, widocznego dla całego otoczenia.

Atak zostaje w dodatku zwiększony przez okoliczność, że fakt rozrzucenia odezwy wchodzi w zakres działalności dwóch instytucyj, konkurujących zwykle pomiędzy sobą — żandarmerji i policji zwyczajnej. W normalnych czasach policja podlega niejako żandarmerji i musi wypełniać jej rozkazy, ale swoją drogą z zawiścią patrzy na wpływy „fijołków“ i chciałaby wykazać, że jest równie uzdolnioną do tropienia i ścigania „wewnętrznych wrogów“ cara. I oto odezwy stają się polem, na którem odbywa się wyścig sług carskich. Właściwie jest to sprawa polityczna i jako taka należeć musi do żandarmerji, ale zarazem, stanowiąc zakłócenie „spokoju i porządku“ publicznego, wchodzi w zakres funkcyj policyjnych. A że zwyczajna policja zwykle pierwsza się dowiaduje o odezwach, więc śpieszy wyzyskać tę szansę, by ubiec żandarmerję i uprzedzić ją w wyszukaniu winowajców.

Ogromną większość tych „winowajców“, wytropionych przez policję, stanowią ludzie, zatrzy-

mani przy czytaniu odezw przylepionych, przy podejmowaniu rzuconego na ulicy druku — wogóle tę większość stanowią zwykli ciekawscy. Właściwie nawet, używając słowa „większość“, popełniłem błąd — słuszniejszemby było użyć słowa „wyłącznie“. W ciągu ostatnich dziesięciu lat słyszałem zaledwie o dwóch wypadkach, gdy zatrzymano istotnych winowajców, to jest tych, którzy rozpowszechniali rzeczywiście odezwy. A przecie większość odezw pociąga za sobą aresztowanie tej lub innej ofiary wściekłości policyjnej. Coprawda, ofiary te przeważnie z łatwością udowadniają swą zupełną niewinność i po paru tygodniach aresztu wychodzą na wolność.

Opowiadano mi o zabawnej scenie, która miała miejsce w kieleckiem biurze policmajstra po rozrzuceniu i rozlepieniu odezw po raz pierwszy prawdopodobnie od czasu powstania 63 roku.

Policja po rozpowszechnieniu już odezw wykazała swą gorliwość i aresztowała trzech Bogu ducha winnych ludzi, których przyłapała w różnych punktach miasta nad ranem przy czytaniu rozrzuconych i rozlepionych odezw. O godzinie 9 czy 10 rano, otoczonych liczną strażą, przyprowadzono ofiary gorliwości policyjnej do policmajstra. Ten wpadł na nich z furją, wymyślając im okropnie, grożąc strasznemi karami, używając bogatego słownika rosyjskich połajanek.

— Zgnoję was, buntowników, w więzieniu! — ryczał zapieniony dygnitarz, — no, powiedz mi zaraz, łajdaku, jak to rozrzucałeś te świstki — zwrócił się do jednego z aresztowanych, wskazując na odezwę.

— Ależ, panie naczelniku, — usprawiedliwiał się nieborak — ja wcale nie rozrzucałem tych papierków. Ja tylko chciałem zedrzeć jeden taki papierek, naklejony na murze.

—Co?! zdzierać! — wściekał się ze złości policmajster. — Kto pozwolił? Ja tobie, łajdaku, pokażę, co to jest zdzierać! Widzisz go? Zamknąć go do aresztu! — rzucił rozkaz policjantom.

Jednym z uciążliwych obowiązków niższych urzędników policyjnych przy rozsypywaniu odezw jest dostarczenie samych odezw, jako corpus delicti. Odezwy te, ściągnięte z różnych stron, zbierają się do kupy, obliczają je do protokółu i tworzy się raport o „buntowniczych“ odezwach, rozrzuconych w takiem i takiem mieście. Opowiadano mi, że po pierwszych odezwach w Zagłębiu naczelnik powiatu będzińskiego, któremu dostarczono szesnaście odszukanych odezw, złożył raport następujący:

„Ludzie złej woli takiego to dnia rozrzucili odezwy takiej a takiej treści. Rozrzucono 16 odezw, które przy niniejszym raporcie załączam“.

Według raportu więc wyłapano wszystkie odezwy, rozrzucone tego dnia.

Przy odszukiwaniu odezw, jako corpus delicti, dzieją się najrozmaitsze rzeczy, zdumiewające swą głupotą, a ściągające uwagę otoczenia i zatem robiące reklamę samej odezwie.

W którymś numerze *Robotnika* opisany jest, naprzykład, następujący fakt:

W Ostrowcu, osadzie fabrycznej w Radomskiem, policja gwałtownie poszukiwała odezw, o których słyszała, że były rozrzucone w tem

miasteczku. Nareszcie na którymś słupie telegraficznym odnaleziono przylepioną odezwę. Paru strażników zaczęło gorliwie pracować nad tem, by zdjąć proklamację bez uszkodzenia druku. Lecz papier był przyklejony porządnym, mocnym klejem i biedni strażnicy byli w kłopocie. Przynieśli wiadro wody, moczyli papier, lecz szło im trudno.

Strażników otoczyła kupa gapiów, z ciekawością oglądających ciężką robotę „naczelników". W gronie widzów roztrząsano fakt rozlepienia odezwy, opowiadano sobie treść jej, pytano strażników, poco właściwie tak gorliwie pracują, gdy łatwiej wprost zeskrobać papier. Nie brakowało też i żartów.

— Językiem, panie strażnik, językiem — woła ktoś z gromady, — łatwiej będzie!

— Ach, ty czort! — woła obrażony w swej godności naczelnik, — ja tobie!

Pan naczelnik porzuca robotę i rozpoczyna urzędowanie — rozpędza niedozwolone zbiegowisko. Ludzie rozbiegają się, lecz po chwili wracają, do nich się zbliżają inni i stopniowo tworzy się nowa grupa ciekawych.

W innem miejscu nalepiono odezwę na wagonie pociągu, idącego w głąb kraju z Warszawy. Użyto i w tym wypadku porządnego kleju, tak, że gdy wreszcie na którejś stacji spostrzeżono odezwę, żandarmi kolejowi nie mogli odrazu jej zedrzeć bez uszkodzenia. Cóż robią mądre fijoły? Zatrzymują pociąg, odczepiają wagon z odezwą i wypiłowują zeń deskę, na której proklamacja była nalepiona. Naturalnie, wywołuje to sensację nielada wśród pasażerów pociągu.

W większych miastach, rzecz prosta, władza jest mniej naiwną i więcej ostrożną. Tu żandarmerja ma stanowczą przewagę nad policją zwyczajną i, będąc lepiej zorganizowaną, bardziej czujną i baczną, niełatwo daje się wyprzedzić na polu ścigania „buntowników“. Chociaż nawet w takiej Łodzi, mieście z półmiljonową prawie ludnością, zdarzały się wypadki, że władza swem rzucającem się w oczy postępowaniem robiła post factum reklamę odezwom rewolucyjnym.

Akurat, gdym mieszkał na Wschodniej ulicy, w drukarni partyjnej, rozpowszechnioną została odezwa z powodu kryzysu w przemyśle tkackim. W dzień rozpowszechnienia odezwy miałem interes w Warszawie i wracałem do domu wieczornym pociągiem, przychodzącym do Łodzi po jedenastej, a więc po zamknięciu bram w domach łódzkich. Ku wielkiemu zdumieniu zastałem bramę otwartą, a stróża stojącego przy niej.

— Adamie! — pytam zdziwiony — cóż to tak późno dzisiaj zamykacie bramę?

Adam w odpowiedzi wzruszył ramionami i lakonicznie odpowiedział:

— Kazano całą noc pilnować.

Byłem nieco zaniepokojony tym dziwnym rozkazem, lecz już od żony się dowiedziałem, że w całej Łodzi z powodu odezw kazano stróżom stać przy bramach do świtu i łapać tych, co „będą się zatrzymywali przy murach“ — tak bowiem określił rewirowy czynność rozlepiania odezw po mieście. Naturalnie, cała Łódź mówiła o naszej odezwie i nawet ci, do których ona nie doszła, z ko-

nieczności dowiadywali się o niej, rozpytywali się o nią, starali się ją dostać.

Rzucające się w oczy „pogotowie ratunkowe" policji, będące taką wspaniałą reklamą dla ruchu rewolucyjnego, dochodzi do olbrzymich rozmiarów przy dorocznych obchodach, gdy rząd z pewnością oczekuje publicznego wystąpienia organizacyj rewolucyjnych. Takim obchodem jest Pierwszy Maj, powszechne święto robotnicze. Jestem przekonany, że połowę popularności tego święta zawdzięczać należy krzyczącej w niebogłosy reklamie, urządzanej co rok przez rząd i jego organy. Reklama ta trwa wówczas tygodniami. Policja wszędzie jest tak zajętą, tak biegającą i zakłopotaną, stróże tak przeciążeni dyżurami nocnemi i wieczornemi, ulice tak pełne patroli i nawet halastry żołnierskiej, że najobojętniejszy człowiek poruszyć się musi i dowie się o „grożącej porządkowi i spokojowi publicznemu agitacji socjalistycznej". A że w Polsce „porządek", reprezentowany przez nahajkę sług carskich, nie cieszy się wogóle zbytnią sympatją, więc nic dziwnego, że reklama ta skierowuje sympatje najszerszego ogółu właśnie w kierunku „zakłócających porządek obecny".

Jeden z moich kolegów szkolnych — wcale nie socjalista — inżynier, który zarządzał przez pewien czas fabryką w głębi Rosji, opowiadał mi, w jaki sposób on się dowiedział o święcie majowym i obchodzie w Polsce, gdy sprawa ta jeszcze nie była tak głośną, jak obecnie. Przytaczam tu jego opowiadanie, chociaż nie tyczy się ono Polski, a to dlatego, że jest ono nadzwyczaj charakte-

rystycznem dla postępowania rządu carskiego i jego niezdolności do wyczuwania nastroju społecznego i zrozumienia nawet własnych interesów.

— Fabryka, którą zarządzałem — opowiadał mi kolega — przeżywała w owe czasy ciężki kryzys. Zamówień było mało i nie mogliśmy zużywać tej siły roboczej, która jeszcze z czasów pańszczyźnianych przyzwyczaiła się do pracy w naszym zakładzie przemysłowym. Musiałem oddalić część robotników, lecz ci zaproponowali mi układ. Aby uniknąć pozbawiania wszelkiego zarobku części personelu robotniczego, żądali oni skrócenia dnia roboczego dla wszystkich, przy równoczesnem obcięciu zarobku dla wszystkich bez wyjątku. Obliczyłem, że mogę zająć wszystkich tylko w przeciągu sześciu godzin dziennie i wyjaśniłem robotnikom, że w tych warunkach płaca będzie bardzo niską. Robotnicy zgodzili się na te warunki i fabryka nasza pracowała tylko sześć godzin.

Coś w początku kwietnia — ciągnął dalej — przyjechał do fabryki komisarz policyjny — prystaw, jak go tytułują w Rosji — z miną okropnie zakłopotaną. Sądziłem, że jakiś kryminał sprowadził go do mnie. Okazało się jednak, że była to sprawa poważniejsza — państwu groziła rewolucja.

Z chwilą, gdyśmy zostali sami w gabinecie, pan prystaw przyciszonym głosem zapytał mię:

— Cóż, u pana wszystko spokojnie?

— Naturalnie! — odpowiedziałem. — A co?

— A Pierwszy Maj? — pytał dalej. — Nic się u pana nie przygotowuje w fabryce?

Nic dotąd nie słyszałem o Pierwszym Maju, w gazetach bowiem nie pisano o tem ani słowa. Byłem więc zdumiony i nie mogłem zrozumieć, o co chodzi wystraszonemu przedstawicielowi władzy.

— Pan nic nie wie? — nachylił się ku mnie prystaw. — Rewolucja, panie, rewolucja, otrzymałem papier.

Podskoczyłem na krześle.

— Gdzie? co? jak? — pytałem — i tu u nas? Śmiej się pan z tego!

— Ależ, panie — prawił urażony urzędnik — otrzymałem papier, mówię panu, z samego Petersburga. Piszą wyraźnie — w fabrykach na pierwszy maja żądać będą 8 godzin pracy, w Warszawie rewolucja.

— W Warszawie? — tknęło mię to słowo — rewolucja? Ośm godzin? Nic nie rozumiem. Masz pan ten papier?

Prystaw pokazał mi papier. Był to okólnik z departamentu policji, nakazujący władzom politycznym przed pierwszym maja objechać fabryki, znajdujące się w ich rewirach i dowiedzieć się o nastroju wśród robotników. Okólnik nakazywał zażądać od zarządów fabryk i zakładów przemysłowych natychmiastowego zawiadomienia władz policyjnych w razie zajść jakich na pierwszego maja. Następnie wytłumaczono, że na kongresie międzynarodowym przewrotowe elementy postanowiły żądać w fabrykach ośmiogodzinnego dnia roboczego, że wreszcie w Warszawie i in-

nych miejscach Królestwa Polskiego doszło do zaburzeń pod wpływem knowań „ludzi złej woli“, Okólnik wreszcie nakazywał policji być w pogotowiu do zduszenia hydry rewolucyjnej i w razie potrzeby zwracać się do odpowiednich władz po pomoc wojskową.

— Więc? — pytał prystaw, gdym skończył czytanie, — co pan teraz powie?

— Bądź pan spokojuy — odpowiedziałem, — u mnie pracują ludzie sześć godzin.

— Cóż z tego — mówił prystaw, — ale rewolucja rewolucją. Dobrze panu tak być spokojnym — mówił, widząc, że się uśmiecham, — ja w innem jestem położeniu, papier do mnie przyszedł z samego Petersburga, w moim rewirze mam tylko jedną fabrykę — pańską — dzisiaj całą noc nie spałem, jak tylko brzask, kazałem zaprząc konie i do pana, a pan mi mówi — sześć godzin. Dobrze, że nie ośm, ale ja pytam pana, jaki jest nastrój? Pan to musi przecie wiedzieć.

Długo uspakajałem pana prystawa, wreszcie zapewniłem, że w razie czego natychmiast go zawiadomię. Prystaw wreszcie schował papier petersburski z napisem u góry: „bardzo poufne“ — i wyjechał.

W parę dni po wizycie prystawa przyszła do mnie deputacja robotników z żądaniem, bym raz jeszcze potwierdził umowę, zawartą poprzednio, i obiecał, że nikogo z fabryki nie oddalę. A gdym zapytał, czemu przypuszczają, że mam złamać umowę, odpowiedzieli:

— Widzisz pan! Furman prystawa mówił, że panowie chcą urządzić u nas po zagranicznemu, żeby

ośm godzin pracować w fabrykach, żeby naród od ziemi się nie odzwyczajał. Ale my nie chcemy ośmiu godzin, bo część robotników będzie wówczas wydalona.

Nie mogłem zrozumieć, co za stosunek istnieje z ziemią przy ośmiogodzinnym dniu roboczym. Prawdopodobnie chodziło tu o jakieś wiecznie się powtarzające pogłoski o nowym nadziale ziemi, ale zgodziłem się i potwierdziłem raz jeszcze, że nikogo z fabryki nie oddalę.

Powyższe opowiadanie kolegi zawsze mi się przypomina, gdy słyszę lub widzę niezręczne, pozbawione taktu i zrozumienia sytuacji kroki zarówno rządu centralnego, jak i różnych jego agentów, przez swą gorliwość przyczyniających się do rozszerzenia autorytetu „przewrotowców“, których się zwalcza, do rozpowszechnienia tej lub innej myśli, którą się głuszy.

Puszczanie odezw nie jest trudnem, gdy „pogotowie policyjne“ nie działa. A że w większości wypadków policja mobilizuje swe siły post factum, więc najczęściej rozrzucenie i rozlepienie odezw odbywa się zupełnie swobodnie. Ludzie zwykle się urządzają w ten sposób, że dzielą miasto na rewiry i każdy z tych rewirów oddają pod opiekę jednemu lub dwu towarzyszom. Część odezw idzie z ręki do ręki, lecz tą drogą proklamacje idą dopiero po rozrzuceniu i rozlepieniu w mieście. Większość odezw rozrzuca się na schodach domów, do skrzynek listowych, na ścieżkach, po których przechodzą robotnicy, w fabrykach i w warsztatach. Niewielka ilość pozostaje do roz-

lepienia na parkanach, murach, słupach telegraficznych i tak dalej.

Ta ostatnia czynność jest najniebezpieczniejszą, szczególnie, gdy chodzi o odezwy doroczne, oczekiwane przez policję. Lecz niebezpieczeństwo podnieca ludzi i wśród robotników zawsze znaleźć można ochotników do takiej właśnie roboty. Rozwija się nawet swego rodzaju brawura, chęć urządzenia jakiegoś nadzwyczajnego psikusa, spłatania figla zuchwałego. Dochodziło do tego, że nalepiano odezwy na plecach stójkowych, kozaków i stróżów.

Ogromna większość odezw, rozlepionych na ulicach, niknie bardzo prędko. Zdzierają je policjanci i stróże. Lecz że władza nie jest pewną, czy wszystkie odezwy zostały usunięte z widoku publicznego, więc się odbywa długie polowanie na odezwy, poszukiwanie na murach i parkanach miejskich. W wyjątkowych wypadkach odezwy rozlepione przetrwać zdołają — szczególnie w dużych miastach — kilka godzin rannych, odezwy bowiem rozlepia się zwykle wieczorem albo w nocy.

Jeden z towarzyszów opowiadał mi o tem, jak strzelano do niego w czasie rozpowszechniania odezw. Było to w Zagłębiu Dąbrowskiem, w noc przed świętą Barbarą, patronką górniczą. Rok przedtem wydana była odezwa w tym czasie i władza przygotowywała się wówczas do przeciwdziałania „buntownikom", mobilizowała swe siły, by zapobiec powtórzeniu „zbrodniczego knowania".

— Mieliśmy, ja z innym towarzyszem — mówił mi on — wyznaczone sobie części Zagłębia do

obejścia i puszczenia odezw. Jużeśmy byli ku końcowi swej roboty. Został nam szereg domów robotniczych, przytykających prawie do toru kolejowego. Postanowiliśmy nalepić odezwy na słupkach, wkopanych przed każdem wejściem do domu. Doszliśmy do połowy szeregu, gdy usłyszałem szybkie kroki na przeciwległych schodach. Było to akurat w chwili, gdym zaledwie przytknął odezwę do słupka w tem miejscu, gdzie mój kolega posmarował klejem. Przycisnąłem papier do kleju, nie przestając jednak patrzeć na wyjście z domu. Spostrzegłem w drzwiach człowieka, który ujrzawszy nas, szybko się do nas zbliżać zaczął.

Odsunęliśmy się od słupka na środek drogi, wciąż słyszałem kroki za sobą. Żeby nastraszyć prześladowcę, opuściłem laskę stalową, którą miałem w ręku i zaczepiłem ją o parę kamieni na drodze. Laska zabrzęczała i ku wielkiemu zadowoleniu spostrzegłem, że dźwięk doleciał i do uszu człowieka, idącego za nami. Zatrzymał się on i wkrótce usłyszałem jego pośpieszne kroki, skierowane zpowrotem do domu.

Lecz uchodząc od naszego prześladowcy, posunęliśmy się zbyt daleko, zbliżyliśmy się do toru kolejowego, przy którym stała budka dróżnika. Gdy człowiek, idący za nami, już nas opuścił, usłyszeliśmy przed sobą dźwięk, który ucho rewolucjonisty w zaborze rosyjskim wyróżni z pomiędzy całego mnóstwa innych. Był to dźwięk ostróg, dowodzący, że ich posiadacz, prawdopodobnie żandarm, stanowiący część „pogotowia ratunkowego“ policji, był o kilka kroków przed nami.

Skręciliśmy odrazu na prawo, na szeroką drogę, wiodącą do sąsiedniej kopalni. Nagle za nami usłyszeliśmy groźny okrzyk w języku urzędowym.

— *Stoj! Kto idiot?* — krzyczał żandarm. Szedł za nami, bo ostrogi jego brzęczały dalej.

Nie odpowiadaliśmy ani słowa i przyśpieszyliśmy kroku. Droga była równa, bez żadnych zakrętów, lecz o parę minut drogi po lewej stronie musieliśmy znaleźć dół dosyć głęboki — pozostałość po dawnych kopalniach. Postanowiliśmy zbiec, a raczej zsunąć się do tego dołu, przebiec go wszerz i po drugiej stronie wydrapać się z niego. Byliśmy przekonani, że żandarm nie ośmieli się iść za nami w głąb dołu.

Lecz nim doszliśmy do celu, żandarm raz jeszcze krzyknął nam, żebyśmy się zatrzymali. Naturalnie, żadnej odpowiedzi nie otrzymał. Po chwili, gdyśmy już byli nad dołem, rozległ się wystrzał jeden, a następnie drugi. Dodało to nam, rzecz prosta, charakteru w nogach. Piorunem zsunęliśmy się do dołu i zniknęliśmy w mrokach nocy. Żandarm nie gonił nas.

Po kilku dniach dowiedziałem się o rozmowie, jaką miał nasz pierwszy prześladowca. Był to górnik z kopalni. Gdy wrócił do domu, opowiedział swemu koledze, którego znałem, o tem, że spotkał na ulicy tych, „co rozlepiają odezwy". Opowiadał, że chciał się przypatrzyć takim ludziom i biegł ku nim.

— Bój się Boga! — przerwał mu opowiadanie mój znajomy, — ależ oniby cię mogli potraktować sztyletem Może sądzili, że chcesz ich łapać.

— Właśnie! — odpowiedział górnik. — Nie głupim. Jak tylko zabrzęczał „on“ swym nożem, ja zaraz w nogi. Odważni ludzie te socjalisty!

O innym zabawnym wypadku, który miał miejsce w Warszawie przy puszczaniu odezw majowych, słyszałem następujące opowiadanie:

Stróż na dalszem przedmieściu stolicy zauważył człowieka, przylepiającego papier do parkanu. Natychmiast skoczył ku niemu, by go zatrzymać. Lecz człowiek, chcąc umknąć, zdążył wskoczyć na parkan w chwili, gdy stróż do niego podbiegał. Już przerzucił jedną nogę na drugą stronę parkanu, gdy go stróż schwycił za spodnie na drugiej nodze. Nasz towarzysz znalazł się w dosyć niewygodnej pozycji. Parkan był bardzo wąski, stróż ciągnął go za spodnie w dół, w każdej chwili mógł on spaść z parkanu w objęcia stróża. Zebrał więc wszystkie siły i kopnął nogą w twarz ściągającego go stróża. Ten nie wytrzymał uderzenia. Przewrócił się, lecz urwał, padając, dolną część spodni towarzysza, który również nie potrafił zachować równowagi i ze zdefektowanem ubraniem spadł z parkanu po drugiej stronie do jakiegoś ogrodu. Pomimo, że się nieco potłukł, natychmiast podniósł się i zemknął. A zmykając, słyszał przeraźliwe gwizdki stróża i wołania jego: „łapaj złodzieja!“

Ten okrzyk: „złodziej“ nieraz słyszą nasi towarzysze przy łapaniach i aresztowaniach. Władza i organy policyjne wiedzą doskonale, że walka rewolucyjna, przeciwrządowa w Polsce otoczona jest tak powszechnem współczuciem i sympatjami, że trudno rachować na pomoc otoczenia, gdy się ma do czynienia z rewolucjonistami. Przeciwnie, spotkać można w takich wypadkach nie pomoc, lecz

przeciwdziałanie. I oto, gdy trzeba się uciec do pomocy publiczności, gdy się chce wywołać współdziałanie ludzi, nie mających zaszczytu być oficjalnemi podporami azjatyckiego tronu carskiego, używa się hasła: „łapaj, trzymaj złodzieja!“

Mimowolni sprawcy aresztowania „politycznego“ nieraz gorzkie robią sobie wyrzuty, że się stali pomocnikami ohydnych gwałtów policji carskiej. Spotkałem razu pewnego pod Wilnem jednego kolejarza, który mi ze łzami w oczach opowiadał o takim fakcie.

— Szedłem — mówił mi wzruszonym głosem — późnym wieczorem po ulicy. Słyszę za sobą szybkie kroki biegnącego człowieka i krzyk: „łapaj, złodziej, złodziej!“ Odwracam się, przede mną młody Żydek z wystraszoną twarzą, zadyszany i spocony. Chciał biedak skręcić do zaułka, w którym prawdopodobnie zniknąłby i umknął od prześladowców. Lecz ja, nic nie wiedząc, schwyciłem go za kark. A tuż za nim wpadli naraz: rewirowy i dwóch stójkowych.

Jeden z nich uderzył Żydka w twarz, łając.

— *Ach, ty sukinsyn!* — krzyczał, — *parszywyj żyd, buntowat' wzdumał!* — rewirowy trzymał w ręku jakiś papierek.

Ręce mi opadły, gdym to usłyszał. Mój ty Boże, — dodał z westchnieniem, — i czemu też nie rzeknął mi on przed chwilą, że go ściga policja za politykę!

Wobec tego należy być nadzwyczaj ostrożnym w udzielaniu jakiejkolwiek pomocy policji, należy się wystrzegać tego szczególnie w czasie zaburzeń i rozruchów ludowych i podczas dni, gdy policja jest niespokojną i nerwową.

ZAKOŃCZENIE.

Zatrzymałem uwagę swych czytelników może zbyt długo nad bibułą, zdaje mi się jednak, że zasługuje ona na to. Słowo drukowane w obecnych społeczeństwach jest uznaną powszechnie potęgą. Jego postępami, jego rozwojem, jego rozpowszechnianiem mierzą niektórzy siłę, owoc i stan cywilizacji i kultury. A jak my, Polacy, w zaborze rosyjskim stoimy pod tym względem? Odpowiedź łatwa.

Dosyć sobie przedstawić ludzi, którzy nie mają prawa czytać niesfałszowanej historji swego narodu; dosyć widzieć utwory naszych wieszczów, pokaleczone brutalną ręką cenzorów; dosyć pomyśleć, że istnieje nowoczesne społeczeństwo, w którem stronnictwa polityczne albo są pozbawione prawa istnienia, albo w najlepszym razie skazane na przemawianie potwornym, niewolniczym językiem Ezopa; dosyć wyobrazić sobie, że szeroka, tak bolesna dla nas działalność rządowa podlegać nie może wcale publicznej krytyce — a często nawet zwykłemu omówieniu; dosyć tego wszystkiego, by wiedzieć, jak nieodpowiadającym potrzebom społeczeństwa jest stan legalnego słowa drukowanego, jak poniżająco wyglądamy wobec innych narodów.

Lecz chociaż „żyjemy w pomroczy“, żyć chcemy. I oto, jako dowód tego życia, wytwarzamy wspa-

niałe zjawisko — tajną, nielegalną literaturę, ilością prawie dorównującą legalnej, a wpływem może ją przerastającą. Wbrew gwałtom i przemocy, pomimo turm i knuta, naród nasz w swem łonie wytwarza, jak i inne, szczęśliwsze narody, stronnictwa i partje, żyje skomplikowanem, nowoczesnem życiem politycznem, a najczęstszym tego życia dowodem jest nie co innego, jak nielegalne słowo drukowane — bibuła.

Jak już zauważyłem, wszystkie stronnictwa w Polsce walczą tą bronią, lecz, rzecz prosta, ci, którym dzikie. azjatyckie urządzenia caratu odmawiają prawa bytu, muszą się do niej uciekać częściej, najbardziej nad jej wyostrzeniem pracować. Są nimi demokraci wszelkiego gatunku, a przedewszystkiem socjaliści, jako ludzie, których sama nazwa, sama etykieta należy do rzeczy, prześladowanych bezlitośnie. Więc zwycięstwo, rozwój swobodnego, nieskrępowanego pętami cenzury słowa, to przedewszystkiem ich zwycięstwo.

Lecz jest ono zarazem zwycięstwem ich — demokratów — i na innem polu, polu, które tak długo, niestety, odłogiem u nas leżało. Tem polem jest dusza narodu, narodu, rozumianego nie jako kasta, nie jako cieniutka warstwa ludzi, uposażonych w bogactwa i wykształcenie, lecz jako ogromny, wielomiljonowy konglomerat ludzi, związanych wspólną mową, historją i poczuciem przynależności do tego, a nie innego narodu, konglomerat, w którym olbrzymią większość stanowi lud pracujący wiejski i miejski. Ta dusza, tak długo w bierności pogrążona, budzić się zaczyna. A przecie wszystkie złe duchy naszej przeszłości i teraźniejszości — ciemnota i niewola, knut najezdnika i in-

teres wyzyskiwacza — sprzysięgły się, by tę duszę w bezwładnej bierności utrzymać. I jeśli obecnie jesteśmy świadkami tego, że „lud drga i szumi, jak fala wód“, to zawdzięczać to należy „gorącemu oddechowi słowa“, słowa demokratycznego, nawołującego go do samodzielnego życia. A słowo to w zaborze rosyjskim jest przedewszystkiem słowem drukowanem — bibułą.

To też niejeden z nas, rewolucjonistów, żołnierzy demokracji, patrzy na bibułę, jak na wiernego towarzysza broni, druha serdecznego, współbojownika niezawodnego, z którym się dzieli twarde obozowe życie rewolucyjne, z którym się zwycięża i ginie. Pamiętam, w X pawilonie zawołano mię pięknego dnia sierpniowego na badanie. Otoczony strażą, wszedłem do pokoju, w którym zastałem oficera żandarmerji, schylonego nad arkuszem papieru. Usiadłem naprzeciw niego i rzuciłem okiem na stół, zielonem suknem obity.

Stół był pokryty prawie zupełnie papierami urzędowemi, protokółami i innemi produktami pracy żandarmskiej. Lecz na brzeżku stołu ujrzałem plamę, żywym czerwonym kolorem rozweselającą nieco szare, bezbarwne tło przybytku nowoczesnej inkwizycji. Przyjrzałem się tej plamie uważniej i mimowoli wyciągnąłem w tym kierunku rękę. Była to broszura: *Czego chcą socjaliści.* Niegdyś, przed paru laty, byłem obecnym przy jej drukarskich narodzinach w Londynie.

Pisał ją emigrant, tułacz, obce wycierający kąty. Pisał ją gdzieś w górzystej Szwajcarji, myślą i uczuciem tkwiąc w równinach mazowieckich, współczując wszystkiemi nerwami niedoli dalekich

w przestrzeni, lecz bliskich w sercu chłopów z nad Wisły. Składali ją w Londynie zecerzy, również emigranci; składali, nieraz nie wiedząc, czy jutro kawałek mięsa ujrzą na swym talerzu, z myślą o dalekim ojczystym kraju. I oto myśl i troska serdeczna autora, skrystalizowana pracą zecerów w czarnych, drobnych literkach, rozsianych po szmatkach papieru, ubrana w barwną sukienkę okładki. przybrała formę tego, co dalsi jej opiekunowie nazywają żartobliwie bibułą.

Jako bibuła, książeczka, zgodnie z intencją swych ojców, powędrowała z mglistej Anglji do ich ojczyzny. Gdyby ona mówić, opowiadać mogła, usłyszanoby z pewnością ciekawą, pełną romantycznych przygód, historję. Tuliła ją może do gorącego łona opakowana bibułą dromaderka partyjna, leżała ona w składach, w ciemnych koszach i walizkach. Schowana na dnie „brunetki“ czy „blondynki“, trzęsła się w wagonach, przemykała się przez sieci trzeciej linji zielonych, drżała pod okiem szpiclów i żandarmów. Wreszcie poszła w świat, rozpoczęła swą służbę.

Była może i w podartych kieszeniach szczelnie zapiętych mundurów akademickich i w zaszmelcowanej, przesiąkłej potem kieszeni robotnika na fabryce, ukrywała się w zanadrzu siermięg chłopskich. Przyjmowano ją różnie: uśmiechem pobłażliwości, okrzykiem zachwytu, wzrokiem nienawiści. I oto wreszcie przyszedł koniec, śmierć obywatelska książeczki.

Pod osłoną mroków nocy do ostatniego jej przybytku wpadli jej prześladowcy — błękitne podpory tronu carskiego. Z brzękiem ostróg, z hałasem nieznanych, obcych jej wyrazów, wyciągnięto ją

skądś z ukrycia, być może brutalnie naigrywano się z jej bezsilności. Rzucono ją pogardliwie na stół, ją — córkę swobody — umieszczono w sąsiedztwie z wstrętnemi, ociekającemi krwią, cuchnącemi katownią papierami — aktami przemocy i niewoli.

W tem samem położeniu byłem ja, jej towarzysz broni, świadek jej urodzin w obcym, lecz swobodnym kraju. Skończyły się dla nas piękne dni swobody, przerwało się pasmo przygód, urwała się dla nas walka, a zaczęły się szare, jednostajne dni poniżającej niewoli. Byliśmy tym jeszcze razem zwyciężeni. Lecz to spotkanie w domu niewoli — krótkotrwałe, coprawda, bo żandarm, spostrzegłszy kierunek mego wzroku, przykrył pośpiesznie czerwoną, wołającą o życie plamę szarym urzędowym papierem — sprawiło mi przyjemność. Byliśmy zwyciężeni, ale gdyby ta drobna książeczka myśleć i mówić była w stanie, to, milknąc na wieki w mrocznych murach katowni carskiej, powiedziećby mogła swym wrogom słowami poety:

Choć mi się oprzesz dzisiaj — przyszłość moja
I moje będzie za grobem zwycięstwo!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

IV.

PRZEDMOWA

DO „MATERJAŁÓW DO HISTORJI P. P. S. I RUCHU REWOLUCYJNEGO W ZABORZE ROSYJSKIM OD ROKU 1893 DO ROKU 1904".

(1907)

Historja wszystkich partyj politycznych w zaborze rosyjskim uzna rok 1905 za rok przełomowy, rok, w którym się zaczyna nowy okres życia politycznego w kraju. Takim też był on i dla partji socjalistycznej. Rok rozpoczął się od strejku powszechnego, który odrazu wyniósł partję na wyżyny dyktatury moralnej w społeczeństwie wogóle, a wśród klasy pracującej w szczególności. Odtąd zaczyna się okres półjawności partji, poddającej kontroli publicznej ogromną część swego życia.

Do roku 1905 partja zmuszona była prowadzić robotę swą nakształt kreta — w podziemiach możliwie ścisłej konspiracji, — godząc się z wszelkiemi wadami tego życia, przedewszystkiem zaś z niemożliwością objęcia za pomocą organizacji sił, przez się poruszonych. Bez organizacji zaś partja nie mogła mieć poczucia siły własnej, poczucia, które jedynie daje pewność kroków, stawianych na arenie walk politycznych i społecznych. Z jednej strony odczuwanie wpływów partyjnych, sięgających niezmiernie szeroko w masie ludowej, z drugiej brak sprawdzianu dla swej siły i ogromne trudności przy jej użyciu — oto najcharakterystyczniejsza cecha

życia partyjnego przed rokiem 1905. Ujemne strony takiego życia ciężarem swym gniotą partję, która wraz z całem społeczeństwem szamoce się w ponurem więzieniu, szukając nadaremnie zeń wyjścia i z konieczności ograniczając swą rolę przeważnie apostolską pracą rozsiewania światła samowiedzy wśród mas pracujących.

A jednak ten właśnie okres dziesięcioletniego życia w podziemiu przygotował wszystko, czem się partja szczyci lub z czego się smuci obecnie. Tam właśnie, w kretowisku rewolucyjnem, szukać należy zarodków zarówno triumfu, jak i porażek, błędów i zasług późniejszego okresu. I jedynie te dziesięć lat pracy przygotowawczej wytłumaczyć nam mogą, dlaczego w zaraniu rewolucji podczas pierwszej większej batalji ludu roboczego z przemocą carską — w styczniu 1905 roku — wzrok wszystkich, tęskniących do swobody, zwrócił się nie do kogo innego, lecz właśnie do Polskiej Partji Socjalistycznej, która, jakeśmy to zaznaczyli, odrazu zdobyła stanowczą przewagę nad wszystkiemi partjami w Polsce.

Dopóki okres ten był życiem samem, trudno było o historję, zaznajamiającą z ukrytą działalnością partji. To też dwie próby w tym kierunku—*Pięciolecie P. P. S.* i praca Mazowieckiego — nic wspólnego nie mają z tem, co nazwać można historją. Pierwsza jest właściwie sprawozdaniem partyjnem z różnych działów pracy, druga zaś należy do kategorji historji à la Iłowajskij, pisanych ad usum, tym razem nie delphini, lecz suum. Poza tem zanotowaćby można parę artykułów w pismach, mających za zadanie oświetlić czy ocenić —

przeważnie z polemicznego punktu widzenia — działalność partji w owym okresie.

Coprawda, każdemu, chcącemu pracować w tej dziedzinie, nasuwa się natychmiast ogromna przeszkoda. Mianowicie, brak prawie zupełny źródeł. Poza rocznikami pism, osobistemi wrażeniami lub wspomnieniami, niema nic, coby mogło służyć za podstawę sumiennej pracy historycznej. Krecie życie, bez słońca jawności, stwarzało wokoło partji mgłę tajemniczą, która ukrywała zarówno ujemne, jak i dodatnie strony pracy partyjnej, dając nieraz sposobność do tworzenia legend lub też najzwyklejszych plotek.

Towarzysz M., który magna pars fuit tej przeszłości, odczuł ten brak i postanowił zebrać materjały do historji P. P. S. od 1893 do 1904 roku. Z pietyzmem człowieka, szanującego pracę społeczną, w najtrudniejszych prowadzoną warunkach, lat kilka zbierał okruszyny danych, mających wartość historyczną, a rozsypanych w listach, pismach, wspomnieniach kolegów i współtowarzyszów. Dane, zebrane w ten sposób, zostały przezeń posegregowane, złączone w tablice i tak dalej, jako materjały dla przyszłego historyka. Niektóre z nich w postaci cyfr, opisu wypadków i tak dalej mają wartość objektywną, inne w postaci wyciągów z listów — subjektywną, gdyż dają nam poznać, jak o swojej pracy myśleli, jakie z niej wysnuwali wnioski ci lub owi przywódcy partyjni.

Nie jest to więc historja, lecz tylko materjały do historji, dają one jednak dokładny obraz rozwoju partyjnego. Widzimy więc, jak zrazu wolno, potem coraz szybciej mnożą się ośrodki ruchu so-

cjalistycznego po całej Polsce, jak socjalizm zdobywa sobie prawo obywatelstwa w umysłach i sercach ludzkich i staje się siłą, z którą każdy wróg czy przyjaciel liczyć się musi. Poznajemy metodę działania partyjnego — metodę agitacji za pomocą druku i szeroko rozpowszechnianej bibuły, metodę pobudzania mas do walki na wszystkich polach dostępnych. Metoda ta daje szybkie rozszerzanie się socjalizmu, budzenie ducha oporu i samowiedzy klasowej, lecz — niestety — ogromna większość sił zdobytych zostaje poza partją, nie daje się zorganizować, ująć w ramy partyjne.

I oto już od 1897 roku zaczyna się wieczna skarga w ustach przywódców: skarga na bezsilność, pomimo pewności, że siły istnieją wszędzie, wszędzie są rozsypane. Jest to siła moralna jedynie, nie fizyczna, siła rozproszkowana, niezorganizowana. I widzimy to szamotanie się w poszukiwaniu ujścia dla sił, przez siebie zrodzonych, widzimy próby reorganizacji partyjnej, które na pewien, krótki jedynie, czas wystarczają. Wreszcie odczuwamy to przekleństwo życia ludzkiego — brutalny, barbarzyński ucisk caratu. Widzimy, jak ciężka jego łapa rwie ustawicznie misterne roboty organizacyjne partji, jak pod wpływem aresztowań plączą się nici, wiążące ludzi dla wspólnej pracy, jak ciężkiem i mozolnem jest zatkanie luk, zaleczenie ran, zadawanych nieustannie organizacji.

Na zakończenie zaznaczyć trzeba nadzwyczajny objektywizm, z którym praca jest dokonana. W czasach obecnych, gdy brak tolerancji staje się wadą, pożerającą siły całych partyj i stronnictw, z przyjemnością czyta się pracę, gdzie z całą sta-

rannością dbano o spokój i bezstronność, gdzie niema ani krzty inkwizycyjnego badania sumień ludzkich. Autor, mając materjał, zawierający prawdopodobnie dużo spraw i zatargów osobistych, usunął całkowicie wszystko, co mogło dać powód do plotki lub do sądu o ludziach bez rzeczowego na to dowodu.

V

Z LISTU DO IGNACEGO DASZYŃSKIEGO

(1908)

...proszę tylko, byś nie robił ze mnie „dobrego oficyera, lub mazgaja i sentymentalistę", to jest człowieka poświęcenia, rozpinającego się na krzyżu dla ludzkości czy czego tam. Byłem do pewnego stopnia takim, lecz było to za czasów młodości górnej i chmurnej; teraz nie, to minęło i minęło bezpowrotnie; to mazgajstwo i krzyżowanie się dokuczyło mi, gdym na to u naszych inteligentów patrzył; takie to słabe i beznadziejne. Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża — ubliża mi, jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą! Niech dzieci się bawią w hodowanie kwiatów czy socjalizmu, czy polskości, czy czego innego w wychodkowej (nawet nie klozetowej) atmosferze — ja nie mogę. To nie sentymentalizm, nie mazgajstwo, nie maszynka ewolucji społecznej, czy tam co — to zwyczajne człowieczeństwo. Chcę zwyciężyć, a bez walki i to walki na ostre, jestem nie zagajnikiem nawet, a wprost bydlęciem, okładanem kijem czy nahajką. Rozumiesz chyba mnie. Nie rozpacz, nie poświęcenie mną kieruje, a chęć zwyciężenia, przygotowania zwycięstwa...

Ostatnią moją ideją, której nie rozwinąłem jeszcze nigdzie, jest konieczność w naszych warunkach wytworzenia w każdej partji, a tem bar-

dziej esowej, funkcji siły fizycznej, funkcji, że użyję tak nieznośnego dla uszu „humanitarystów“ określenia (histeryczne panny, nie znoszące drapania po szkle, ale znoszące pranie ich po pysku) przemocy brutalnej. Tę ideję chciałem przeprowadzić w swojej działalności ostatnich lat i przyrzekłem sobie, że albo swoje zrobię, albo zginę. Zrobiłem już dużo w tym kierunku, ale za mało, by móc wypocząć na laurach i zająć się serjo przygotowaniem bezpośredniem do walki i teraz stawiam siebie na kartę...

. . . .

...Chcę właśnie sobą, którego nazywano i szlachetnym socjalistą, i człowiekiem, o którym nawet wrogowie paskudztwa głośno nie powiedzą, człowiekiem zresztą, który ma trochę zasługi w kulturze ogólno-narodowej, podkreślić tę gorzką, bardzo gorzką prawdę, że w społeczeństwie, które walczyć o siebie nie umie, które cofa się przed każdym batem, spadającym na twarz, ludzie ginąć muszą nawet w tem, co nie jest szczytnem, pięknem i wielkiem...

VI.

GEOGRAFJA MILITARNA KRÓLESTWA POLSKIEGO

(1910)

Geografja militarna — jest to nauka, mająca do czynienia ze zjawiskami na ziemi, dotyczącemi wojny. Geografja militarna dostarcza kierownictwu danych, które ułatwiają kierowanie, administrowanie, jednem słowem, operowanie na danym terenie. Są to stosunki handlowe, żywnościowe, komunikacyjne, transportowe. Geografja militarna zajmuje się fizycznemi warunkami ziemi, przeszkadzającemi czynnościom militarnym albo je ułatwiającemi i tak dalej.

Normalnie geografja militarna uwzględnia warunki działania olbrzymich nowoczesnych armij — obejmujących pół miljona lub miljon ludzi. Stąd dla nas, rewolucjonistów, zawiera bardzo mało stosunkowo danych. Te ostatnie dla naszego użytku musimy wyciągać z innych elementów, aniżeli te, na których opiera się geografja militarna państw współczesnych.

Kardynalną różnicą między armją regularną a naszą jest brak terenu, znajdującego się pod naszym wyłącznym zarządem. Cały teren znajduje się we władzy i pod kontrolą wroga. Wobec tego musimy przedewszystkiem zdawać sobie sprawę z tego, jak ten wróg jest na naszej ziemi urządzony? Jakie są jego siły militarne (bo siły administra-

cyjno - policyjne, jak pokazały wypadki 1905 roku, łatwo dają się usunąć).

Zasadą urządzenia się u nas wroga jest to, że liczy się on nie z ludnością i jej przypuszczalnym ruchem rewolucyjnym, lecz z wojną zewnętrzną. Urządzenie się jego zależy nie od ludności miejscowej, lecz od interesów obrony granic państwa wobec wroga zewnętrznego. Pod tym względem Królestwo Polskie wchodzi, jako część państwa, do ogólnego systemu urządzeń militarnych całej Rosji [1]).

Wszystkie państwa — z wyjątkiem Rosji — posiadają system terytorjalny organizacji armji. To znaczy, że dana jednostka bojowa — dywizja czy korpus — jest stałe w jednem miejscu.

Według systemu terytorjalnego całe państwo jest podzielone na obszary, z których dane jednostki bojowe czerpią materjał ludzki dla dopełnienia się zarówno w czasie pokoju, jakoteż i w czasie wojny.

W Austrji, naprzykład, korpus I (Kraków) ma swój *Ergänzungsterrain* w części zachodniej Galicji i na Śląsku — stąd więc czerpie rekruta i rezerwistów w czasie mobilizacji.

Wchodzi tu w grę czynnik moralny: ludzie, pochodzący z jednego obszaru, posługują się jednym językiem, są bliżej ze sobą związani, stąd większa spoistość i solidarność wewnętrzna danej jednostki bojowej. Obok tego mobilizacja przed wojną odbywa się znacznie szybciej, jest mniej skomplikowaną i wojsko staje gotowem do wojny i prędzej, i w lepszym stanie. Tylko Rosja nie przyjęła tego

[1]) Patrz dodatek: *Wiadomości ze statystyki Królestwa Polskiego.*

systemu. Stąd pochodzą liczne braki jej armji, jak powolna mobilizacja, brak wewnętrznej spoistości i tak dalej. Stanowisko odporne Rosji względem systemu terytorjalnego wypływa z wielkiej nieufności względem ludności miejscowej, następnie z braku środków technicznych (kolei, telegrafów, dobrej administracji), usprawiedliwiających system terytorjalny, i z konieczności trzymania armji w stanie nierównomiernego rozsypania w rozmaitych częściach państwa — tu na stopie pokojowej, tam znowu na stopie napół wojennej.

Największe niebezpieczeństwo grozi Rosji z zachodu — od granicy niemiecko - austrjackiej, gdy granice od Turcji, Persji i tak dalej znajdują się w daleko mniejszem niebezpieczeństwie. Stąd przechylenie się ciężaru wojennego Rosji na zachód. Stąd okręg wojenny warszawski stoi pod względem militarnym najsilniej. Tu wojsko znajduje się na stopie półwojennej, aby mobilizacja jego mogła być dokonana możliwie szybko. Naprzykład, kompanja piechoty w warszawskim okręgu wojennym składa się ze 150—160 ludzi, gdy w okręgu wileńskim ze 120, a w Rosji dalszej z 70 — 90. Tu istnieje specjalny system fortec, tu istnieją specjalne przygotowania strategiczne.

Ponieważ Rosja nie rozporządza szybkością techniczną dla mobilizacji, więc w pierwszych tygodniach sąsiedzi mogą zalać przewagą liczebną najbardziej wysunięte tereny Rosji. Wobec tego nie należy narażać wojsk rosyjskich na niechybną zagładę, ale zbliżyć je jak najbardziej do posiłków, mogących nadchodzić z tyłu. Stąd wypływał plan, aby stawić opór stanowczy dopiero na linji Dnie-

pru i Dźwiny, pozostawiając całą Litwę i Ruś nieprzyjacielowi.

Wymagałoby to ze strony najeźdźcy pozostawienia mniejszych i większych załóg w zajętych miastach, pilnowania objętych w posiadanie dla użytkowania z nich kolei, zabezpieczenia sobie tyłów, co ogromnie odbićby się musiało na liczebności armji, występującej bezpośrednio do boju.

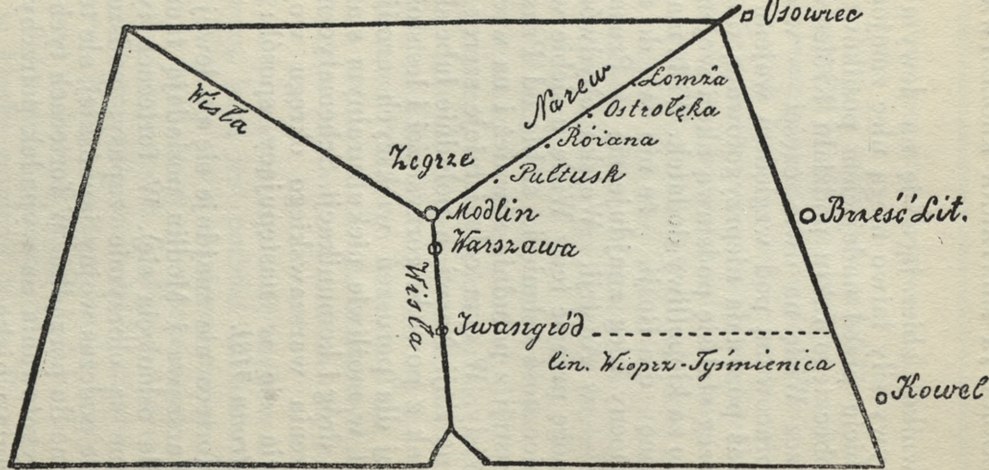
W roku 1870 ćwierć armji niemieckiej pilnowała tyłów, w wojnie burskiej nieledwie pół armji angielskiej musiało pilnować kolei. W Rosji liczono na to, że przewaga nieprzyjacielska będzie topnieć w miarę opanowywania tego terenu. Takim był plan przed Hurką. Od jego czasów plan ten zmieniono. Uwierzono w potęgę fortec, jako punktów oparcia dla armji, która, opierając się o nie, zdoła wytrzymać nawałę nieprzyjaciela, dopóki z tyłu nie nadejdą posiłki. W tym celu zalano wojskiem część Królestwa Polskiego i Litwy. Tam ma zebrać się armja, a zadaniem okręgu warszawskiego i części wileńskiego jest wytrzymać nawałę nieprzyjacielską.

Przy tym planie musiano się rachować z zasadniczą rzeczą, jaką jest podział Królestwa Polskiego przez Wisłę na dwie nierówne części. Wisła jest rzeką o tyle dużą, że stanowi przeszkodę dla wszelkich działań wojennych. Dość powiedzieć, że korpus armji nie ma tyle materjałów mostowych, aby przekroczyć Wisłę. Do tego trzeba dwóch korpusów. Obrona na lewym brzegu byłaby bardzo trudna, bo miałoby się za plecami dużą rzekę, co każdą porażkę w klęskę zamienić może. Przy ofenzywie lewy brzeg również posiada wielkie niedogodności, gdyż, przy znacznie szybszej mobilizacji

u przeciwnika, zbierające się na lewym brzegu dla ofenzywy siły łatwo mogą ulec zmajoryzowaniu i rozbiciu przed nadejściem posiłków z głębi Rosji. Wobec tego faktu podziału Królestwa Polskiego przez Wisłę na dwie części — wschodnia została opracowaną pod względem wojennym, zachodnia zaś pozostała nieprzygotowaną do wojny. Prawy brzeg stał się podstawą akcji wojennej, lewy uznano za kłopotliwy dodatek. Wisła ma jeszcze tę złą stronę dla Rosji, że nie cała do niej należy. Północny bieg znajduje się w Prusach, południowy — w Austrji. Wojska obydwóch tych państw mogę przejść tedy Wisłę u siebie w domu. Stąd konieczność osłonięcia siebie od Prus z północy i Austrji z południa również i na wschodnim brzegu Wisły. W tym celu istnieje szereg ufortyfikowań na linji Narwi, a południe lubelskiej gubernji, i tak z powodu górzystości i lesistości terenu trudnej dla poruszeń większych armij, zostawione jest w możliwie niekulturalnym stanie pod względem dróg i komunikacji. Schematyczna mapka urządzenia warszawskiego okręgu wojennego przedstawia się w następujący sposób: *(Patrz szkic — strona 318).*

Żadna forteca nie znajduje się po lewej stronie Wisły (Warszawa i Modlin posiadają tam fortyfikacje dla osłonięcia się). W fortecach tych nagromadzone są olbrzymie zapasy, nadszarpnięte wprawdzie podczas wojny japońskiej, ale teraz doprowadzone do porządku. W fortecach tych poczyniono przygotowania na wypadek potrzeby zaprowjantowania wojska.

Stan kolei na prawym i na lewym brzegu Wisły ilustruje wymownie plan strategiczny Rosji opar-


Osowiec
Wisła
Narew
Łomża
Ostrołęka
Różana
Zegrze
Pułtusk
Modlin
Brześć Lit.
Warszawa
Wisła
Iwangród
lin. Wieprz-Tyśmienica
Kowel

cia się na prawym brzegu. Kolei na lewym brzegu jest mniej, niż na prawym. Są tam tylko takie, które zostały wywołane koniecznością handlową. Od roku 1876 powstała tam tylko jedna kolej nowa — kaliska, stanowiąca ochłap, zdobyty przez politykę Imeretyńskiego dla ugodowców. Wszystkie koleje, z wyjątkiem kaliskiej i iwangrodzko-dąbrowskiej — są to dawne koleje, z przed powstania planu Hurki. Natomiast na prawym brzegu koleje budowane są ustawicznie — i to koleje, nie posiadające znaczenia handlowego, czysto strategiczne, stanowiące dla ludności miejscowej luksus.

Strategiczną podstawę kolejową Rosji w Królestwie stanowi linja Grajewo — Kowel z punktami ufortyfikowanemi: Osowiec, Brześć, Kowel. Za tą linją znajdują się tyły okręgu warszawskiego.

Na prawym brzegu powstał szereg kolei, służących do szybkiego zmobilizowania sił na każdym danym punkcie. Linje: Tłuszcz—Ostrołęka, Łapy—Ostrołęka, Małkinia—Ostrołęka, Małkinia—Siedlce i Brześć—Chełm (dwutorowe dla wielkiego ruchu), Lublin—Łuków, Łuków—Iwangród, obok linij głównych warszawsko—petersburskiej, warszawsko—brzeskiej i warszawsko—kowelskiej, obsługują ten teren. Linij, które łączą okręg warszawski z resztą państwa, jest mało. Dawniej istniała zasada, że każdy korpus powinien mieć własną linję kolejową, jednakże w wojnie japońskiej pokazało się, że jedna linja syberyjska względnie nieźle obsługiwała wszystkie potrzeby wielkiej, liczącej dziesiątek korpusów, armji.

Pomimo tego jednak dla ogromnej armji na wypadek wojny jest tych linij stanowczo za mało i tem

większem i trudniejszem jest zadanie warszawskiego okręgu wojennego. Takich linij mamy sześć, stanowiących trzy pary — północną, środkową i południową. Warszawsko—petersburska oraz Siedlce—Bołogoje (zbudowana na żądanie i za pieniądze francuskie) stanowią parę północną. Parę środkową stanowią linje Brześć - Moskwa i Brześć - Brańsk. Parę południową — Kowel—Odessa i Kowel—Kijów.

Co do wojska, to poza Syberją, Kaukazem i Turkiestanem — wymagającemi specjalnego wojska, posiadającego znaczenie lokalne i nie wchodzącego nawet w numerację ogólną — Rosja europejska posiada 24 korpusy (22 linjowe, 1 gwardji i 1 grenadjerów), na które podzielona jest armja. Do tego dochodzą jeszcze wojska rezerwowe, forteczne i strzelcy. Rezerwowe brygady znajdują się przeważnie w głębi Rosji — dla wystawienia drugiej linji (pierwsza linja posiada kadry wysokie, druga linja — szczupłe).

Pierwsza linja składa się z 24 korpusów, do których trzeba dodać rezerwy na terenie Królestwa — 1 korpus forteczny i 1 korpus pułków rezerwowych — razem więc 26 korpusów. Z nich na granicach zachodnich skoncentrowano 15 + 2 = 17 korpusów, gdy w pozostałej Rosji — 9 korpusów.

Rozkład ich według okręgów wojennych przedstawia się w następujący sposób:

okręg warszawski 7 korpusów;
„ wileński 5 korpusów;
„ kijowski 5 korpusów.

Jeden z nich — korpus V — rozlokowany jest na lewym brzegu Wisły (wraz z dodatkiem wojska re-

zerwowego na linji Skierniewice - Warszawa i strzelców), 6 korpusów — na prawym brzegu Wisły i w rejonie fortecznym Warszawy, związanym właściwie z prawym brzegiem. Z pomiędzy tych sześciu korpusów:

VI zajmuje część gubernji grodzieńskiej i wschodnią łomżyńskiej

XV — prawie cały znajduje się w łomżyńskiej, częściowo w płockiej (powiat Przasnysz i Ciechanów)

Te korpusy są skierowane przeciwko Prusom.

XIX korpus zajmuje wschodnią część gubernji lubelskiej, powiaty kowelski i włodzimierski wołyńskiej i trochę w grodzieńskiej;

XIV korpus znajduje się w Lublinie, na zachodzie gubernji lubelskiej i południu siedleckiej.

Dwa korpusy — rezerwowy i forteczny — zajmują fortece i gubernję siedlecką.

Kawalerja, która w Rosji jest bardziej liczebna, niż w jakimkolwiek innem państwie, skoncentrowała się w większej części (przeszło połowa) na granicy zachodniej. Kawalerja — to oczy i macki, skierowane ku wrogowi. Do kawalerji zalicza się i straż pograniczną. W ciągu jednego dnia po ogłoszeniu wojny kawalerja musi być gotowa do wymarszu, skutkiem tego zawsze jest na stopie wojennej. Ona musi parować szybkość mobilizacyjną przeciwnika, aby reszta armji mogła zyskać czas na mobilizację i koncentrację sił. Specjalne zgęszczenie kawalerji istnieje w gubernji płockiej i południu lubelskiej. W gubernji kaliskiej kawalerja jest jedynem wojskiem (piechota nieobecna).

Cyfrowo stan wojska w okręgu wojennym warszawskim wynosi 260000 (wraz z gubernją suwalską, należącą do okręgu wileńskiego). Na Wołyniu i w gubernji grodzieńskiej stoi z tego 44000, a więc w Królestwie jest 216000 (bez służby szpitalnej, intendentury, rzemieślników wojskowych i tak dalej, z któremi razem jest do 250000). Z tych 216000 na prawym brzegu jest 170000, na lewym—46000. Według poszczególnych gubernij cyfry te rozkładają się, jak niżej podajemy.

W następujących tabliczkach należy uwzględnić zmiany w porównaniu z podziałem administracyjnym Królestwa, zmiany, spowodowane istnieniem części gubernji warszawskiej na prawym brzegu Wisły, całkiem inną rolę strategiczną odgrywającej, niż część tej gubernji, znajdująca się na lewym. Wobec tego powiat płoński w tabliczce uwzględniony został przy gubernji płockiej, powiat pułtuski przy łomżyńskiej, powiat nowomiński przy siedleckiej. Obok tego z powodu specjalnego znaczenia Warszawy, Modlina i Zegrza, połączonych w jeden system forteczny i stanowiących właściwą bazę panowania Rosji nad Wisłą (trójkąt Napoleona), część ta została wydzielona w osobną jednostkę — Warszawa forteczna.

Warszawa forteczna[1])	52000
gubernja łomżyńska	37000
„ lubelska	27000
„ siedlecka	21000
„ suwalska	19000

*
* *

[1]) Z powiatu radzyńskiego, części płońskiego i Warszawy tworzymy osobną jednostkę terytorjalną.

gubernja	piotrkowska	15000
„	płocka	14000
„	warszawska na lewym brzegu	12000
„	radomska	10000
„	kielecka	5000
„	kaliska	4000

W porównaniu z ludnością, zdolną do boju, (przyjmujemy 1/10, niższą od francuskiej—14%— wyższą jednakże od tej, jaką się przyjmuje dla Rosji i Austrji), stosunek wzajemny wojska i ludności będzie następujący:

Na jednego żołnierza rosyjskiego przypada ludzi, zdolnych do walki, w

prawy brzeg	Warszawie fortecznej . .	1,77	W całem Królestwie Polskiem 5,40
	gubernji łomżyńskiej . .	2,14	
	„ suwalskiej . .	3,30	
	„ płockiej . . .	4,84	
	„ siedleckiej . .	4,95	
	„ lubelskiej . .	5,35	
	przeciętnie . .	3,23	
lewy brzeg	gubernji warszawskiej .	10,80	
	„ radomskiej . .	10,48	
	„ piotrkowskiej .	11,97	
	„ kieleckiej . .	19,12	
	„ kaliskiej . .	28,99	
	przeciętnie . .	13,42	

Z powyższego widać, że cała potęga militarna wraz ze wszystkiemi urządzeniami pomocniczemi

(fortyfikacje, koleje) skoncentrowana jest na prawym brzegu. Tam jest gniazdo potęgi militarnej Rosji. Lewy brzeg jest dla niej terenem niepewnym i. zmuszona do przeniesienia tam operacyj wojennych, musi się ona czuć słabą.

Poza danemi, dotyczącemi wojsk i ich urządzeń, komunikacji i tak dalej, wielkie znaczenie mają dla planów walki dane o warunkach przyrodzonych kraju. Okolice górzyste znajdują się na południu (gubernje kielecka, radomska i lubelska). Północ Królestwa Polskiego jest równinna. Ważnem jest zalesienie kraju. Gubernja płocka jest bezleśna, najbardziej zalesione są gubernje radomska, kielecka i lubelska; najbardziej zalesione powiaty: konecki i włoszczowski. Błota skupione są nad Narwią i w północnej części gubernji kaliskiej oraz sąsiednich okolicach gubernji warszawskiej (około Łęczycy, Łowicza i tak dalej) — tam, gdzie Warta swym biegiem zbliża się do Wisły. Ważną rzeką jest Pilica z lewej strony o mocno zalesionym górnym biegu, stanowiącym dogodny teren dla walk partyzanckich. Drogi na prawym brzegu, z wyjątkiem północy Łomżyńskiego i południa Lubelskiego, są daleko lepsze, niż na lewym, gdzie znajdują się w złym stanie.

Przechodząc do rozmieszczenia sił naszych i tych rzeczy, które mogą być dla nas pomocne, spostrzegamy, że i tu podział kraju przez Wisłę na dwie części stanowi bardzo charakterystyczny czynnik. Na prawym brzegu ludność jest rzadsza, gdy na lewym gęstość zaludnienia (w gubernjach warszawskiej, piotrkowskiej) jest taka, jak w Anglji, Belgji i innych najbardziej przemysłowych krajach Europy zachodniej. Na prawym brzegu prze-

waża ludność wiejska i brak jest wielkich miast przemysłowych, osad fabrycznych i handlowych, które są skoncentrowane na lewym. Ludność prawego brzegu — wiejska — jest mniej impulsywna, mniej żywa i ruchliwa i nigdy nie odegra roli zapoczątkowującej w ruchu rewolucyjnym. Ludność wiejska może podtrzymywać ruch lub go nie podtrzymywać, ale odgrywa rolę wyczekującą i dopiero po pewnym czasie wystawia większą liczbę do boju. Jednocześnie na prawym brzegu istnieje największa przewaga czynnika militarnego, zmniejszającego wiarę w powodzenie ruchu, wobec czego prawy brzeg może odegrać na początku ruchu rewolucyjnego tylko rolę pomocniczą. Ludność wielkich miast przedstawia materjał ogromnie pobudliwy, czyn następuje bezpośrednio po myśli. Tłum działa na ludzi sugestyjnie. Wielkie miasta mogą wystawić znaczne masy, ale właśnie w wielkich miastach istnieje największa przewaga sprężystości władz administracyjnych, ogromnie niezależnych od otoczenia. W małych miastach i po wsiach władza tonie w obcem środowisku i stale obserwowana jest zbliska we wszystkich swych przejawach siły i słabości przez ludność. W wielkich tego niema. Wielkie miasta, specjalnie zaś Warszawa, to środowisko kultury, myśli polskiej, centrum kierownictwa rozmaitych dziedzin życia, przemysłu, administracji. Z miast wychodzą hasła kierownicze. U nas dwa wielkie skupienia miejskie — Warszawa i Łódź — posiadają jednocześnie największą liczbę administracji, która tu jest najsprawniejsza. Warszawa zaś organizuje kierownictwo życia kraju. W 1863 roku Warszawa pierwsza podała hasło do walki, ale

też pierwsza wycofała się z walki. To samo było i w ostatniej rewolucji.

W porównaniu ze wsią miasta mają jeszcze wielkie trudności w organizowaniu szerokiego tłumu i zakonspirowaniu roboty organizacyjnej wobec sprawnej administracji, bo tu absolutnie niepodobna zachować sekretu.

Ludność w drobnych miastach i osadach fabrycznych stanowi element przejściowy od wsi do wielkich miast (Zagłębie zaliczamy do tej kategorji ze względu na charakter życia ludności). Posiada ona cechy wielkomiejskie, zwiększoną impulsywność, pobudliwość, ruchliwość tłumu. Z drugiej strony władze, tu mniej liczne, czują swoją bezsilność w jeszcze wiekszym stopniu, niż po wsiach. Łatwość przenikania wpływów ludności do szeregów tej władzy, demoralizowanie jej jest tu większe. Stąd drobne miasta i osady fabryczne stanowią najlepszy teren dla robót organizatorskich, wymagających tajemnicy spisku, dają zaś one większą liczbę ludzi i większą łatwość poruszania nimi w porównaniu z wsią. Podczas ostatniej rewolucji wszystkie te punkty znacznie dłużej korzystały z „konstytucji", niż miasta i wsie.

Jeśli przejdziemy teraz do charakterystyki rozmieszczenia terytorjalnego rozmaitych kategoryj ludności, to stwierdzimy co następuje. Prawy brzeg: gubernje suwalska, łomżyńska i większa część siedleckiej są najmniej rozwinięte pod względem przemysłowym; lubelska już znacznie więcej: płocka zajmuje miejsce odrębne dzięki wysokiemu poziomowi kulturalnemu. Lewy brzeg: na pół-

nocy (gubernja warszawska i północ gubernji piotrkowskiej) wielka przewaga dużych miast; na południu charakter miasteczkowo - osadowy o bardzo licznym elemencie ludności, stanowiącym przejście od miejskiej do wiejskiej. To rozmieszczenie terytorjalne różnych kategoryj ludności odegrało takąż samą rolę w roku 1863, jak i w 1905. Północ prawie nie brała udziału, centrum zostało szybko zgniecione, południe utrzymało się najdłużej. (Podczas ostatniej rewolucji Zagłębie było ostatnim punktem, gdzie jeszcze ruch trwał po zgnieceniu go wszędzie).

Wielkie znaczenie posiadają stosunki graniczne. Ponieważ ludność polska Królestwa stanowi tylko część terytorjum polskiego, które przekracza granice Królestwa Polskiego, przeto wszystko to, co się odbywa w życiu ludności polskiej na terenie Królestwa, znajduje oddźwięk w krajach sąsiednich. Na wschodzie — Litwa i Ruś — ludność polska jest reprezentowana głównie przez elementy kulturalne, inteligenckie, polskie masy ludowe istnieją tam sporadycznie (3 powiaty gubernji grodzieńskiej, okolice Wilna i tak dalej, miasta i osady fabryczne). Rzecz jasna, że na Litwę i Ruś można liczyć jeszcze mniej, niż na prawy brzeg Wisły, o ile chodzi o element liczby. Nieliczne, rozsypane po wielkim obszarze grupy mogą odgrywać tam tylko pomocniczą rolę. Z zachodu i południa mamy granicę pruską i austrjacką. Bardzo długa co do przestrzeni granica pruska posiada charakter rozmaity. Na północy opiera się o kraj mało przemysłowy o żywiole polskim nieświadomym (Mazurzy wschodnio-pruscy). Stąd żadnej pomocy spodziewać się nie możemy. Część granicy, przylega-

jąca do Poznańskiego, ma inny charakter. Opiera się wprawdzie o kraj mało przemysłowy, ale poza tą granicą ludność polska. historycznie najbardziej związana z resztą Polski, silniej odczuwa to, co się w Królestwie dzieje. Stąd można oczekiwać pewnej. znikomej. pomocy w ludziach. Granica śląska, przytykająca do kraju o bardzo rozwiniętym przemyśle i handlu. daje możność liczenia na dopływ stamtąd rozmaitych materjałów pomocniczych — broni i tak dalej. Granica pruska posiada jedną dobrą stronę — jest sucha. Granica południowa gwarantuje bez porównania większe szanse pomocy. Tu — w Galicji — ludność polska panuje. oddziałując na całe państwo, tu żywiej są odczuwane wszystkie poruszenia ludności polskiej w dwóch innych zaborach. Tu walczący w zaborze rosyjskim znajdą oparcie. pomoc i miejsce odpoczynku. Już w roku 1863 Galicja odegrała rolę bazy operacyjnej, była tem dla powstania. czem Rosja europejska dla caratu w wojnie japońskiej. I w przyszłości można na to liczyć. Zachodnia część granicy galicyjskiej opiera się na ludności polskiej. wschodnia — na mniej przychylnej. rusińskiej. Wielką wadą granicy galicyjskiej jest to. że znaczna jej część jest wodna. Tylko w okolicach Krakowa mamy granicę suchą. dalej granicą jest Wisła. Wschodnia część granicy jest sucha. zalesiona. stanowiąca teren doskonały do operacyj wojennych.

Nadmienić tu należy o poszczególnych wyjątkach z ogólnego charakteru Królestwa. Dla gubernji suwalskiej jest charakterystyczną nie linja Wisły, lecz linja Niemna z fortyfikacjami — Grodno, Olita, Kowno (okręg wojenny wileński). Wyjątek stanowi gubernja kielecka wśród lewo-

brzeżnych, jako mało przemysłowa. Wyjątkiem jest i centrum, słabo uprzemysłowione i zaludnione i mniej kulturalne (północ gubernji radomskiej).

Już wrzenie rewolucyjne, poprzedzające rewolucję, musi wpływać na postępowanie i rozlokowanie wojsk nieprzyjacielskich. W stanie normalnym wojska rosyjskie, jak wiemy, są rozlokowane nie tam, gdzie są głównie nasze siły. W okresie wrzenia rewolucyjnego musi to ulec zmianie. Niestety, podczas ostatniej rewolucji nikt u nas nie dokonywał szczegółowych obliczeń tych zmian, skutkiem czego rozporządzamy bardzo niezupełnemi i niedokładnemi danemi. Pierwszą cechą tych zmian było rozsypanie sił armji po całym kraju, w miarę tego, jak w poszczególnych punktach rząd odczuwał niedogodności swego położenia skutkiem rozwijającego się ruchu. Po napadach Organizacji Bojowej w końcu roku 1905 na kasy rządowe (Opatów, Węgrów, Lubartów) wojsko rozsypano po wszystkich miastach powiatowych, biorąc je z załogi miejscowej gubernji. Czyniono to nawet tam, gdzie wojska było najmniej (jak w gubernji kaliskiej i kieleckiej). Z rozwojem rewolucji tego wojska miejscowego okazało się za mało i trzeba było przenosić część wojska z prawego brzegu na lewy. Zagłębie i Łódź ściągały dużo wojska z gubernij łomżyńskiej i grodzieńskiej (z XV i VI korpusu). Załogi w gubernji piotrkowskiej zdwojono, tak, że stosunek ludności, zdolnej do boju, względem wojska przekształcił się z 11 na 5,5. W Warszawie, pomimo jej olbrzymiej załogi, wojska było za mało, zwłaszcza, kiedy trzeba było strzec stójkowych, monopolów, najrozmaitszych instytucyj, patrolować nieustannie. Ściągano więc do Warszawy woj-

sko z najbliższych jego składów — fortec Modlina, Iwangrodu, potem z gubernij łomżyńskiej i grodzieńskiej, jako zupełnie spokojnych.

Pewną komplikację wywoływała wojna, ale z Królestwa wysłano najmniej wojska na wschód: tylko strzelców i w najostatniejszych czasach XIX korpus. Zamiast wojska wysłanego rozwinięto korpus rezerwowy i zastąpiono nim ubytki. Z powodu wojny zabrano z Królestwa najwyżej 16 bataljonów.

Miasta, które nie miały załóg piechoty, otrzymały drobne oddziałki — po ½ roty — i w ten sposób rozrzucono parę pułków po gubernji kaliskiej, biorąc je z łomżyńskiej i grodzieńskiej. Największym zmianom uległa dyzlokacja kawalerji — tej właśnie części armji, która odznacza się szybkością i wskutek tego jest najbardziej potrzebna, zwłaszcza przy poruszeniach wiejskich. Kawalerję ściągnięto od granic w głąb kraju i rozproszono niewielkiemi oddziałami — szwadronami — dragonów i kozaków.

Drugi atak Organizacji Bojowej — na linje kolejowe, na stacje — doprowadził do obsadzenia wojskiem stacyj. Spowodowało to jeszcze większe rozproszenie, co do którego nie posiadamy jednak szczegółowych danych. Najmniej zmian mamy w Lubelskiem i Siedleckiem. Tylko z południa Lubelskiego wysłano część kozaków do Zagłębia, Zawiercia, w Radomskie. Gubernja płocka uległa bardzo niewielkim zmianom — skutkiem wyjścia strzelców. Największa zmiana zaszła w gubernji łomżyńskiej. Stamtąd przeszło połowa wojska została przeniesiona do Warszawy i na lewy brzeg

Wisły. Załogę z gubernji łomżyńskiej można było spotkać w całym kraju niemal. W gubernji piotrkowskiej wojsko zdwojono, w gubernji kaliskiej obsadzono niem nowe punkty.

Oprócz wojny japońskiej i rewolucji naszej znaczne zmiany w dyzlokacji wojsk wywołała rewolucja rosyjska. W miarę, jak w Rosji potrzebne było wojsko, rząd sięgał do swych głównych składów — do okręgów wileńskiego i warszawskiego. Pod tym względem największe znaczenie miały wypadki w kraju Nadbałtyckim, ruchy łotewskie. Te ostatnie ściągnęły wojsko z gubernji suwalskiej i całą dywizję piechoty z okręgu warszawskiego, po jednej brygadzie z gubernji łomżyńskiej i siedleckiej. Powstanie moskiewskie ściągnęło część wojska z gubernji łomżyńskiej. Ruchy agrarne w głębi Rosji spowodowały powołanie pod broń kozaków 3 linij, a więc całą męską ludność kozacką. Gdy jednak kozacy zaczęli okazywać niezadowolenie, puszczono ich do domu, a z Królestwa Polskiego zabrano 12 pułków kawalerji (6 dragońskich i 6 kozackich), z których część dotąd nie wróciła.

Skutki rozproszenia wojska po całym kraju są rozmaite. Złym skutkiem jest gęstość rozmieszczenia i większy nacisk wojska na ludność. Dobrym — to, że wojsko ulega rozluźnieniu dyscypliny, demoralizuje się, wpływy rewolucyjne znajdują doń łatwiejszy dostęp: drobne oddziały oswajają ludność z wojskiem, obniżają w jej oczach potęgę wojska, powstaje pokusa prób rozbrojenia wojska i tak dalej.

Zasadniczym rysem zmian w dyzlokacji był kierunek ruchu wojska z prawego brzegu na lewy. Na lewym szanse wojska są gorsze, bo tu teren jest nieprzygotowany, niema obozów, składów amunicji. Wojsko tu jest mniej zdatne do boju.

Streszczając wszystko, cośmy dotąd powiedzieli, możemy stwierdzić następujące rysy zasadnicze położenia wroga i naszego.

Główna potęga wroga, wraz ze wszystkiemi urządzeniami, skoncentrowana jest na prawym brzegu, nasze siły, przynajmniej w początku ruchu — na lewym. Wschód jest ufortyfikowany, zachód — nie. Wschód posiada koleje strategiczne, na zachodzie kolei jest mniej i nie posiadają one tego znaczenia strategicznego. Północ ma miasta największe i bardziej skoncentrowaną ludność, południe — bardziej rozsypaną po osadach.

Przy planowaniu walki w warunkach wyżej scharakteryzowanych należy uwzględnić następujące działy: 1) walka decyzywna w celu opanowania kraju lub, gdy to jest niemożliwe, ściąganie wielkiej ilości wojska do pewnych punktów; 2) organizowanie własnych sił; 3) bazowanie się na granicach pruskiej i austrjackiej przy rozmaitych kombinacjach wojny ludowej. Przystępując do planowania walki na takim obszarze, jak Królestwo Polskie, i w czasach rewolucyjnych, należy pamiętać o dwóch ogólnych zasadach tego planowania. Przedewszystkiem w naszem planowaniu niema mowy o skoncentrowanej armji, co charakteryzuje wszelkie plany wojenne państw. Dla rewolucji armją jest cały kraj, rolę oddziałów zaś

spełniają poszczególne jego terytorja. Następnie wszystko, co może walczyć, musi bezwzględnie iść do walki, czy jest przygotowane, czy nie. Każdy punkt musi spełnić to, na co go stać — milczeć nie może.

VII.

ZADANIA PRAKTYCZNE REWOLUCJI W ZABORZE ROSYJSKIM

(1910)

I.

Jesteśmy partją rewolucyjną. Wiemy, że cele, jakie sobie stawia P. P. S., nie mogą być osiągnięte w drodze pokojowej. Rozumiemy, że ani niepodległości kraju naszego, ani takich warunków, w których walka nasza z wyzyskiem mogłaby się odbywać na sposób zachodnio-europejski, nikt nam nie podaruje. ani nikt za nas nie wywalczy. Rozumiemy wszyscy, że o nasze cele, tak polityczne, jak i społeczne, musimy walczyć. I to nie na języki, nie za pomocą bibuły zadrukowanej, lecz z bronią w ręku. Musimy przeciwstawić zorganizowanej sile najazdu, opierającej się na bagnetach żołdactwa, siłę zbrojną mas ludu polskiego. Rewolucja, do której się przygotowujemy, to walka orężna armji ludowej z armją caratu, broniącą u nas jego panowania. Taka walka jest naszym celem, bo tylko taka walka może nam dać zwycięstwo.

Ale nie dosyć jest rozumieć, że tylko w drodze walki zbrojnej osiągniemy zwycięstwo. Nie dosyć jest wierzyć w konieczność tej walki, nie dosyć jest marzyć o jej przeprowadzeniu. Trzeba zdawać sobie dokładnie sprawę z jej charakteru, trzeba wiedzieć, jakiemi środkami nasza rewolucja będzie rozporządzać, trzeba poznać silne i słabe strony tak naszego nieprzyjaciela, jak i nasze własne, trzeba wreszcie mieć plan rewolucji.

Rewolucja, której dokonać chcemy, jest to wojna dwóch armij — naszej, rewolucyjnej, ludowej, z armją rządową, najezdniczą. Gotując się do takiej wojny, musimy brać przykład z tego, co czynią wszystkie armje, gotujące się do walki.

Nie należy przypuszczać, że armja regularna jakiegokolwiek państwa tylko wówczas gotuje się do walki, kiedy wojna już-już ma wybuchnąć. Przeciwnie, wojsko przygotowuje się do wojny ciągle, chociażby wojny nie spodziewano się wcześniej, jak za lat kilkanaście. A istnieją w armji i takie instytucje, które stale, bez przerwy zajmują się wojną, tocząc ją teoretycznie, na papierze. Są to sztaby wojskowe, które ustawicznie zajmują się planami przyszłych wojen, przystosowując coraz to nowe dane i środki walki do zadań wojennych, i skutkiem tego żadna niespodzianka nie może ich zaskoczyć.

Sztaby wojskowe opracowują plany wojny nietylko przeciwko tym państwom, co do których niema wątpliwości, że są nieprzyjaciółmi, ale i przeciwko własnym sojusznikom. Tak, naprzykład, sztab niemiecki opracowuje plan wojny z Austrją, a sztab austrjacki — plan wojny z Niemcami, choć państwa te są od wielu lat w ścisłym sojuszu. W ten sposób ciała kierownicze armij regularnych wyzyskują czasy pokoju dla przyszłych celów wojennych.

I my znajdujemy się obecnie w tem położeniu, w jakiem jest armja podczas pokoju. To też musimy wyzyskać ten czas dla wszechstronnego przygotowania się do przyszłej rewolucji. Musimy przeprowadzić takąż samą pracę, jaką przeprowadza armja w dobie pokojowej. Musimy wykonać te za-

dania, jakie spadają na sztaby armij, musimy nietylko przygotować się sami i przygotować szerokie masy ludności pracującej do rewolucji, ale i wypracować plan tej ostatniej.

Nasze zadanie w tym kierunku o tyle jest ułatwione, że terenem, na którym rozegra się walka polskiej armji ludowej z militarną siłą najazdu, jest nasz kraj własny, ta ziemia, z którą zrośliśmy się, której warunki są nam dokładnie znane. Sztab armji regularnej, opracowując plan kampanji, która ma się odbyć na ziemi nieprzyjacielskiej, znajduje się w tem położeniu, że tylko z wielkim trudem może zdobyć potrzebne mu wiadomości. Tymczasem my, żyjący na terenie przyszłej walki, możemy zdobyć potrzebne nam wiadomości prawie bez trudu. Bylebyśmy chcieli je zdobywać, bylebyśmy rozumieli, jak one są dla celów rewolucji ważne, bylebyśmy stale myśleli o przyszłych naszych zadaniach rewolucyjnych.

Niezmiernie słusznem jest powiedzenie, że armja podczas wojny robi tylko to, czego jej nauczono w czasie pokoju. W czasie pokoju musimy się nauczyć różnych rzeczy, dotyczących rewolucji, aby móc je wykonać wówczas, kiedy nastąpi czas walki orężnej. Niestety, umiejętność przewidywania u nas nie stała nigdy na należytej wysokości, ani przed rokiem 1863, ani tem bardziej podczas ubiegłej rewolucji. Nie myślano nigdy o realnych przygotowaniach, to też skutki takiego zaniedbania były poprostu fatalne. Korzystajmyż ze smutnych doświadczeń przeszłości, ażeby zapobiec klęskom na przyszłość!

II.

Czem jest rewolucja, do której mamy się przygotowywać? Jest to walka o władzę, przeprowadzona środkami gwałtownemi w stosunkowo krótkim czasie. Rewolucję wywołują głęboko tkwiące przyczyny charakteru społecznego i politycznego, które oddziaływują nieraz w ciągu bardzo długiego czasu, zanim nastąpi wybuch. Przyczyny ogólne rewolucji mogą istnieć od bardzo dawna, tymczasem do rewolucji nie dochodzi, jeśli ludzie nie posiadają wiary w możliwość usunięcia zła istniejącego i w zastąpienie go przez nowy, lepszy układ stosunków. Bez tej wiary niemożliwa jest rewolucja. Samego niezadowolenia z istniejących stosunków, samej chęci zmiany nie wystarcza jeszcze do przeprowadzenia rewolucji. Tylko wiara w możliwość zwycięstwa może tę chęć doprowadzić do takiej potęgi, że rewolucja stanie się koniecznością.

Weźmy nasze stosunki. Czy jest u nas jakaś klasa, jakaś warstwa, nieco poważniejsza, któraby była zadowolona z istniejących warunków? Pomijamy już cały proletarjat, tak uświadomiony, jak i ciemny jeszcze, który najdotkliwiej odczuwa ciężar stosunków panujących. Ale i inne warstwy nie mają żadnych powodów do zadowolenia z rządów najazdu u nas. Chłopi, gnębieni przez urzędników carskich, prześladowani za narodowość i religję, pędzeni do wojska na kraj świata, pozbawieni możności oświecania się i podnoszenia kultury gospodarczej z pewnością zadowoleni nie są. Drobnomieszczaństwo znów ma swoje bolączki, wypływające z ogólnego upośledzenia i ucisku kraju przez system rządowy. Inteligencja cierpi wskutek rusy-

fikacji, niedopuszczającej Polaków do posad urzędowych, i wskutek krępowania wszelkiej działalności kulturalnej. Nawet szlagonerja i burżuazja, odsunięta od udziału w rządzeniu kraju, musząca opłacać się grubo wszelkim łapownikom carskim, zagrożona konkurencją rolnictwa i przemysłu rosyjskiego, nie czuje się zupełnie dobrze. Jednem słowem, ludzi zadowolonych z panujących u nas stosunków i w dzień ze świeczkąbyś nie znalazł. Skutkiem panowania rządu obcego, niewyłonionego z polskiego społeczeństwa, rządu najezdniczego, niezadowolenie ogólne jest u nas bez porównania żywsze i głębsze, aniżeli gdziekolwiekbądź w krajach, rozwijających się normalnie. A jednak, pomimo to, rewolucja u nas nie wybucha.

Tłumaczy się to tem, że szerokiemu i zakorzenionemu niezadowoleniu ogółu ludności nie odpowiada siła chęci zmienienia haniebnych warunków. Chęć zaś zrzucenia najazdu jest słaba dlatego, że brak społeczeństwu wiary w możliwość zwycięstwa. Ten brak wiary spowodowany jest obliczaniem wszystkiego. co podkreśla, uwypukla naszą słabość wobec Rosji.

A więc każdy wie. że kraj nasz w porównaniu z Rosją jest stosunkowo mały, że ludność polska w zestawieniu z ludnością całego państwa jest nieliczna, że najazd u nas opiera się na olbrzymiej armji, która posiada wielką przewagę techniczną nad ludnością, że rozporządza on sprężystą administracją, policją. żandarmerją i tak dalej. Wszystkie te obliczenia odbierają ludziom wiarę w możliwość obalenia władzy caratu w Polsce. I to tem bardziej, że słabe strony organizacji najazdu są ukryte, gdy silne występują jawnie, są dla każdego widoczne.

Z takiego położenia rzeczy wypływa pogląd, że bez oddziaływania jakichś czynników zewnętrznych, od nas bezpośrednio niezależnych, niemożliwa jest walka zwycięska z caratem. Panuje słuszne przekonanie, że sami, w stosunkach normalnych, nie damy sobie rady z najazdem i że tylko czynniki zewnętrzne, osłabiające rząd, a więc stawiające nas w korzystniejszych warunkach, mogą nam dać te szanse zwycięstwa, jakich dziś nie posiadamy. Wojna, w którą się Rosja uwikła, jakieś rozruchy wewnętrzne, osłabiające państwo, komplikacje finansowej natury, zmuszające rząd do ujawnienia słabości — wszystko to musi potęgować wiarę społeczeństwa w możliwość zwycięstwa nad wrogiem, a więc i przyczyniać się do ułatwienia wybuchu rewolucyjnego.I na tym czynniku musimy opierać swe obliczenia, szykując się do walki zbrojnej.

III.

Rząd, uwikłany czy to w wojnę zewnętrzną, czy też w jakieś trudności wewnętrzne. nie czuje się już tak pewnym, jak w stanie bezwzględnego spokoju. Skutkiem tego objawia pewną skłonność do ustępstw niezadowolonym, daje reformy lub je bodaj obiecuje. Ujawniając w ten sposób swe osłabienie, wzbudza u ogółu przekonanie, że walka z nim nie jest już tak trudna. Następuje okres wrzenia przedrewolucyjnego, kiedy rząd wstępuje na drogę szczerych lub tylko udanych, obłudnych reform, a ludność stopniowo nabiera śmiałości i wiary w skuteczność walki. W umysłach i ser-

cach ludzi gnębionych zachodzą zmiany, wstępuje w nie otucha, wobec ujawniającej się słabości rządu rewolucja przestaje być czemś niezniszczalnem, jakąś mrzonką fantastyczną. Dążności rewolucyjne ogarniają coraz szersze masy, do stronnictw rewolucyjnych napływają całe tłumy, uprzednio stojące zdaleka od ruchu, obojętne.

Ten napływ nowych, niezorganizowanych sił z jednej strony wzmacnia olbrzymio partję rewolucyjną, lecz z drugiej pociąga za sobą groźne dla niej niebezpieczeństwo. Przypływ żywiołów świeżych (kilkakrotnie zwykle przewyższających liczebnie dawną organizację) utrudnia ogromnie ich opanowanie, tak organizacyjne, jak i ideowe. Świeże żywioły, które nie przeżyły wspólnie z partją wszelkich jej przeobrażeń wewnętrznych, nie wdrożyły się w jej sposoby myślenia i postępowania, przynoszą ze sobą mnóstwo kwestyj, zapytań, wątpliwości i tak dalej. I biada partji, która nie potrafi kategorycznie wszystkich tych kwestyj rozstrzygnąć, mieć gotowe odpowiedzi na te zapytania, umieć rozproszyć te wątpliwości. Z taką partją stanie się to, co się stało z naszą „lewicą" podczas okresu wrzenia rewolucyjnego w roku 1905: przekształci się ona na okręt, pozbawiony rudla, miotany na wszystkie strony przez bałwany rozhukanych żywiołów, oddany na los wypadków.

Otóż zadaniem naszem jest przygotowanie się do przezwyciężenia trudności, jakie będą piętrzyły się przed partją skutkiem napływu do niej mnóstwa nowych żywiołów w okresie wrzenia przedrewolucyjnego. Kierownicy partji powinni sobie zawczasu uświadomić swoje zadania, przygotować kategoryczne odpowiedzi — „tak" lub „nie" — na

wszystkie wyłaniające się kwestje, rządzić się nie gorączką elementów niewyrobionych, lecz chłodną rozwagą, ścisłemi obliczeniami, nie iść za porywami żywiołowemi, lecz działać na podstawie obliczeń, według planu, poprzednio opracowanego. I w takiej właśnie chwili plan, oddawna przygotowywany, odda nieocenione usługi. W takiej bowiem chwili wszystkie władze partyjne — od Centralnego Komitetu Robotniczego aż do najdrobniejszego komiteciku fabrycznego czy wiejskiego — powinny wiedzieć, co mają czynić, jakie hasła i rozkazy wydawać, aby zapewnić rewolucji możliwie najwięcej szans powodzenia. A do tego potrzebna jest jak najszerzej rozpowszechniona świadomość co do zadań partji podczas rewolucji i co do sposobów walki rewolucyjnej.

Tu należy powiedzieć słów parę o samym charakterze planu powstania. Ludziom, nie znającym się na sprawach wojskowych, wydaje się, że możliwym jest plan ścisły, dokładny, opracowany w szczegółach. Tymczasem tak wcale nie jest. Sztaby państw w planach wojennych opracowują zwykle z całą dokładnością tylko sposób koncentracji wojsk oraz ogólny kierunek posuwania się wojska na początku kampanji. Napoleon, Moltke i inni znakomici strategicy i najlepsi znawcy spraw wojskowych twierdzą jednozgodnie, że można opracować tylko początek kampanji, ponieważ dalszy jej bieg i rozwój zależy przedewszystkiem od postępowania i zachowywania się nieprzyjaciela. Nawet plany bitw sprowadzają się do opracowania szczegółowego ich początku, gdyż dalsza ich kolej zależy od okoliczności zmiennych.

To samo dotyczy i planu rewolucji—i to w jeszcze większym stopniu, bo tu się ma do czynienia z większą ilością niewiadomych i z przewagą nieprzyjaciela na tym terenie, na którym mamy działać. Pomimo to wszystko, o zasadniczych rysach planu możemy myśleć — i te mogą i powinny być opracowane.

IV.

Zadania rewolucji rozpadają się na poszczególne działy, które rozpatrzymy po kolei, poczynając od organizacji politycznej.

Do przeprowadzenia rewolucji nie wystarczają organizacje partyjne. Musi być utworzony rząd, któryby określił swój stosunek do wszystkich czynników, istniejących na opanowanym przezeń terenie. Podczas, kiedy stronnictwo, partja polityczna, nie jest obowiązana opanowywać całokształtu życia na danym terenie i może uwzględniać tylko pewne objawy życia, rząd musi wyraźnie zaznaczyć swe stanowisko względem wszystkich ludzi i stosunków i wyciągać z tego praktyczne konsekwencje. W czasach rewolucyjnych stronnictwo, które chwyta w swe ręce kierownictwo polityczne, musi odpowiedzieć na mnóstwo kwestyj, dotyczących życia bieżącego. Ruch uliczny i drogowy, sprawa otwierania i zamykania sklepów, sprawa pracy fabrycznej, pracy w polu, bezpieczeństwa publicznego i tak dalej — wszystko to musi uregulować rząd rewolucyjny, wydając odpowiednie nakazy i instrukcje. Gdyby się nie podjął regulowania tych objawów życia z własnej podniety, to się do niego

zwrócą zainteresowani — i brak z jego strony odpowiedzi zmniejszy jego powagę. A to utrudni mu ogromnie jego stanowisko i zmniejszy szanse powodzenia jego planów. Musi więc on rozstrzygnąć wszystkie wysuwające się na porządek dzienny sprawy — czy to swym wpływem moralnym, czy też siłą.

Przykład wielkiej nieudolności pod tym względem daje nam tak zwana „republika sosnowiecka“ podczas ostatniej rewolucji. Nie określiła ona swego stosunku do całych grup ludności, jak wojsko, policja i tak dalej. Żaden rozkaz w stosunku do tych czynników nie został wydany, co oczywiście musiało się odbić fatalnie na istnieniu „republiki“, w której żadne zmiany nie dotknęły głównych sił wroga. Daleko rozsądniej postępowali ludzie. kierujący tak zwaną „republiką ostrowiecką“. Weszli oni we wszystkie stosunki i starali się regulować całe życie na terenie „republiki“, która upadła właśnie w chwili, kiedy była zajęta regulowaniem sprawy niezmiernie ważnej: stosunków wzajemnych parobków a obywateli ziemskich.

Umiejętne reagowanie na kwestje życia praktycznego zwłaszcza ważnem jest tam, gdzie — jak u nas — powaga rządu rewolucyjnego opiera się przedewszystkiem na sile moralnej i gdzie ten rząd dopiero po zupełnem obaleniu panowania obcego uzyskuje faktyczną władzę całkowitą.

Pierwszym obowiązkiem po utworzeniu rządu jest ogłoszenie, że rząd istnieje, poczem należy wyznaczyć ajentów lokalnych, reprezentujących władzę, otrzymaną od rządu. Tymi ajentami, kierownikami lokalnymi, powinni być ludzie, orjentu-

jący się w sytuacji, ludzie tacy, którzyby, odpowiadając na zagadnienia życia codziennego, nie narażali na szwank powagi władzy rządowej, lecz, przeciwnie, wzmacniali ją i utrwalali. Lokalni ajenci rządu rewolucyjnego nie powinni popełniać błędów, dyskredytujących ich mocodawcę, a razem z nim i sprawę rewolucji. Przykłady nieodpowiedniego postępowania kierowników lokalnych są bardzo liczne w życiu ostatniej rewolucji. Taki fakt uspołecznienia produkcji węgla na „Saturnie", wobec zupełnej nieudolności kierowników ruchu i nieliczenia się ich z całokształtem stosunków ekonomicznych, już po trzech dniach doprowadził do reakcji antysocjalistycznej i do zniechęcenia robotników. Drugim podobnym faktem było załatwianie przez socjalistów w Łodzi spraw, najzupełniej nie nadających się do załatwiania przez władze rewolucyjne (stosunki między dziećmi a rodzicami, mężami a żonami podczas tak zwanej „konstytucji fabrycznej"). Natomiast idealnych przykładów z dziedziny organizowania władz lokalnych dostarcza rok 1863. Wówczas ajentów rządu słuchali nietylko przeciwnicy powstania, ale nawet wrogowie Polski. Obywatele ziemscy-Rosjanie opłacali podatek na rzecz rządu rewolucyjnego. We wszystkich miastach i miasteczkach byli czynni reprezentanci władzy rządu rewolucyjnego, który w ten sposób pokrył kraj cały siecią swej organizacji.

Koniecznem jest publiczne ogłoszenie wojny, co daje rozpęd ruchowi i zapewnia poparcie mas niezorganizowanych. Ogłoszenie wojny może być dokonane i „po japońsku" (po pierwszych krokach zaczepnych), i przed rozpoczęciem walki, co zależy w zupełności od panujących w danej chwili wa-

runków politycznych. Manifest, ogłaszający wojnę, musi zawierać w sobie zasadnicze postulaty polityczne i społeczne rządu rewolucyjnego, żądania, w imię których wszczyna się walka. Samo się przez się rozumie, że postulaty społeczne muszą iść bardzo daleko, nie powinny one jednak przekraczać granic urzeczywistnialności, nie być niedorzecznemi (jak owo uspołecznienie „Saturna“). Stąd płynie obowiązek oględności w ich sformułowaniu.

Głównem zadaniem rządu rewolucyjnego, pierwszym jego obowiązkiem jest zapewnienie rewolucji powodzenia. Na plan pierwszy więc wysuwają się interesy walki zbrojnej, interesy wojny — i poparcie tych interesów przedewszystkiem spada na barki rządu rewolucyjnego. Rząd więc musi używać wszelkich środków, aby pomagać armji rewolucyjnej, następnie zorganizować wyżywienie tak armji, jak i ludności, co wobec niszczenia przez rewolucję prawidłowego biegu życia codziennego jest bardzo ważnem, wreszcie dostarczać wojnie środków koniecznych. Tu system konfiskat na rzecz ogółu musi być uprawiany na bardzo szeroką skalę, zwłaszcza wobec wrogiego stosunku albo tchórzostwa znacznej części klas posiadających. Rząd rewolucyjny, naprzykład, o ile opanował Zagłębie Dąbrowskie, musi zorganizować wydobywanie i rozsyłanie węgli, czynić rekwizycje żywnościowe czy to za gotówkę, otrzymaną z konfiskat lub podatku rewolucyjnego, czy też za kwitkami.

Jak my w czasach pokojowych mamy się przygotowywać do wszystkich tych zadań? Otóż przedewszystkiem musimy się wyrabiać na kierowników, bo na nich będzie spoczywał cały ciężar pracy

organizacyjnej. Od dobrego kierownika wymaga się różnostronności i zrozumienia, że każda rzecz ma swoje złe i dobre strony i że należy wybrać tę drogę, która zapewni maksymum dobrego przy minimum złego. Waga tych cech u ludzi rządzących jest olbrzymia. Ażeby wyrabiać się na przyszłych kierowników, należy stawiać sobie pytania — cobym robił w tej a tej pozycji, w tych a tych warunkach, gdybym musiał regulować te a te stosunki? Jak, naprzykład, postąpiłbym w sporach fabrycznych? Jak zaprowjantowałbym Zagłębie, Częstochowę i tak dalej? Jak eksploatowałbym kolej? Jak unieszkodliwiłbym władze miejscowe? Jak zorganizowałbym opodatkowanie? Jak przeprowadziłbym konfiskaty? Samo rozmyślanie nad temi sprawami, omawianie ich z towarzyszami, wypracowywanie odpowiednich planów, ocenianie ich dobrych i złych stron i tak dalej może już dać dużo. I tego nigdy nie należy w naszem położeniu zaniedbywać.

V.

Do przeprowadzenia walki rewolucyjnej są nieodbicie potrzebne dwie rzeczy: armja i broń. To też zadaniem rządu rewolucyjnego jest stworzenie armji rewolucyjnej i zaopatrzenie jej w dostateczną ilość broni. I jedno, i drugie nie jest łatwem, ale bez rozwiązania tych zadań nie może być mowy o prowadzeniu wojny z najazdem.

Zanim przejdziemy do omówienia bardziej szczegółowego, jak się rząd rewolucyjny ma do tych zadań zabierać, musimy zastanowić się nad

pewną zasadą, o której zawsze musimy pamiętać. Zasada ta głosi, że walka fizyczna musi opierać się na obliczalności.

Z walką fizyczną, z wojną, jest zupełnie tak samo, jak w rzemiośle czy w fabryce. Ażeby przystąpić do wyrobienia jakiegoś towaru, należy mieć pod ręką zupełnie określoną ilość materjału, znać jego właściwości, jakość i tak dalej. Tak samo i przystępując do walki zbrojnej, można budować na tych tylko siłach, które się rzeczywiście posiada. Walka zbrojna — to nie manifestacja albo strejk manifestacyjny. Organizując manifestację, liczymy nietylko na siły zorganizowane, ale i na tłum, który z tych czy innych powodów może wziąć w manifestacji udział. Od tego udziału tłumu uzależnia się powodzenie lub niepowodzenie manifestacji, a więc odgrywa tu rolę wybitną nie pewność, że takiemi a takiemi, ściśle okleślonemi, siłami będziemy rozporządzali, lecz nadzieja, że tłum prawdopodobnie weźmie w manifestacji udział.

Otóż w walce zbrojnej musimy mieć zawczasu przybliżone obliczenie sił, któremi będziemy napewno rozporządzali. W chwili rozpoczęcia wyraźnych wystąpień siłą rozporządzalną w naszym ręku jest tylko organizacja. Tylko na niej możemy z pewnością polegać. tylko na niej możemy opierać wszelkie nasze rachuby. Czasami z tego składu organizacji należy część odrzucić, czasami wypadnie coś dodać, ale w każdym razie wahania te są nieznaczne i organizacja pozostaje tym fundamentem, na którym coś można budować. Dla tego też należy stale prowadzić obliczenia rozporządzalno-

ści sił organizacji. I chodzi tu nietylko o ilość zorganizowanych, ale i o ich jakość. Jakość bowiem w wielu wypadkach ma większą wartość od ilości. Dla celów walki największą wartość posiadają ci ludzie, którzy są do niej w ten czy w inny sposób przygotowani. Otóż powszechna służba wojskowa daje ludzi z armji, którzy zpowrotem wchodzą do mas. Przedewszystkiem tedy należy zwrócić uwagę na rezerwistów, jako na bardzo cenny żywioł rewolucyjny. Mowa tu o byłych szeregowcach, których wśród robotników i chłopów jest najwięcej. Jeszcze cenniejszym żywiołem rewolucyjnym są, naturalnie, podoficerowie i oficerowie. Po rezerwistach idą towarzysze, którzy brali udział w akcjach bojowych. Następne miejsce zajmują jednostki z temperamentem, obdarzone specjalnemi chęciami i zdolnościami bojowemi.

Partja, gotująca się do walki zbrojnej, musi zdawać sobie zupełnie dokładnie sprawę, w jakim stopniu takiemi żywiołami rozporządza, bo właśnie na nich rząd rewolucyjny będzie musiał oprzeć pracę stworzenia armji ludowej, zbudowanie organizacji dla armji.

VI.

Trudność stworzenia armji rewolucyjnej polega głównie na tem, że jej organizowanie musi być przedsiębrane w kraju, zajętym przez wroga, wprost pod kulami nieprzyjacielskiemi. Mało tego, praca ta będzie się odbywała nie w wielkich skupieniach fabrycznych, gdzie posiadamy najliczniej zorganizowane siły. Te centra trzeba będzie dopie-

ro zdobywać, opanowywać, już posiadając znaczną siłę zbrojną. Organizowanie armji ludowej będzie się odbywało tam, gdzie przewaga wojskowa rządu jest najsłabsza. Drugą trudnością dla rządu rewolucyjnego jest to, że musi organizować armję z niczego. Nie posiadamy bowiem ani stałego wojska naszego, ani stałych kadrów, któreby przez wcielanie do nich świeżych elementów można było rozwinąć w armję bez wielkich trudności.

Nasz rząd rewolucyjny będzie rozporządzał obliczalną zupełnie organizacją partyjną, za pomocą której będzie musiał stworzyć armję z tłumu niezorganizowanego. A trzeba wiedzieć, że tłum, dopóki nie jest ujęty w karby organizacji i dyscypliny wojskowej, dla walki nie ma żadnej wartości. Tłumem można manifestować, tłumem można coś zburzyć, ale nic niepodobna wywalczyć, zdobyć. Tłum zawsze będzie zmiażdżony przez siłę zorganizowaną. Trzeba tedy tłum zorganizować i dać mu się wyrobić w walce.

Jak zorganizować tłum? — Pierwsza zasada polega na podziale tłumu wedle jakości: należy przedewszystkiem wydzielić z niego wszystkich tych, którzy coś umieją. a więc rezerwistów i bojowców, następnie wszystkich wogóle zorganizowanych, bo ci posiadają cechę bardzo ważną — poczucie odpowiedzialności. Właśnie na członkach trzech tych grup trzeba będzie oprzeć organizację armji ludowej, bo ufność do nich reszty stworzy możliwość manewrowania całością. Drugą zasadą organizowania jest bezwzględne posłuszeństwo. Jakiekolwiek chwianie się grozi wszystkim zgubą i dlatego musi być tłumione jak najbezwzględniej. W armji walczącej nie może być żadnych wyborów, żadnego

stosowania zasady demokratycznej. Wszystko tu polega na mianowaniu i rozkazie.

Rysem charakterystycznym tłumu jest, że ogląda się on na jednostki. Wobec tego tłum należy rozdrobić i każdemu odłamkowi dać komendanta. Im więcej ich będzie, tem lepiej. Im bogatszem jest państwo, tem więcej ma oficerów. Naprzykład, Anglja ma w kompanji pięciu oficerów, gdy Rosja trzech, przyczem kompanja angielska jest dwa razy mniejsza od rosyjskiej. W ten sposób więc w armji angielskiej jest w odpowiednich jednostkach wojska trzy razy więcej oficerów, niż w Rosji. My możemy iść w tym kierunku jeszcze dalej: nad każdymi trzema stawiać komendanta, nad trzema czwórkami znowu komendanta i tak dalej.

Konieczną zasadą organizacji jest niedawanie do jednego oddziału ludzi, rozmaicie uzbrojonych, z chwilą, kiedy organizacja opiera się na oddziałach. Należy też dążyć do jednakowej liczebności oddziałów. Liczby czterech jednostek nie przekraczać, bo komendą trudno jest objąć więcej niż cztery oddziały. Nie należy zmieniać składu oddziału, aby oddział, jako jednostka, trwał jak najdłużej w tym samym składzie, aby jego członkowie zżyli się ze sobą, nabrali wzajemnego zaufania, co daje oddziałowi spoistość, siłę oporu i śmiałość w napadzie. Stąd właśnie pochodzi zasada armji terytorjalnej, stosowana we wszystkich państwach z wyjątkiem Rosji, która, przeciwnie, miesza w poszczególnych jednostkach armji ludzi z rozmaitych stron państwa i każe im służyć daleko od miejsca urodzenia i stałego pobytu. Wskazanem jest korzystanie z doświadczenia Japonji, która dodała żołnierzom

oddziały pomocnicze, robocze, spełniające obowiązki pozabojowe, wykonywujące prace fizyczne, które nużą i męczą żołnierzy, a mogą być wykonane przez ludzi nie walczących.

Zanim przejdziemy do sposobów prowadzenia wojny ludowej, musimy powiedzieć słów parę w sprawie dostarczenia armji rewolucyjnej broni. I tu odrazu należy rozproszyć przesadne pojęcie o niesłychanych trudnościach, graniczących niemal z niemożliwością otrzymania broni przez rewolucję ludową.

Otóż broń jest towarem, stanowiącym takiż sam przedmiot handlu, jak wszelki inny towar. Handel ten jest wprawdzie obstawiony najrozmaitszemi trudnościami, jednakże nie takiemi, którychby fabrykant nie przełamywał, szukając drogi do odbiorców. Broń zawsze zostanie dostarczona, chociażby jej potrzebowali jakie dzikusy afrykańskie czy amerykańskie. Burowie, walczący z Anglją, otrzymywali broń przez kupców angielskich. Powstanie 1863 roku rozpoczęło się w styczniu z 600 strzelbami myśliwskiemi, a już w sierpniu, to jest po pół roku trwania ruchu, rząd narodowy rozporządzał 75000 sztucerów belgijskich. 100—200 sztucerami rzucano w różne strony Galicji dla dalszego transportu do zaboru rosyjskiego tak samo, jak się to u nas robiło z kilkunastu brauningami. Podczas rewolucji 1905 roku P. P. S., rządzona przez „lewicę", przystąpiła do kupowania broni ostatnia, kiedy już wszystkie inne narody i grupy rewolucyjne państwa rosyjskiego opanowały były źródła broni. Pomimo to broń mieliśmy. Zakupienie broni nie będzie nastręczało zbyt poważnych trudności tak samo,

jak i jej dostarczenie. Ciekawem jest, że właśnie tam, gdzie istnieją największe przeszkody, to jest w Prusach, tam przeszło najwięcej broni przez granicę.

VII.

Wszystkie wojny ludowe można podzielić na dwa rodzaje, podciągnąć pod dwie kategorje, między któremi zresztą niepodobna przeprowadzić zupełnie ścisłej granicy. Są to albo manifestacje zbrojne, albo zbrojne rewolucje. Zbrojna manifestacja może przy pewnym zbiegu okoliczności przekształcić się na zbrojną rewolucję; ta ostatnia często staje się tylko zbrojną manifestacją. Różnica między temi dwoma rodzajami walki ludowej polega na celu, jaki sobie każdy z nich stawia. Najbardziej znamienną cechą, wyróżniającą manifestacje zbrojne, jest to, że nie chodzi tu przeważnie o zwycięstwo, lecz o wywołanie pewnego wrażenia, o zwrócenie uwagi na nieznośne położenie danego kraju czy ludu. My dążymy do zwycięstwa, do ostatecznego rozprawienia się z najazdem i caratem i do położenia trwałych podwalin pod rozwój normalny naszego kraju w interesie masy pracującej. To też manifestacje zbrojne nie są naszym celem. Nie możemy się ich jednak zupełnie wyrzekać, bo niekiedy manifestacje zbrojne, specjalnie u nas, są konieczne wobec braku sił i braku wiary w siebie, zakorzenionego w społeczeństwie. Takiemi manifestacjami zbrojnemi były i niektóre z ubiegłych walk naszych. Powstanie roku 1863 zaczęło się jako rewolucja, mająca zniszczyć siły caratu i znieść

jego panowanie, ale w dalszym swym rozwoju przekształciło się ono na manifestację zbrojną. Rozumiano, że samo zwyciężyć nie może, ale starano się ruch przeciągnąć i zrobić zeń środek agitacyjny. Liczono na to, że przeciągnięcie się ruchu wywoła interwencję mocarstw zagranicznych, wmieszanie się ich w zatarg polsko-rosyjski.

Manifestacyj zbrojnych używają nietylko ludy, usiłujące znieść jarzmo ucisku, ale i państwa. Formą manifestacyj zbrojnych jest mobilizacja, stanowiąca bardzo skuteczny środek oddziaływania na wroga.

Sposoby przeprowadzenia manifestacyj zbrojnych są rozmaite — w zależności od każdorazowego stanu kraju i stosunków, w nim panujących. Nie będziemy więc nad tem zatrzymywali się i przejdziemy odrazu do omówienia zbrojnej rewolucji.

Początek zbrojnej rewolucji (mówimy początek, bo o dalszych stadjach jej rozwoju trudno mówić) rozpada się na cztery grupy czynności: 1) opanowanie terenu; 2) napady demonstracyjne; 3) roboty demolacyjne, niszczące; 4) prace organizatorskie. Właściwem zadaniem rewolucji jest pierwsza i czwarta grupa czynności; one też są zarazem jej właściwym środkiem.

Opanowanie terenu może być przeprowadzone albo po walce, po wyparciu z niego wroga, albo też bez walki — tam, gdzie wroga niema w poważniejszej liczbie. Rewolucja musi cały kraj opanować, wobec czego należy dążyć koniecznie do tego, aby objąć pod swe panowanie teren możliwie najbardziej szeroki. Zasklepianie się w zadaniach czysto lokalnych jest szkodliwe dla całości ruchu.

Obejmowanie możliwie szerokiego terenu ma największe znaczenie w pierwszych, początkowych stadjach ruchu. A to z tego powodu, że na początku ruchu najłatwiej jest wyzyskać element niespodzianki, który daje przewagę słabemu nad silnym i który nawet podczas wielkich wojen dwóch armij państw militarnych odgrywa bardzo znaczną rolę. Oto podczas wojny rosyjsko-japońskiej, w bitwie pod Mugdenem, kiedy obydwa wojska już w ciągu trzech miesięcy obserwowały się wzajemnie, niespodziane obejście nieprzyjaciela lewem, a nie prawem skrzydłem niemal rozstrzygnęło losy boju na niekorzyść Rosji. W powstaniu roku 1863 nagłe napady styczniowe na garnizony rosyjskie udały się powstańcom dzięki niespodziewaniu się tych akcyj przez Rosjan.

Aby czynnik niespodzianki spotęgować i skorzystać z niego w całej pełni, należy wyzyskać noc, nie robić alarmu (jak to było w 1863 roku, kiedy niepotrzebnie bito w dzwony podczas napadów), nie palić ogni i tak dalej.

Aby się opanowanie terenu udało, należy zawczasu przeprowadzić prace przygotowawcze. Należy ustalić dokładnie punkty koncentracyjne, gdzie mają się skupić uczestnicy projektowanej akcji i gdzie ma być zgromadzona broń. Należy obmyśleć drogi podejścia wroga, jak również cofania się na wypadek przegranej. Tylko bowiem umiejętne przewidywanie wszystkich ewentualności może dać gwarancję udania się planu lub zmniejszyć do minimum skutki nieudania się.

Opanowanie terenu nie zawsze się może udać, zwłaszcza w wielkich miastach, gdzie pogotowie policyjno-wojskowe jest bardziej sprawne. Nie-

udanie się przedsięwzięcia w jednym punkcie powoduje niepowodzenie całej akcji. Ale to nie może skłaniać kierowników rewolucji do zaniechania napadów.

N a p a d y d e m o n s t r a c y j n e należy przeprowadzić dla powstrzymania w danym punkcie lub ściągnięcia do niego możliwie większej siły wroga, przez co ułatwia się towarzyszom tak opanowanie terenu, jak i zgromadzenie większych sił rewolucji w innych miejscach. Zasadą przy przeprowadzaniu napadu demonstracyjnego jest dążność do wywołania jak najsilniejszego wrażenia. Chodzi o to, aby wróg musiał możliwie jak najwięcej sił skupić w danym punkcie. Taka „krwawa środa", w której brało udział stu kilkunastu ludzi, i to w mieście, posiadającem 30000 wojska i policji, spowodowała ściągnięcie do Warszawy sił zbrojnych rządu z innych punktów kraju. Łódź swemi wystąpieniami zmusiła rząd do zdwojenia garnizonu.

Aby wywołać wrażenie siły i wzbudzić strach, należy używać materjałów wybuchowych, zastępujących ludzi. Jest to jeden z najlepszych u nas środków wywołania pożądanego efektu. Napady na osoby, kierujące administracją, zwiększają ich uwagę na bliskie niebezpieczeństwo i odwracają od dalszych. Napady na instytucje, specjalnie cenione (kasy, składy broni, nabojów, prochownie) wzbudzają strach i wywołują ogromne zaniepokojenie rządu. Codzienne nękanie wroga demonstracyjnemi napadami w danym punkcie umożliwia prowadzenie walki w reszcie kraju. Barykady, fortyfikowanie domów, nawet przy pozornej chęci ich bronienia, wywołują wrażenie potrzebne.

R o b o t y d e m o l a c y j n e posiadają u nas wyjątkowe znaczenie, albowiem wróg posiada olbrzymią przewagę techniczną, rozporządzając kolejami, telegrafem, telefonami, z czego my tylko w wyjątkowych wypadkach możemy korzystać. Należy trzymać się zasady, że każdy słup telegraficzny, każda szyna kolejowa jest raczej wrogiem naszym, niż przyjacielem. Telefon i telegraf odgrywają ogromną rolę w wojsku i odebranie mu tego stwarza dlań położenie bardzo trudne. Rząd, ceniąc ogromnie te urządzenia, będzie je niechybnie ochraniał. W czasie wojny francusko-pruskiej czwarta część armji użyta była do ochrony tyłów. W wojnie angielsko-burskiej ćwierć wojska angielskiego użyto do ochrony kolei i telegrafu. Podczas wojny japońskiej główną troską Rosji była ochrona kolei. Za rewolucji 1905 roku kilka napadów naszej bojówki na stacje wywołało obsadzenie wszystkich stacyj przez wojsko. W Królestwie Polskiem przy energicznym nacisku połowa armji musiałaby bronić słupów telegraficznych i pilnować kolei.

Rzeczą bardzo ważną są składy wojskowe, specjalnie zaś składy nabojów, parki artyleryjskie, prochownie i tak dalej. Nie należy się łudzić, że uda się nam zniszczyć składy główne, znajdujące się w portach i twierdzach, ale nawet zniszczywszy tylko składy lokalne, przy przeciętej komunikacji, zmusimy wroga do wycofania się z danych punktów.

O p r a c y o r g a n i z a t o r s k i e j mówiliśmy już obszernie w poprzednim rozdziale. Tu dodać tylko należy, że kiedy się wróg już usunął, trzeba natychmiast zapobiec rozprzężeniu się organizacji sił zbrojnych. Wszelkie bowiem organizacje niestałe

narażone są na to niebezpieczeństwo. Tak, naprzykład, w zwycięskiej bitwie pod Grochowiskami (w roku 1863), stoczonej przed nocą, oddział powstańców rozproszył się po wygranej — i to zakończyło okres dyktatury Langiewicza.

VIII.

W poprzednich rozdziałach rozpatrzyliśmy obowiązki partji rewolucyjnej w czasie pokoju, omówiliśmy zadania organizacji politycznej, mającej kierować rewolucją, zastanawialiśmy się nad kwestją stworzenia armji rewolucyjnej i zaopatrzenia jej w broń, wreszcie daliśmy przegląd samych sposobów prowadzenia wojny ludowej. Na zakończenie musimy powiedzieć słów kilka o zasadach, na których musi być oparty plan naszej walki zbrojnej z caratem.

Plan taki powinien się opierać na rzeczach niezmiennych — tak dotyczących sił wroga, jak i naszej organizacji. Otóż pewne rysy planu wypływają z dokładnego rozpatrzenia, z dokładnej analizy silnych i słabych stron wroga i naszych.

Najazd rosyjski silnym jest skutkiem posiadania organizacji wojskowej, wielkich zasobów broni i wszelkiego rodzaju urządzeń technicznych. Słabą natomiast stroną Rosji u nas jest duch jej wojska, otoczonego zewsząd przez wroga, następnie możność zmniejszenia siły moralnej najazdu wskutek przenikania rewolucji do jego własnych szeregów. Przypatrując się bacznie po kolei czynnikom siły i słabości armji rosyjskiej u nas, możemy wysnuć pewne, bardzo dla nas ważne, wnioski.

A więc pierwszym i najważniejszym czynnikiem siły jest organizacja wojskowa najazdu rosyjskiego. Ale siła to niejednolita, posiada ona bowiem swoje słabe punkty. Temi ostatniemi są sztaby armji, jej dowódcy — jednem słowem, wszystko, co rządzi armją, co wydaje jej rozkazy, co wreszcie utrzymuje w niej porządek. Pozostawienie armji na pewien, chociażby krótki czas bez zleceń z góry — wytwarza stan niepewności i zamieszania, a więc zmniejsza jej siłę.

Broń stanowi czynnik ogromnej przewagi armji carskiej nad zrewolucjonizowanym ludem. Ale i broń ma swoją słabą stronę, którą są naboje. Karabin bowiem bez nabojów posiada wartość niedużo większą od zwykłego kija. Amunicja więc jest słabą stroną tego, tak ważnego czynnika siły.

Twierdze, szosy, koleje, sieć telegraficzna i telefoniczna — cały zespół techniczny, ogromnie wzmacniający siły wroga, posiada i słabe strony. Wszystko w tym zespole, co się daje stosunkowo łatwo zepsuć (koleje, telegrafy, telefony) stanowi słabą stronę czynnika siły.

Czynnikiem słabości wroga jest jego strategiczne położenie. Ze wszystkich stron otaczają go nieprzyjaciele, co pozbawia go pewności, osłabiając w nim ducha. Następnie ma on bardzo dużo rzeczy do pilnowania — punkty administracyjne, składy pieniężne, środki komunikacji i wszelkiego rodzaju urządzenia techniczne. Obowiązek pilnowania tego wszystkiego rozprasza i osłabia jego siły. Przenikanie rewolucji do szeregów armji najezdniczej w postaci propagandy antyrządowej wśród żołnierzy, wrzenie wśród tych ostatnich, wreszcie najmniejszy

bunt szeregowców ogromnie zmniejszają siłę i sprężystość ruchów armji.

Otóż przy opracowaniu planu należy skierowywać atak na słabe strony armji, aby tą drogą zmniejszyć wagę silnych. Zniszczenie sieci komunikacji telefonicznej i telegraficznej, zepsucie linji kolejowej, wysadzenie mostów, uniemożliwienie dowozu żywności i ładunków, rozdrobienie siły wojskowej za pomocą napadów na liczne punkty i instytucje, które muszą być strzeżone, zamachy na przedstawicieli władz i kierowników oddziałów wojskowych, demoralizowanie armji za pomocą propagandy antyrządowej — wszystko to są środki, osłabiające siły rządu i dające nam możność uzyskania przewagi.

Nasze położenie w porównaniu z położeniem wroga jest wręcz odmienne. Strategicznie jesteśmy silni, natomiast nie posiadamy ani broni, ani urządzeń technicznych, nam służących. To też nasza rewolucja będzie się musiała oprzeć na ludziach, niosących swe życie w ofierze i płacących życiem za niedostateczne przygotowanie. Najsilniejszą stroną rewolucji są ludzie i ich zapał do walki. Chodzi o to, aby u tych ludzi górowało wszystko, co jest rozsądnem, świadomem i kierowniczem, aby zdawali sobie sprawę z silnych i słabych stron tak przeciwnika, jak i własnych, aby element zorganizowany opanował żywioły tłumu, na których nic budować niepodobna. Należy więc działać w kierunku wzmacniania wszystkiego tego, co stanowi najsłabszą stronę rewolucji, mianowicie jej organizacji.

PRZYPISY DO TOMU II

I

JAK STAŁEM SIĘ SOCJALISTĄ

Do str. 1.

Podnietą do napisania artykułu *Jak stałem się socjalistą* było zwrócenie się do wybitnych działaczy socjalistycznych, co ich sprowadziło na drogę socjalizmu. Zwracała się z tem redakcja *Promienia,* czasopisma lwowskiego, przeznaczonego dla młodzieży, a obsługującego przedewszystkiem tajną organizację „Promienistych", która skupiała młodzież socjalistyczną szkół średnich. Na młodzież tę, sympatyzującą z Polską Partją Socjalnodemokratyczną Galicji i Śląska, silnie oddziaływali członkowie P. P. S. zaboru rosyjskiego, emigranci, osiedli w Galicji. *Promień* szedł drogą kontrabandy również do zaboru rosyjskiego, gdzie go rozpowszechniała P. P. S. Umieszczenie w tym organie pracy Józefa Piłsudskiego miało przeto pewnego rodzaju cele agitacyjne.

Po raz pierwszy artykuł ten ukazał się na str. 342—348 Nr. 8—9 rocznika V *Promienia* 1903. Poźniej był niejednokrotnie przedrukowywany. Niebawem po ukazaniu się wywołał obszerny artykuł Romana Dmowskiego (pod pseudonimem Sk.) w *Przeglądzie Wszechpolskim* (Kraków, 1903, str. 758—772), pod tytułem *Historja szlachetnego socjalisty.*

Do str. 9, wiersze 1—3.

Emil Laveley (1822—1892), ekonomista belgijski o umiarkowanych tendencjach kolektywistycznych. Najpopularniejsze jego prace: *De la propriété et de ses formes primitives* (Paryż, 1894) i *Le socialisme contemporain* (Bruksela 1881). Ta ostatnia w tłumaczeniu polskiem stała się jednem z poczytniejszych dzieł w polskich kołach socjalistycznych na schyłku XIX stulecia.

Profesor Iwan Iwaniukow, wybitny ekonomista rosyjski (urodzony 1844), należący jako teoretyk do szkoły historycz-

no-realnej. W pracach swych w sposób objektywny charakteryzował również doktryny socjalistyczne, stąd wielka popularność jego dzieł w kołach radykalnej młodzieży rosyjskiej.

Mikołaj Dobrolubow (1836—1861), krytyk i publicysta rosyjski kierunku radykalnego o sympatjach republikańskich i socjalistycznych, bezlitośnie smagający ujemne objawy życia rosyjskiego. Występował głównie w miesięczniku *Sowremiennik,* któremu zdobył ogromną poczytność w szerokich kołach inteligencji, ceniącej Dobrolubowa głownie za bezwzględność w sądach o najbardziej nawet uznanych powagach.

Dymitr Pisarew (1841 — 1868), rosyjski krytyk literacki i publicysta, odznaczający się skrajnym radykalizmem w ocenie strony estetycznej omawianych utworów i traktujący je wyłącznie ze stanowiska użyteczności społecznej. Stąd uważany za teoretyka tak zwanego „nihilizmu" i popularny w kołach rewolucyjnych.

Mikołaj Czernyszewskij (1829—1889), ekonomista i publicysta, jeden z pierwszych socjalistów rosyjskich. Aresztowany w roku 1862, skazany na podstawie sfałszowanych dokumentów na katorgę, którą odbył, osadzony na wygnaniu w Wilujsku, we Wschodniej Syberji, później w Astrachaniu i w Saratowie, otoczony był aureolą męczeństwa politycznego. Z pomiędzy bardzo licznych prac Czernyszewskiego wielką popularnością cieszyła się jego powieść *Czto dielat'? (Co czynić?*), poruszająca — obok zagadnienia kobiecego i nowego ustosunkowania się węzłów rodzinnych — kwestję przyszłego ustroju socjalistycznego. To ostatnie przyczyniło się przedewszystkiem do rozpowszechnienia powieści Czernyszewskiego, również i w tłumaczeniach (istnieje przekład polski). Powieść ta w swoim czasie była obowiązkową lekturą radykalnej młodzieży rosyjskiej, a za nią i polskiej — ze względu na swą socjalistyczną tendencję, choć nie posiadała większej wartości artystycznej.

Mikołaj Michajłowskij (1842—1904), wybitny krytyk literacki, socjolog i publicysta rosyjski kierunku, zwanego *narodniczeskim* (ludowcowym). Był jednym z twórców tak zwanej socjologji subjektywnej, przeciwstawiającej się marksizmowi, i pisarzem, z którego prac czerpały uzasadnienie dla swych poglądów rewolucyjne stronnictwa rosyjskie — *Narodnaja Wola* i, później, *Partja Socjalistów Rewolucjonistów,* Michajłowskij wysunął się na czoło legalnej opozycyjnej pu-

blicystyki rosyjskiej, zwłaszcza jako redaktor miesięcznika *Russkoje Bogatstwo*, i wywierał tą drogą olbrzymi wpływ na młode pokolenie.

Do str. 9, wiersz 23.

Piotr Ławrow (1823—1898), filozof, publicysta i działacz polityczny kierunku socjalistycznego, główny teoretyk tak zwanego *narodniczestwa*, opierającego przyszłość socjalizmu w Rosji nie na klasie robotniczej, lecz na pewnych cechach włościaństwa. Był profesorem wyższych wojskowych zakładów naukowych w Petersburgu, aresztowany i zesłany, zbiegł zagranicę, gdzie też pozostawał do śmierci, głównie w Paryżu. Tam zbliżył się z przedstawicielami organizacji *Narodnaja Wola*. W latach 1872—1877 redagował emigracyjne pismo *Wpierjod*, w 1877 objął redakcję *Wiestnika Narodnoj Woli* — organu teoretycznego partji tej nazwy. Wielką popularność zdobyły jego *Istoriczeskija Pišma (Listy historyczne)*, pisane jeszcze na zesłaniu, a wydane po raz pierwszy w 1870. W dziełku tem wskazywał obowiązek inteligencji służenia wszechstronnej emancypacji ludu pracującego. *Listy historyczne* były tłumaczone na kilka języków, między innemi i na polski.

Do str. 10, wiersze 15—21.

Kto z czego żyje — najpopularniejsza z polskich agitacyjnych broszur socjalistycznych, opracowana przez Szymona Dicksteina (1858—1884) pod pseudonimem Jana Młota. Zawiera popularyzację teorji nadwartości, sformułowanej przez Karola Marksa w I tomie jego *Kapitału*. Miała kilkanaście wydań polskich, wyszła też w licznych tłumaczeniach. Drukowana pierwotnie w *Równości* genewskiej, jako artykuł *O nadwartości*, wyszła po przerobieniu jej na broszurę po raz pierwszy w 1881.

W obronie prawdy — popularna broszura Wilhelma Liebknechta (w oryginale *Zum Schutz und Trutz*), jedna z podstawowych broszur agitacyjnych socjalizmu polskiego, wydana w przekładzie polskim po raz pierwszy w Krakowie 1879 i później przedrukowywana kilka razy.

Kapitał. Krytyka ekonomji politycznej — podstawowe dzieło twórcy socjalizmu naukowego, Karola Marksa (1818—1883). Tom I wyszedł w 1867, II i III ukazały się już po śmierci Marksa (1885, 1894). Socjalistom polskim, współczes-

nym Piłsudskiemu, znany był przeważnie I tom *Kapitału*, zawierający krytykę głównych rysów ustroju kapitalistycznego, istniejący i w polskiem tłumaczeniu.

Do str. 11, wiersz 34.

Herbert Spencer (1820—1903), filozof i socjolog angielski, twórca ewolucjonizmu socjologicznego. Dzieła jego cieszyły się wielką popularnością w Polsce, zwłaszcza w kołach ludowców, skupiających się przy *Głosie*.

Do str. 12, wiersz 20.

Landy Stanisław — jeden z pierwszych socjalistów polskich, skazany przez sąd wojenny w Warszawie na 12 lat katorgi za „zbrojny opór władzy", jako uczestnik gwałtownego protestu więźniów cytadeli przeciwko zamordowaniu jednego z uwięzionych robotników — Józefa Bejtego — 12 lipca 1879. Wyrok ten został zamieniony na zesłanie na Syberję.

II

ARTYKUŁY Z „KALENDARZY ROBOTNICZYCH"

Do str. 13.

Rusyfikacja była umieszczona w *Kalendarzu Robotniczym* na rok 1903 (odbito nakładem Wydawnictwa *Naprzodu* w Drukarni Narodowej w Krakowie) na str. 35—38. *Strejki pod caratem* — w *Kalendarzu Robotniczym* na rok 1904 (Nakładem Wydawnictwa *Naprzodu*. Drukarnia Władysława Teodorczuka i Spółki w Krakowie) na str. 51—54. *Ze wspomnień* — w *Kalendarzu Robotniczym* na rok 1905 (Nakładem Wydawnictwa *Naprzodu* w drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie) na str. 63—66.

Do str. 37, wiersz 4.

Roku 1900, po aresztowaniu w Łodzi.

III

BIBUŁA

Do str. 45.

Bibuła powstała na skutek propozycji, zwróconej do Józefa Piłsudskiego przez Ignacego Daszyńskiego, redaktora naczelnego *Naprzodu,* krakowskiego organu codziennego Polskiej Partji Socjalnodemokratycznej Galicji i Śląska. *Naprzód* z 27.VIII.1903 (Nr. 234 rocznika XII) na stronie pierwszej, w pierwszej kolumnie umieścił następujące ogłoszenie:

„Z początkiem września rozpoczniemy druk nader interesującego feljetonu p. t.

WALKA REWOLUCYJNA POD ZABOREM ROSYJSKIM
wrażenia i fakty z ostatnich lat dziesięciu.

Autor, jeden z najwybitniejszych naszych towarzyszy, pracujący w szeregach Polskiej Partji Socjalistycznej, roztacza w szeregu opisów całokształt potężnego pasowania się polskiego proletarjatu z przemocą rządów carskich i ze starym ustrojem w Polsce.

Rzecz cała napisana barwnie i zajmująco, a nasi czytelnicy w Galicji poznają cały ogrom przeciwieństw, męczarni i poświęceń, składających się na wyzwolenie polskiego proletarjatu pod zaborem rosyjskim.

Redakcja *Naprzodu*".

Ogłoszenie to powtórzono w numerach 235—240 *Naprzodu.*

Pisana w Krakowie i dostarczana redakcji *Naprzodu* kawałkami, *Bibuła* była drukowana w odcinkach numerów: 246, 248—250, 254, 256, 257, 260—262, 264, 266—271, 274—276, 281, 282, 285, 288, 292, 296, 297, 302—306, 309, 311—313, 316—320, 323—327, 329—334 tego pisma od 28.VIII. do 5.XII. 1903 roku pod tytułem *Walka rewolucyjna pod zaborem rosyjskim. Wrażenia i fakty z ostatnich lat dziesięciu. Bibuła.* Feljetony te były drukowane przez cały czas bezimiennie. Dopiero w Nr. 334 *Naprzodu* z soboty 5.XII.1903 zjawiła się w *Kronice* (str. 2, kolumna 3) następująca notatka: *„Walka rewolucyjna w Rosji.* W dzisiejszym feljetonie kończymy druk pierwszej części tych zajmujących opowiadań, których autorem jest towarzysz Józef Piłsudski. Drugą część będziemy

drukowali w przyszłym roku. Odbitka pierwszej części wyjdzie z druku w wydaniu książkowem za parę dni".

Wydanie książkowe różni się od feljetonów *Naprzodu* tylko tem, że zostało uzupełnione wstępem i pierwszym podtytułem — *Trochę historji.* Z zamierzonych trzech części, o których mowa na wstępie pracy, do skutku doszła tylko pierwsza — *Bibuła.*

Treścią jej były wspomnienia o faktach, które nie zatraciły były jeszcze swej aktualności, wobec czego nie można ich było omawiać z całkowitą swobodą ze względu na interesy konspiracji i biorących w niej udział osobistości. Stąd niewymienianie nazwisk osób charakteryzowanych i zastępowanie tych nazwisk literami X., Z. i tak dalej. Stąd pewnego rodzaju „stylizowanie" treści i podawanie własnych rewolucyjnych przeżyć autora w postaci zasłyszanych wrzekomo od innych obserwacyj i charakterystyk. Ta stylizacja występuje już we wstępie, gdzie autor przedstawia siebie jako biorącego „niekiedy" udział w pracach stronnictwa rewolucyjnego. Obok tego *Bibuła* nie ujawnia udziału jej autora w działalności rewolucyjnej po roku 1900, to jest po aresztowaniu go przez władze rosyjskie w Łodzi i ucieczce z Petersburga. Wszystko to jest zupełnie zrozumiałe ze względu na to, że Józef Piłsudski stał wówczas na jednem z najbardziej odpowiedzialnych stanowisk kierowniczych w P. P. S. zaboru rosyjskiego i od czasu do czasu udawał się nielegalnie do tego ostatniego, gdzie był każdej chwili narażony na aresztowanie i pociągnięcie do odpowiedzialności przez władze carskie.

Do str. 58, wiersz 30.

Stosunki rosyjsko-polskie (Russko-polskija otnoszenija), dzieło, wydane pod pseudonimem Leliwy w roku 1895 po rosyjsku w Lipsku, a zawierające informacje i dokumenty, odnoszące się do prześladowań Polaków i katolicyzmu w Rosji. Dzieło to, sprowadzone nawpół legalnie, dzięki stosunkom, z zagranicy, było rozsyłane do dygnitarzy rosyjskich przez polskie sfery ugodowe.

Do str. 62, wiersz 22.

Oświata — tygodnik rządowy w języku polskim, założony w 1900 przez generał-gubernatora Imeretyńskiego dla włościan polskich.

Do str. 95, wiersz 25.

Aleksander Sulkiewicz. Tu prawda została pomieszana ze zmyśleniem co do warunków, w jakich pracował Sulkiewicz, który był urzędnikiem komory celnej, nie zaś fabryczki pogranicznej.

Do str. 100, wiersz 21.

Z* — Witte, daleki krewny ministra Witte'go.

Do str. 117, wiersz 22.

Broszura Michała Luśni (Kazimierza Krauza) *Czy teraz niema pańszczyzny*, przeznaczona dla chłopów.

Do str. 135, wiersz 1.

Wieszczy — rzeczy.

Do str. 149, wiersz 14.

Popularne dzieło Augusta Bebla *Kobieta i socjalizm* — jedno z najobszerniejszych wydawnictw agitacyjnych, rozpowszechnianych przez P. P. S. (przeszło 300 str. dużej 8-ki).

Do str. 149, wiersz 30.

Pewna towarzyszka — żona Józefa Piłsudskiego, Marja z Koplewskich.

Do str. 150—151.

Mowa tu o żonie Józefa Piłsudskiego, jak wyżej.

Do str. 161, wiersz 24.

Antoni Wiśniewski — publicysta polski, bliski *Głosowi*, szpieg, którego pamiętnik wydała P. P. S. w Londynie w 1901 pod tytułem *Dziennik szpiega*. Zabity przez Organizację Bojową P. P. S.

Do str. 163, wiersz 27.

Właściwie Nr. 36 *Robotnika*, zredagowany (tak samo, jak i Nr. 37) przez Stanisława Wojciechowskiego w Londynie, został odbity tamże na maszynce, zakupionej dla nowej drukarni krajowej *Robotnika*, umieszczonej zaraz potem w Kijowie, gdzie *Robotnik* był drukowany od Nr. 38.

Do str. 165, wiersz 33.

Kazimierz Rożnowski, członek P. P. S. (pseudonim „Karol", „Karolek"), który po zdobyciu fachu zecerskiego w drukarni partyjnej w Londynie składał *Robotnika* w Łodzi i został aresztowany po wykryciu jego drukarni.

Do str. 183, wiersz 8.

Jeden z redaktorów *Robotnika* — dr. Feliks Perl.

Do str. 220, wiersz 23.

Leon Michałowski, działacz P. P. S. z Wilna, znany z ogromnej siły fizycznej, zmarły w 1899 roku po powrocie z zesłania.

Do str. 224, wiersz 11.

„Dekabryści" — osoby, aresztowane w Warszawie z 21 na 22 grudnia 1899, przeważnie ze sfer literackich i wogóle inteligenckich: A. Marburg, L. Krzywicki, A. Niemojewski, S. Sempołowska, Gomulińska, Jahołkowska, Mortkowicz, Kruszewski, S. Leszczyński, Michalski, Heflich i inni.

Do str. 262, wiersz 15.

Działacz socjalistyczny, Maciej Błażejewicz, były uczestnik powstania 1863. Aresztowany wielokrotnie, zmarł na zesłaniu w Minusińsku w roku 1897.

Do str. 296, wiersz 28.

Autorem broszury *Czego chcą socjaliści* był Edward Abramowski.

IV

PRZEDMOWA DO „MATERJAŁÓW DO HISTORJI P. P. S. I RUCHU REWOLUCYJNEGO W ZABORZE ROSYJSKIM OD ROKU 1893—1904"

Do str. 299.

Materjały do historji P. P. S. i ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim od roku 1893—1904. Tom I. Rok 1893—1897.

(Życie, Wydawnictwo dzieł społeczno - politycznych. Tom XI) Warszawa, 1907. Odbito w Księgarni Narodowej w Krakowie, 8-ka, stron VIII + 367. Tom II. Rok 1898—1901 *(Życie,* Wydawnictwo dzieł społeczno - politycznych. Tom XVIII). Warszawa 1911. Odbito w Drukarni Narodowej w Krakowie, 8-ka, stron 2 niel + 302. Dzieło to, wydane bezimiennie, wchodziło do serji prac, publikowanych pod firmą wydawnictwa *Życie,* które zostało założone przez tak zwanych „starych“ w P. P. S. w 1906, kiedy to w łonie partji zarysował się już przyszły rozłam na „Frakcję Rewolucyjną“ i „Lewicę“. Autorem *Materjałów* był Aleksander Malinowski (1869—1922), jeden z najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego w pierwszym okresie rozwoju P. P. S., członek jej Centralnego Komitetu Robotniczego, aresztowany jednocześnie z Piłsudskim w Łodzi w lutym 1900. Przebywając na emigracji w Londynie, Malinowski opracował z niezmierną sumiennością i systematycznością materjały, znajdujące się w londyńskiem archiwum P. P. S., uzupełnił je danemi, zebranemi na podstawie specjalnego kwestjonarjusza, i stworzył w ten sposób bardzo poważną podstawę dokumentalną do historji ruchu rewolucyjnego w zaborze rosyjskim. *Materjały* Aleksandra Malinowskiego są ułożone latami w ten sposób, że każdy rok obejmuje osobny dział, rozpadający się na dwa rozdziały. W pierwszym podano obraz życia wewnętrznego partji, w drugim zestawiono szczegóły, cyfry i daty, dotyczące finansów partji, jej wydawnictw, strejków, manifestacyj, obchodów, prześladowań rządowych i tak dalej. Cały materjał został sprawdzony i ustalony krytycznie.

We wstępie *Od Wydawców* czytamy: „Na prośbę naszą towarzysz Józef Piłsudski, jeden z twórców i najwybitniejszych działaczy partji, nakreślił kilka słów przedmowy“. Przedmowa ta zajmuje I — VIII strony tomu pierwszego *Materjałów.*

Do str. 302, wiersz 25.

Pięciolecie P. P. S. — wydana w Londynie w roku 1900 bezimiennie, a napisana przez Stanisława Wojciechowskiego broszura sprawozdawcza *Polska Partja Socjalistyczna w ostatnich pięciu latach.*

Do str. 302, wiersz 27.

Praca Mazowieckiego — *Historja polskiego ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim*, napisana przez Ludwika Kulczyckiego, a wydana w Krakowie w 1904 pod pseudonimem Mieczysława Mazowieckiego.

V.

Z LISTU DO IGNACEGO DASZYŃSKIEGO.

Do str. 307.

Podane tu wyjątki wzięte są z dziełka Ignacego Daszyńskiego *Wielki człowiek w Polsce — szkic psychologiczno-polityczny* (wydawnictwo Warszawskiego Oddziału Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, Warszawa 1925) strony 6 — 7. Ignacy Daszyński pisze: „Oto mam przed sobą jego list do przyjaciela, pisany przed wyprawą na pociąg w Bezdanach w jesieni 1908 roku. Autor ma wówczas lat 41, jest zatem w najpiękniejszym wieku męskim. Przewiduje u wstępu listu, że może z wyprawy żywym nie wróci i zwraca do ewentualnego „nekrologisty" małą prośbę": (tu idzie pierwszy urywek listu Józefa Piłsudskiego, łączący się z drugim za pomocą zdania Ignacego Daszyńskiego: „A dalej czytamy w tym liście"):

Słynny napad na pociąg pocztowy na stacji Bezdany pod Wilnem — akcja Organizacji Bojowej P. P. S. — odbył się dnia 26 września 1908 roku i był kierowany osobiście przez Józefa Piłsudskiego.

Do str. 310, wiersz 1.
esowy — socjalistyczny.

VI.

GEOGRAFJA MILITARNA KRÓLESTWA POLSKIEGO

Do str. 311.

Geografja Militarna Królestwa Polskiego powstała z wykładów, które miewał Józef Piłsudski dla członków P. P. S. i Związku Walki Czynnej w Galicji w 1910. Wyszła ona

jako książeczka dziewiąta *Bibljoteczki Popularnej Życia* — broszurowego wydawnictwa P. P. S. — w Krakowie 1910 (16-ka, str. 36) pod pseudonimem Z. Mieczysławskiego. Na str. 33—36 tej broszury zostały umieszczone *Najbardziej elementarne wiadomości ze statystyki Królestwa Polskiego*", które, jako ułożone przez kogo innego (Leona Wasilewskiego), opuściliśmy w przedruku broszury.

VII.

ZADANIA PRAKTYCZNE REWOLUCJI W ZABORZE ROSYJSKIM.

Do str. 335.

Zadania praktyczne rewolucji w zaborze rosyjskim powstały jako szereg wykładów w szkołach partyjnych, organizowanych przez P. P. S. na gruncie galicyjskim w Krakowie i Lwowie po upadku rewolucji 1905—1907. Zapisywane (nie stenografowane) przez Leona Wasilewskiego, zostały przejrzane przez autora i drukowane pierwotnie w *Robotniku* warszawskim (Nr. 243 z 20.III., Nr. 244 z 16.IV., Nr. 245 z 12.VI., Nr. 246 z 25.VII i Nr. 247 z 2.IX.1910 roku pod tytułem *Nasze zadania rewolucyjne*. Redakcja *Robotnika*, umieszczając pracę Józefa Piłsudskiego bezimiennie, zaznaczyła w odsyłaczu do pierwszej jej części (Nr. 243): „Poczynając od Nru niniejszego, będziemy drukowali w *Robotniku* stale artykuły, zajmujące się sprawami przyszłej naszej walki rewolucyjnej, walki zbrojnej. Wprowadzamy ten dział ze względu na coraz bardziej naglącą konieczność dawania szerszemu ogółowi towarzyszy uświadomienia — obok ogólnego, socjalistycznego i politycznego — jeszcze specjalnie bojowo wojskowego". Odsyłacz do ostatniej części (Nr. 247) brzmi: „Serja artykułów, zamykająca się niniejszym, wyjdzie niebawem w formie broszurowej". W tymże roku 1910 zostały one wydane w Krakowie jako książeczka czternasta *Bibljoteczki Popularnej Życia* — broszurowego wydawnictwa P. P. S. (16-ka, str. 28) pod pseudonimem Z. Mieczysławskiego. Broszura ta została skonfiskowana przez prokuratorję krakowską i wkrótce potem zimunizowana na skutek interpelacji w parlamencie wiedeńskim. Tekst interpelacji, dru-

kowany w tłumaczeniu na str. 2 i 3 okładki broszury brzmiał:

„Izba posłów — 80 posiedzenie XX sesji dnia 15 grudnia 1910 roku.

INTERPELACJA

posła dra Ryszarda Kunickiego do ministra sprawiedliwości w sprawie praktyk konfiskacyjnych w Krakowie.

Skonfiskowana broszura zawiera teoretyczne rozważania o sposobach i środkach walki ludowej w zaborze rosyjskim, a więc rzeczy, które rządu austrjackiego nie dotyczą i napewno nie są skierowane ani przeciwko interesom Austrji, ani przeciwko zachowaniu pokoju powszechnego. Broszura ta nie zagrzewa do rewolucji, nie wyznacza żadnego terminu, omawia ją w związku z polityczną konstelacją europejską, która dziś aktualną nie jest. Następujący tekst przekona rząd o słuszności naszego twierdzenia:

Bibljoteczka Popularna Życia. Książeczka XIV.

Zadania praktyczne rewolucji w zaborze rosyjskim. Warszawa 1910. — Nakładem wydawnictwa *Życie.* — Do nabycia we wszystkich księgarniach. — Odbito w Drukarni Ludowej w Krakowie".

Tu został podany cały tekst broszury.

„Podpisani przeto zapytują:

„Czy Pan Minister Sprawiedliwości uważa za właściwe, iż prokurator austrjacki w tak gwałtowny sposób miesza się do stosunków wewnętrznych sąsiedniego państwa?"

następują podpisy".

Tekst artykułów *Robotnika* różni się nieco od tekstu broszury. Ponieważ *Robotnik,* jako pismo, drukowane w tajnej drukarni i rozpowszechniane konspiracyjnie, nie zawsze trafiał do rąk tych samych czytelników, przeto należało poszczególne części pracy Józefa Piłsudskiego tak ułożyć, aby każda z nich stanowiła pewną całość i mogła być z pożytkiem czytana również przez tych, którzy poprzednich części nie znają i następnych mogą do rąk nie dostać. W tym celu Redakcja *Robotnika* (Leon Wasilewski) umieszczała w każdym numerze wstawki, łączące się organicznie z tekstem, ale nie pochodzące od autora pracy.

Tak, na końcu części, drukowanej w Nr. 243, mamy ustęp: „W następnym artykule rozpatrzymy, jakie są zadania rewolucji w naszych warunkach“ (dwa wiersze). W Nr. 244 na czele artykułu mamy siedmnastowierszową wstawkę od redakcji (bez zaznaczenia tego), pokrótce streszczającą część pracy, drukowanej w Nr. 243, na końcu artykułu dwuwierszową wstawkę — „W następnym artykule przejdziemy do sprawy organizowania samej walki rewolucyjnej“. W Nr. 245 znowuż mamy na czele artykułu wstawkę sześciowierszową, mówiącą o treści poprzedniej części z Nr. 244. W Nr. 246 wstawka czterowierszowa mówi o treści tego, co było drukowane w Nr. 245. W Nr. 247 sześciowierszowa wstawka redakcyjna wymienia tematy poprzednich części pracy. Wszystkie te wstawki — prócz ostatniej — w wydaniu broszurowem zostały całkowicie usunięte, jako praktycznie niepotrzebne.

Do str. 346, wiersze 9—22.

„Republika sosnowiecka“, „Republika ostrowiecka“ — nieudałe próby opanowania władzy lokalnej w Królestwie Polskiem na skutek odezwy P. P. S. z dnia 26.XII.1905, wydanej przez ówczesne kierownictwo Partji („Młodzi“) pod wpływem manifestu Rady delegatów robotniczych w Petersburgu, podpisanego przez szereg partyj rewolucyjnych, w tej liczbie i P. P. S. „Republika ostrowiecka“ z „prezydentem“, inżynierem Ignacym Boernerem, na czele rzeczywiście jakiś czas trwała, zanim władze rosyjskie nie zorjentowały się, z jak drobną wysepką rewolucyjną mają do czynienia.

Do str. 358, wiersz 14—15.

„Krwawa środa“ — akcja Organizacji Bojowej P. P. S., która na rozkaz partji zabiła jednego dnia, w środę 15.VIII.1906, w całym szeregu miast Królestwa kilkudziesięciu policjantów i szpiegów.

SKOROWIDZ NAZWISK I PSEUDONIMÓW.

(Liczby arabskie — tekst; liczby rzymskie — przypisy; liczby rzymskie z dodatkiem litery w — wstęp. Liczby, ujęte w nawias, — nazwiska w tekście nie zostały wymienione).

SPIS RZECZY TOMU II.